

Doktor Lorna Polk, stażystka w Ośrodku Badawczym Gatunków Zagrożonych ACRES w Nowym Orleanie, zostaje wezwana do porzuconego trawlera, który osiadł na bezludnej wysepce w Zatoce Meksykańskiej. Jego ładownię wypełnia przerażający ładunek: klatki ze zmutowanymi zwierzętami. Wśród zgromadzonych okazów są m.in. papuga pozbawiona upierzenia, gigantyczne nietoperze wielkości piłek futbolowych, skarłowaciałe małpki i szczenię szablasto-zębego jaguara. Zanim cały ładunek uda się bezpiecznie przewieźć do ACRES, na statku dochodzi do zdalnie sterowanej eksplozji. Komu zależało na usunięciu śladów przedziwnych mutacji genetycznych? Jakiego było pochodzenie zwierząt? Dokąd zmierzała łódź? I co stało się z załogą? Wstępne ustalenia wskazują, że wszystkie zmutowane okazy miały dodatkową parę chromosomów. Błąd natury czy dzieło ludzkiej ręki? Lorna i Jack Menard ze Straży Granicznej uczestniczą w obławie na dwa białe jaguary, które zbiegły z trawlera i schroniły się na mokradłach w delcie Missisipi. Nie oni jedni - polowanie obserwuje grupa uzbrojonych mężczyzn, którzy otrzymali wyraźny rozkaz: zniszczyć ACRES i zabić wszystkich - zarówno ludzi, jak zwierzęta. Po ataku na ośrodek Lorna zostaje uprowadzona na wyspę Eden Utracony, położoną gdzieś na Karaibach. Jedynie Jack może ją ocalić...

JAMES Rollins

OŁTARZ EDENU

Z angielskiego przełożył LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

Tytuł oryginału:

THE ALTAR OF EDEN

Mojej siostrze Laurie. Wszyscy Cię kochamy.

Babilon stanie się polem gruzów, siedliskiem szakali, przedmiotem zgrozy i drwin, pozbawionym mieszkańców.

Księga Jeremiasza 51,37\*

I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca, Pełnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

W.B. Yeats, Drugie przyjście przekł. Stanisław Barańczak

Badanie Natury czyni z człowieka istotę równie pozbawioną skrupułów, jak sama Natura.

H.G. Wells

\* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Pal-■num, Poznań 2003.

Podziękowania

Nigdy nie byłem gorącym wyznawcą zasady „pisz, co wiesz”. No bo co to za frajda? Jako weterynarz z wykształcenia zawsze chciałem napisać książkę z weterynarzem w roli głównej, ale nawet tutaj stara maksyma nie obowiązuje. By napisać tę opowieść, musiałem skorzystać z wiedzy bardzo wielu osób. Pragnę wyrazić wdzięczność grupie moich krytyków: Penny Hill, Judy Prey, Dave'owi Murrayowi, Caroline Williams, Chrisowi Crowe'owi, Lee Garrettowi, Jane O'Rivie, Sally Barnes, Denny'emu Graysonowi, Leonardowi Little, Kathy L'Ecluse, Scottowi Smithowi, Chrisowi Smithowi i Willowi Murrayowi. Szczególnie gorące podziękowania składam Steve'owi Preyowi za wielką pomoc w kwestii map. Poza wymienionymi Carolyn McCray i David Sylvian zdejmowali mi z głowy troski dnia codziennego, bym mógł zajmować się pisaniem. Doktor Scott Brown dostarczył niektórych szczegółów medycznych, Cherie McCarter zaś była jak zawsze źródłem cennych informacji (w tym artykule o wężu, który urodził się z łapami zaopatrzonymi w pazury... coś pięknego!). Specjalne podziękowania dla Steve'a i Elizabeth Berrych za ich cudowną przyjaźń. Wreszcie wyrazy szczególnej wdzięczności dla czwórki osób, które odegrały ważną rolę na różnych etapach powstawania tej książki: wydawcy Lyssy Keusch i jej współpracownicy Wendy Lee, oraz moich agentów: Russa Galena i Danny'ego Barora. Byli prawdziwą podporą dla autora. Na koniec jak zwykle chcę podkreślić, że odpowiedzialność za błędy czy przeinaczenia spada wyłącznie na

moje barki.

— ti i\_\_n\_\_ri

Ośrodek Badawczy Gatunków Zagrożonych im.. Audubona

Rzeka "i Missisipi

Rampa załadunkowa

' K&mpleks laboratoryjny -ACRES

Prolog

Kwiecień 2003 Bagdad, Irak

Chłopcy zatrzymali się przed klatką lwa.

— Nie chcę tam wchodzić — powiedział młodszy. Stał blisko starszego brata i kurczowo trzymał go za rękę.

Obaj byli okutani w za duże kurtki, twarze mieli osłonięte chustami, na głowach wełniane czapki.

Było bardzo wcześnie, słońce jeszcze nie wzeszło i poranny chłód przenikał do szpiku kości.

Musieli się ruszać.

— Bari, klatka jest pusta. Nie bądź głupi. Popatrz. — Makeen, starszy z braci, pchnął bramkę z żelaznych prętów i oczom chłopców ukazało się puste wnętrze ze ścianami z betonu. W ciemnym kącie leżało kilka starych ogryzionych kości. Przydadzą się na zupę.

Makeen rozglądał się po zrujnowanym zoo. Pamiętał, jak kiedyś wyglądało. Pół roku wcześniej z okazji jego dwunastych urodzin urządzili sobie piknik w parku Al-Zawraa i wtedy odwiedzili też wesołe miasteczko z jego różnymi atrakcjami i ogród zoologiczny. Rodzina spędziła długie ciepłe popołudnie, kręcąc się wśród klatek z małpami i papugami i zagród dla wielbłądów, wilków i niedźwiedzi. Makeen nakarmił jabłkiem wielbłąda i do dziś pamiętał dotyk jego gumowatych warg na swojej dłoni.

Stał teraz i rozglądał się po tym samym ogrodzie dojrzałszymi

13

oczami — o wiele dojrzałszymi, niż mogłyby dojrzeć przez sześć miesięcy Ogród był jedną wielką ruiną i składowiskiem śmieci. Pustkowiem straszącym osmolonymi od ognia murami, sadzawkami śmierdzącej oleistej wody i kupami gruzu.

Miesiąc temu Makeen przyglądał się z okna ich mieszkania położonego w pobliżu ogrodu, jak piękna soczysta zieleń umiera w ogniu walk toczonych przez Amerykanów z oddziałami Gwardii Republikańskiej. Gwałtowna potyczka zaczęła się o zmierzchu terkotem broni maszynowej i gwizdami pocisków rakietowych, i trwała całą noc.

Jednak rano wszystko ucichło i tylko niebo zasnuwały gęste kłęby dymu, które przez resztę dnia przesłaniały słońce. Z balkonu ich niewielkiego mieszkania Makeen wypatrzył lwa, który wybiegł z ogrodu i ruszył w miasto. Wyglądał jak ciemna zjawa, która chwilę potem wtopiła się w mrok ulic. Z klatek pouciekały też inne zwierzęta, a ich miejsce zajęły ludzkie hordy, które przez następne dwie doby buszowały po ogrodzie.

Jego ojciec nazywał ich szabrownikami, na ich widok spluwał ze wstrętem i obrzucał okropnymi wyzwiskami.

Szabrownicy włamywali się do klatek i rozkradali pozostałe zwierzęta —niektóre, by je zabić na mięso, inne, by sprzedać na targu za rzeką. Ojciec Makeena wybrał się na miasto z grupą mężczyzn chcących zorganizować ochronę przed bandami włóczących się po dzielnicy rzezimieszków.

Nigdy go już więcej nie zobaczyli. Żadnego z pozostałych mężczyzn też nie.

Przez następne parę tygodni obowiązek wykarmienia rodziny spoczywał na barkach Makeena. W tym czasie matka leżała w łóżku z głową rozpaloną gorączką, zagubiona między przerażeniem a rozpaczą. Chłopcu nie udawało się w nią wmusić nic poza paroma łykami wody.

Gdyby tak udało się ugotować smaczną zupę, namówić, żeby coś przełknęła...

Znowu obrzucił spojrzeniem kupkę kości w kącie klatki. Codziennie przed świtem buszowali z bratem po zbombar-

14

dowanym parku i zoo w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Po to miał na ramieniu jutowy worek, ale dziś była w nim tylko jedna nadpsuta pomarańcza i garść ziarna zebranego z podłogi klatki dla

ptaków. Mały Bari znalazł w pojemniku na śmieci pociętą puszkę fasolki. Znaleździ sprawiło, że do oczu Makeena napłynęły łzy radości. Skarb tkwił teraz dobrze schowany pod grubym swetrem młodszego brata.

Wczoraj starszy od Makeena chłopak z długim nożem w ręce odebrał Makeenowi worek, a chłopcy wrócili do domu z pustymi rękami i do końca dnia nie mieli nic w ustach.

Ale dziś się najedzą.

Może nawet matka coś zje, inszallah, jak Bóg da, pomyślał.

Makeen wszedł do klatki i pociągnął za sobą Bariego. Z oddali dobiegały odgłosy krótkich serii z broni maszynowej, jakby ktoś klaskał szybko, by ich odstraszyć.

Makeen nastawił uszu. Wiedział, że muszą się pospieszyć. Nie chciał, żeby zastał ich tu wschód słońca. Zrobiłoby się zbyt niebezpiecznie. Podbiegł do kości, zdjął worek z ramienia i zaczął wrzucać do niego obgryzione i pogruchotane gnaty.

Zebrał wszystko, odciągnął worek i wyprostował się, jednak nim zdążył zrobić pierwszy krok, z bliska dobiegł ich głos mówiący po arabsku.

— Jalla! Tędy! Tutaj!

Makeen skulił się i pociągnął za sobą Bariego. Ukryli się za murkiem z cementowych bloczków z przodu klatki. Objął brata i na migi nakazał mu milczenie. Przed klatką przesunęły się dwa duże cienie.

Makeen postanowił zaryzykować i wyrzeć. Zobaczył dwóch mężczyzn: jednego wysokiego w polowym mundurze khaki, drugiego przysadzistego i z wydatnym brzuchem, ubranego w ciemny garnitur.

Wejście jest za ambulatorium dla zwierząt — powiedział gruby, mijając klatkę lwa. Dyszał i sapał, starając się dotrzymać kroku mężczyźnie w mundurze. — Mogę się tylko modlić, żebyśmy nie przyszli za późno.

15

Makeen dostrzegł pistolet w kaburze przy pasie wyższego i pomyślał, że gdyby ich przyłapali na podsłuchiwanie, nie uszliby z tego z życiem.

Wtulony w brata Bari wyczuł jego strach i zadygotał.

Niestety, mężczyźni nie odeszli zbyt daleko. Ambulatorium mieściło się w budynku naprzeciwko ich kryjówki. Gruby przeszedł obojętnie obok otwartych na oścież drzwi. Wiele dni temu wyważono je łomem i wyczyszczono ambulatorium z wszelkich lekarstw i środków opatrunkowych.

Zatrzymał się dopiero przed murem obramowanym dwiema kolumnami. Makeen nie dojrzał, co dokładnie zrobił ten grubszy, zauważył tylko, że wsunął rękę za jedną z kolumn i po chwili fragment muru odchylił się, ukazując tajemne wejście.

Makeen przysunął się bliżej kraty. Ojciec czytał im baśnie

0 Ali Babie, tajemnych pieczarach na pustyni i ukrytych w nich nieprzebranych skarbach. On i brat znaleźli w zoo tylko ogryzione kości i puszkę fasolki. Makeen poczuł skurcz żołądka na myśl o uczcie godnej Księcia Złodziei, jaka mogła tam na nich czekać.

— Zaczekaj tu — powiedział gruby, wciskając się w szparę w murze i ruszając w dół po ciemnych schodkach.

Człowiek w mundurze stanął przy wejściu z dłonią wspartą na rękojeści pistoletu i niespiesznie przeniósł wzrok na ich kryjówkę. Makeen schował się i wstrzymał oddech, czując, jak mu wali serce.

Czy tamten go zauważył?

Makeen usłyszał zbliżające się kroki i z całej siły przyłgnął do młodszego brata. Chwilę później dotarł do jego uszu trzask zapalanej zapalki i chłopiec poczuł dym papierosa. Mężczyzna zaczął się przechadzać wzdłuż kraty lwiej klatki, jakby to on był w niej uwięziony: chodził tam i z powrotem niczym znudzony tygrys.

Bari zadygotał, a jego palce jeszcze mocniej zacisnęły się na rękach brata. A jeśli mężczyzna postanowi zajrzeć do klatki

1 znajdzie ich ukrytych za murkiem?

Wydawało im się, że minęła cała wieczność, nim usłyszeli świszczący z wysiłku głos grubasa, który wystawił głowę z otworu w murze.

— Mam! — sapnął.

Niedopałek upadł na cembrowinę i został rozgnieciony butem tuż przy wejściu do klatki. Człowiek w mundurze pospieszył tam, skąd dobiegł głos, i dołączył do kompana.

Grubas próbował coś wydusić, z trudem łapiąc powietrze. Wyglądało na to, że całą drogę powrotną po schodach przebył biegiem.

— Inkubatory były odłączone — wysapał. — Nie wiem, jak długo działały generatory po wyłączeniu prądu.

Makeen zaryzykował wyściubienie nosa przez kratę. Grubas trzymał w ręku dość dużą metalową walizkę.

— Są bezpieczne? — upewnił się wojskowy. Mówił po arabsku, ale jego akcent nie wskazywał, aby był to Irakijczyk.

Gruby przyklęknął na jedno kolano, oparł walizkę na masywnym udzie i uniósł wieko. Makeen spodziewał się ujrzeć złoto i kosztowności, ale w walizce było tylko kilkanaście białych jajek w zagłębieniach wyżłobionych w czarnej gąbce. Z wyglądu nie różniły się od zwykłych kurzych jajek, jakie matka kupowała na targu.

Mimo paraliżu jącego go strachu Makeen poczuł nagłe ukłucie głodu.

Mężczyzna policzył jajka i po kolei obejrzał.

— Wszystkie całe — stwierdził i westchnął z ulgą. — Bóg da, że zarodki w środku okażą się żywe.

— A reszta laboratorium?

Zostawiam to tobie i twoim ludziom — powiedział gruby, zamykając walizkę i podnosząc się z klęczek. Wszystko tam ma spłonąć. Nikt nie może się domyślić, co odkryliśmy. Nie może zostać żaden ślad.

Wiem, co mam robić.

Wojskowy wyjął pistolet i strzelił grubemu prosto w twarz.

17

Strzał huknął jak uderzenie pioruna, z dziury wyrwanej w tyle czaszki trysnęła fontanna krwi i pogruchotanych kości. Grubas jeszcze przez moment stał, po czym runął martwy na ziemię.

Makeen zatkał usta dłonią, by nie wydać żadnego dźwięku.

— Nie może zostać żaden ślad — powtórzył morderca, schylając się po walizkę. Dotknął przycisk radiotelefonu na ramieniu i powiedział po angielsku:

— Sprowadźcie ciężarówkę i przygotujcie ładunki zapalające. Trzeba się stąd wynosić, zanim pojawią się miejscowi.

Makeen zdołał liźnąć trochę amerykańskiego żargonu wojskowego. Nie zrozumiał wszystkiego, co mężczyzna powiedział, ale zrozumiał to, co najważniejsze.

Zjawia się tu następni. Będzie więcej wojska i więcej broni.

Makeen zaczął się zastanawiać nad drogą ucieczki, ale byli przecież w środku lwiej klatki. Młodszy brat chyba też wyczuł narastające niebezpieczeństwo, bo od chwili wystrzału zaczął jeszcze bardziej dygotać. W końcu przerażenie wzięło górę i z jego wątlej piersi wyrwał się cichy szloch.

Makeen ścisnął mocniej dłoń brata, modląc się w duchu, by jego płacz nie dotarł do uszu mężczyzny.

Do klatki znów zbliżyły się kroki, ciszę rozdarło głośne warknięcie po arabsku.

— Kto tam jest? Pokazać się! Ta 'aal hnaa!

Makeen przysunął wargi do ucha brata.

— Siedź tu. Nie ruszaj się.

Wepchnął Bariego głębiej w narożnik, a potem podniósł się z rękami uniesionymi nad głową i zrobił krok do tyłu.

— Szukałem tylko jedzenia — powiedział, jękając się ze strachu.

Lufa pistoletu pozostawała skierowana w jego stronę.

— Wyłaż stamtąd, walad\

Makeen wykonał polecenie. Zbliżył się do drzwi klatki i wyszedł, nie opuszczając rąk.

— Proszę, ahki. Laa termi\ — Spróbował mówić po angielsku,

18

chcąc pokazać, że jest sojusznikiem mężczyzny. — Nie strzela. Ja nie widzę... Ja nie wiem...

Rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś argumentu, słów, które go uratują. Na twarzy mężczyzny dostrzegł mieszaninę zawziętości i współczucia.

Ręka z pistoletem uniosła się w bezlitosnym geście.

Makeen poczuł, jak po policzkach płyną gorące łzy.

Nagle w jego rozmytym przez łzy polu widzenia pojawił się jakiś cień. Tajemne drzwi za plecami mężczyzny uchyliły się nieco szerzej, pchnięte od środka. Z głębi wyłonił się duży ciemny kształt i zaczął sunąć w stronę mężczyzny. Poruszał się nisko przy ziemi, trzymając się cienia, jakby unikał światła.

Makeen kątem oka dojrzał połyskliwy zarys jakiegoś zwierzęcia: muskularnego, smukłego, pozbawionego sierści, ze wzrokiem płonącym agresją. Próbował wygrzebać z pamięci nazwę tego, co widzi przed sobą, ale bezskutecznie.

W jego piersi zaczynał wzbierać krzyk przerażenia.

Wprawdzie bestia poruszała się bezszelestnie, ale mężczyzna musiał szóstym zmysłem wyczuć zagrożenie, bo odwrócił się w chwili, gdy zwierzę runęło na niego z głośnym skowytami. Rozległ się huk wystrzałów i towarzyszące im przerażające wycie, od którego Makeenowi stanęły włoski na całym ciele.

Chłopiec odwrócił się i wpadł do klatki.

— Bari!

Złapał brata za rękę, wyciągnął z klatki i pchnął do przodu.

— Jalla! Uciekaj!

Na ziemi parę kroków od nich trwała walka człowieka i bestii.

Rozległy się kolejne strzały.

Makeen usłyszał na chodniku za plecami ciężki tupot wojskowych butów. Z drugiego końca parku nadbiegało kilku mężczyzn, krzykiem towarzyszył huk wystrzałów karabinowych.

Nie zważając na nic, gnany przerażeniem Makeen puścił się Pędem przez zrujnowany ogród, nawet nie myśląc o tym, czy go ktoś widzi. Biegł ile sił w nogach, słuchając rozlegających

19

się za nim dzikich odgłosów walki, które do końca życia miały do niego powracać w sennych koszmarach.

Nie rozumiał nic z tego, co się wydarzyło, ale jednego był pewny: zapamiętał wygłodniały wzrok bestii, w którym przebiegłej inteligencji towarzyszyły piekielne błyski.

Makeen wiedział, co to było.

To bestia występująca w Koranie jako szatan — ten, który narodził się z boskiego ognia i został przeklęty za to, że nie poddał się woli Adama.

Makeen znał prawdę.

Diabeł wreszcie zawitał do Bagdadu.

CZEŚĆ PIERWSZA

PIERWSZA KREW

1

23 maja, godz. 7.32. Nowy Orlean

Przedzierając się przez wertepy pozostałe po huraganie, ford bronco wpadł w kolejną wyrwę, a Lorna o mało nie wyrzuciła głową w dach. Samochód zatańczył na mokrej jezdni. Zdjęła nogę z gazu i odzyskała kontrolę nad pojazdem.

Zywiół ogołocił ziemię z roślinności, spowodował, że strumienie wylały z brzegów, a w czyimś basenie pojawił się aligator. Wprawdzie resztki zamierającego huraganu najsilniej uderzyły nieco dalej na zachód, potężne ulewy dowodziły jednak, że Matka Natura postanowiła nowoorleańską parafię\* zamienić na powrót w mokradła.

Jadąc groblą wzdłuż rzeki, Lorna nie mogła się uwolnić od myśli o tym, co usłyszała. Zadzwoniono do niej dwadzieścia minut temu z wiadomością, że w ACRES mają awarię zasilania, generatory nie zadziałały i setka projektów badawczych jest zagrożona.

Objechała ostatni zakręt Missisipi i ujrzała przed sobą kompleks zabudowań ACRES. Ośrodek Badawczy Gatunków Zagrożonych im. Audubona rozciągał się na ponad czterystu hektarach terenów nadrzecznych pod Nowym Orleanem i choć

'jest^n0S"<a administracyJna' która w całych Stanach nosi nazwę county o powiednikiem naszego powiatu, w Luizjanie z przyczyn historycznych nazywana jest parafią.

23

administracyjnie powiązany z miejskim zoo, był zamknięty dla zwiedzających. Na kompleks składał się szereg ukrytych w lesie zagród dla zwierząt, ale centralnym punktem był mający ponad trzy tysiące trzysta metrów kwadratowych budynek z pracowniami naukowymi i kliniką.

Właśnie w niej pracowała doktor Lorna Polk, która znalazła tu zatrudnienie po stażu podypłomowym z opieki medycznej nad zwierzętami żyjącymi na wolności i w ogrodach zoologicznych. W ramach obowiązków odpowiadała za tak zwane zamrożone zoo — dwanaście pojemników z ciekłym azotem, w których trzymano plemniki, jajeczka i zarodki wielu gatunków zagrożonych wyginięciem: górskich goryli, tygrysów sumatrzeńskich, gazeli Thomsona, gerezy rudej czy bawołów afrykańskich.

Stanowisko wiązało się z dużą odpowiedzialnością, szczególnie dla zaledwie dwudziestoosmioletniej dziewczyny tuż po stażu. Podlegający jej zamrożony bank genetyczny pozwalał mieć nadzieję, że dzięki sztucznym zapłodnieniom, transferowi zarodków i klonowaniu zagrożone gatunki unikną ostatecznego wyginięcia. Mimo ciężkiej na niej odpowiedzialności Lorna kochała swoją pracę i czuła, że jest w niej dobra.

Pędząc drogą dojazdową ku głównemu budynkowi, usłyszała świergot umieszczonej na desce rozdzielczej komórki. Zdjęła ją z uchwytu i prowadząc jedną ręką, podniosła do ucha.

Dzwoniący musiał usłyszeć, że komórka została włączona, bo nie czekając na zgłoszenie, od razu zaczął mówić.

— Pani doktor, tu Gerald Granger z technicznego. Pomyślałem, że powinienem panią zawiadomić. Generatory już działają i zasilania brakuje tylko w jednej sekcji.

Lorna spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Awaria zasilania trwała blisko trzy kwadransy. Szybko policzyła w głowie i odetchnęła z ulgą.

— Dzięki, Geraldzie. Za minutkę będę na miejscu.

Zatrzasnęła klapy i umieściła telefon w uchwycie.

Wjechała na parking dla pracowników, zaparkowała i oparła

24

czoło o kierownicę. Uczucie ulgi było tak namacalne, że niewiele brakowało, aby się rozpląkała. Jeszcze przez chwilę dochodziła do siebie, a potem podniosła głowę i spojrzała na dłonie złożone na kolanach. Nagle uświadomiła sobie, jak jest ubrana. Wskoczyła z domu w pogniecionych dżinsach, starym szarym golfie i kozakach do pół tydki.

Nie wyglądała na elegancką profesjonalistkę, za jaką zawsze chciała uchodzić.

Obracając się na fotelu w stronę otwartych drzwi, zerknęła jeszcze we wsteczne lusterko.

Boże święty...

Jej blond włosy — zwykle gładko zaczesane — były potargane i spięte w niedbały koński ogon.

Związała je zaraz po wstaniu z łóżka, nie zważając na wymykające się kosmyki, i już ich nie poprawiała. Nawet okulary w czarnych oprawkach siedziały na nosie jakoś krzywo i Lorna pomyślała, że wyglądem bardziej przypomina skacowaną studentkę po nocnych szaleństwach podczas Mardi Gras.

Ale skoro tak, to równie dobrze może pójść na całość. Rozpięła klamrę trzymającą koński ogon i rozpuściła włosy, pozwalając, by opadły luźno na ramiona. Wysiadła z samochodu i ruszyła do głównego wejścia.

Nim do niego dotarła, jej uwagę przyciągnął jakiś nowy dźwięk: narastający głośny łoskot.

Odwróciła głowę i ujrzała biały śmigłowiec, który wylonił się spoza linii drzew za Missisipi. Leciał

szybko, prosto na nią.

Ściągnęła brwi i w tym momencie poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Drgnęła, ale palce zacisnęły się uspokajająco. Odwróciła głowę i ujrzała twarz swojego szefa i mentora, doktora Carltona Metoyera, dyrektora ACRES. Hałas nadlatującego śmigłowca musiał zagłuszyć jego kroki.

Starszy od Lorny o trzydzieści lat doktor Metoyer był wysokim żyłastym mężczyzną ze strzechą siwych włosów i krótko przystryżoną szpakowatą bródką. Jego przodkowie zamieszkiwali te tereny równie długo jak przodkowie Lorny

25

i wywodzili się z kreolskiej kolonii znad rzeki Cane o francusko--afrykańskich korzeniach.

Doktor Metoyer przysłonił oczy i spojrzał w niebo.

— Mamy gości — powiedział.

Nie ulegało wątpliwości, że śmigłowiec leci do nich. Oddalił się w stronę przylegającego do budynku pola i zaczął się obniżać. Lorna dostrzegła, że to nieduży śmigłowiec typu A-Star wyposażony w pływak zamiast zwykłych płóz. Zauważyła też zielony pas biegnący przez biały kadłub. Po „Katrinie” większość mieszkańców Nowego Orleanu dobrze znała te barwy. Helikopter należał do Straży Granicznej i po huraganie nad miastem latały całe eskadry takich maszyn, niosąc pomoc ofiarom kataklizmu.

— Co oni tu robią? — zdziwiła się.

— Przylecieli po ciebie, moja droga. To twoja taksówka.

1

Helikopter ostro wystartował i Lorna poczuła, że opada jej żołądek, nie tyle z przeciążenia, ile ze strachu. Siedząc obok pilota, kurczowo wczepiła się dłonią w uchwyt. Łoskot wirnika wibrował jej w uszach mimo słuchawek. Czowała się jak podczas jazdy windą, tyle że z napędem rakietowym. Nigdy nie była miłośniczką wysokości i generalnie nienawidziła latać, a wyruszenie w podróż latającą kosiarką uważała za szczyt głupoty. Wcześniej tylko raz w życiu leciała helikopterem. Było to w RPA podczas praktyki podyplomowej, kiedy kazano jej uczestniczyć w akcji liczenia słoni afrykańskich na terenach przylegających do rezerwatu. Wtedy mogła się jednak przygotować i połknąć przed lotem dwie tabletki xanaxu, a mimo to przez wiele godzin po wylądowaniu miała nogi jak z waty.

Dziś nikt jej nie uprzedził, że będzie leciała śmigłowcem.

Doktor Metoyer przekazał jej tylko kilka ogólnikowych informacji i zrobił to, gdy maszyna wylądowała. Nie pozwolił nawet Lornie wejść do budynku i sprawdzić stanu zbiorników z ciekłym azotem. Oświadczył, że personel już się tym zajmuje, a on osobiście tego dopilnuje i wyniki kontroli przekaże jej Przez radio.

przez radio...

Znaleźli się poza zasięgiem telefonii komórkowej.

27

Zaryzykowała spojrzenie w dół przez boczną szybę. Śmigłowiec zataczał koło, prezentując panoramiczny widok doliny Missisipi. Lecieli, z grubsza trzymając się koryta Big Muddy\*. Ta stara nazwa nabrała szczególnej aktualności po przejściu huraganu. Od mułu niesionego do Zatoki Meksykańskiej woda w rzece miała czekoladowobrnatną barwę.

Wkrótce wlecieli nad tereny rzecznej delty, gdzie tony nanoszonych osadów — mułu, gliny, piasku i ziemi — opadały na dno, tworząc gigantyczne, liczące ponad milion dwieście tysięcy hektarów przybrzeżne rozlewiska i słone mokradła. Teren ten miał nie tylko istotne znaczenie dla środowiska naturalnego jako kolebka ogromnego i złożonego ekosystemu, sięgającego korzeniami okresu jurajskiego, ale był też bardzo ważny w sensie komercyjnym. Stąd brały się ogromne ilości owoców morza, którymi karmiły się całe Stany Zjednoczone, także tutaj wydobywano dwadzieścia procent amerykańskiej ropy naftowej.

Rejon ten był też słabym ogniwem w łańcuchu zabezpieczeń chroniących granice państwa.

Niezliczone wysepki, przesmyki wodne i rozrzucone wśród nich pomosty rybackie czyniły z delty wymarzony teren dla wszelkiego autoramentu przemytników i nielegalnych handlarzy. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego uznał rejon delty Missisipi za obszar podwyższonego ryzyka i

zwiększył obsadę placówki Straży Granicznej w Nowym Orleanie.

Według słów szefa Lorny w związku z gwałtownym sztormem podczas ostatniej nocy ekipy Straży Granicznej przystąpiły do przeszukiwania terenu, wiadomo bowiem było, że przemytnicy narkotyków i broni, a nawet ludzie, chętnie korzystają z osłony burzy. Wcześniej rano jedna z ekip natknęła się na trawler wyrzucony na brzeg jednej z wysepek na zatoce. Strażnicy zajrzeli do środka i postanowili wezwać specjalistę z ACRES.

\* Big Muddy (ang.) — big — wielki; muddy — błotnisty, mętny.

28

Przyczyny wezwania pozostawały tajemnicą nawet dla doktora Metoyera. Nie poinformowano go ani dlaczego zwrócono się do ośrodka o pomoc, ani dlaczego poproszono akurat

0 Lornę.

Oprócz strachu związanego z przelotem Lorna czuła tłącą się w niej złość. Dzieło jej życia w ACRES znalazło się w niebezpieczeństwie, a ją wysyłają na jakieś zadupie. Co ona tu w ogóle robi? Podsycona strachem złość coraz bardziej w niej kipiała. Co tu jest grane? I dlaczego zażyczyli sobie akurat jej? W służbach graniczno-celnych nie ma żadnych znajomych.

Wiedziała, że z tymi pytaniami będzie musiała poczekać do chwili dotarcia na miejsce.

W słuchawkach na jej uszach coś zachrobotało i pilot wyciągnął rękę w stronę horyzontu. Miał na sobie zielony mundur z oznakami powietrzno-morskiej jednostki Straży Granicznej. Witając się z nią, przedstawił się, ale nie dosłyszała nazwiska.

— Za chwilę będziemy wodować, pani doktor — powiedział do mikrofonu.

Kiwnęła głową i rozejrzała się. Soczysty jednolity szmaragd rozlewiska pod nimi był nieco dalej upstrzony licznymi wysepkami i półwyspami. Dalej widać było ciągnące się większe wyspy barierowe stanowiące zaporę chroniącą wrażliwe przybrzeżne mokradła i rozlewiska.

Ale aż tak daleko nie lecieli.

Kawałek dalej dostrzegła białą łódź zakotwiczoną przy brzegu jednej z wysepek. Nareszcie! Zaczęli się zniżać i wtedy dojrzała też wyrzucony na wyspę stary kuter rybacki. Musiał wbić się w brzeg z dużym impetem, bo widać było długi, sęgający niemal środka wysepki ślad wyłobiony w piasku

1 kilka powalonych drzew. Najwyraźniej został wyrzucony na brzeg przez fale sztormowe.

Śmigłowiec szybko obniżał wysokość i dłoń Lorny znów zacisnęła się kurczowo na uchwycie.

Gdzieś czytała, że do Włędzkości katastrof lotniczych dochodzi podczas startu i ląd-

29

wania. Nie była to wiedza, którą chciałaby teraz dokładniej analizować.

Parę metrów nad wodą tempo zniżania się zmalało, woda pod nimi wygładziła się od podmuchu wirnika i chwilę później śmigłowiec niczym gęś siadająca na stawie łagodnie opadł na wodę. Pilot coś popstrykał na desce rozdzielczej i łomot wirnika zaczął cichnąć.

— Proszę zostać na miejscu — powiedział. — Zaraz przyślą po panią łódź.

Pokazał głową w stronę okna i Lorna ujrzała niewielki ponton z silnikiem, który oderwał się od brzegu i ruszył w ich stronę. Chwilę później mężczyzna ubrany w mundur Straży Granicznej pomógł jej wysiąść ze śmigłowca i wsiąść do łodzi.

Opadła na ławeczkę, czując jednocześnie ulgę i motyle w brzuchu. Osłoniła oczy dłonią i wpatrzyła się w wyspę w nadziei, że dostrzeże coś, co pomoże jej zrozumieć przyczynę tak nagłego wezwania.

Mimo wczesnej pory zrobiło się już całkiem gorąco, bo słońce wyszło zza chmur i zaczęło wędrówkę po czystym niebie. Dzień zapowiadał się na typową dla Luizjany parówkę. Ale to Lornie nie przeszkadzało. By się uspokoić, głęboko zaczerpnęła powietrza przesyconego wonią butwiejących liści, wilgotnego mchu i błotnistej słonej wody.

Dla niej był to zapach rodzinnych stron.

Jej rodzina mieszkała w Luizjanie od początków XIX wieku i jak we wszystkich starych nowoorleańskich rodach dzieje jej przodków były tak poplątane jak linie na dłoni, a mimo to ich imiona i życiorysy znała tak dobrze, jakby wszyscy poumierali wczoraj.

Podczas wojny w 1812 roku jej prapradziadek w wieku zaledwie siedemnastu lat zrejterował z armii brytyjskiej, gdy trwała bitwa o Nowy Orlean, i osiadł na stałe w tym nowym, szybko



rozkwitającym mieście przygranicznym. Pojął za żonę pannę z rodziny de Trepagnier, po czym szybko dorobił się niewielkiej fortuny na uprawie trzciny cukrowej i indygowca

30

na czterdziestohektarowej plantacji, którą dostał jako posag. 2 biegiem lat fortuna rosła i rodzina Polków stała się jedną z pierwszych, które pobudowały się w porośniętej dębami dolince Garden District w Nowym Orleanie. Po sprzedaniu plantacji rodzina na dobre rozgościła się w tym rejonie. W ciągu kolejnych pokoleń rezydencja Polków zapisała się w annałach towarzyskich jako miejsce spotkań generałów, prawników i licznych przedstawicieli świata nauki i literatury.

Pałac w stylu włoskim nadal stał, lecz z początkiem XX wieku rodzina Polków — podobnie jak całe miasto — zaczęła tracić na znaczeniu. Obecnie tylko Lorna i jej brat nosili rodowe nazwisko. Ich ojciec zmarł na raka płuc, gdy Lorna była jeszcze dzieckiem, matka odeszła rok temu, zostawiając rodzeństwu zrujnowany pałac i kupę długów.

Niemniej rodzinna tradycja dbania o wykształcenie przetrwała i Lorna skończyła medycynę oraz nauki ścisłe, jej o rok młodszy brat zrobił dyplom z zakresu wydobywania i przerobu ropy naftowej i znalazł zatrudnienie w państwowej firmie wydobywczej. Rodzeństwo — oboje stanu wolnego — mieszkało razem w rodzinnej posiadłości.

Zgrzyt gumowego dna szorującego po piasku przywołał Lornę do terażniejszości.

Na wysepce należącej do łańcucha ciągnącego się aż po przybrzeżne mokradła rosło mnóstwo cyprysów tak obrośniętych hiszpańskim mchem, że tuż za wąskim paskiem piachu zaczynała się nieprzebyta gęstwina.

Ale na szczęście nie tam ją poprowadzono.

— Tędy — powiedział kierujący pontonem. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wysiąść na brzeg, ale Lorna ją zignorowała i wyszła sama. — Nasz SOT już na panią czeka.

— SOT?

" Szef Operacji Terenowych.

Lorna nie знаła się na hierarchii służbowej w szeregach azy Granicznej, ale tytuł wskazywał na kogoś dowodzącego ą operacją, więc to pewnie on spowodował oderwanie jej

31

od obowiązków w ACRES. Chcąc wreszcie poznać odpowiedzi na swoje pytania, bez słowa podążyła za przewodnikiem w stronę leżącego na piachu trawlera. Był nieduży, zaledwie czterdziestostopowy. Bomy na prawej burcie uległy zniszczeniu w wyniku uderzenia, ale na lewej wciąż sterczały ku niebu wraz ze zwisającymi z nich sieciami do połowu krewetek.

Wokół trawlera zebrała się grupka mężczyzn w polowych mundurach funkcjonariuszy Straży Granicznej. Część miała na głowach beżowe stetsony, inni zielone bejsbolówki, wszyscy mieli też przy pasach kabury z bronią. Wszyscy z wyjątkiem jednego, który stał z opartym o ramię karabinem Remington.

Co się tutaj dzieje?

Na jej widok strażnicy przestali się przekrzykiwać i zapadła cisza. Kilka par oczu zlustrowało ją od stóp do głów, nie wykazując przy tym szczególnego zachwytu. Lorna starała się zachować obojętną i poważną minę, ale poczuła, że na jej policzkach wykwita rumieniec złości. Z trudem pokonała chęć dania im wszystkim nauczki.

Cholerny klub dużych chłopców.

Strażnicy rozstąpili się i oczom Lorny ukazał się mężczyzna ubrany w ciemnozielone spodnie i dopasowaną kolorem roboczą koszulę z długimi rękawami luzacko podwiniętymi do łokci. Przeczesał palcami ciemną, wilgotną od potu czupryną i wcisnął na nią bejsbolówkę. Jego błękitnoszare oczy też prześlizgnęły się po niej od góry do dołu, ale w odróżnieniu od tamtych w jego spojrzeniu nie wyczuła żadnego erotycznego podtekstu. Patrzył na nią z czysto profesjonalnym zaciekawieniem.

Ale i tak poczuła się pewniej, gdy daszek czapki przysłonił te jego ślepie.

Ruszył w jej stronę i zatrzymał się tuż obok. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt i szerokie muskularne bary, ale nie sprawiał wrażenia napakowanego. Wyglądał na kogoś, kto umie

przewodźcą bez potrzeby dominowania. Biła od niego nieco knajacka pewność siebie.

Wyciągnął do niej umięśnioną dłoń.

32

— Doktor Polk, dziękuję, że pani do nas dołączyła.

Podając mu rękę, Lorna zauważyła długą bliznę na jego przedramieniu, biegnącą od łokcia aż do nadgarstka. Uniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Twarz o oliwkowej cerze była opalona, co dodatkowo podkreślał ciemny zarost na brodzie i policzkach. Jej wyczulone ucho dosłyszało w jego głosie ślad akcentu cajuńskiego o francuskim zabarwieniu.

A więc też pochodzi stąd. Wydało się jej nawet, że jest w nim coś niepokojąco swojskiego i po chwili już wiedziała. Miała zamiar domagać się odpowiedzi, po co ją tu sprowadzono, ale zamiast tego jej usta wypowiedziały zupełnie inne pytanie:

— Jack?

Jego wargi — pełne, ale zdecydowanie męskie — zacisnęły się nieco mocniej i mężczyzna ledwo dostrzegalnie skinął głową. Jego obraz w jej oczach uległ nagłej przemianie. Złość nagle ją opuściła, ustępując miejsca czemuś zimniejszemu i jeszcze mniej przyjemnemu. Od ich ostatniego spotkania minęło ponad dziesięć lat. Była wtedy zaledwie w drugiej klasie liceum, on był w klasie maturalnej.

Nie można powiedzieć, że w tamtych czasach dobrze go znała — w liceum dwa lata różnicy stanowią towarzyską przepaść nie do pokonania — ale połączyły ich znacznie bardziej ponure wydarzenia, o których wołałyby raz na zawsze zapomnieć.

Cień, który przemknął po jego twarzy, mógł oznaczać, że jego myśli biegną podobnym torem. W każdym razie nie był to moment na rozdrapywanie starych ran.

Pani doktor — powiedział sucho — wezwałem tu panią, bo... bo nie bardzo wiedziałem, kto inny mógłby nam coś powiedzieć o tym, co tu znaleźliśmy.

Lorna wyprostowała się i przybrała równie urzędową pozę.

°ze tak będzie najlepiej. Przełknęła ślinę i z ulgą przeniosła wzrok na trawler.

A co takiego znaleźliście? — spytała.

Najlepiej niech pani sama zobaczy.

33

Odwrócił się i ruszył w stronę kutra. Na pokład prowadziła zwisająca z burty sznurowa drabinka. Wszedł pierwszy, bez trudu wspinając się po chybotliwych szczeblach. Patrzyła na niego, mając świadomość siły jego nóg i mięśni pleców. Zniknął za obudową nadburcia i jeden ze strażników przytrzymał koniec drabinki, by ułatwić jej wejście.

Na górze Jack podał jej rękę i pomógł wejść na pokład. Przy kłapie prowadzącej do dolnej ładowni trzymało wartę dwóch kolejnych strażników. Jeden z nich podał Jackowi latarkę.

— Spuściliśmy na dół przenośną lampę, szefie, ale w środku nadal jest ciemno.

Jack zapalił latarkę i dał Lornie znak, że ma mu towarzyszyć.

— Uwaga na ślady krwi na schodkach.

W świetle latarki ukazała się ciągnąca się przez kilka stopni czerwona smuga. Wyglądało to tak, jakby krwawiące ciało zostało przeciągnięte po schodkach do ładowni.

Nagle odechciało jej się tam wchodzić.

— Nie znaleźliśmy żadnych ciał — zapewnił ją, jakby wyczuwając jej wahanie. Ale może chciał ją tylko poinformować o stanie faktycznym.

Zeszła za nim po schodkach i znalazła się w wąskim korytarzyku.

— Trzymali je w klatce w głównej ładowni.

Nie musiała nawet pytać, co takiego trzymano. Zdażyła już poczuć piżmową woń dzikich zwierząt. Do jej uszu dotarł szmer wiercących się ciał, pojękiwanie i ostry skrzek jakiegoś ptaka.

Wreszcie zaczynała pojmować, dlaczego ją tu wezwano. Przemysł egzotycznych zwierząt stanowił nielegalny proceder, na którym zarabiano miliardy dolarów rocznie, i zajmował trzecie miejsce na świecie tuż za przemysłem narkotyków i broni. Niestety, Stany Zjednoczone należały do największych rynków zbytu dla tego rodzaju kontrabandy, pochłaniając trzydzieści procent światowej podaży.

Nie dalej jak tydzień temu czytała o rozbiciu siatki przemyt-

34

ników, którzy handlowali rzadkimi okazami tygrysów. Pewne małżeństwo z Missouri nie sprowadzało wielkich kotów na maskotki do domowej hodowli, ale na części. Sprowadzali tygrysy żeby je mordować! Skóry lampartów, tygrysów i lwów na czarnym rynku osiągały ceny powyżej dwudziestu tysięcy dolarów za sztukę, ale to nie wszystko. Jak jacyś zdegenerowani rzeźnicy, handlarze szlachtowali zwierzęta i oferowali poszczególne organy: penisy na zmielenie na afrodyzjaki, kości na środki przeciwartretyczne. Żaden organ się nie marnował. Woreczki żółciowe, wątroby, nerki, nawet zęby. Wielkie koty były tym sposobem warte dużo więcej martwe niż żywe. Idąc za Jackiem w stronę głównej ładowni, Lorna czuła narastającą furję.

Niskie pomieszczenie oświetlała stojąca na środku lampa. Wzdłuż obu dłuższych ścian ładowni ciągnęły się klatki z kratami ze stali nierdzewnej. Większe klatki pod ścianą na końcu nadal tonęły w mroku. Rozglądała się wstrząśnięta ogromem przemytu. Nie miała już wątpliwości, że jako weterynarz specjalizujący się w zwierzętach egzotycznych jest tu niezbędna.

Jack odwrócił się i skierował światło latarki na najbliższą klatkę.

Dopiero zajrzawszy do środka, uzmysłowiła sobie, jak bardzo się myliła.

1

Jack Menard obserwował reakcję Lorny.

Stała z oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia i zgrozy. Zakryła usta dłonią, ale zaraz ją opuściła.

Po pierwszym szoku na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania, oczy wróciły do normalnych rozmiarów, usta ściągnęły się w zadumie. Podeszła do klatki.

Stanął obok niej i odchrząknął.

— Co to za gatunek? — zapytał.

— *Cebus apella*, kapucynka czubata — odparła. — Takie brązowe kapucynki, pochodzą z Ameryki Południowej.

Jack spojrzął na parę w małej klatce. Przerażone małpki siedziały unurzane we własnych odchodach, tuląc się do siebie w rogu klatki. Ich kończyny i grzbiety miały ciemnoczekoladową barwę, mordki i piersi były beżowe, głowy wieńczyły kępki czarnej sierści. Były tak małe, że bez trudu zmieściłyby się po jednej na jego dłoniach.

— To noworodki? — zapytał.

— Nie sądzę. — Lorna pokręciła głową. — Ubarwienie futra wskazuje, że to dorosłe osobniki. Ale masz rację. Są o wiele za małe. To jakby pigmejska odmiana gatunku.

Ale Jack już wiedział, że nie to jest najbardziej szokującym wynaturzeniem. Lornie udało się łagodnym cmokaniem zwabić małpki bliżej kraty. Jej pełna zawziętości obojętność profesjo-

36

nalistki rozmyślała się, rysy twarzy złagodniały, pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Małpki wyraźnie zareagowały na jej przywoływanie. Wciąż przytulone, podeszły bliżej, ani na chwilę się nie rozstając. I trudno było się temu dziwić.

— To syjamskie bliźnięta — szepnęła Lorna.

Zrosnięte biodrami małpki były dosłownie spojone w jedną całość o trzech nogach i czterech łapkach.

— Biedactwa — szepnęła. — Wyglądają na śmiertelnie wygłodzone.

Małpki stały przy kracie i widać było, że w równym stopniu łakną jedzenia, jak podtrzymania na duchu. Miały ogromne oczy, zwłaszcza jak na tak małe główki. Także Jack wyczuwał w nich głód i strach, ale i cień nadziei. Wyjął z kieszeni owsiany baton z owocami, rozdarł zębami opakowanie, odłamał kawałek i podał Lornie.

Lorna ostrożnie włożyła rękę między kraty. Jedna z małpek chwyciła baton malutkimi paluszkami i obie wycofały się pod ścianę, by podzielić się zdobyczą. Zaczęły ją obgryzać z dwóch stron, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z Lorny.

Popatrzyła na Jacka, a on na moment zobaczył tamtą dziewczynę ze szkolnych lat, z czasów przed jego wstąpieniem do marines. Będąc w drugiej klasie i później podczas letnich wakacji, spotykała się z młodszym bratem Jacka, Tomem. Szybko otrząsnął się ze wspomnień.

Lorna musiała wyczuć jego nastrój, bo jej twarz stężała, znów zamieniając się w maskę profesjonalizmu. Wskazała głową inne klatki.

Zobaczmy tamte — powiedziała. Poprowadził ją wzdłuż rzędu klatek, oświetlając latarką mroczne wnętrza. W każdej było jakieś zwierzę — niektóre dobrze znane, inne bardziej egzotyczne.

Podobnie jak małpki Wszystkie wykazywały jakieś wynaturzenia. Zatrzymali się przy ^szklonym terrarium z kilkumetrowym pytonem birmańskim, ory leżał owinięty wokół kupki jajek. Wąż wyglądał całkiem ortalnie i dopiero gdy zacieśnił zwoje wokół jajek, okazało

37

się, że z ciała wyrastają mu dwie pary koślawych szczątkowych odnóży. Były pokryte łuskami, zakończone pazurami i wyraźnie nawiązywały do jaszczurczego stadium ewolucji.

— To mi wygląda na drastyczną formę atawizmu — orzekła Lorna.

— A jak to będzie po angielsku?

Uśmiechnęła się przeprasząco.

— O atawizmie mówimy wtedy, gdy cecha genetyczna utracona wiele pokoleń temu powraca nagle u pojedynczego osobnika.

— Taka genetyczna wrzutka z przeszłości?

— Właśnie. W tym przypadku z czasów, zanim węże utraciły nogi.

— To chyba diabelnie długi krok do tyłu, nie?

Lorna wzruszyła ramionami i poszła dalej.

— Na ogół atawizm występuje w wyniku przypadkowego przestawienia genów. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli tu do czynienia z przypadkowością. Nie u tyłu zwierząt naraz.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś je celowo wyhodował z takimi wynaturzeniami? Czy to w ogóle możliwe?

— Nie można tego wykluczyć. Genetyka bardzo się ostatnio rozwinęła i przez cały czas jej granice się poszerzają. Na przykład w ACRES przeprowadziliśmy udane klonowanie dzikich kotów. Udało nam się nawet wprowadzić domieszkę fluorescencyjnego białka meduzy i spowodować, że kot świecił w ciemnościach.

— Pan zielony gen. Czytałem o tym. To zresztą jeden z powodów, dla których poprosiłem o ciebie. Potrzebny mi był ekspert od genetyki i hodowli. Ktoś, kto mi powie, skąd się mogła wziąć ta dziwaczna zbieranina.

Poprowadził ją w głąb ładowni. Kolejna klatka była wyłożona stalową siatką i mieściła stadko nietoperzy wielkości piłek do futbolu.

— Nietoperze wampirze — powiedziała Lorna. — Tylko dziesięć razy większe niż normalnie. To z kolei może być przejaw pierwotnego gigantyzmu.

38

Także lis w kolejnej klatce był wielkości małego niedźwiadka. Ma widok ludzi zaczął prychać, warczeć i rzucać się na kratę. Przeszli szybko dalej i stanęli przed wysoką klatką z papugą wprawdzie normalnej wielkości, ale zupełnie pozbawioną upierzenia.

Ptak głośno zaskrzeczał, wskoczył na oddzielającą ich kratę i przekrzywiając łepkę raz w jedną, raz w drugą stronę, zaczął im się przyglądać. Jack z trudem ukrył odrazę. W ptaku bez piór było coś nieprzyzwoitego.

Lorna przysunęła się bliżej.

— Kiedy wykluwają się małe papużki, też nie mają piór. Co najwyżej bywają pokryte lekkim puchem. Nie wiem, czy tego osobnika wprowadzono sztucznie w wiek niemowlęcy, czy to też wrzutka z przeszłości. Nawiasem mówiąc, uważa się, że ptaki to najbliżsi żyjący krewniaci dinozaurów.

Jack nie miał zamiaru dyskutować. Stwór z połyskliwą skórą i dziobem zdecydowanie kojarzył mu się z prehistorią. Poruszyło go natomiast jego nachalne zachowanie.

Ptak przeskoczył z powrotem na żerdź i wyskrzeczał kilka hiszpańskich słów. Widać ta cecha gatunkowa papug — umiejętność imitowania dźwięków — zachowała się nienaruszona. Zaraz potem papuga z prawie czystą ludzką dykcją i tylko trochę bardziej skrzekliwą barwą głosu zaczęła recytować po angielsku:

— ...trzy, jeden, cztery, jeden, pięć, dziewięć, dwa, sześć, pięć...

Ruszyli dalej w głąb ładowni, ale Lorna nagle przystanąła w pół kroku i obejrzała się na klatkę, w której pokraczne ptaszysko nie przestawało wypowiadać cyfr.

— O co chodzi? — zapytał Jack.

— Ta papuga... i te cyfry... Nie jestem pewna.

— Czego?

Trzy, jeden, cztery, jeden, pięć. To pierwsze pięć cyfr stałej matematycznej pi.

Jack pamiętał wystarczająco dużo ze szkolnej geometrii, by wiedzieć, czym jest stała pi symbolizowana przez grecką literę. Przywołał w pamięci jej szkolną wartość.

39

3,14...

Papuga nie przestawała wymieniać kolejnych cyfr i Lorna poczuła ciarki na plecach.

— Wartość pi wyliczono z dokładnością do bilionów cyfr po przecinku. — W jej głosie słychać było zdumienie. — Jestem bardzo ciekawa, czy ona wypowiada cyfry w prawidłowej kolejności. A jeśli tak, to jak długi ciąg cyfr zapamiętała.

Litania cyfr wydobywających się z dzioba ptaka nie kończyła się i Jack zauważył, że w ładowni nagle zapadła cisza. Ustało postękiwanie, pojękiwanie i nawet szuranie łap w klatkach, jakby wszystkie zwierzęta też słuchały. Odbijające światło ślepia błyszcząły w ciemnościach, wszystkie zwrócone w ich stronę.

Jack potrząsnął głową i ruszył dalej. Prowadzi śledztwo w sprawie przestępstwa i nie ma czasu na takie zagadki.

— To, co naprawdę chciałem ci pokazać, jest tu na końcu — powiedział.

Poprowadził Lornę do większych klatek w głębi ładowni. W jednej z nich znajdowała się owca z małą owieczką, której runo zamiast kręcić się przy skórze, opadało długimi prostymi strąkami jak u jaka. Jednak Jackowi nie o nią chodziło.

Próbował ponaglać Lornę, ale ona i tak zatrzymała się przy następnej klatce. Zamknięte w niej zwierzę leżało nieruchomo na boku na warstwie siana, nogi miało sztywno wyciągnięte, a oczy szkliste — niewątpliwie było martwe. Z wyglądu mogło przypominać miniaturowego pony, gdyby nie to, że było nie większe od cocker spaniela.

— Spójrz na jego kopyta — szepnęła. — Są rozszczepione. Cztery palce do przodu, trzy do tyłu. To najwcześniejszy przodek współczesnego konia, hyracotherium. Był wielkości lisa i należał do tej samej grupy.

Przykucnęła, by przyjrzeć się martwemu zwierzęciu. Jeden z palców kopyta był odłamany i nosił ślady świeżego urazu. Wyglądało to tak, jakby zwierzę przed śmiercią rozpaczliwie kopało w kratę.

40

\_ Wygląda na to, że coś je śmiertelnie przeraziło — zauważyła.

— Domyślam się nawet, co to mogło być — rzekł Jack, kierując się ku najdalszemu kątowi. — Tutaj.

Idąc za nim, nie wytrzymała i parsknęła ze złością:

— Co ci ludzie wyprawiali? I nawiasem mówiąc, jak, u diabła, to robili?

— Miałem nadzieję, że właśnie ty mi to powiesz. Ale na razie mamy ważniejszą i pilniejszą sprawę na głowie. — Dotarli do ostatniej klatki. Była większa od innych i miała grubą, masywną kratę. Podłogę pokrywała warstwa siana, ale nie było na nim widać żadnego zwierzęcia. — Kiedy tu weszliśmy, zastaliśmy drzwi klatki odgięte i wyłamane.

— Coś stąd uciekło? — Lorna powiodła wzrokiem ku wyjściu z ładowni, pamiętając ślady krwi na schodkach.

— Chcemy, żebyś nam powiedziała, co to mogło być.

— Jakim cudem? — zdziwiła się, ściągając brwi.

Jack wskazał kopczyk nastroszonego siana, spod którego dochodziło ciche popiskiwanie.

Lorna spojrzała na niego zaskoczona, a jej oczy zapłonęły ciekawością. Odciągnął drzwi klatki i przytrzymał.

— Tylko uważaj — upomniał ją.

1

Lorna schyliła głowę i wcisnęła się przez niski otwór do wnętrza klatki. Wysokość w środku pozwalała się wyprostować, lecz Lorna pozostała lekko pochylona. Większość siana została zgarnięta pod tylną ścianę i Lorna omiotła spojrzeniem całą klatkę. W powietrzu czuć było ostrą amoniakalną woń starego moczu. Udało jej się nie wdepnąć w mazistą stertę łajna, rzadkiego i wodnistego.

Zwierzę przebywające w tej klatce z całą pewnością było chore.

Kopczyk siana pod ścianą poruszył się, jakby coś w nim zagrzebanego próbowało jeszcze bardziej się ukryć. Wcisnąwszy się w sam kąt, przestało się ruszać i popiskiwać.

Lorna przyklekła i ostrożnie rozgarnęła siano. Jej oczom ukazał się śnieżnobiały ogon nakrapiany bladoszarymi cętkami. Ogon był owinięty wokół małego wystraszonego zwierzątka, małe kocie uszka leżały płasko przy głowie.

— Szczenię lamparta albo jaguara — stwierdziła.

— Ale jest białe — dobiegł zza kraty głos Jacka. — Jak jakiś albinos.

Przyjrzała się bladoniebieskim oczom szczenięcia.

— Nie. Kolor oczu ma normalny. To raczej rodzaj dziedzicznej leukodermy. Stanu, w którym brakuje skórniego pigmentu. W każdym razie to na pewno zwierzę z rodziny panter.

42

— Myślałem, że powiedziałaś, że to lampart albo jaguar.

Nie zdziwiło jej to pytanie. Ludzie często popełniają ten błąd.

— Pantera nie jest określeniem taksonomicznym. Do gatunku pantera zaliczają się wszystkie wielkie koty: tygrysy, lwy, lamparty, jaguary. Termin „biała pantera” może dotyczyć każdego z tych kotów.

— A to młode?

— Na podstawie budowy czaszki i bladego cętkowania powiedziałabym, że to mały jaguar. Ale pewna nie jestem.

Lorna wiedziała, że Jackowi to nie wystarczy. Zapewne sam domyślił się tego, co dla niej było oczywiste na pierwszy rzut oka. Od niej oczekiwał potwierdzenia.

Z kupki siana spozierały na nią małe, jakby nieco zamglone ślepka. Wyglądały, jakby dopiero co się otworzyły, a to oznaczałoby, że szczenię ma najwyżej kilka tygodni, może nawet mniej. Inne cechy wieku wczesnoszczenięcego — krótkie zaokrąglone uszka czy niewykształcone do końca wąsy — zdawały się potwierdzać jej ocenę wieku malucha. Nie pasowała natomiast jego wielkość. Oceniała, że musi ważyć od sześciu do dziewięciu kilogramów, a to oznaczało wielkość typową dla siedmio-, ośmiotygodniowego szczenięcia.

Jack też musiał zwrócić uwagę na to odstępstwo od normy i płynące z tego wnioski.

— A jak oceniasz jego wiek? — spytał.

— Od tygodnia do dwóch. — Obrzuciła Jacka spojrzeniem. — Ekstrapolując jego wielkość, należałoby stwierdzić, że dorosły osobnik może ważyć od stu osiemdziesięciu do dwustu trzydziestu kilogramów, czyli mniej więcej tyle, ile tygrys syberyjski. Typowy jaguar waży o połowę mniej.

Następna genetyczna wrzutka?

Lorna westchnęła.

Będę musiała przeprowadzić parę testów, żeby się upew-nic, ale przede wszystkim chciałabym dokładniej obejrzeć tego malucha.

Ostrożnie wyjęła młode z kryjówki w sianie. Próbowało się

43

wyrywać, popiskując, ale niezbyt energicznie. Obmacała kości i zebrawszy w palce skórę, stwierdziła odwodnienie. Zmełła przekleństwo cisnące się na usta na myśl o tak okrutnym traktowaniu i przytuliła zwierzątko, próbując łagodnym dotykiem i głosem je uspokoić. Wystarczył rzut oka na genitalia, by stwierdzić, że to samczyk.

Tuląc malucha, przemawiała do niego:

— Ciii, już wszystko dobrze, malutki.

Jedną ręką objęła jego łepkę, palcem drugiej łagodnie i rytmicznie zaczęła masować mu podbródek. Po chwili młode wtuliło się w nią i wydało pisk głodu. Pozwoliła, żeby wzięło do pyszczka jej palec i zabrało się do ssania.

Bez wątpienia osesek.

Jaguarek zaczął obrabiać jej palec i wtedy poczuła w jego pyszczku coś, czego nie powinno w nim być. Kocie szczenięta w tym wieku nie mają ząbków i bezzębnymi dziąsłami wczepiają się w matczyne sutki z mlekiem. Poruszyła palcem i końcem wyczuła sterczące w pyszczku cztery kielki. Były małe i ledwo wykształcone, ale już ostre i wyraźnie wystające z dziąseł, wszystkie cztery węższe na końcach niż u nasady.

Przecież nie powinno ich w ogóle być, nie w tym wieku.

Tak wczesne pojawienie się zębów sugerowało rozwojową dominację tej cechy, zapowiadając jej genetyczną przewagę. W umyśle Lorny zaczynało kiełkować podejrzenie, co to może oznaczać, i poczuła ciarki rozchodzące się od szyi po całych plecach. Spojrzała na inne klatki, zatrzymując wzrok na martwym pony.

Nic dziwnego, że biedak zdechł z przerażenia.

Nie wypuszczając malucha z rąk, przeniosła wzrok na Jacka.

— Mamy tu do czynienia z poważniejszym problemem — powiedziała.

— Mianowicie?

Tak jak wcześniej dokonała ekstrapolacji wagi młodego, by określić wielkość dorosłego osobnika, tak teraz powtórzyła to samo z uzębieniem. Wiedziała, co zapowiada tak wczesne

44

pojawienie się mlecznych kłów. Oczami wyobraźni ujrzała je w rozmiarach proporcjonalnych do ciała: górne kły zakrzywione i wystające poniżej dolnej szczęki.

— To coś więcej niż tylko wyjątkowo duży jaguar — stwierdziła pośpiesznie.

— A co?

Wstała z klęczek, podeszła do bramki i skuliwszy się, wyszła z klatki.

— To młode jaguara szablastozębnego — oświadczyła.

1

Jack i Lorna z wtulonym w nią młodym jaguara opuścili mroczną ładownię i wyszli na zalany słońcem pokład trawlera. Jeśli ma rację, strażników czeka zmierzenie się z groźnym, białym jak zjawa kotem, wyposażonym w kły o długości dwudziestu pięciu, może trzydziestu centymetrów. Lorna pokrótce wyjaśniła, że występowanie takich kłów nie jest ograniczone do sławetnego tygrysa szablastozębnego, bowiem wiele prehistorycznych przedstawicieli kotów, a nawet niektóre gatunki torbaczy, dzieliły tę cechę genetyczną.

Ale szablastozębny jaguar?

Wydawało się to niemożliwe. Mimo to Jack wierzył jej słowom. Lorna wygłosiła krótki wykład o atawizmie i manipulacji genetycznej, posługując się przykładami. Poza tym sam widział w ładowni całą czeredę dziwacznych zwierząt.

Stanął przy relingu i spojrzał w stronę ładunku. Rozciągała się przed nimi delta Missisipi z milionami hektarów podmokłych lasów, mokradeł i rozlewisk.

Jego rodzinne strony.

Wychował się na mokradłach w delcie, gdzie jego rodzina i cały rodzinny klan rządili dłużej niż jakiegokolwiek władze. Utrzymywali się z połowu krewetek i ryb oraz kilku nie całkiem legalnych przedsięwzięć na boku. Wiedział, jak łatwo jest się ukrywać na mokradłach i jak trudno wytropić coś, co nie chce zostać wytropione.

46

Lorna podeszła do niego. Ostatnie parę minut spędziła na rozmowie przez radiotelefon z przedstawicielem Amerykańskiego Instytutu Rybołówstwa i Dzikiej Przyrody i ustalaniu dalszego trybu postępowania.

— Już do nas płyną — poinformowała. — Przywiozą przenośne klatki i środki usypiające. Rozmawiałam też z doktorem Metoyerem. Szykują miejsce na kwarantannę dla zwierząt. Jack skinął głową. Już wcześniej postanowili wykorzystać położony na uboczu ośrodek na bazę operacyjną. Jeden z jego ludzi znalazł w kajucie szypra stalową kasetkę. W środku znajdował się laptop i kilka krążków CD. W drodze był już informatyk z Nowego Orleanu, który miał zbadać ich zawartość. Jack miał nadzieję, że na płytkach znajdzie coś więcej niż tylko zbiór filmów porno należący do szypra.

Jednak przed zejściem z trawlera Jack chciał się dowiedzieć czegoś więcej... zwłaszcza w najistotniejszej kwestii ewentualnego bezpośredniego zagrożenia.

— Masz jakiś pomysł, co się z tym jaguarem mogło stać? — zapytał. — Myślisz, że mógł utonąć podczas sztormu?

— Wątpię. Wielkie koty nie mają awersji do wody, a jaguary są całkiem dobrymi pływakami. Poza tym tu wszędzie jest płytko. Bez trudu mógł się przedostawać z wysepki na wysepkę, odpoczywając po drodze.

— Chcesz powiedzieć, że mógł się przedostać aż na ląd?

— Typowe terytorium łowieckie jaguara liczy setki kilometrów kwadratowych. Te wysepki byłyby dla niego za małe. Na pewno kierował się w stronę lądu.

— A co z tym małym? — Jack wskazał głową szczenię wtulone w Lornę. — Matka tak łatwo by je porzuciła?

Mało prawdopodobne. Jaguary są bardzo opiekuńcze wobec swojego potomstwa. Dają się ssać do szóstego miesiąca, potem opiekują się do końca drugiego roku życia. Ale są też Praktyczne. To małe jest chore. Typowy miot u jaguarów to dwa lub trzy młode. Sądzę, że w klatce było jeszcze jedno.

47

Matka zabrała ze sobą silniejsze i zostawiła słabsze, bo dawało jej to większą szansę przeżycia.

— A więc ma ze sobą młode? To ją może bardzo spowolnić.

— Ale także uczynić o wiele groźniejszą. Będzie agresywnie bronić swojego ostatniego dziecka. — Lorna zmarszczyła czoło i wskazała ślady krwi na schodkach. — To prowadzi do następnego pytania: co się stało z ciałami? Z załogą kutra?

— Nie ma ich ani na statku, ani na wyspie — odrzekł Jack. — Wszystko przeszukaliśmy. Ze śladów krwi wynika, że załoga była czteroosobowa. Może zmyło ich za burtę?

— Albo coś ich wyciągnęło.

— Wyciągnęło? Ten jaguar?

— Ślady krwi na schodkach świadczą o tym, że ciało nie zostało tak po prostu zmyte. Musiało być wleczone na górę przez zwierzę.

— Ale dlaczego?

— Dobre pytanie. Koty często chowają zdobycz, zostawiając sobie zapas mięsa. Zdarza się, że wieszają nawet na drzewach. Ale jeśli nie mogą, porzucają padlinę i idą dalej. — Lorna znów zmarszczyła czoło. — Zachowanie tego jaguara... jest nietypowe. Jeśli się nie mylę, zwierzę wykazuje nadzwyczajną przebiegłość. Jakby świadomie myliło tropy.

Jack dojrzał w jej oczach czający się niepokój.

— Może za dużo się w tym doszukujesz — powiedział uspokajająco. — Wczorajszy sztorm miał niemal siłę huraganu. Może zwierzę i ciała załogi zostały zmyte do zatoki i uniesione przez prądy.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

— Jaki?

Brodząc w wodzie, Lorna wyszła z pontonu na piaszczysty brzeg sąsiedniej wysepki. Buty zostawiła w łodzi, a nogawki džinsów podwinęła do kolan.

Idący obok Jack nie odrywał wzroku od piaszczystego

48

wzniesienia i rozciągającego się za nim splątanego gąszczu cyprysów. Też był boso, ale buty związał sznurowadłami i przewiesił przez ramię na wypadek, gdyby przyszło mu przedzierać się



przez gęste zarośla na wyspie. Na drugim ramieniu miał karabin szturmowy M4. Jeśli zwierzęciu udało się przeżyć sztorm, zapewne jest już daleko, ale wołał nie ryzykować.

Lorna zaproponowała, by popłynąć na najbliższą wysepkę.

— W drodze na ląd kot skierowałby się najpierw tutaj — powiedziała, wychodząc na brzeg. — Powinniśmy szukać tropów.

— Tropów?

— Śladów pazurów. Trzeba szukać powyżej linii przyływu. Także odchodów, śladów moczu, zadrapań na drzewach.

— Umie tropić — mruknął Jack. — A jeśli kot ominął tę wysepkę i popłynął dalej?

— To sprawdzimy następną wyspę. Kocica nie mogła popłynąć daleko bez odpoczynku. Walka i wyrwanie się na wolność dużo ją kosztowały. A w pewnej chwili adrenalina przestaje się wydzielać i zwierzę musi odpocząć.

Zaczęli okrążyć wysepkę, podążając w milczeniu za widoczną na piasku linią przyływu. Poranne ciepło przeszło już w skwierczący upał, a po wczorajszych szturmowych chmurach zostało tylko kilka pojedynczych obłoczków. Pot spływał Jackowi strużkami po plecach i zbierał się nad paskiem spodni.

— Jest — powiedziała nagle Lorna.

Oddaliła się od brzegu i podeszła do miejsca, gdzie wielki cyprys rzucał cień na fragment piasku. Z gałęzi zwisały frędzle hiszpańskiego mchu, tworząc gęstą kurtynę. Część pędów była poprzerwana, jakby coś dużego przedarło się przez zasłonę.

Ostrożnie! — syknął Jack. Złapawszy Lornę za rękę, pociągnął ją do tyłu i uniósł karabin. — Zostań, najpierw sam sprawdzę.

Podszedł do drzewa i rozgarnąwszy lufą łodygi mchu, zlustrował otoczenie, a potem spojrzał w górę. Wszystko wyglądało normalnie.

49

— Sprawdź piasek wokół pnia — mruknęła Lorna do jego pleców. Nie miała zamiaru słuchać niczyich poleceń.

Piaszczysta ziemia była zryta, ale dało się wyróżnić jeden wyraźny ślad pazurów odcisnięty głęboko w piasku. Oboje weszli za zasłonę i Jack zaczął w napięciu rozglądać się po gęstwinie w poszukiwaniu jakiegoś ruchu. Czuł niepokojącą bliskość ramienia Lorny przy swoim boku, zapach jej włosów i skóry.

— To zwierzę jest ogromne — rzekła Lorna, klękając na piasku. — Z tego tropu wynika, że mogłam nie docenić jego rozmiarów.

Rozciągnęła dłoń nad zagłębieniem. Ślad na piasku był co najmniej dwukrotnie od niej większy.

— A więc zwierzę przeżyło — zauważył Jack.

— I ruszyło w stronę lądu.

Jack wyprostował się i mocniej chwycił karabin.

— Mimo sztormu w delcie będzie pełno wędkarzy, kempin-gowiczów, turystów. Trzeba zarządzić ewakuację i skrzyknąć myśliwych przed zapadnięciem zmroku.

— Wytropienie kocicy za dnia nie będzie łatwe — zauważyła Lorna. Znajdzie sobie jakieś legowisko, gdzie się zaszyje i uśnie. Największą szansę będziecie mieli o zmierzchu, bo wtedy jaguary zwykle zaczynają polować.

Jack pokiwał głową.

— Skrzykniecie ludzi i tak zajmie trochę czasu. Potrzebni są tropiciele, myśliwi, ludzie dobrze znający przybrzeżne tereny delty. Ściągnę też moich z GSR.

Spojrzała na niego pytająco.

— Grupy Szybkiego Reagowania. — Wskazał głową zakotwiczoną przy brzegu białą łódź patrolową. — Odpowiednik Sił Specjalnych w strukturze Straży Granicznej.

— Innymi słowy, graniczni komandosi?

— To dobrzy ludzie — zapewnił i dopiero po chwili zorientował się, że Lorna sobie z niego pokpiwa.

Odwrócił się naburmuszony.

50

Na wodzie zaczął się ruch. Do kutra Straży Granicznej dołączył katamaran Instytutu Rybołówstwa i Dzikiej Przyrody i zarzucił kotwicę przy brzegu. Strażnicy i inspektorzy wspólnie zabrali się do opróżniania klatek w ładowni trawlera.

— Wracajmy — rzuciła Lorna.

Jack czuł, że chciałyby już tam być i doglądać operacji przenoszenia zwierząt. Na kutrze zostały wszystkie z wyjątkiem szczenięcia jaguara, które na czas ich wyprawy na wyspę Lorna włożyła do pustej skrzynki na akcesoria wędkarskie na łodzi.

Właśnie zaczęli brodzić w jej stronę, gdy wyrzucony na wyspę trawler z potężnym hukiem wyleciał w powietrze.

1

Stojąc po kolana w wodzie, przerażona Lorna patrzyła, jak kadłub trawlera rozrywa się od wewnątrz w gejzerze ognia i dymu. Drewniane bomby wystrzeliły w górę, ciągnąc za sobą welony płonących sieci, potem na wyspę i przybrzeżne wody zaczęły opadać siejące iskrami szczątki łodzi. A także szczątki ludzi i zwierząt.

Zakryła usta.

Ile osób znajdowało się w tym momencie na pokładzie?

Płonące szczapy drewna i szczątki trawlera spadły na dwa zakotwiczone w pobliżu kutry patrolowe. Powietrze wypełniło się nawoływaniem i krzykami przerażenia. W błękitne niebo wzniósł się słup czarnego dymu.

Jack chwycił ją za rękę i pociągnął do pontonu.

Wskoczyli do łodzi i odepchnęli się od brzegu. Jack uruchomił silnik i chwilę później już płynęli. Sterował, jednocześnie przyciskając ramieniem radiotelefon do ucha. Lorna słuchała wydawanych przez niego rozkazów.

Był wstrząśnięty, ale jego głos brzmiał jak głos dowódcy.

— Zawróćcie helikopter! Zawiadomcie służby ratunkowe, że będzie miał rannych na pokładzie.

W oddali widać było płonące resztki kadłuba. Obie łodzie podniosły kotwice i zaczęły krążyć wokół wyspy, wypatrując ofiar wśród unoszących się na wodzie szczątków trawlera

52

1 płonących plam ropy. Ci, którzy przeżyli wybuch, wyławiali z wody ciała kolegów.

Jack otworzył do końca przepustnicę i łódź popędziła w stronę wyspy.

Lorna wyciągnęła rękę w stronę postaci widocznej wśród fal. Jeden z funkcjonariuszy Straży Granicznej klęczał w płytkiej wodzie, podtrzymując sobie ramię. Z rany na głowie sączyła się krew, zalewając mu twarz; wyglądał na ogłuszonego i zaszokowanego.

— Jack! Tam!

Jack posłuchał i ruszyli w stronę rannego. Podpłynęli i wciągnęli go do pontonu. Był to ten sam strażnik, który wcześniej podał Jackowi latarkę. Miał otwarte złamanie ręki, z rękawa sterczał kawałek białej kości.

Lorna przyłożyła mu do głowy oddarty kawałek jego koszuli, by zatamować krwawienie.

— Gdzie Tompkins? — wymamrotał ranny, rozglądając się przekrwionymi oczami. — Był na... na górnym pokładzie.

Zaczęli pływać w kółko, rozglądając się za ofiarami wybuchu. Strażnik próbował wstać i włączyć się do poszukiwań, ale Jack kazał mu siedzieć.

Lorna dostrzegła, że Jack zerka w stronę plaży i szybko odwraca głowę. Podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła rozciągnięte na piachu ciało. Leżało tuż przy linii roślinności, z tłącego się ubrania sączyła się smużka dymu, na piachu widać było ciemną plamę. Ciało brakowało jednej ręki i połowy czaszki.

Jack zerknął na nią. Wyraz jego oczu mówił wszystko. Tompkins!

Lorna poczuła, jak oczy napęcznieją się jej łzami — nie tyle

2 zalu, ile z poczucia bezsensu tego wszystkiego.

Co to było? — szepnęła do siebie.

Jack musiał ją usłyszeć, bo akurat zgasił silnik, pozwalając, y Ponton siłą rozpędu dobił do kutra patrolowego i lekko uderzył w burzę.

53

— Czuwak — mruknął ponuro, patrząc, jak jego strażnicy schodzą do pontonu i pomagają rannemu wejść na pokład.

Jeden z nich przejął ster, by kontynuować poszukiwania rannych. Jack przesiadł się na kuter, by przejąć dowodzenie akcją. Lorna wspięła się za nim na pokład.

Górny pokład zamieniono w szpital polowy. Ci, którzy wyszli cało z wybuchu, starali się pomagać rannym. Niektórzy z nich siedzieli, inni leżeli rozciągnięci na plecach. Lorna dostrzegła też jedno ciało przykryte płachtą.

Nieproszona podeszła do pokładowej apteczki i w miarę swoich umiejętności zaczęła opatrywać rannych, przechodząc kolejno od jednego do drugiego. Po chwili nadleciał helikopter Straży Granicznej i śmigłowiec pogotowia lotniczego i zaczęto do nich ładować najciężej rannych.

Podano też liczbę zabitych.

Trzy ofiary śmiertelne.

Straszne, ale mogło być gorzej.

Kuter patrolowy Straży Granicznej wyruszył w górę Missisipi, a w ślad za nim popłynął katamaran Instytutu Rybołówstwa i Dzikiej Przyrody. Na miejscu pozostał drugi kuter Straży Granicznej, który niedawno do nich dołączył. Strażnicy ogrodzili taśmą miejsce eksplozji i zostali, by dopilnować, żeby do przyjazdu ekipy śledczej nikt postronny nie zbliżał się do wraku.

Lorna oparta o reling dziobowy wystawiała spoconą twarz na chłodzący podmuch wiatru, ale niewiele to pomagało. Była wstrząśnięta tym, co się stało, choć w panującym zamieszaniu zachowała profesjonalny chłód, poświęcając całą swą uwagę zranieniom, stłuczeniom, złamaniom kości. To pomogło jej przetrwać pierwsze minuty, teraz jednak wszyscy ranni byli już opatrzeni i znajdowali się pod opieką lekarza ze Straży Granicznej.

Przestała być potrzebna i rozmiar tragedii ją przytłoczył. A gdyby w tamtym momencie nadal przebywała z Jackiem w ładowni... gdyby chwilę wcześniej nie odплыnęli na wyspę? Objęła się ciasno rękami.

54

Wyczuła za plecami czyjąś obecność i odwróciła się.

Kilka kroków od niej stał Jack. Wyglądało na to, że zastanawia się, czy może jej przeszkodzić. Pomyślała, że jego delikatność jest godna pochwały, ale jednocześnie nieco irytująca. Wyobraża sobie, że jest aż tak krucha i nieodporna? Przywołała go ruchem ręki. Chciała się czegoś dowiedzieć, uzyskać odpowiedzi, które pozwolą jej usnąć tej nocy. Miała nadzieję, że je od niego usłyszy

Zrobił parę kroków w jej stronę.

— Przykro mi, że cię w to wszystko wpakowałem. Gdybym wiedział...

— Skąd mogłeś wiedzieć? — Odwróciła twarz i zapatrzyła się w linię łądu. Jack stanął obok i zapadło długie milczenie, jakby się wzajemnie testowali.

— Co się według ciebie stało? — przerwała milczenie Lorna. — Mam na myśli wybuch.

Wcześniej chciałeś coś powiedzieć. Wspomniałeś o jakimś czuwaku.

— Potrzebny będzie ekspert od wybuchów, żeby to potwierdzić — odparł, chrząkając niepewnie. — Ale kiedy ty zajmowałaś się rannymi, ja przyjrzałem się z bliska wrakowi. Wygląda na to, że eksplodował zbiornik paliwa. Mógł zadziałać jakiś bezpiecznik.

— Coś, co nazwałeś czuwakiem, tak?

Skinał głową.

— Ktoś musiał tym wszystkim kierować. Zwierzęta gdzieś załadowano i dokądś miały dopłynąć. Gdy po sztormie urwała S1ę łączność z trawlerem, ten ktoś mógł drogą radiową zdetonować bezpiecznik.

Żeby zniszczyć ładunek?

I zatrzeć ślady.

Te słowa przypomniały Lornie, dlaczego się tu znalazła.

A zwierzęta... ile się uratowało?

Niestety, przed eksplozją udało się przenieść tylko kilka: PaPugę, syjamskie małpki, jagnię. Udało się też uratować jajka Pytona, ale sam pyton i cała reszta zginęła.

55

— No i mamy jeszcze szczenię jaguara.

— To prawda. Nie zapomniałem. No i jeszcze jedno zwierzę.

— Matkę szczenięcia.

— Nadal gdzieś się ukrywa. Gdy tylko wrócimy do Nowego Orleanu, będę musiał zorganizować obławę.

— A ja przez ten czas uruchomię badania genetyczne. Spróbujemy się dowiedzieć, co się stało tym zwierzętom. Kto im mógł zrobić coś takiego.

— Doskonale. Zadzwoń jutro, żeby się dowiedzieć, co udało ci się ustalić.

Zaczął się odwracać, ale przytrzymała go za rękę.

— Poczekaj, Jack. Zdążę ze wszystkim przed zmierzchem.

Zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, do czego Lorna zmierza.

— Spotkajmy się wieczorem.

Wyglądało, że wciąż nie rozumie, a zmarszczki na jego czole jeszcze się pogłębiły.

Lorna westchnęła z rezygnacją.

— Chcę pójść z wami na polowanie na tę kocięcę.

Twarz Jacka stężała.

— Nie ma takiej potrzeby. To zbyt niebezpieczne — odrzekł.

Poczuła narastającą złość. Po otepieniu spowodowanym

zestknięciem się ze śmiercią tak wielu ludzi niemal przyjemnie było poczuć w sobie żywsze uczucie.

— Posłuchaj, Jack, w życiu nieraz polowałam na wielką zwierzynę. Dobrze strzelam pociskami usypiającymi.

— Ja też. I to nie tylko pociskami usypiającymi. Znam te tereny lepiej niż ty.

— A ja lepiej niż ty znam zwyczaje jaguarów.

— Lorno...

— Przestań, Jack. Bądź rozsądny. Gdybym była mężczyzną, tej rozmowy w ogóle by nie było.

Powiedziałeś, że skrzykniesz ekipę specjalistów: tropicieli, myśliwych, członków Grupy Szybkiego Reagowania. Ja też jestem specjalistką w swojej dziedzinie.

Miał ochotę jeszcze się pospierać, ale widać było, że Lorna nie zamierza ustąpić. I nie tylko ze względów prestiżowych.

56

— Znam zachowania dzikich zwierząt lepiej niż ktokolwiek na południe od linii Masona-Dixona. — Popatrzyła mu prosto w oczy. — Moje doświadczenie może uratować komuś życie. Przecież wiesz. A może twoje męskie ego jest ważniejsze od czyjego życia?

Wiedziała, że nie zasłużył na tę ostatnią uwagę, ale ją poniosło. Nim jednak zdążyła ją złagodzić, Jack odwrócił się do niej plecami.

— Bądź gotowa o zmierzchu — rzucił przez ramię i odszedł.

1

Parę godzin później Lorna weszła do części zamkniętej ambulatorium dla zwierząt w ACRES. Zasilanie już przywrócono i sufitowe lampy jasno oświetlały rząd ciągnących się pod ścianą klatek z nierdzewnej stali. Cały ten fragment odizolowano od reszty i przeznaczono na kwarantannę zwierząt uratowanych z trawlera.

Zostało ich tylko pięć plus jedenaście jajek pytona.

Ubrana w ambulatoryjny uniform Lorna umieściła sobie jaguarka w zgięciu łokcia i wetknęła mu do pyszczka butelkę z mlekiem. Malec zaczął łapczywie ssać, ugniatając łapkami gumowy smoczek i przyzymkając z lubością oczy. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu ramienia z jego gardła dobywał się głęboki warkot. To się nazywa wygłodniały maluch. W ciągu sześciu godzin od przyjazdu do ośrodka wypijał już trzecią butelkę mleka.

Od powrotu Lorna przez większość czasu zajmowała się zwierzętami i robiła to z przyjemnością. Po tak brutalnym zetknięciu ze śmiercią ich obecność działała na nią kojąco. Z zapałem zajęła się ich rozmieszczaniem, badaniem i karmieniem. Kontakt ze zwierzętami zawsze sprawiał jej przyjemność i koił nerwy.

Była naukowcem i rozumiała dlaczego. Na podstawie tysięcy badań więzi między ludźmi a zwierzętami stwierdzono na

58

przykład, że głaskanie kota obniża u człowieka ciśnienie krwi, a odwiedziny ulubionego psa u obłożnie chorego w szpitalu powodują ożywienie i szybszy powrót do zdrowia. I choć nikt nie umiał wyjaśnić tych zjawisk, były one sprawdzalne i powtarzalne.

U Lorny szło to nawet dalej. W towarzystwie zwierząt czuła się bardziej sobą — była żywsza, wydawało się, że jej zmysły lepiej funkcjonują. Karmiąc szczenię, czuła jego mleczny oddech i szorstki dotyk kociego języka na wierzchu dłoni. Burczenie wystraszonego psiaka lepiej wyczuwała przyłożoną dłonią niż słuchem. Miała to od dzieciństwa i zawsze tak reagowała. Od trzeciej klasy szkoły podstawowej wiedziała, że chce zostać weterynarzem. Z czasem zapał wielu rówieśników gasł, ale u niej był coraz większy.

Nie przerywając karmienia, ruszyła wzdłuż rzędu klatek. Zrosnięte małpki zajmowały środkową. Wtulone w siebie spały zagrzebane w kłęb puszystych ręczników. Lorna zauważyła małe opatrunki na łokciach w miejscach, gdzie wkłuto się do żył, by pobrać próbki krwi i podać wycieńczonym bliźniętom płyn fizjologiczny. Na metalowej misce w kącie klatki leżała porcja małpiej karmy i kilka kawałków bananów.

Już wcześniej odczytała dane na zawieszonej pod klatką tabliczce, na której zapisano wyniki podstawowych badań. Morfologia krwi nie wyróżniała się niczym szczególnym poza tym, że stwierdzono u nich lekką anemię i podwyższony poziom enzymów wątrobowych, co zapewne wynikało z długotrwałego niedożywienia. Mimo stresu związanego z gwałtowną zmianą otoczenia i badaniami małpki zjadły z apetytem i usnęły.

Zauważyła też, że czyjaś ręka wpisała imiona małych pacjentów: Huey i Dewey\*.

Lorna się uśmiechnęła. No i tak wygląda chłodna obojętność Profesjonalistów. Ale nie mogła się czepiać. Sama też nadała lmię maluchowi tulonemu w ramionach. Nazwała go Bagira — ■mieniem pantery z Księgi dżungli Kiplinga.

Huey i Dewey — imiona bratanków Kaczora Donalda z filmów Disneya.

59

Ale poza nadawaniem imion pracownicy ośrodka musieli przede wszystkim rozwiązać tajemnicę pochodzenia zwierząt. Ktoś najpierw zadał sobie trud, by dostarczyć tajemnicze cargo na pokład trawlera, po czym nie cofnął się przed rozlewem krwi, byle tylko ukryć swoje intencje. Dlaczego, po co i — co najważniejsze — kto?

Lorna czuła, że odpowiedzi tkwią w samych zwierzętach. Wkrótce po przywiezieniu do ośrodka wszystkie poddano dokładnym badaniom, łącznie z rezonansem magnetycznym całego ciała. Wyniki rezonansu wciąż jeszcze opracowywano za pomocą nowego programu modelowania komputerowego, który na podstawie danych tworzył trójwymiarowe obrazy wszystkich organów wewnętrznych. Z niecierpliwością na nie czekała.

Jakie jeszcze wynaturzenia genetyczne znajdują u tych zwierząt?

W ostatniej klatce umieszczono małą owieczkę. Leżała żałośnie na kupce słomy, osierocona przez matkę, a jej wielkie brązowe oczy wodziły ze smutkiem za przechodzącymi ludźmi. Lorna martwiła się losem owieczki, która odmawiała ssania z butelki.

Nim Lorna przystąpiła do obmyślenia sposobu zmuszenia jagnięcia do ssania, jej uwagę przykuło głośne skrzeczenie jeszcze jednej pacjentki oddziału. Podeszła do klatki z ostatnim uratowanym pasażerem trawlera. Miejscowy ekspert od ptactwa zidentyfikował papugę jako samca gatunku *Psittacus erithacus* zwanego żako, zamieszkującego deszczowe lasy w zachodniej i centralnej Afryce. Z uwagi na brak upierzenia identyfikacja nie mogła być jednak stuprocentowo pewna i ekspert oparł się głównie na charakterystycznych białych tęczęwkach oczu. Kontrast z czarnymi źrenicami i szarzieloną skórą powodował, że oczy nabierały bardzo wyrazistego wyglądu.

Czuła, że papuga chce się wydostać z klatki i zresztą raz już jej się to udało. Krótco po przywiezieniu dziobem i szponami uniosła zapadkę na drzwiach klatki i otworzyła ją. Znalezione

60 ptaka siedzącego na wierzchu klatki i skrzeczącego na każdego zbliżającego się człowieka. Obsługa musiała użyć siatki, by go schwytać i umieścić w klatce, a jej zamknięcie specjalnie wzmocniono.

— Przykro mi, Charlie — powiedziała, podchodząc bliżej.

Papuga przeskoczyła na pręty kraty i błysnęła oczami, w przysłowie złości rozszerzając i zwięzając czarne źrenice.

— Igor! — zaskrzeczał swym niesamowitym ludzkim głosem. — Igor... dobry Igor... Igor, Igor, Igor...

Lorna od razu zrozumiała, co ptak próbuje jej powiedzieć, i uśmiechnęła się.

— W porządku, golasku. Więc ty jesteś Igor. — Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem. Ptak przestał błyskać oczami i zaczął przekrzywiać łepkę. Można było odnieść wrażenie, że zastanawia się nad powierzeniem jej jakiegoś sekretu.

Imię Igor wyjątkowo dobrze do niego pasowało. Tak nazywał się pokraczny asystent doktora Frankensteina. Najwyraźniej ktoś wykazał się szczególnym poczuciem humoru.

Papuga odwróciła głowę i łypnęła na Lornę jednym okiem.

— Chcę iść. Odejdź. Przepraszam.

Od tych słów aż przeszły ją ciarki. Wiedziała, że u wielu gatunków papug stosunek mózgu do masy ciała jest taki jak u szympanów i że papugi są najinteligentniejsze z wszystkich ptaków, a wyniki niektórych badań świadczą o tym, że zdolność pojmowania papug jest na poziomie rozwoju umysłowego Pięcioletniego dziecka.

Pełne emocji słowa Igora przypomniały jej słynnego Alexa, afrykańskiego żako należącego do doktor Irene Pepperberg, profesor psychologii na Uniwersytecie Brandeisa. Alex opanował słownictwo złożone ze stu pięćdziesięciu słów i wykazywał zdumiewającą umiejętność rozwiązywania problemów. Umiał

Powiać na pytania, potrafił liczyć i rozumiał nawet pojęcie • Co więcej, ptak w sposób jednoznaczny wyrażał swoje Uczucia- Gdy Alexa zawieziono do kliniki dla zwierząt, gdzie

61

miano go poddać zabiegowi chirurgicznemu, ptak zaczął błagać właścicielkę: „Chodź do mnie. Kocham cię. Przepraszam. Chcę wrócić”. Słowa wypowiedziane przez Igora zabrzmiały niepokojąco podobnie, co mogło świadczyć o tym, że ptak wie i rozumie, co się z nim dzieje. Zaciekawiona Lorna podeszła do klatki jaguara. Młode wypilo już do końca zawartość butelki i najedzone zaczynało usypiać.

Igor nie spuszczał z niej wzroku, przyglądając się, jak układa Bagirę w stercie miękkich kocyków. Zamknęła klatkę i wróciła do klatki z papugą.

— Halo, Igor — powiedziała cicho.

— Halo — odrzekł ptak i zaczął nerwowo przeskakiwać z pręta na pręt wyraźnie nieoswojony jeszcze z nowym otoczeniem.

Zastanawiając się, jak go może uspokoić, Lorna przypominała sobie spotkanie w ładowni trawlera i doznała olśnienia. Wyjęła z kieszeni palmtop, włączyła funkcję kalkulatora i nacisnęła klawisz z dobrze znaną grecką literą.

Na ekranie pojawił się ciąg cyfr.

— Igor, ile to jest pi? — zwróciła się do ptaka.

Papuga na moment zamarła w bezruchu, przyjrzała jej się i przeskoczyła na drewnianą żerdź.

Zacząła wpatrywać się w Lornę to jednym, to drugim okiem.

— No dalej, Igor! Ile to jest pi?

Ptak zaskrzeczał, pokiwał łepkiem w górę i w dół i rozpoczął znaną już recytację:

— Trzy, jeden, cztery, jeden, pięć, dziewięć, dwa, sześć, pięć...

Przy każdej wypowiedzianej cyfrze jego głowa rytmicznie podskakiwała. Słuchając, Lorna wpatrywała się w ekranik palmtopa. Nie ulegało wątpliwości, że papuga podaje wartość stałej pi. Wszystkie kolejne cyfry były prawidłowe. Nerwowe ruchy ptaka ustały, a litania cyfr wkrótce

wyszła poza odczyt na ekranie. Igor przysiadł nisko na żerdzi, opierając się na

62

szponach. Najwyraźniej skupienie, z jakim wypowiadał kolejne cyfry, uspokajało go tak, jak robienie na drutach uspokaja starsze kobiety, a ślęczenie nad krzyżówkami starszych mężczyzn. Po chwili papuga wpadła w niemal hipnotyczną kadencję.

Lorna straciła rachubę wypowiedzianych cyfr.

Musiała ich być już dobrze ponad setka.

Nie miała pewności, czy dalsze cyfry są prawidłowe, ale postanowiła to sprawdzić i przy najbliższej okazji ponowić test. Jeszcze przez parę minut słuchała w niemym zdumieniu, uświadamiając sobie, że sprawdzenie ptaka będzie wymagało spisania wartości pi na kilku kartkach.

Jak długą sekwencję cyfr zapamiętał? I kto go tego nauczył?

Nie zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, bo drzwi oddziału otworzyły się z cichym młaśnięciem podwójnych uszczelnień na krawędzi. Igor natychmiast umilkł, a Lorna odwróciła się i ujrzała wsuwającą się do pomieszczenia kościstą sylwetkę doktora Carltona Metoyera.

— Carltonie — powiedziała zaskoczona wizytą dyrektora ośrodka — co ty tu robisz?

Obdarzył ją ciepłym ojcowskim uśmiechem.

— Widzę, że już skończyłaś karmić Bagirę — stwierdził, wypowiadając z naciskiem imię szczenięcia. W oczach tańczyły mu iskierki rozbawienia.

Lorna jęknęła w duchu. O nadaniu imienia wspomniała tylko jednej osobie, swojej naukowej asystentce, ale jak zwykle wiadomość rozeszła się po ACRES lotem błyskawicy. Poczula, że się rumieni. Przyszła tu pracować jako młoda doktorantka, a nie panienka, która rozczula się nad nową ulubienicą.

Brzuszek ma pełny — powiedziała. — Przynajmniej na Najbliższe parę godzin. Potem znów zaczniesz domagać się butelki.

Miejmy nadzieję, że laboratorium zdąży skończyć analizę genetyczną.

A co już zrobiono?

63

Była zła nowymi wiadomościami. Po dotarciu ze zwierzętami do ACRES cały czas poświęciła ustabilizowaniu stanu wycieńczonych zwierząt i pobraniu próbek krwi i tkanek. Próbki DNA powędrowały do głównego laboratorium genetycznego podlegającego doktorowi Metoyerowi, ona zaś zajęła się badaniami stanu zdrowia zwierząt. Dyrektor ośrodka cieszył się międzynarodową sławą z racji swych pionierskich prac z dziedziny klonowania i międzygatunkowych przeszczepów embrionów.

— Jesteśmy dopiero na początku — odparł Carlton — ale już wstępna analiza chromosomów wykazała intrygujące odstępstwo od normy. Właśnie przystąpiliśmy do powtórnego testu i przyszedłem po ciebie, żebyś też w tym uczestniczyła. Powinnaś to zobaczyć na własne oczy. Skinał na nią i odwrócił się, by wyjść. Widać było, że jest podekscytowany i ta ekscytacja udzieliła się też Lornie.

Podążyła za szefem, czując dreszcz ciekawości. Przed wyjściem obejrzała się i dostrzegła, że Igor znów siedzi wczepiony w kratę klatki i nerwowo dygoce.

Usłyszała też jego błagalny szept:

— Chcę do domu.

8

Lornie żal było zostawiać Igora z jego błaganiami, miała jednak na głowie ważniejsze sprawy. Ale i tak poczuła ukłucie współczucia, co trochę ostudziło jej zawodową ciekawość.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, szef był już w połowie korytarza, posuwając się długimi pewnymi krokami. Mówił coś, ale dotarły do niej tylko ostatnie słowa.

— ...i uruchomiliśmy już łańcuchową reakcję polimerazy, żeby podbić kluczowe chromosomy. Ale oczywiście sekwencjonowanie DNA potrwa niemal całą noc.

Przyspieszyła kroku, by go dogonić, tak w sensie fizycznym, jak i myślowym. Idąc obok siebie,

minęli kolejny korytarz i dotarli do podwójnych drzwi prowadzących do zespołu pracowni genetycznych, które zajmowały całe skrzydło budynku ACRES.

Główne laboratorium było długą wąską kiszka z ciągnącymi pod ścianami stanowiskami roboczymi z osłonami chroniącymi przed zagrożeniem biologicznym. Na stołach stały najnowocześniejsze urządzenia do badań genetycznych: wirówki, mikroskopy elektronowe, inkubatory, urządzenia do elektro-ezy, kamery cyfrowe do wizualizacji DNA i stojaki z pipe-i oh 1 SZ^em laboratoryjnym, wagami, fiolkami z enzymami Czynniki do łańcuchowej reakcji polimerazy.

65

Carlton skierował kroki do stanowiska, przy którym dwoje naukowców pochylało się nad monitorem komputerowym. Oboje stali tak blisko i byli tak do siebie podobni w białych kitlach laboratoryjnych, że przypominali Lornie zrosnięte małpki. Jak Huey i Dewey też stykali się biodrami.

— To zdumiewające — rzekł doktor Paul Trent, spoglądając przez ramię na Carltona i Lornę. Był młody, szczupły, miał założone za uszy falujące blond włosy i wyglądem bardziej przypominał kalifornijskiego surfera niż czołowego neuro-biologa.

Zona Paula Zoe stała tuż obok. Reprezentowała typ latynoski o krótkich — krótszych niż u męża — czarnych włosach, szerokich kościach policzkowych i piegowatej twarzy. Fartuch laboratoryjny nie ukrywał jej ponętnie obfitych kształtów.

Oboje byli biologami po Stanfordzie, oboje cieszyli się renomą cudownych dzieci, które tytuły naukowe uzyskały w wieku dwudziestu paru lat, i oboje zdążyli już ugruntować swoją pozycję zawodową. Do Nowego Orleanu przyjechali na dwuletnie stypendium naukowe, w którego ramach prowadzili badania rozwoju układu nerwowego u sklonowanych zwierząt. Tematyka ich programu badawczego obejmowała strukturalne różnice w mózgu osobników sklonowanych w porównaniu z pierwowzorem.

Byli naukowcami, którzy z całą pewnością trafili we właściwe miejsce.

Tutejszy ośrodek był jednym z najważniejszych w kraju w dziedzinie badań nad klonowaniem. W 2003 roku przeprowadzono tu pierwsze klonowanie dzikiego zwierzęcia mięsożernego — afrykańskiego kota o imieniu Ditteaux, którego z oczywistych względów przemianowano na Ditto. Plany na następny rok przewidywały rozpoczęcie komercyjnego klonowania domowych ulubieńców, a płynące z tego zyski miały zasilić konto ośrodka i być przeznaczone na prowadzenie badań nad gatunkami zagrożonymi.

Zoe odsunęła się od ekranu monitora.

— Lorno, musisz to zobaczyć — powiedziała podniecona.

66

Lorna podeszła bliżej i ujrzała na ekranie kariogram z zestawem ponumerowanych chromosomów w formie tabeli.

(>( I( I.( i H					
, 2	3	4	5	6	
>1 u Kn[\\<i					
7	8	9	10	11	12 13
(I u )(u u n n					
14	15	16	17	18	19 20
li U IC ii '% .« II ii					
21	22 23	24 25	26 27	28	

Kariogramy tworzą, oddziałując odczynnikami chemicznymi na komórki i powstrzymując ich podział na etapie meta-fezy. Następnie chromosomy oddzielano, barwiono i sekwen-cjonowano za pomocą cyfrowego obrazowania, uzyskując n°gram. U ludzi występuje czterdzieści sześć chromosomów estawionych w dwadzieścia trzy pary. Na monitorze widać yło dwadzieścia osiem par.

67

Z całą pewnością nie był to kariogram człowieka.

— Stworzyliśmy ten kariogram na podstawie białych krwinek jednej z małpek — wyjaśnił



Carlton.

Z panującej w laboratorium atmosfery podniecenia Lorna wywnioskowała, że to jeszcze nie wszystko.

— U kapucynek normalnie występuje dwadzieścia siedem par chromosomów — powiedział z naciskiem Paul.

Lorna raz jeszcze przyjrzała się kariogramowi na ekranie.

— Ale tu jest dwadzieścia osiem — zauważyła.

— Właśnie! — wykrzyknęła Zoe.

Lorna zwróciła się do szefa ośrodka:

— Carltonie, powiedziałeś, że chcecie powtórzyć test. A więc to jakaś pomyłka.

— Badanie jest już w toku, ale sądzę, że potwierdzi wcześniejsze wyniki — odrzekł Carlton, wskazując głową ekran monitora.

— Dlaczego tak myślisz?

Carlton pochylił się, wziął do ręki myszkę i przerzucił pięć kolejnych map genetycznych.

— To jest kariogram bliźniaka syjamskiego tamtej małpki. Znów dwadzieścia osiem par chromosomów. Dokładnie jak u pierwszej. Dalej: kariogram owieczki, szczenięcia jaguara i papugi, a ten ostatni birmańskiego pytona.

Pytona?

Lorna ściągnęła brwi i przeniosła wzrok w głąb laboratorium, gdzie w inkubatorze leżały jaja węża. Widocznie dla zweryfikowania podejrzenia, które zaczynało kiełkować także w jej głowie, Carlton musiał otworzyć jedno z jajek, dostać się do rozwijającego się w środku embriona i pobrać próbkę DNA.

— U pytonów typowo występuje trzydzieści sześć par chromosomów — ciągnął Carlton — w postaci mieszaniny mikro-i makrochromosomów.

Lorna spojrzała na ekran.

— A tu mamy trzydzieści siedem par — stwierdziła.

— Otóż to. O jedną parę więcej niż zwykle. Tak jak u wszyst'

68

kich pozostałych zwierząt. Dlatego jestem pewny, że powtórne badanie genetyczne da identyczny wynik. To statystycznie niemożliwe, żeby laboratorium popełniło taki sam błąd sześć razy z rzędu. Lornie aż się zakręciło w głowie na myśl o tym, co to może oznaczać.

\_ Chcesz powiedzieć, że wszystkie zwierzęta w ładowni

wykazywały taką samą wadę genetyczną? Że wszystkie miały dodatkową parę chromosomów?

Tego rodzaju odchylenia genetyczne zdarzają się też czasem u ludzi. Obecność dodatkowego chromosomu powoduje, że dziecko rodzi się z zespołem Downa lub występuje zespół Klinefeltera, kiedy to dziecko płci męskiej rodzi się z dwoma chromosomami X tworzącymi kariotyp XXY. W rzadkich przypadkach zdarza się dodatkowa para chromosomów, ale zazwyczaj tak poważna wada genetyczna powoduje szybką śmierć lub ciężki niedorozwój umysłowy.

Lorna z uwagą wpatrywała się w ekran. Żadne z jej zwierząt nie wykazywało takich odstępstw od normy. Mina musiała odzwierciedlać jej konfuzję, bo Carlton powiedział:

— Myślę, że nie ogarniasz jeszcze znaczenia tego, o czym tu mówimy. Obecność dodatkowej pary chromosomów nie wynika z wady genetycznej. Nie powstały z powodu błędu w procesie podziału komórkowego plemnika czy jajeczka.

— Skąd to możesz wiedzieć?

Carlton poruszył myszką i znów ściągnął na ekran wszystkie sześć kariogramów, na każdym wskazał kursorem ostatnią parę chromosomów.

" Okazy z trawlera nie mają jakiegokolwiek dodatkowej pary chromosomów. Wszystkie mają takie same dodatkowe pary.

Dopiero teraz Lorna dostrzegła, że dodatkowa para chromosomów u każdego zwierzęcia wygląda identycznie. W miarę to do niej docierało, w jej umyśle zaczynało się kształtować ozumienie znaczenia zdumiewającej prawdy. Poczula, że Ziemia usuwa jej się spod nóg.

To niemożliwe!

Carlton postukał palcem w ekran.

— To nie jest błąd natury. To dzieło ludzkiej ręki. Ktoś świadomie dodał tym zwierzętom dodatkową parę chromosomów.

— Ale kto? — wymamrotała Lorna. Kręciło jej się w głowie, ale czuła też coś na kształt profesjonalnego podniecenia.

Carlton odwrócił się do niej, jego krzaczaste brwi podjechały wysoko, a w szeroko rozwartych oczach malowało się zaciekawienie.

— Jeszcze istotniejsze pytanie brzmi: po co?

9

— Czasami strasznie mnie wkurzasz — burknął ojciec Danny'ego Hemple'a, brodząc wśród trzcin rozlewiska. — Tyle z ciebie pożytku co z byczych cycków.

Danny miał dość oleju w głowie, by nie wdawać się w dyskusję. Skończył siedemnaście lat i niemal dorównywał ojcu wzrostem, ale daleko mu było do jego agresywnej porywczosci. Kiedyś widział, jak ojciec chwycił młotek i stłukł kolegę do krwi za jego zdaniem niesprawiedliwy podział połowu. Obserwował, jak ojciec wyciąga pułapkę na kraby z porośniętego trzcina błotnistej dna. Pułapka nie należała do nich i nie była beżpaniskim, oblepionym skorupiakami żelastwem. Wyglądała na zupełnie nową i miała doczepioną nową linkę, biały pływak i wywieszkę z numerem licencji na połów.

Ojciec scyzorykiem odciął linkę z wywieszką i zaczął iść przez trzciny, ciągnąc za sobą zdobycz. Danny dojrzał, że w koszu wierci się kilkanaście dorodnych błękitnych krabów luizjańskich.

— Wyjmij no palec z dupy, chłopcze, i podpłyn bliżej tą cholerną krypą. Nie chcę tu sterczeć cały dzień.

Ojciec był ubrany w gumowe rybackie spodnie na szelkach, w których brodził po kolana w wodzie. Danny stał w łodzi i odpychał się od dna tyczką. Była to stara przerdzewiała łódź Płaskodenna, w której oryginalny napęd śmigłowy zastąpiono

71

starym silnikiem zaburtowym Evinrude, ale silnika nawet nie uruchamiał, bo błotniste rozlewisko było za płytkie, a poza tym silnik narobiłby za dużo hałasu. To, co robili, było czystym kłusownictwem i gdyby wpadli w ręce stanowych strażników przyrody, mogliby mieć poważne kłopoty.

Takie sztormy jak wczorajszy wprowadzały zamęt wśród tysięcy pułapek na kraby, pieczołowicie rozstawianych w przesmykach wodnych w pobliżu zatoki. Wielkie fale zrywały je z uwięzi i niosły głęboko na otaczające mokradła.

„Nie skorzystać z tego to jak wyrzucać forszę w błoto”, mawiał ojciec.

Danny żartował z kumplami, że bardziej przypomina to rzucanie pereł między wieprze, popełnił jednak błąd i powtórzył to w zasięgu uszu ojca. Nos Danny'ego wciąż był lekko garbaty po tamtym złamaniu.

— No, dalej, ruszaj się! Mamy co najmniej dwie do ściągnięcia.

Chrum, chrum, pomyślał Danny i ze złością wbił tyczkę w dno.

Przejął kosz z rąk ojca i dostawił do czterech już leżących w łodzi. Połów był dobry i chociaż postępowanie ojca go mierzilo, przyznawał w duchu, że rozumie jego motyw. Przy cenie zbytu osiem dolarów za funt mięsa ze szczypiec i dwukrotnie więcej za duże płaty z dzisiejszej wyprawy mogą wyciągnąć blisko tysiąc dolców. Nie mówiąc o forsie ze sprzedaży pułapek, często tym samym ludziom, do których wcześniej należały.

Tego rodzaju praktyki nie uchodziły uwagi inspektorów Instytutu Rybołówstwa i Dzikiej Przyrody, którzy albo brali delikwenta za kark i wsadzali do ciupy, skąd wychodził po zapłaceniu solidnej grzywny, albo od razu wyciągali łapę P° działkę, co — jak tłumaczyli — stanowiło opłatę za prowadzenie biznesu w tych stronach. Ale nie to było największym zagrożeniem. Nie tylko ojciec Danny'ego kłusował na rozlewisku i między konkurentami często wybuchały bójki o te-

rytorium kończące się niejednokrotnie rozlewem krwi. Mówiło się, że tutejsze aligatory na brak pożywienia nie narzekają.

Mając tego świadomość, Danny czujnie obserwował otaczające ich rozlewisko, polegając bardziej na słuchu niż na wzroku. Trudno było cokolwiek dojrzeć na odległość większą niż dwadzieścia metrów. Zewsząd otaczała ich gęstwina cyprysów i ambrowców szczelnie oplecionych dzikim winem i porośniętych mchem. Gałęzie drzew rosnących po obu stronach przesmyku spletały się, tworząc tunele.

Danny nasłuchiwał jękliwego wycia śmigieł na łodziach strażników lub brzęczenia silniczków innych kłusowników, ale słychać było tylko bzyczenie komarów i wrzaski czarno-białych bagiennych kani buszujących w koronach drzew.

Otarł czoło chusteczką i schował ją do kieszeni. Wydawało się, że upał jest na stałe uwięziony pod koronami drzew i nawet przebywanie w cieniu nie dawało wytchnienia. Na domiar złego kosze z krabami zaczynały cuchnąć.

Ale co mógł na to poradzić?

Nie mając wyboru, płynął za ojcem, trzymając się brzegu trzciniowiska. Zapuscili się dalej niż zwykle, ale Danny wiedział, dlaczego ojciec podejmuje takie ryzyko. U jego młodszej siostry wystąpił nawrót białaczki, a ponieważ ojciec aktualnie nigdzie nie pracował, ubezpieczenie zdrowotne ich nie obejmowało. Dlatego wczorajsza burza była prawdziwym darem niebios i tym razem Danny nawet się nie buntował przeciwko szorstkim odzywkom ojca. Wiedział, że u ich podstaw leży troska i wstyd.

Chyba jest tam jeszcze jedna, tato.

Danny wyciągnął tyczkę w stronę wąskiego przesmyku, który odchodził w bok i nikał w mrocznym cieniu. U wlotu widać było na wodzie pojedynczy biały pływak.

~~ No to płyn i się nią zajmij. Linka od tej zaplątała się w korzenie i nie mogę jej wyciągnąć.

Słuchając dobiegającego zza pleców złorzeczenia ojca, Danny zanurzył tyczkę i zaczął popychać łódź w stronę odnogi.

\* 1 Przesmyk był cały zarośnięty liliami wodnymi i kawałek

73

dalej krył się w leśnej gęstwinie. Bardziej przypominało to tunel niż strumień.

Aby dostać się do pływaka, musiał wepchnąć łódź do przesmyku. Usłyszał głośny plusk wody i obejrawszy się, ujrzał, jak w poprzek głównego strumienia przepływa szop. Zwierzęciu musiało się spieszyć, bo szybko dotarł na drugą stronę i zniknął w zaroślach. Danny odprowadził go wzrokiem. Zwykle małe drapieżniki aż tak bardzo nie bały się ludzi. Nie mówiąc o tym, że postępowanie zwierzęcia należało uznać za niezwykle ryzykowne. Wiele szopów kończyło żywot jako przekąska zaczajonych aligatorów.

Nim zdążył się odwrócić, z gałęzi skoczył następny szop, poszybował w powietrzu i z pluskiem wpadł do wody. Coś musiało je wystraszyć.

— Na co się gapisz?! — dobiegł go wrzask ojca. — Zabieraj się do roboty, ale już!

Danny ściągnął brwi i przystąpił do dzieła. Pochylił się, złapał pływaka i zaczął ściągać linkę. Czuł ciężar ciągniętej pułapki, wiedząc z doświadczenia, że zapowiada to dobry połów. Rozstawił nogi, by nie stracić równowagi, i wyciągnął pułapkę nad powierzchnię wody. Druciany kosz był pełen krabów i Danny z uśmiechem policzył w głowie wartość zdobyczy.

Przeciągnął kosz do łodzi i dostawił do pozostałych. Napał na tyczkę, by wypłynąć z powrotem na główny nurt, i w tym momencie jego wzrok padł na coś białego w głębi odnogi. Odsunął zasłaniającą widok niską gałąź i jakieś piętnaście metrów dalej ujrzał aż cztery białe pływaki.

No nie...

Złapał się gałęzi i wciągnął się wraz z łodzią głębiej w wąski przesmyk, a potem dopchnął się na miejsce tyczką. Mimo iż jego uwagę przykuwał podniecający widok pływaków aż czterech pułapek, nie zaniedbywał rozglądania się za podejrzany kłódami na brzegu czy sterczącymi spod wody nozdrzami i ślepiami. Aligatory często zamieszkiwały takie odosobnione kanały, ale zbyt często się tym nie przejmował. Wiedział, że samce

74

bywają agresywne tylko w okresie godowym, a samice atakują wszystko, co się zbliża do ich gniazd. Poza tym tak jak ojciec miał przytroczoną do biodra pochwę z bronią. Potarł do czterech splątanych pływaków i zabrał się do ich rozplątywania, gdy nagle uzmysłowił sobie, że linki od nich prowadzą nie w dół, lecz w stronę brzegu. Tuż przy krawędzi wody leżały wszystkie cztery kosze. Były pocięte i pootwierane, jakby ktoś rozwalił je młotem pneumatycznym. I w żadnym nie było ani śladu krabów.

Pierwszą myślą Danny'ego było, że to jakiś potężny aligator urządził sobie ucztę. Od razu poczuł na plecach zimny dreszcz. Przez te wszystkie lata nigdy nie był świadkiem ataku aligatora na pułapkę z krabami. A poza tym, zważywszy, jak ciężkie są takie kosze z krabami, na brzeg musiało je wyciągnąć coś większego.

Ale jeśli to nie aligator...

Przełknął głośno ślinę i poczuł suchość w ustach. Wyprostował się i zaczął się odpychać tyczką w stronę głównego przesmyku. Przypomniawszy sobie szopy skaczące w panice do wody. Coś musiało je przerazić, coś groźniejszego niż chłopak w łodzi. Raz jeszcze zerknął na pocięte kosze na brzegu i uzmysłowił sobie, jak intensywna jest woń krabów w jego łodzi.

Mocniej odepchnął się tyczką.

Głośny trzask łamiącej się gałęzi za jego plecami spowodował, że serce skoczyło mu do gardła. Odwrócił się jak na sprężynie i zobaczył, jak gruby konar drzewa spada w poprzek przesmyku i zamyka mu drogę ucieczki.

Na drugim brzegu zaszleściły zarośla — jakby coś zeskoczyło z padającego konara i wylądowało po drugiej stronie przesmyku. Danny puścił tyczkę i sięgnął po broń, nerwowo gmerając przy zapięciu pochwy.

Szelest w zaroślach szybko się oddalił.

Danny'emu nie udało się nic wypatrzeć, ale czuł, że było to coś dużego i zwinnego. Zamarł w bezruchu, nasłuchując, czy zwierzę zdecyduje się zawrócić.

75

Nagły wrzask spowodował, że o mało nie wypadł z łodzi — Chłopak! Chowaj fiuta w gacie i pływ tu, ale już! Dopiero wtedy Danny skojarzył kierunek, w którym oddalił się szelest w zaroślach. Dokąd to zwierzę poszło. Nie...

Eldon Hemple poczuł, że coś jest nie tak, jeszcze zanim usłyszał pełen przerażenia krzyk syna.  
— Tato!

Eldon łowił i polował na mokradłach od czasów, gdy swojemu ojcu ledwie dorastał do kolan, i przez te lata jego instynkt wyostrzył się jak brzytwa. Ostrzeżeniem tym razem było nagłe zapadnięcie ciszy i wrażenie, jakby niebo zawisło tuż nad głową jak przed potężną burzą. Stał po kostki w wodzie, w gąszczu trzin i karłowatych palm. Ustawił pułapkę z krabami na dnie, sięgnął po broń i zaczął się obracać, wyteżając wzrok. Czuł, jak w pierwotnym odruchu jego ciało sprężyło się do ucieczki, ale go przewalczył. Nie mógł uciekać, nie wiedząc, z której strony zagraża mu niebezpieczeństwo.

Wyteżył słuch w nadziei, że usłyszy plusk lub trzask łamiącej się gałązki — coś, co go ostrzeże. Pierś gniotło mu przerażenie. Strach nie tyle o własne życie, ile o życie syna. Bardzo się na nim wyżywał, ale jeszcze bardziej kochał.

A potem to usłyszał. Chrapliwe kaszlnięcie gdzieś z tyłu. Dźwięk wydany nie przez człowieka, ale przez dziką bestię. Kaszlnięcie przeszło w głęboki warkot.

Wyciągnął rękę w stronę dźwięku i wystrzelił na oślep, kilka razy. Nie przestając strzelać, puścił się biegiem w przeciwną stronę, ku głębszej wodzie.

— Danny! Spieprzaj stamtąd!

Przedzierał się przez trzciny. Ostre jak brzytwa liście kaleczyły mu twarz i gołe ramiona. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do głębszej wody i zanurzyć się w toni...

76

Za plecami usłyszał, jak coś się porusza w gęstwinie karłowatych palm. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że kaszlnięcie i warkot nie były przypadkowe i miały na celu wypłoszenie go z kryjówki.

Trzciny przed nim rozstały się i ukazała się otwarta toń przesmyku. Zgiął nogi w kolanach, chcąc wykonać ostatni skok, ale w tym samym momencie coś ciężkiego runęło mu na plecy. Poleciał do przodu, padając twarzą w płytką wodę.

Powietrze uciekło mu z płuc i poczuł, jakby w plecy i ramiona wbijano mu noże. Zaczął się szamotać, próbując uwolnić rękę z pistoletem i strzelić za siebie. Udało mu się raz nacisnąć spust tuż obok ucha. Huk niemal go ogłuszył, ale nie na tyle, by nie usłyszeć za plecami wściekłego chrapliwego syku pełnego bólu i agresji.

Coś runęło mu na głowę, przysłaniając słońce.

Poczuł na karku gorący oddech. Masywne szczęki zacisnęły się na jego głowie i wepchnęły mu twarz w muliste dno. Poczuł narastający ucisk i przenikliwy ból. Usłyszał jeszcze trzask pękającej kości i ogarnął go mrok.

Danny usłyszał strzały, wściekłe warczenie i krzyk ojca, że ma uciekać. Wiedział, że zostały mu tylko sekundy. Na mokradłach Luizjany żyją rysie i niedźwiedzie, ale to coś, co wydało ten straszny warkot, było dużo większe i nietypowe dla tutejszych mokradeł. Poczuł, jak włoski na całym ciele stają mu dęba.

Złapał tyczkę i zaczął płynąć w głąb wąskiego strumienia, dalej od głównego nurtu i przerażających odgłosów. Nie miał mnego wyjścia, bo blokujący drogę konar był o wiele za ciężki, Zeby sam sobie z nim poradził. Nie pozostało mu nic innego, Jak uciekać w przeciwną stronę.

Z całych sił pracował tyczką, nasłuchując dalszych strzałów i krzyków — czegokolwiek świadczącego o tym, że ojciec żyje. Ale na rozlewisku zapadła głucha cisza i nawet bzyczenie marów wydawało się dziwnie stłumione.

77

Wbijał tyczkę w muliste dno i płynął. Minął miejsce z rozwalonymi pułapkami na kraby i nie przestając pracować, zanurzał się coraz głębiej w labirynt gęstwiny cyprysów. Nie znał tej części rozlewiska, ale wiedział, że nie wolno mu się zatrzymać.

Odczuwalny ciężar pistoletu pomagał łapać oddech. Zatknał go sobie za pasek, bo nie był pewny, czy w razie potrzeby zdoła go odpowiednio szybko wyszarpnąć z pochwy.

Nie wolno mi się zatrzymać...

W tym była cała jego nadzieja. Pomyślał, że musi się wydostać na otwarte wody, może wręcz na zatokę, uświadomił sobie jednak, że płynie w odwrotnym, kierunku — na północ zamiast na południe. Nie ma szans na dotarcie do Missisipi, ale na terenach między mokradłami a Big Muddy jest kilka niewielkich osad. Więc jeśli uda mu się dotrzeć do jednej z nich, podnieść alarm, skrzyknąć ludzi... ludzi uzbrojonych po zęby...

Czas płynął wolno, odmierzany łomotem jego serca. Miał wrażenie, jakby to trwało wiele godzin, choć w rzeczywistości minęło pewnie mniej niż sześćdziesiąt minut. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem i w pewnym momencie na mokradła wróciły wszystkie normalne odgłosy: skrzeczenie żab, świergot ptaków. Danny z radością powitał nawet głośnie bzyczenie komarów. Czymkolwiek był potwór czający się na mokradłach, chyba zrezygnował z pogoni.

Wąski kręty strumień utworzył się wreszcie na niewielkie jeziorko. Danny wypłynął na środek, z ulgą patrząc na oddalające się brzegi. Słońce schowało się już za czubkami drzew i powierzchnia jeziora zamieniła się w taflę lśniącego czarnego lustra.

To właśnie w tym lustrze zauważył nagły ruch przy linii brzegowej. Coś białego przemykało bezszelestnie pośród drzew, przez większość czasu trzymając się w ukryciu.

Wyszarpnął zza paska pistolet.

Niewielka przerwa w gąszczu porastającym brzegi jeziorka

78

pozwoiliła po raz pierwszy przyjrzeć się bestii. Zwierzę było podobne do tygrysa, ale miało jaśniejszą sierść, było smuklejsze, miało dłuższe nogi i długi ogon. W zakrwawionym pysku niosło coś jasnego i Danny z przerażeniem pomyślał, że to może być kawałek ciała jego ojca — ręka, może noga.

Wpatrując się ponad muszką pistoletu, nagle zdał sobie sprawę, że zwierzę niesie duże szczenię, trzymając je za skórę na karku.

Zanim wielki kot zniknął w gęstwinie, na moment przystanął i spojrzął w stronę Danny'ego. Ich oczy się spotkały i wargi kota uniosły się, obnażając potężne kły wyglądające jak sztylety. Po lewej nodze Danny'ego spłynęła gorąca wilgoć, a całym jego ciałem wstrząsnął niekontrolowany spazm. Sekundę później zwierzę znikło w gęstwinie.

Danny trwał nieruchomo z pistoletem w wyciągniętej ręce i dopiero po dobrej minucie wolno opadł na dno łodzi i skulił się z kolanami pod brodą. Czuł, że bestia już odeszła, ale on sam nie miał odwagi się ruszyć. Już prędzej umrze z głodu, niż zbliży się do brzegu.

Zerkał niespokojnie na linię lasu, nie mogąc zapomnieć widoku ślepi bestii. Nie było w nich śladu dzikości, wyłącznie chłodna kalkulacja i ocena. Zwierzę patrzyło tak, jakby zastanawiało się, co zrobić, żeby go dopaść.

W tym momencie do Danny'ego dotarło, że konar zamykający mu drogę ucieczki nie ułamał się sam. Zwierzę zrobiło to celowo, by rozdzielić swoje dwie ofiary. Najpierw zaatakowało ojca, wiedząc, że z jego strony grozi mu większe niebezpieczeństwo i że druga ofiara znalazła się w potrzasku i będzie łatwą zdobyczą, jak krab uwięziony w pułapce.

Tylko że potem coś odwróciło uwagę bestii.

Coś ważniejszego niż chłopak w łódce.

10

Jack wszedł na wiszącą kładkę, nie myśląc nawet o przytrzymywaniu się oślizgłych sznurowych poręczy po obu stronach. Nie patrzył też pod nogi, mimo iż wiele drewnianych klepek zdążyło zbutwieć i odpaść. Jego swobodne, pewne ruchy świadczyły o tym, że zna tę drogę na pamięć. Kładka prowadziła na jedną z wysepek rozlewiska Touber-line, na której stał jego dom rodzinny. Wysepka była zaledwie wierzchołkiem wzniesienia wynurzającego się z czarnych wód rozlewiska, otoczonego gęstym kozuchem wodorostów i obrosniętego wysokimi trawami o ząbkowanych liściach. Zbudowany na samym czubku dom był koślawym zlepkiem pomieszczeń, które dobudowywano w miarę rozrastania się klanu Menardów przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat, przez co przypominał budowlę z klocków. Większość pokoi była pusta, bowiem młodsze pokolenie wolało korzystać z udogodnień nowoczesnego życia i wyniosło się do miast, ale solidna kamienna konstrukcja domu nadal dobrze się trzymała. Mieszkali tu wciąż rodzice Jacka — oboje dobrze po siedemdziesiątce — i grono kuzynów, siostrzeńców i siostrzenic.

Do pomostu nieopodal domu stała przywiązana stara rybacka łódź. Nadal dawało się nią pływać, choć bardziej dzięki zawziętości Randy'ego, starszego brata Jacka, niż jej stanowi technicznemu. Randy z puszką piwa w ręku siedział koło

80

pomostu na ogrodowym krzeselku i gapił się na łódź. Był goły do pasa, miał na sobie bermudy i klapki. Gest powitalny na widok Jacka ograniczył do lekkiego uniesienia puszek z piwem.

— Znaczą ruszamy na polowanie — powiedział, gdy Jack podszedł bliżej.

\_ Zawiadomiłeś T-Boba i Peeyota?

— Wiedzą. Będą... — Randy spojrzął na zachodzące słońce i głośno beknął — ...jak przyjdą. Jack kiwnął głową. T-Bob i Peeyot Thibodeaux byli braćmi, półkrwi ciemnoskórymi Cajunami\* i półkrwi Indianami. A także najlepszymi tropicielami, jacy żyli na mokradłach. Zeszłej wiosny to oni wytropili dwóch przemytników narkotyków, którzy porzucili łódź na Missisipi i próbowali uciekać przez deltę. Po dobie błakania się po mokradłach z radością powitali tropiących ich braci Thibodeaux.

— A na co będziemy polowali? — zainteresował się Randy. — Bo nic nie mówiłeś.

— Na dużego kota.

— Rysia?

— Coś większego.

Randy wzruszył ramionami.

— To dlatego przyszedłeś po Burta?

— Jest u taty?

— A niby gdzie miałby być?

Jack ruszył w stronę domu. Brat był w wyjątkowo podłym nastroju. Jack nie był pewny, ale podejrzewał, że zna przyczynę. Jeśli się z nami wybierasz, nie powinieneś pić — rzucił. Lepiej mi się strzela z paroma piwkami w środku.

Jack wznosił oczy do nieba. Niestety, w słowach brata było sporo prawdy.

Otworzył drzwi. Nie mieszkał tu już od ponad dziesięciu lat,

przez Runowie — pierwsi osadnicy z Francji przybyli do Luizjany w drugiej połowie XVIII wieku. Cajunowie zawsze byli ubogimi rolnikami, myśliwymi a nie farmerami; obecnie zasymilowani, mają jednak własne pieśni i muzykę, święta (Mardi Gras — ostatni dzień karnawału) oraz tradycyjną kuchnię. Po „Katrinie” kupił zniszczoną przez huragan ruinę nad jeziorem Pontchartrain. Wszedł do sionki i od razu poczuł się jak u siebie. Tu jest jego prawdziwy dom. Zapach gorącego oleju do smażenia mieszał się z całym bukietem przypraw. Po tylu latach zapachy wsiąkły w mury wraz z wonią dymu z paleniska i tytoniu.

Wciąż miał w pamięci najszcześniejsze lata dzieciństwa spędzone w panującym tu wiecznie rozgardiaszu i hałasie. Teraz było tu znacznie spokojniej, jakby cały dom zapadł w drzemkę i czekał, aż ktoś go obudzi.

Z głębi dobiegło wołanie:

— Qui c'est ça?!

— To ja, tato!

Odnalezienie ojca w wielkim domu nie było trudne. Wystarczyło iść za węchem i słuchem ku najgęstszej chmurze dymu fajkowego i sączącym się leniwie dźwiękom cajuńskiego bluesa. Ojciec siedział w gabinecie przy końcu korytarza. Jedną ścianę zajmował ogromny kamienny kominek, pozostałe trzy obudowane były półkami z książkami.

— Jesteś, Jack. — Ojciec zrobił ruch, jakby chciał się podnieść z bujanego fotela.

Jack dał znak ręką, że nie musi tego robić.

Ojciec opadł na kanapę z westchnieniem ulgi. Od dawna cierpiał na artretyzm i był prawie kaleką. Choroba zredukowała jego niegdyś muskularną posturę do obciążonych skórą kości i łączących je sękatych stawów. W tym stanie powinien raczej przebywać w domu opieki, ale najlepiej czuł się w towarzystwie swoich książek, swojej muzyki i swojego starego psa myśliwskiego Burta, ostatniego potomka długiej linii bloodhoundów. W domu Menardów psy traktowano jak członków rodziny. Bloodhound w czarno-brązowe łaty leżał rozciągnięty na kamiennej posadzce przed wygasłym kominkiem i zdawał się składać wyłącznie z nóg i uszu. Miał trzynaście lat i posiwiwały ze starości pysk, ale wciąż był w doskonałej formie i odznaczał się niezrównanym węchem.

82

Węchem, z którego Jack chciał dziś wieczór skorzystać.

Ojciec dołożył tytoniu do fajki.

— Słyszałem, że wybierasz się z chłopakami na polowanie — zagadnął.

Burt uniósł łeb i nastawił uszu na dźwięk miłego sercu słowa. Machnął przy tym raz ogonem, jakby chciał się upewnić, czy na pewno dobrze usłyszał. Węch miał nadal doskonały, ale ze słuchem było gorzej.

— No, to prawda — powiedział Jack, udzielając odpowiedzi i panu, i psu.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Matka wyczyściła i naoliwiła twoją strzelbę. Jest za domem z twoją kuzynką, rozwieszają pranie.

Jack uśmiechnął się na myśl o swojej wiekowej matce, która rozkłada jego strzelbę i skrupulatnie czyści każdą część. Jako rodowita Cajunka, i zapewne wciąż potrafiłaby to zrobić z zawiązanymi oczami. Za młodu była najlepszym strzelcem w rodzinie. Kiedyś jednym strzałem z okna kuchennego uśmierciła wielkiego aligatora, który wylazł z wody i ruszył w stronę jego młodszego brata. Tom znalazł się wtedy za blisko brzegu, bo Jack, który miał go pilnować, na chwilę się zagapił. Trafiła bestię prosto w oko, kładąc trupem na miejscu. Po skarceniu Toma i wymierzeniu Jackowi klapsa za zaniedbywanie obowiązków spokojnie wróciła do zmywania naczyń.

Myśl o tamtych latach zwarzyła jego uśmiech. Mama robiła wszystko jak przystało na kochającą matkę chroniącą swoje dzieci, ale nie potrafiła uchronić ich przed nimi samymi. Idąc korytarzem, minął pokój, który dzielił kiedyś z bratem. Nikt w nim teraz nie mieszkał i pokój zamienił się w coś

w rodzaju lzy pamięci. Na półkach wciąż stały nagrody i puchary Toma, Przemieszane z jego zbiorami muszli, książek i starych płyt winylowych. Po Jacku zostało tu niewiele.

Ojciec musiał coś dostrzec w jego twarzy, bo zaczął mówić: Podobno spotkałeś dziś tamtą dziewczynę. Tamtą, która... która spotykała się z Tommym.

83

Jack już miał spytać, skąd ojciec to wie, ale zaraz sobie przypomniał, że znajdują się w sercu krainy rozlewisk. Wiadomość, a szczególnie plotka, rozchodzi się tu szybciej od najszybszego huraganu. Teraz już rozumiał chłodne powitanie i ponurą minę Randy'ego.

— Pomaga mi w jednej sprawie. Chodzi o szajkę przemytników zwierząt. Nic ważnego.

Jack poczuł, że zaczyna go palić twarz. Zrobiło mu się wstyd nie tylko dlatego, że nie powiedział prawdy teraz, ale także że nie mówił całej prawdy w przeszłości. Uznano, że brat zginął w wypadku samochodowym spowodowanym pod wpływem alkoholu. Samochód prowadziła Loma i ten fragment odpowiadał prawdzie. Bardzo niewiele osób znało całą prawdę. Lornę uznano za winną, trzepnięto ją po łapach i na tym się skończyło — głównie dzięki zeznaniu Jacka, które złożył sędziemu za zamkniętymi drzwiami. Natomiast rodzina Toma nigdy jej nie wybaczyła.

— Wyglądała na miłą dziewczynę — mruknął ojciec znad cybucha fajki.

— Byli jeszcze dziećmi — bąknął Jack. Przysiękł sobie, że poza tamtym sędzią nigdy nikomu nie wyjawia całej prawdy.

Dla dobra ich obojga.

Ojciec przyjrzał się Jackowi. Wyraz jego oczu świadczył o tym, że domyśla się, iż w tej całej historii musi być coś jeszcze.

Niezręczną ciszę przerwało dochodzące z drugiego końca domu wołanie matki.

— Jack! Gdzie ty się podziewasz? Przygotowałam coś zimnego dla ciebie i chłopaków. Macie też cały kosz świńskich kasków i kiełbasek!

— Już idę!

Do drzwi odprowadziło go ciężkie spojrzenie ojca. Wszedł na korytarz, wypuścił powietrze z płuc i w tej samej chwili poczuł w kieszeni wibrowanie komórki. Z ulgą przyłożył telefon do ucha.

Dzwonił Scott Nester, jego zastępca na posterunku Straży Granicznej.

84

— Mamy kogoś, kto widział tego cholernego kota — oznajmił-

— Kto? Gdzie?

— Chłopak z łódki na rozlewisku. Ostrzelał nasz helikopter, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Jesteś pewny, że chodzi o tego kota?

— O, tak. Opisał go jako wielkiego białego tygrysa z długimi zębami. Twierdzi, że zwierzę zabiło jego ojca. Wysłaliśmy już ekipę na poszukiwanie ciała.

Palce Jacka zacisnęły się na telefonie.

— Czy chłopak widział, dokąd się ten tygrys oddalił?

— Wydaje mu się, że na północ. W stronę Missisipi.

— Gdzie dokładnie go znaleźliście?

— Masz pod ręką mapę?

— Mogę mieć.

Scott podał mu dokładne namiary, Jack wydał jeszcze kilka poleceń, rozłączył się i podszedł do szafy koło tylnych drzwi, gdzie brat trzymał swoje wodniackie mapy. Szafa była wyładowana po brzegi sprzętem wędkarskim, skrzynkami z osprzętem i dziesiątkami ręcznie zrobionych przynęt. Grzebiąc wśród nich w poszukiwaniu mapy, ukłuł się haczykiem w kciuk prawej ręki.

Znalazł ją w końcu, wyciągnął haczyk i wytarł zakrwawiony palec o koszulę. Potem podszedł do stołu i rozłożywszy mapę, zaznaczył ołówkiem miejsce znalezienia łodzi na tyle dokładnie, na ile pozwalała dość stara mapa. Po latach przemieszczania się piachu i powtarzających się powodziach nawet najdokładniejsze mapy regionu traciły na aktualności. Mimo to udało mu się nawet odnaleźć wysepkę, na którą sztorm wyrzucił trawler ze zwierzętami. Oba punkty — katastrofy trawlera i znalezienia łodzi z chłopcem — połączył linią prostą.

Linia prowadziła z południa na północ. Jack przedłużył kreskę linią przerywaną dalej na północ, aż



do punktu przecięcia z Missisipi. Przekięcie wypadło w pobliżu miasteczka o nazwie Port Sulphur i tam Jack umieścił duże X. Znał to

85

miasteczko. Zostało niemal doszczętnie zniszczone przez „Kat-rinę”, a niektóre domy fala powodziowa zniosła trzydzieści metrów od fundamentów.

Jack wyprostował się i przyjrzał mapie.

Tylne drzwi się otworzyły i do środka wszedł Randy.

— T-Bob i Peeyot właśnie podpłynęli swoim kanoe — oznajmił. Spojrzał na mapę i pokazał palcem naniesione X. — To tam się wybieracie?

— Stamtąd zaczniemy. Skrzyknjemy wszystkich chętnych w Port Sulphur i ruszymy na południe, na rozlewiska. — Jack wpatrywał się w przerywaną kreskę na mapie. Szablatozębny jaguar musi kryć się gdzieś w pobliżu tej kreski.

— No to na co jeszcze czekamy? — parsknął brat i klepnął go w ramię. — Laissez les bons temps rouler\*.

Jack złożył mapę. Zanim będzie mógł posłuchać wezwania brata i oddać się dobrej zabawie, ma coś jeszcze do załatwienia. Musi dotrzymać wymuszonej na nim obietnicy.

— Przedtem muszę się jeszcze z kimś spotkać — mruknął.

\* Laissez... (fr.) — w wolnym tłumaczeniu: czas na dobrą zabawę.

11

Lorna nie znalazła czasu na zagrabienie podwórza po burzy.

Kiedy wchodziła na kamienne schody przed wejściem do rodzinnego domu w Garden District, było już późno. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, a rosnące wokół magnolie i potężne dęby rzucały długie cienie. Nieskoszony trawnik zasłany był naniesionymi przez burzę liśćmi, zwiędłymi kwiatami i paroma zerwanymi z dachu dachówkami. Wszystko razem tworzyło abstrakcyjne malowidło, jakby wyszło spod pędzla Jacksona Pollocka. Na środku stała od dawna nieczynna kamienna fontanna ze sterczącym na szczycie, porośniętym mchem aniołem.

Lorna aż westchnęła na widok żałosnego wyglądu rodzinnej posiadłości.

Pełna purchli farba na ganku odłaziła całymi płatami, kolumny we włoskim stylu były poobijane i nawet futryna bogato rzeźbionych drzwi z mahoniu była tak spaczona ze starości, że •ch otwieranie wymagało sporego wysiłku.

Teraz też musiały mocno się zaprzeć, by je otworzyć. Dom stał ciemny i pusty, ponieważ brata wezwano do jakiejś awarii na platformie wiertniczej w zatoce i miał wrócić dopiero jutro.

No i bardzo dobrze.

Zapaliła światło w sionce. Z prawej drewniane schody Prowadziły na podest pierwszego piętra, a potem na drugie.

87

Nad schodami zwiisał ogromny, przywieziony dawno temu z osiemnastowiecznego zamku francuskiego żyrandol, w którym połowa żarówek się nie świeciła. Wymiana żarówek i czyszczenie kryształowych wisiorów wymagało przeprowadzenia poważnej operacji inżynierskiej.

Postawiła obok drzwi ciężki futerał i zastanowiła się, czy zdaży wziąć gorącą kąpiel. Przed wyjściem z ACRES przebrała się ze służbowego uniformu w utyłane dżinsy i koszulę, i teraz marzyła, by jak najszybciej je zrzucić i zanurzyć się w wannie z najgorętszą wodą, jaką da się wycisnąć z wysłużonego piecyka. A gdyby tak jeszcze dodać bąbelki i nalać sobie kieliszek chardonnay? O tym mogła tylko pomarzyć.

Lorna wiedziała, że czeka ją długa noc na mokradłach, a po niej dzień wytężonej pracy w ACRES. Zrobiła wszystko, co na tym etapie było do zrobienia, ale kluczowe badania wciąż trwały i ich wyniki miały być znane dopiero jutro rano. Szczególnie interesowało ją badanie DNA dodatkowej pary chromosomów występujących u wszystkich uratowanych zwierząt. Kto tak eksperymentował i po co? Odpowiedź mogła być zawarta w kodach genetycznych tych dodatkowych chromosomów. Nie zdażyła dojść do schodów, gdy z głębi domu dobiegło brzęczenie telefonu. Przeszła przez sionkę do stolika w głównym holu. To na pewno Jack, pomyślała, choć zdziwiło ją, że nie dzwoni na komórkę. Poczła przyspieszone bicie serca na myśl

0 czekającym ich nocnym polowaniu. Podniosła słuchawkę  
1 ekscytacja natychmiast ją opuściła. Dzwonił młodszy brat Kyle z platformy wiertniczej w zatoce.

— Cześć, dzwonię tylko kontrolnie — rzucił. — Chciałem się upewnić, że nasz dom jeszcze stoi.

— Na razie stoi. Ale nic więcej nie obiecuję.

Kyle zachichotał. Pewnie mu się nudzi. Z reguły częściej rozmawiali przez telefon niż twarzą w twarz w domu. Przebywając pod jednym dachem, starali się strzec swojej prywatności, co w domu z siedmioma sypialniami i pięcioma łazienkami nie było trudne.

88

■— Zostawiłem ci wcześniej wiadomość — powiedział. — Domyśliłem się, że wezwali cię do pracy. Nie chciałem ci tam przeszkadzać.

— Mogłeś zadzwonić. Chociaż dzień rzeczywiście był zwariowany. — W paru słowach opowiedziała, co się wydarzyło.

— Chryste, to naprawdę niezwykle.

— Wiem. Wciąż jeszcze prowadzimy badania laboratoryjne...

— Nie. Mam na myśli to, że Jack Menard włączył cię do śledztwa. Musiało ci to być strasznie nie na rękę.

Na moment zamilkła. „Nie na rękę” było bardzo łagodnym określeniem zawieruchy, jaka się przez nią przetoczyła. Poczucie winy, żalu, wstydu, złości, i jeszcze coś, tkwiące dużo głębiej, skrywane, ale wspólne dla obojga. Przypomniała sobie stalowoszarą oczy Jacka i to, jak na nią patrzył, jakby oskro-bywał ją do kości. Nawet jej brat nie znał całej prawdy o tamtej krwawej nocy.

— Na szczęście masz go już z głowy — powiedział Kyle.

Lorna odzyskała głos.

— To niezupełnie prawda. Pomogę jego ekipie znaleźć zbiegłego jaguara.

— Co to znaczy, „pomogesz”? Będiesz mu doradzała?

— To też, ale wezmę także udział w dzisiejszej nocnej obławie.

W słuchawce zapadła cisza, ale nie trwała zbyt długo.

— Oszalałaś, kompletnie ci odbiło? — wybuchnął Kyle. — Dlaczego?

Zerknęła na zostawiony przy drzwiach czarny futerał. Mieścił rozłożony na części karabin na pociski usypiające.

Chcę dopilnować, żeby tego kota złapano żywego.

Pieprzyć kota. Wybierasz się na bagna w towarzystwie faceta, który chętnie rzuciłby cię aligatorom na pożarcie.

Nie mogła mu wyjaśnić, dlaczego nie musi się bać Jacka.

' Nic mi się nie stanie. Nie będziemy sami. Wyrusza cała ekipa. Nie ma się czym przejmować.

89

— Lorno, nie idź. A przynajmniej zaczekaj do jutra, do mojego powrotu. Wybierzemy się razem.

— Nie mogę. Jaguary to zwierzęta nocne. Ta kocica będzie dziś w nocy polować. To najlepsza okazja, żeby ją schwytać, zanim zginie ktoś jeszcze.

— Lorno...

W kieszeni zaćwierkała jej komórka.

— Mam drugi telefon.

— Poczekaj, aż wrócę! — wykrzyknął pospiesznie Kyle, by zdążyć, zanim siostra się rozłączy.

— Porozmawiamy rano. — Odłożyła słuchawkę i wygrzebała z kieszeni komórkę. — Doktor Polk.

— Jesteś gotowa? — Głos Jacka brzmiał tak sucho, że się od razu najeżyła. W tle słychać było znajomy klekot wirnika helikoptera.

— Oczywiście, że jestem — burknęła.

— Możemy się spotkać na przystani za zoo?

— Mogę tam być za piętnaście minut. Jaki jest plan?

— Przylecimy po ciebie helikopterem. Wszyscy zbieramy się w Port Sulphur.

Wyczuła w jego głosie napięcie, jakby coś przed nią ukrywał.

— Coś się stało?

— Mamy naocznego świadka. Twoja kocica kogoś zaatakowała. Gdzieś na środku rozlewiska. Parę minut temu odnaleźliśmy ciało. Było owinięte w hiszpański mech i schowane na drzewie. Miało zmiądzoną czaszkę i urwane jedno ramię.

Lorna poczuła, że traci oddech. Już jest za późno.

Jack podjął jeszcze jedną próbę.

— Mówię to po raz ostatni: moi ludzie poradzą sobie bez ciebie. Nie ma powodu, żebyś się do tego mieszała.

Raz jeszcze spojrzała na futerał przy drzwiach. Jack się mylił. Jest powód, a nawet dwa. Naprawdę zależy jej, żeby schwytać zwierzę żywe, ale jego zachowanie tak ją zaintrygowało, że chciała wziąć udział w jego wytropieniu. Wbrew

90

1

przypuszczeniom jaguar nie zaszył się w kryjówce, tylko cały czas się przemieszcza. Tylko dokąd?

— Jack, chcę w tym uczestniczyć. Nie traćmy czasu na spory. Im szybciej tego kota wytropimy, tym mniej ludzi znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Jack westchnął ciężko.

— Bądź na przystani za kwadrans. Ale ani minuty później. Jak powiedziałaś, nie mamy chwili do stracenia.

Rozłączył się bez słowa pożegnania.

Lorna ruszyła do wyjścia. Nie będzie żadnej kąpieli. Chwyciła futerał i z całej siły dopchnęła drzwi.

Słońce już się schowało za horyzontem i za chwilę zapadną ciemności.

Zbiegając po schodach, poczuła nagłe ukłucie wątpliwości.

Co ja właściwie robię?

Niepokój brata, ostrzeżenia Jacka... nie dopuściła tego do siebie, ale zasiane ziarno zakiełkowało: przecież jest weterynarzem, nie myśliwym.

Jednak ani na chwilę nie przystanęła. Podbiegła do zaparkowanego na ulicy forda bronco będącego własnością brata. Już raz kiedyś się zawahała. Pozwoliła, by strach wziął górę, i chłopak zapłacił za to życiem.

Więc nie tym razem... I już nigdy.

12

W promieniach zachodzącego słońca helikopter Straży Granicznej opuścił koryto rzeki Missisipi i skierował się nad miasteczko Port Sulphur. Z tej wysokości nie było widać nic, co mogłoby odwrócić uwagę Lorny od udreki związanej z korzystaniem z tego środka lokomocji. Może kiedyś przywyknie do latania, ale jej spocone dłonie i płytki nerwowy oddech świadczyły o tym, że na razie nie przywykła ani trochę.

Starła się pokonać w sobie strach, skupiając uwagę na przesuwanym się w dole krajobrazie.

Wpatrywała charakterystycznych punktów orientacyjnych i zastanawiała się, jak długo potrwa lot.

Leżące w dole Port Sulphur łatwo było przeoczyć, bo zajmowało niewiele ponad piętnaście kilometrów kwadratowych, a jego obraz nieco się zacierał z racji starych i zrujnowanych grobli i wałów ochronnych. Niegdyś była to fabryczna osada dla zatrudnionych w zakładach siarkowych Freeport Sulphur, jednak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia skończyło się wydobywanie i przetwórstwo siarki i miasteczko zaczęło powoli popadać w ruinę, jakby czekało na „Katrinę”, która miała je ostatecznie pogrzebać. Przez miasto przewalił się blisko siedmiometrowy wał wody, prawie zmywając je z powierzchni ziemi. Z około trzech tysięcy stałych mieszkańców do zalanych przez powódź domów wróciła tylko garstka.

92

Gdyby Lorna nie wpatrywała się z takim napięciem w przesuwanym się w dole krajobraz, mogłaby w ogóle nie zauważyć osady. W ciągu paru sekund przelecieli nad zabudowaniami i znów znaleźli

się nad wodą — tym razem nad rozległym płytkim jeziorem zwanym Bay Lanoux — i dopiero tu zaczęli ostro schodzić w dół. Lot trwał krótko i sześćdziesiąt kilka kilometrów dzielące Port Sulphur od Nowego Orleanu przebyli w niecałe piętnaście minut. Może i krótko, ale Lornie i tak dłużył się czas i z utęsknieniem czekała, aż opuści pokład.

Aż podskoczyła, gdy w słuchawkach zabrzmiał nieco sztucznie brzmiący głos Jacka, który siedział z przodu obok pilota. Lorna dzieliła tylną ławkę z dwoma funkcjonariuszami służby granicznej. Obaj jej się przedstawili, ale była tak skupiona na swoim strachu, że ich nazwiska wyleciały jej z głowy.

— Popłyniemy naszym kutrem kanałami na południe — oznajmił Jack. — Kuter posłuży za centrum dowodzenia akcji. Dwie mniejsze łodzie śmigłowe popłyną węższymi przesmykami po obu naszych stronach. W razie potrzeby użyjemy też dwóch kanoe, które pozwolą nam dotrzeć do najciaśniejszych zakamarków.

Helikopter usiadł na wodzie i Lorna rozejrzała się po miejscu zbiórki. Z jeziora poderwał się drugi, dużo większy śmigłowiec, którym leciała reszta ludzi Jacka i grupa uczestników akcji. Kuter patrolowy Służby Granicznej wyglądał na ten sam, którym płynęła wcześniej. Była to jednostka klasy Interceptor, przystosowana do pływania po wodach śródlądowych i na otwartym morzu. Nieco dalej widać było dwie mniejsze łodzie z napędem śmigłowym, które mknęły po wodzie napędzane potężnymi wiatrakami.

Wodowanie helikoptera dało początek ogólnemu zamieszaniu związanemu z przeładunkiem sprzętu i ludzi ze śmigłowca na łodzie. Lorna weszła na pokład i wycofała się na rufę, by zejść z drogi rozpychającym się roslim osiłkom roztaczającym zapach taniej wody po goleniu, skóry i smaru. Powietrze rozbrzmiewało ich rubasznymi okrzykami i śmiechami.

93

Znalazła sobie ustronny kącik i schroniła się przed huraganem testosteronu.

Niedaleko niej kręciło się sześciu mężczyzn w ciemnozielonych koszulach i spodniach — członków Grupy Szybkiego Reagowania — szykując broń: pistolety, strzelby, karabinki szturmowe. Wszyscy mieli na głowach hełmy z noktowizyjnymi goglami. Sprawę traktowano poważnie i nikt nie miał zamiaru niepotrzebnie ryzykować.

W części rufowej znalazło się też trzech ludzi w kamizelkach myśliwskich i džinsach, ci jednak przysiedli przy burcie na odwróconych płaskodennych łódkach. Lorna rozpoznała w nich cajuńskie kanoe. Trzej mężczyźni — dwaj czarni i jeden biały — wyglądali na typowych Cajunów z mokradeł. W rysach białego Lorna dostrzegła pewne podobieństwo do Jacka i uznała, że to może być ktoś z rodziny. Nie była jednak pewna, bo za czasów Toma nie zetknęła się z żadnym innym członkiem klanu Menardów.

Kolejny uczestnik wyprawy wbiegł na pokład z wywieszonym językiem, machając radośnie ogonem. Pies był czystej rasy bloodhoundem, ale nawet u niego można było dostrzec zawadiacki cajuński błysk w oku.

— Burt — szepnęła pod nosem, czując, jak na jego widok ogarniają ją wspomnienia radośniejszych czasów. Mogła wtedy nie poznać starszego brata Tommy'ego, ale nie mogła nie zostać przedstawiona najlepszemu psu tropiącemu w rodzinie.

Jack wspominał wprawdzie o włączeniu do akcji psa, ale nie przyszło jej do głowy, że może chodzić o Burta.

Przyklękła i z przyjemnością przywitała się z psem, który oparł łapy na jej ramionach i trochę ją obślinił. Wyciągnęła rękę, żeby go podrapać za niemożliwie długim uchem, gdy nagły wrzask spowodował, że oboje zamarli.

— Burt! Dawaj tu swój tyłek, ale już! Zostaw tą bonne a rien!

Pies obejrzał się i opuścił ogon, a potem niemal przepaszająco łypnął na Lornę i potruchtał z powrotem do trzech mężczyzn na kanoe.

94

Rozkaz padł z ust mężczyzny, który wydał się Lornie podobny do Jacka i pewnie należał do rodziny. Nie знаła określenia, jakim ją nazwał — bonne a rien — ale sądząc po tonie głosu, nie było to nic pochlebnego.

Jack był zajęty rozmową ze swoim zastępcą, ale słysząc wrzask, odwrócił głowę, po czym podskoczył do mężczyzny i złapawszy go za kołnierz flanelowej koszuli, poderwał z miejsca i przyciągnął do siebie.

— Jeśli jeszcze raz odezwiesz się tak do doktor Polk, to osobiście wyrzucę cię za burtę. Możesz sobie być bratem, ale ona jest tu na moją prośbę. Więc albo się zachowuj, albo wynoś z mojej łajby. Lorna uważniej przyjrzała się obu. A więc są braćmi! Popatrzyła na nieznajomego świeżym okiem. To musi być Randy, najstarszy brat Jacka i Toma. W czasach, gdy spotykała się z Tomem, Randy siedział w więzieniu. Dostał rok odsiadki za pijacką burdę w pubie przy Bourbon Street. Miał pecha, bo trafił na gliniarza po służbie.

Przez chwilę wydawało się, że Randy będzie się stawiał i nawet położył dłoń na piersi Jacka, jakby chciał go odepchnąć, jednak musiał coś wyczytać w twarzy brata, bo opuścił rękę, zrobił krok do tyłu i zbagatelizował sprawę nonszalanckim parsknięciem.

— Ty tu rządzisz, braciszku.

Jackowi to nie wystarczyło, bo jeszcze przez chwilę stał, wpatrując się w Randy'ego, jakby czekał, aż złość w nim się wypali.

Randy ostatecznie skapitulował.

— Mais oui! W porządku! Słyszałem!

Jack, tak jak poprzednio pies, spojrzął na Lornę przepaszająco. Brat wrócił do kolegów i cała trójka przesunęła się na drugi koniec kanoe. Jack dokończył wydawanie poleceń zastępcy i podszedł do Lorny.

— Przepraszam za niego. Chodźmy stąd. Zanim wywołasz nową awanturę, zaznajomię cię z planem akcji. Może będziesz chciała coś doradzić. W końcu po to tu jesteś, nie?

95

Jego szorstkie słowa trochę ubodły Lornę, ale zachowała milczenie. Poprowadził ją do sterówki i gdy przytrzymał otwarte drzwi, zaskoczona stwierdziła, że pomieszczenie jest klimatyzowane, zowane i w porównaniu z panującą na pokładzie przedwieczorną duchotą tu jest wręcz zimno. Słońce już wprawdzie zaszło, ale zachodnie niebo wciąż jeszcze płonęło.

Podeszli do stołu z mapami. Oprócz nich w środku był tylko sternik, który jak wszyscy funkcjonariusze Straży Granicznej miał na sobie mundur polowy, ale był bez hełmu. Statek już płynął w poprzek Bay Lanaux i Lorna czuła pod stopami wibracje pracującego silnika. Ciągająca się w oddali linia lasu wydawała się ciemna i nieprzenikniona.

— Tak wygląda nasza trasa. — Jack położył rękę na rozłożonej na stole mapie i pociągnął palcem wzdłuż wyrysowanej linii. — Zakładamy, że po sztormie zwierzę dotarło do lądu w rejonie zatoki Joe Wise i ruszyło prosto na północ. — Palec się zatrzymał. — W tym miejscu znaleźliśmy chłopaka. Znaczy to, że w krótkim czasie przebyło kawał drogi.

Lorna poznała już szczegóły tragicznego spotkania z jaguarem. Z westchnieniem ulgi powitała możliwość powrotu na znajomy grunt zawodowy.

— Tereny łowieckie jaguarów są bardzo rozległe — zaczęła — dlatego kocica stale się przemieszcza. Jest genetycznie zaprogramowana, by chodzić tak długo, aż znajdzie miejsce, które według niej zapewni warunki do przeżycia.

— A więc to może potrwać jeszcze długo?

— Tak. Ta skłonność do włóczęgi jest jedną z cech powodujących, że jaguary na wolności są gatunkiem zagrożonym. Ich rodzime dżungle i lasy są wycinane. Jaguary ulegają wewnętrznemu nakazowi przenoszenia się z miejsca na miejsce i często giną w bezpośrednim starciu z człowiekiem.

Czytała o projekcie obrońców przyrody, który miał doprowadzić do stworzenia kontynentalnego pasa dzikich lasów, mającego ciągnąć się od Meksyku przez całą Amerykę Południową, tworząc ogromny maszyn lasny, w którym jaguary

96

mogłyby się swobodnie rozmnażać i migrować. Nazywano go paseo de Jaguar, Traktem Jaguarów. Przyjrzała się mapie, starając się odgadnąć paseo tego konkretnego jaguara. Miała do pomocy jeden istotny szczegół.

— Pamiętajmy, że samica ma ze sobą młode — powiedziała z naciskiem. — Dlatego będzie szukała miejsca obfitującego w pożywienie. Potrzebuje jedzenia dla obojga.

Jack stanął, stykając się z nią ramieniem i wpatrując w mapę.

— Tylko gdzie? Jeśli pójdzie dalej na północ, dotrze do rejonu między zatoką Adamsa a jeziorem Washington. A to sam środek krainy rozlewisk. Nawet nie wiadomo, od czego zacząć.

— Trzeba zacząć od obfitości pożywienia. Rozlewisko to wymarzony teren dla jaguarów. Najczęściej polują nad brzegami wód. Ich dieta w dużej mierze składa się ze zwierząt wodnych: żółwi, ryb, kajmanów.

— Ten uratowany chłopak powiedział, że zwierzę dobrało się do pułapek z krabami — przypomniał Jack.

Lorna pokiwała głową.

— Jaguary nie są wybredne. Jedzą wszystko. Są gotowe zaatakować nawet krowę czy dorosłego konia. — Widząc niedowierzanie w oczach Jacka, dodała: — Jaguary to perfekcyjne maszyny do zabijania. Tygrysy i lwy rozszarpują gardła swoich ofiar, jaguary zabijają, miażdżąc im czaszki. Mają najsilniejsze szczęki spośród wszystkich wielkich kotów. Uważa się, że nabyły tę cechę w drodze ewolucji po to, by miażdżyć twarde jak stal skorupy żółwi.

— Jeśli lubią żółwie, to w rozlewisku mamy ich pod dostatkiem. Żyją tu gruboszyjne, jaszczurowate i wszelkie odmiany flory dzkich.

— Tak, ale wszystkie są małe i nie tak liczne, jak na potrzeby tej kocicy. Przy jej masie ciała będzie szukała obfitego i łatwo dostępnego źródła pożywienia. I nie przestanie, póki go nie bajdzie. Jack nagle zeszytniał.

97

— O co chodzi? — spytała.

Pochylił się niżej nad mapą i zaczął sunąć palcem po narysowanej linii. W pewnej chwili jego dłoń znieruchomiała, a palec postukał w mapę. W miejscu, w którym palec się zatrzymał, widniała nazwa Bayou\* Cook.

Jack wyprostował się i spojrzał prosto w oczy Lorny.

— Jak dobry węch mają jaguary? — zapytał.

— Bardzo dobry. W zasadzie są zwierzętami nocnymi, więc muszą wyczuć ofiarę węchem.

— I z jakiej odległości, według ciebie, potrafią coś wyczuć?

— Trudno powiedzieć. Zależy od rodzaju zapachu, intensywności, kierunku wiatru. — Lorna pokręciła głową. — Od wielu czynników. Ale w sprzyjających okolicznościach mówimy o odległości liczonej w kilometrach.

— Więc jeśli zapach jest naprawdę intensywny, a kierunek wiatru sprzyjający, to może ją przyciągnąć nawet z odległości paru kilometrów.

— Oczywiście. Tylko że zapach musiałby kojarzyć jej się z pożywieniem.

— Powiedziałaś, że jaguary polują nie tylko na żółwie i ryby, ale i na kajmany. Na południowych kuzynów amerykańskiego aligatora.

— Zgadza się.

— Więc gdyby trafiło się źródło takiego pożywienia, miejsce naprawdę intensywnie pachnące...

— To z całą pewnością by ją przyciągnęło.

Jack wysunął mapę z zacisków na stole i zaniósł do sternika.

— Bierzemy kurs na to — powiedział, wskazując punkt na mapie. — Bayou Cook. Połącz się przez radio z łodziami śmigłowymi. Powiadom je, że nastąpiła zmiana planów. Płyniemy prosto tam.

— Tak jest, szefie.

Jack powrócił z mapą do stołu.

\* Bayou (ang.) — teren zalewowy na południu Stanów Zjednoczonych.

98

— A co jest w Bayou Cook? — spytała Lorna.

— Tutejsza atrakcja turystyczna. Przyciąga zwiedzających przez okrągły rok, głównie

pasażerów statków wycieczkowych, które mają postój w Nowym Orleanie. Program wycieczki przewiduje zwiedzanie rozlewiska, przejażdżkę łodziami śmigłowymi i na koniec wizytę w Bayou Cook.

— Ale co tam jest?

W spojrzeniu, którym ją obrzucił, była chłodna pewność.

— Ferma aligatorów wujka Joego.

13

Wujek Joe nie przepadał za dziećmi, ale pole namiotowe przynosiło przyzwoity dochód.

Stał na ganku domu, a na poręczy czekała wysoka, oszroniona butelka budweisera. Mimo iż słońce schowało się już za horyzontem, wydawało się, że wilgotna duchota jeszcze się wzmaga. Ale tak tu już było. Przez pierwszą godzinę po zachodzie słońca upał jakby nie miał zamiaru ustąpić i uparcie trwał na posterunku, i dopiero z zapadnięciem ciemności powoli się poddawał i pozwalał lżej oddychać.

Wujek Joe lubił tę porę dnia.

Oczywiście piwo też nie było bez znaczenia.

Upił długi łyk i potoczył wzrokiem po swojej dwunastohek-tarowej posiadłości. Na jej końcu rozciągało się nowe pole namiotowe, na które przeznaczono wykarczowany fragment lasu cyprysowego. Aktualnie korzystała z niego drużyna skautów z Baton Rouge, która wynajęła je na cały tydzień. Wśród namiotów migotały płomienie ognisk, nad polem rozwieszono sznury ozdobnych latarni. Wieczorne powietrze rozbrzmiewało skautowskimi piosenkami, którym towarzyszyło kumkanie żab, pohukiwanie sów, a niekiedy nawet porykiwanie aligatorów. Przestrzeń między domem z bali a polem namiotowym zajmowało osiem zagród z sadzawkami tworzących fermę aligatorów. Prócz nich była jeszcze klatka z rysiem i płytki

100

będący domem ogromnego żółwia jaszczurowatego. Nad całością górował system kładek i podestów obserwacyjnych.

joe patrzył na to wszystko z nieukrywaną dumą. Początek ja} jeden mały staw hodowlany z kilkoma aligatorami i rozbudowanie fermy do obecnej postaci kosztowało ponad pół miliona dolarów, ale jego posiadłość była teraz główną atrakcją turystyczną w tej części rozlewiska. Tylko w ubiegłym roku wpływy brutto trzykrotnie przewyższyły wielkość nakładów.

Oczywiście część pieniędzy trafiała do niego pod stołem. Jako obrońcy przyrody nie wolno mu było oficjalnie handlować skórą i mięsem aligatorów, ale smarowanie łap przedstawicieli lokalnej władzy za patrzenie w drugą stronę nie kosztowało tak dużo. Nie mówiąc o tym, że niektórzy bogaci wędkarze uważali świeżo wyklute aligatorki za najlepszą przynętę dla morskich okoni.

Patrzył też na dwóch uzbrojonych w karabiny mężczyzn przechadzających się po kładkach. Należeli do lokalnej straży obywatelskiej i zostali wynajęci do pilnowania fermy na wieść o tym, że na terenach przybrzeżnych pojawił się jakiś wielki kot. Ostrzeżono go nawet przez radio, że powinien ewakuować ludzi, ale uznał, że zatoka leży wystarczająco daleko. Gdyby posłuchał rady, na samym zwrocie zadatków i rezygnacji z opłat za wynajem pola namiotowego skautom straciłby tysiące dolarów.

A poza tym ostrzeżenie to tylko ostrzeżenie, nie polecenie. Nie dał się stąd wykurzyć „Katrinie”, więc nie przestraszył się jakiegoś dzikiego kocura. By umocnić się w swoim postanowieniu, dodatkowo zaangażował czterech ludzi z biura miejscowego szeryfa. W tych trudnych czasach każdy lubi dorobić Parę dolców na boku.

Za plecami usłyszał zbliżające się kroki.

Tato, idę nakarmić Elvisa.

Odwrócił się i spojrzał na córkę. W rękach trzymała tacę 2 korpusami kurczaków.

Tylko nie dawaj mu za dużo. Rano mamy pokaz karcenia dla dzieciaków z obozu. Wolę, żeby był głodny.

101

— Nie możesz głodzić staruszka — powiedziała z łagodnym wyrzutem.

Odprawił ją machnięciem ręki, czując ogarniającą go falę miłości i dumy z jedyne go dziecka. W wieku dwudziestu dwóch lat Stellę przyjęto do wyższej szkoły biznesu w Tulane, dzięki czemu miała stać się pierwszą członkinią ich rodziny z wyższym wykształceniem. Zamierzała zdobyć tytuł MBA, ale równolegle podjęła też studia z zakresu prawa ochrony środowiska. I o ile jego działania na rzecz ochrony przyrody motywowała chęć zysku, o tyle Stella była prawdziwie ideową obrończynią środowiska naturalnego. Wiedziała o jego transakcjach pod stołem, ale umiała zachować zdrowy rozsądek. Mieszkają w Luizjanie, a tu nic się nie dzieje bez cichych uzgodnień. Nie mówiąc o tym, że duża część lewych dochodów ojca i tak trafia na fermę w postaci różnych przedsięwzięć z zakresu ochrony przyrody.

Joe patrzył, jak Stella schodzi z ganku i zbliża się do kładki nad pierwszą sadzawką z aligatorami. Za plecami znów usłyszał odgłos kroków i tym razem drewniana podłoga ganku aż zadrżała. Z domu wyszła żona, wycierając pulchne ręce w kuchenną ścierekę. Wzięła do ręki butelkę z piwem i potrząsnąwszy, sprawdziła zawartość, po czym bez słowa podała mężowi nową, którą wyjęła z kieszeni fartucha.

— Dzięki, Peg.

Stanął obok niego, oparła się łokciami o poręcz i zaczęła saczyć resztkę piwa ze starej butelki. Była zażywną kobietą, ale Joe lubił ją taką. Sam zresztą też nie należał do chudeuszy, a jego pokaźny brzuch z roku na rok coraz bardziej zwisał nad kłamrą paska. Ukryta pod czapką z emblematem LSU\* linia włosów z każdym rokiem równie szybko się cofała.

— Wolalabym, żeby nie ubierała się tak skąpo — powiedziała Peg.

Patrząc na Stellę, zbliżającą się do głównej sadzawki, Joe

\* LSU — Louisiana State University — Uniwersytet Stanowy Luizjany-

102

pomyślał, że rozumie zatroskanie żony. Dziewczyna miała na sobie bardzo kuse szorty, króciutką bluzkę odsłaniającą pępek, związaną pod piersiami, i bose stopy. Na pewno nie odziedziczyła po rodzicach genu otyłości. Na jej obdarzonym łagodnymi wypukłościami ciele nie było grama tłuszczu, a długie blond włosy czyniły z niej prawdziwą Wenus rozlewisk. Joe widział, jakie wrażenie wywiera na miejscowych chłopakach, ale ona jakby w ogóle ich nie dostrzegała.

Prawdę powiedziawszy, szanse na to, że będzie mógł kiedyś przemianować fermę na fermę dziadka Joego, wyraźnie malały. Zaczynał podejrzewać, że zainteresowania Stelli idą w zupełnie innym kierunku. Jak na jego gust za dużo opowiadała o swojej przyjaciółce z Tulane, która zjawiała się ubrana w motocyklową kurtkę i skórzane buty do kolan.

Choć może to tylko taki okres w jej życiu.

Upił z butelki zdrowy łyk.

Gdyby tak udało jej się spotkać odpowiedniego chłopaka...

— No dalej, tłusciuchu, nie masz ochoty na wieczorną przekąskę?

Stella stała na podeście obserwacyjnym nad największą sadzawką na fermie, oświetloną tylko pojedynczą latarnią na słupie. Światło odbijało się w czarnej wodzie i kryło wszystko, co ruszało się pod powierzchnią. Jedną ręką otworzyła zasuwkę na bramce, trzymając na drugiej tacę z mięsem. Przed chwilą własnoręcznie zabiła cztery kurczaki i ich nadal ciepła krew rozlała się po tacy, ściekając jej po przedramieniu.

Skrzywiła się ze wstrętem i wyszła na wystający koniec Podestu, który wisiał nad sadzawką jak trampolina. Stała na samym końcu i schyliła głowę, wpatrując się w swoje odbicie.

Na wodzie nie było nawet jednej zmarszczki, ale Stella Wiedziała, że Elvis tam jest. Stary samiec przebywał na ich fermie najdłużej ze wszystkich i był jednym z oryginalnych mieszkańców pierwszego stawu hodowlanego, który jej tata

103

kupił wraz z całym terenem. Ponieważ schwytano go na wolności, nikt nie znał jego dokładnego wieku, ale konsylium biologów uznało, że musi mieć około trzydziestu lat. Naukowcy przyjechali na fermę, by pobrać próbki krwi od jej mieszkańców. Panowała opinia, że białko zawarte w krwi aligatora może stać się punktem wyjścia dla nowej generacji silnych antybiotyków które będą mogły zwalczyć nawet najbardziej odporne szczepy bakterii.



Ale nawet biolodzy nie odważyli się podejść do mierzącego pięć i pół metra i ważącego dobrze ponad pół tony aligatora. Elvisa się po prostu nie zaczepiało. Minał już jego okres rozrodczy, miał całą sadzawkę dla siebie i był z tego bardzo zadowolony.

I niewątpliwie rozpieszczony.

Stella postawiła tacę, przyklękła i chwyciwszy zakrwawiony kawałek kurczaka, wyciągnęła rękę nad wodą. Spadające kropelki krwi tworzyły ledwo widoczne kręgi.

Nie musiała długo czekać.

Na drugim końcu sadzawki woda zmarszczyła się w zwrócone ku niej szpicem V. Nad wodą ukazał się czubek pyska i zaczął niespiesznie, ale zdecydowanie sunąć w jej stronę. Parę metrów dalej zabulgotało w miejscu, gdzie poruszył się potężny ogon Elvisa, wciąż jeszcze ukryty pod wodą. W jego ruchach było niemal coś erotycznego, co skłoniło ludzi do nadania mu takiego imienia.

— Pospiesz się, Elvis. Nie mam dla ciebie całej nocy. — Potrząsnęła korpusem kurczaka.

Jakby dotknięte jej uwagą zwierzę zanurzyło się i zniknęło pod wodą. Zmarszczki na powierzchni wygładziły się i w tym momencie Stella zamarła. Kątem oka dostrzegła ruch w lesie za sadzawką. Coś jasnego przemknęło wśród drzew, mignęło w świetle księżyca i znikło w ciemnościach. Przez chwilę wpatrywała się w gęstwinę, nie będąc pewna, czy jej się tylko zdawało. Miejscowi opowiadali historie o zjawach i upiorach pojawiających się na mokradłach. W rzeczywistości były to

104

zazwyczaj płonące gazy bagienne zwane przez Cajunów feu follet, „szalonymi ogniami”.

Ale tym razem to nie był gaz bagieny.

Wyteńczyła wzrok i słuch w nadziei, że jeszcze coś usłyszy lub zobaczy, ale jej skupienie przerwał gwałtowny chłopot tuż pod nią. W górę wystrzeliła fontanna wody, a wraz z nią półtonowe opancerzone cielsko. Potężna rozwarta paszcza z rzędem wyszczerbionych żółtych zębów znalazła się tak blisko niej, że mogłaby wyciągnąć rękę i poklepać zwierzę po nosie.

Elvis potrafił wyskakiwać z wody tak wysoko, że nawet jego tylne łapy zawisały w powietrzu.

Stella wrzuciła kurczaka w rozwartą paszczę, paszcza zamknęła się z głośnym kłapnięciem, siła ciężenia zrobiła swoje i Elvis z pluskiem opadł do wody. Wyrzucając kolejną fontannę, zwierzę zanurzyło się wraz ze swoją zdobyczą.

Stella wrzuciła do wody jeszcze dwa kurczaki. Zwykle aligatory do pożywienia przyciąga ruch, ale Elvis przywykł do jedzenia z ręki. Wiedziała, że dwa pozostałe kawałki wyłowi z wody, kiedy mu przyjdzie ochota. Pomna słów ojca czwartego kurczaka zostawiła na tacy.

Podniosła tacę i odwróciła się. Nagle bramkę prowadzącą na podest zasłonił jakiś wielki cień i Stella aż się cofnęła. Niewiele brakowało, a zsunęłaby się z pomostu do wody.

Przejsście zagradzał jednak tylko jeden z wynajętych przez ojca strażników. Miał na ramieniu strzelbę kaliber 12 i stał oparty o otwartą bramkę.

— Nakarmiłeś już bydlaka? Widzę, że został ci jeszcze jeden kurczak.

Mężczyzna wszedł w krąg światła latarni. Był o jakieś dziesięć lat od niej starszy i zbudowany masywnie jak byczek, tyle że strasznie niechłujny. Spod wymiętoszonego stetsona wymykały się strąki tłustych szaroburych włosów. Trzymał w ustach wykałaczkę i mówiąc, przesuwając ją z kąta w kąt. Jedną rękę opierał na wielkiej klamrze w kształcie byczych rogów.

Stella skrzywiła się i ruszyła w jego stronę.

105

— A ty nie powinienesz robić obchodu? Chyba za to tata ci płaci, nie?

Oparł drugą rękę na biodrze, zupełnie zagradzając jej przejście.

— A może byś się postarała, wróciła do domu i usmażyła mi tego kurczaka, co?

Prześlizgnął się po niej spojrzeniem od góry do dołu, jakby nie tylko kurczak go interesował. Stella poczuła, jak wzbiera w niej odraza, ale i strach. Zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji — nie tylko, że jest prawie naga, ale że niebezpiecznie balansuje na wąskim pomoście nad sadzawką, z którego łatwo ją zepchnąć.

Wiedziała o tym mężczyźnie wystarczająco dużo, by się go bać. Garland Chase — przez kumpli nazywany Gar\* z uwagi na fizyczne podobieństwo do paskudnej węzowatej ryby, postrachu

okolicznych mokradeł — był synem miejscowego szeryfa. Wszyscy mieszkańcy parafii Pasquamish wiedzieli, że tatuś odwraca głowę i pozwala synkowi na różne niezbyt zgodne z prawem wyskoki, w tym na kierowanie grupą lokalnych reketierów. Ojciec Stelli płacił temu draniowi comiesięczny haracz na „fundusz sierot po policjantach”.

— Tata płaci ci wystarczająco dużo — burknęła. — Możesz sobie sam kupić kolację. Okazując więcej odwagi, niż w rzeczywistości czuła, ruszyła zdecydowanym krokiem do bramki. Nie może dać się zastraszyć. Gar zrobił krok do tyłu, ale tylko jeden. Chciała się obok niego prześlizgnąć, ale on opuścił rękę i zablokował przejście masywnym ramieniem. Pochylił ku niej głowę, w jego oddechu poczuła alkohol.

— A co? Lesby nie umiały gotować? — parsknęła. — A może twoja kumpelka zajmuje się gotowaniem? Potrzebujesz prawdziwego chłopca... takiego, co by cię nauczył obsługiwać i być dobrą żoną.

\* Gar (ang.) — belona, ryba drapieżna z gatunku węgorzowatych.

106

Strach nagle przerodził się we wściekłość.

— Już bym prędzej dała dupy Elvisowi! — wrzasnęła.

Mężczyzna zeszywniał, a jego mięsiste wargi rozciągnęły się w obłęsnym uśmiechu.

— To cię może tam wrzucę, żebyś mogła spróbować. Na mokradłach wciąż zdarzają się wypadki.

Stella wiedziała, że jego słowa nie są pustą groźbą. Ktoś taki jak on może się do tego posunąć. Gar i jego kumple mają na sumieniu niejednego takiego „wypadek”. Był to jeden z powodów, dla których jej tata nigdy nie ościagał się z płacaniem.

Odepchnęła jego ramię, ale ją przytrzymał. W jego wzroku błysnęła nienawiść.

I właśnie w tym momencie rozległ się krzyk — głośny, ostry, przeraźliwy.

Oboje odwrócili głowy.

Krzyk dochodził od strony obozowiska skautów.

14

Lorna siedziała samotnie na dziobie kutra patrolowego, który sunął gładko wąskim kanałem pośród wiekowych cyprysów. Niskie buczenie silnika działało na nią usypiająco. Aż dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona, i błądząc wzrokiem po rozlewisku, próbowała choć trochę się odprężyć.

Z przodu dochodził jęklivy warkot dwóch łodzi śmigłowych, które osiemset metrów przed nimi przecierały trasę. Poświata ich szperaczy wyglądała z tej odległości jak błędne ogniki. Bliżej powietrze rozbłyskiwało chmurami światełek, które migotały w gałęziach i przelatowały nad kanałem w bojowej formacji.

Lorna słuchała oddechu otaczającego ją rozlewiska: chłopotu wody obmywającej pnie cyprysów i szumu liści w nagłych podmuchach wiatru znad zatoki, którym towarzyszyło donośne skrzeczenie żab, pohukiwanie sów i naddźwiękowe gwizdy polujących nietoperzy. Pod tymi symptomami życia wyczuwała coś ponadczasowego i uśpionego, coś pozwalającego wejrzeć do prehistorycznego świata stanowiącego część pierwotnego Edenu.

— Nie jesteś głodna?

Aż drgnęła na dźwięk męskiego głosu. Zatopiona w myślach była bliska zaśnięcia. Wyprostowała się, czując zapach czegoś pysznego i mocno przyprawionego, co nagle wdarło się w błotnistą woń rozlewiska.

108

Jack pod pachą jednej ręki trzymał hełm, w drugiej parującą plastikową miskę.

— Gumbo\* z langust. Mam nadzieję, że lubisz okrę.

— Jestem z południa, jak mogłabym nie lubić?

Z wdzięcznością przyjęła miskę i zaskoczona zobaczyła pływające po wierzchu dwa kawałki tostu zwanego z francuska pain perdu. Jej matka robiła takie tosty na niedzielne śniadania: przez noc moczyła w mleku z dodatkiem cynamonu kawałki czerstwego chleba i rano smażyła na patelni.

Zapach rozchodził się po całym domu. Jednak Lorna nigdy nie jadła pain perdu jako dodatku do gumbo.

Niepewnie nabrała kawałek na łyżkę.

— Według przepisu mojej grand-mere — oznajmił Jack z uśmiechem w głosie. — Nie bój się, spróbuj.

Wzięła do ust kęs namokniętego chleba i aż przymknęła oczy.

— Omójboże...

Połączenie gorącego gumbo z cynamonową słodyczą wręcz ją oszołomiło.

Uśmiech z głosu przeniósł mu się na twarz.

— Cajunowie wiedzą co nieco o gotowaniu — powiedział.

Usiadł obok i patrzył, jak Lorna pałaszuje zawartość miski.

Oboje milczeli, ale już po chwili zaczęli czuć się niezręcznie, bo upiory przeszłości w otaczającej ciszy i mroku rozlewiska nabierały aż nadto realnych kształtów.

Jack przemówił pierwszy. Jakby chciał rozgnać mrok, machnął ręką i uchwycił przelatującą kroplę światła. Otworzył dłoń i pokazał świetlika, ale już ciemnego i pozbawionego magii, zwyczajnego maleńkiego chrząszcza.

— O ile moja grand-mere była wspaniałą kucharką, o tyle mój grand-pere był niezłym znachorem. Znał się na wszystkich domowych sposobach leczenia. Kąpiel w wodzie z trawą pieprzową na wszelkie bóle, spanie pod łóżkiem na gorączkę.

\* Gumbo — gęsta, ostro przyprawiona zupa gulaszowa z owoców morza, specjalność Luizjany.

109

Rozgniecione świetliki zalewał spirytusem i sporządzał miksturę. Twierdził, że jest dobra na reumatyzm.

Jack dmuchnął na świetlika, a ten zerwał się do lotu, znowu radośnie błyskając.

— Do dziś pamiętam, jak łąził po domu w krótkich kalesonach, z kolanami i ramionami wysmarowanymi mazią, która po ciemku świeciła.

Lorna nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— Twój brat kiedyś mi o tym wspomniał. Powiedział, że się śmiertelnie wystraszył.

— Pamiętam. Grand-pere odszedł, kiedy Tom miał zaledwie sześć lat. Był za mały, żeby to rozumieć. Oczywiście specjalnie mu nie pomagało to, że ile razy na rozlewisku widzieliśmy ogień bagienne, wmawiałem mu, że idzie po niego duch grand-pere.

Uśmiechnęła się do ich wspólnych wspomnień o Tomie. Znow zapadło milczenie. Na tym polegał problem przebywania w towarzystwie Jacka: każda rozmowa budziła upiory przeszłości.

Mogli w tym momencie pozwolić, by cisza ich przygniotła i ostatecznie rozdzieliła, jednak Jack nie ruszył się z miejsca. Było tak wiele niedopowiedzianych spraw, od lat niewyjaśnionych. Następne słowa wypowiedział szeptem, który bardziej przypominał oddech, ale Lorna i tak je dosłyszała.

— Muszę cię o to spytać... Czy czasami żałujesz swojej decyzji?

Zesztywniała. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, przynajmniej nie otwartym tekstem. Ale jeśli ktokolwiek zasługuje na szczerą odpowiedź, to właśnie Jack. Jej oddech przyspieszył, myśli pobiegły do tamtej chwili w łazience i paska testu ciążowego w rękę. Jak zwykle przeszłość była na wyciągnięcie ręki.

— Gdybym mogła wszystko cofnąć — powiedziała cicho — tobym to zrobiła. I nie tylko ze względu na Toma. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślała. — Jej ręka odruchowo spoczęła na brzuchu. — Powinnam była być silniejsza.

110

Jack przez sekundę milczał, ważąc w myślach słowa.

— Oboje byliście jeszcze dziećmi.

Lekko pokręciła głową.

— Miałam piętnaście lat. Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, co robię. Przed i po.

Po wiosennej potańcówce poszli się kochać w szopie ogrodowej za jej domem. Oboje byli zieloni i zakochani. Spotykali się od blisko roku i dla obojga był to pierwszy raz. Zbliżenie okazało się bolesne, niezdarne i pełne mylnych wyobrażeń.

Na przykład że nie zachodzi się w ciążę za pierwszym razem.

Kiedy nie dostała okresu i uzyskała potwierdzenie w postaci wyniku testu ciążowego, wyobrażenia legły w gruzach. Oboje przytłoczył ciężar rzeczywistości i odpowiedzialności. Nikomu o tym nie powiedzieli, utrzymując w tajemnicy dręczącą prawdę, która jednak nie chciała odejść. W ciągu następnego miesiąca Lorna niemal wyczyściła z testów ciążowych aptekę w sąsiednim miasteczku. Codziennie wieczorem klękała i modliła się żarliwie.

Co mogli zrobić?

Nie była jeszcze gotowa na dziecko, na zostanie matką. Tom drżał ze strachu na myśl o reakcji ich rodziców. Lorna została wychowana w wierze katolickiej i przyjęła pierwszą komunię w katedrze Świętego Ludwika. Nie widzieli wyjścia, zwłaszcza jeśli jej rodzice dowiedzą się prawdy.

I wtedy Tom znalazł rozwiązanie. W sąsiedniej parafii mieszkała akuszerka, która potajemnie robiła skrobanki. I to nie żadna tam znachorka, dłubiąca drucianym wieszakiem, ale położna wyszkolona w przychodni świadomego macierzyństwa, która korzystając z nabytych umiejętności i zdobywanych na czarnym rynku narzędzi i lekarstw, urządziła prywatną przychodnię aborcyjną w starym domu w rejonie delty. Interes kwitł. Jej klientkami były nie tylko przerażone nastolatki, ale także niewierne żony, ofiary gwałtów i wszystkie kobiety, które chciały po cichu usunąć ciążę. W południowej Luizjanie nigdy ich nie brakowało. W tutejszym środowisku obowiązywała

111

żelazna zasada: jeśli się o czymś nie rozpowiada, to się to nie wydarzyło.

I na tym polega potęga rozlewisk: w ich mrocznych zakamarkach tajemnice mogą skutecznie utonąć.

Ale to oczywiście złudzenie, że sekrety znikają raz na zawsze. Zawsze jest ten, kto musi z nimi żyć.

I często bywa tak, że coś, co miało raz na zawsze zniknąć, nagle znów wypływa na powierzchnię.

Jack czuł, jak bolesny jest ten temat dla Lorny, widział bijący z niej smutek. Powinien trzymać język za zębami. Nie ma prawa jej wypytywać, wbijać jeszcze jedną szpilę w jej serce. On nosi swój własny ciężar, z którym musi się uporać. Może nawet dlatego się tu znalazł. Chciał znaleźć jakiś sposób na wybaczenie sobie.

— Tom nigdy nie wspomniał słowem o ciąży — powiedział cicho. — Nawet mnie. Ale mieliśmy wspólny pokój i czułem, że coś jest nie tak. Zrobił się posepny i milczący, snuł się po domu, jakby czekał, że nagle dostanie od kogoś po głowie. Tak było aż do tego wieczoru, kiedy zadzwonił pijany i zaczął szlochać do słuchawki... jakby szukał rozgrzeszenia u starszego brata. Lorna podniosła głowę. Nigdy o tym nie słyszała.

— I co powiedział? — spytała.

Jack potarł zarośnięty podbródek, ale dźwięk był zbyt drażniący, więc przestał.

— W tym czasie byłaś u akuszerki. Czekając na ciebie, polazł do meliny bimbrownika i się spał.

Patrzyła na niego wyczekująco. Jack wiedział, że ta część opowieści jest jej dobrze znana.

— Tak bełkotał, że prawie go nie rozumiałem. Ale zrozumiałem tyle, że zrobił ci dziecko.

— To nie była tylko jego wina.

Jack skinął głową i ciągnął:

112

— Ale nękało go poczucie winy. Był przekonany, że zrujnował ci życie, że go za to zniechęcisz. Ale najbardziej ze wszystkiego gnębiło go to, że to on cię tam wysłał. Że to była zła decyzja, a teraz jest już za późno.

Lorna popatrzyła na niego.

— Wiedziałaś, że jest przerażony... tak jak ja. Ale nie wiedziałam, że aż tak go to dręczyło. Tłamsił to w sobie.

— Tak postępują Cajunowie. Joie de vivre. Nie rozmawiają

o kłopotach, zwłaszcza mężczyźni. Pewnie dlatego się upił. Chciał się znieczulić, żeby sobie z tym poradzić.

Lorna zmarszczyła czoło.

— Kiedy wyszłam i zobaczyłam, że bełkocze i ledwo trzyma się na nogach, potwornie się

wściekłam. Byłam cała obolała

I półprzytomna od środków znieczulających, a on pijany. Wydarłam się i strasznie go opieprzyłam. Zamierzaliśmy po zabiegu pojechać do hotelu. Moi rodzice wiedzieli, że nocuję u koleżanki. Wszystko zostało zaplanowane. Ale kiedy go zobaczyłam w takim stanie, uznałam, że musimy spędzić noc w jego pick-upie. Poczekać, aż wytrzeźwieje.

Jack usłyszał wahanie w jej głosie i domyślił się przyczyny.

— Tylko że Tom nie pił sam.

— Właśnie.

Mniej więcej w tym czasie Jack szalał po okolicy na motorze. Po pijackim telefonie Toma uznał, że brat potrzebuje pomocy i że z całą pewnością nie może prowadzić samochodu.

Lorna zaczęła mówić beznamiętnym tonem, jakby chciała się odciąć od tamtego wspomnienia.

— Kiedy się zjawili, Tom leżał już nieprzytomny na pace pik-upa. Wyciągnęli mnie z łóżka w szoferce i nim się zorientowałam, rzucili mnie na ziemię. Próbowałam walczyć, ale mnie obezwładnili. Ściągnęli mi dzinsy do kolan i poszarпали bluzkę.

— Nie musisz do tego wracać, Lorno.

Nie zareagowała, jakby go nie usłyszała.

— Nie mogłam ich powstrzymać. Do dziś pamiętam cuch-

113

nący alkoholem oddech tamtego bydlaka. I jego rechot. I obmacujące mnie ręce. Powinam być ostrożniejsza.

Głos jej się załamał, po ciele przebiegł dreszcz.

— To dzikie bestie — powiedział Jack. Chciał jej pomóc w zwalczeniu poczucia winy. — Pewnie stale kręcili się koło domu tej akuszerki. Półprzytomne kobiety stanowiły łatwą zdobycz. I która odważyłaby się zgłosić napaść? Kobiety wymykały się po cichu, bo miały na sumieniu nielegalną aborcję w nielegalnym gabinecie. Ich milczenie było praktycznie zagwarantowane. Łajdacy pewnie spili Toma podłym bimbrem, żeby im nie przeszkadzał. Żebyś została sama i bezbronna.

— Ale tak się nie stało. — Zwróciła ku niemu twarz, jej oczy rozbłyły w mroku.

Bo właśnie wtedy nadjechał do nich Jack, z poślizgiem hamując na parkingu. Pod lasem dostrzegł bandziorów szarpiących Lornę, dał się ponieść emocjom i bez namysłu popędził w ich stronę, zdołał się jednak opanować. Uznał, że przy stosunku sił trzech na jednego musi tak brutalnie zaatakować pierwszego, żeby tamci dwaj się wystraszyli i by odeszła im ochota na włączenie się do walki. Złapał tego, który leżał na Lornie i wykręcił mu rękę z taką siłą, że kość nie wytrzymała i pękła z trzaskiem. Łajdak rozdarł się na całe gardło, ale Jack na tym nie poprzestał. Ze zwierzęcą zawziętością rzucił się na niego z pięściami, łamiąc nu nos, gruchocąc kość policzkową i wybijając dwa przednie zęby.

W trakcie tego wszystkiego zdążył jeszcze krzyknąć do Lorny, żeby uciekała. Kazał jej biec do pick-upa i odjechać. Nie był pewny, czy napastnicy nie mają jakichś kumpli, którzy zwabieni hałasem przyłączą się do walki.

Lorna posłuchała, ale przy drzwiach szoferki jakby się zawahała, a on, widząc to, pomyślał, że paraliżuje ją strach.

— Uciekaj, ty głupia dziwko! — wrzasnął. Do dziś żałował tych słów. Były okrutne i miały straszne konsekwencje.

Lorna wskoczyła do samochodu i ruszyła z rykiem silnika. Młóćąc twarz leżącego na krwawą miazgę, Jack patrzył, jak

114

pick-up niepewnie wjeżdża w wąską krętą drogę wiodącą wśród rozlewisk. Nie wiedział, że jego brat leży nieprzytomny na pace i dopiero później, już po wypadku, dowiedział się prawdy. Lorna pogubiła się w ciemnościach, źle obliczyła promień skrętu i wyrznęła w drzewo.

Życie uratowała jej poduszka powietrzna.

Toma znaleziono piętnaście metrów dalej z twarzą w wodzie.

Lorna widziała smutek w twarzy Jacka. Niewiele pamiętała z tego, co się z nią działo po wypadku.

Wydarzenia kilku następnych dni zlały się w jedno zamglone pasmo.

Ostateczny werdykt, jaki zapadł, był typowy dla wymiaru sprawiedliwości w Luizjanie. W wyniku porozumienia za zamkniętymi drzwiami skazano ją za prowadzenie pojazdu w stanie ograniczonej poczytalności, ale nie w wyniku nadużycia alkoholu, jak powszechnie sądzono po badaniu toksykologicznym zwłok Toma. Poziom alkoholu w jego krwi czterokrotnie przekraczał dopuszczalną normę. U niej stan ograniczonej poczytalności wynikał z zażycia środków znieczulających, jednak tej części werdyktu nie upubliczniono, by zaoszczędzić jej rodzicom dodatkowego upokorzenia.

Jack w zeznaniu złożonym sędziemu za zamkniętymi drzwiami wyjaśnił, dlaczego Lorna w ogóle usiadła za kierownicą. Jego z kolei oskarżono o brutalną napaść.

Ze wstydem musiała przyznać, że nigdy potem nie próbowała dowiedzieć się, jak potoczyły się jego losy. Jack po prostu zniknął.

— Co się z tobą działo? — spytała. — Po rozprawie?

Westchnął i pokręcił głową.

— Ten gość, którego pobitem i który się na ciebie rzucił, miał dobrze ustawioną rodzinę. Lornę zatkało. Gorączkowo próbowała dopasować tamto wspomnienie do słów Jacka. Była zdumiona, ale po chwili pojawiła się złość.

115

— Zaraz, myślałam, że nigdy go nie zidentyfikowano.

W trakcie napaści nie miała czasu mu się przyglądać. A ludzie z rozlewisk trzymają gęby na kłódkę.

— Szybko mnie puścili — powiedział Jack. — Jak się teraz nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że bali się oskarżyć mnie wprost. Przed sądem powiedziałbym o próbie gwałtu.

Przestępstwie, na które w tych stronach często patrzy się przez palce, bo chłopcy to chłopcy, ale woleli nie ryzykować. Poza tym nie zostałaś zgwałcona, więc nic takiego się nie stało.

Jack musiał wyczuć, że Lorna słysząc to, trochę się nastroszyła, bo szybko dodał:

— To były ich słowa, nie moje. Tak czy siak, sprawa nigdy nie trafiła do sądu. Ale nie mogli pozwolić, żebym tak po prostu sobie poszedł. Jego rodzina miała układy, moja nie. My mieliśmy wieloletnią tradycję utarczek z prawem. Jak może pamiętasz, Randy siedział wtedy za napaść na policjanta. Dali mi do zrozumienia, że jeśli nie pójdę im na rękę i nie będę trzymał języka za zębami, może mu się przytrafić coś złego. No i stanąłem przed wyborem: iść do więzienia albo wstąpić do marines.

— I dlatego wyjechałeś?

— Nie miałem innego wyjścia. — Świadomie unikał jej wzroku. — I jeśli mam być szczery, z radością wyjechałem. To ja kazałem ci wsiąść do tego pick-upa i odjechać. Jak mógłbym spojrzeć w oczy mojej rodzinie? A gdy po dwóch turach służby wróciłem do domu, łatwiej mi było milczeć. Pozwolić umarłym spoczywać w pokoju.

Lorna doskonale to rozumiała. U niej w domu też nigdy nie rozmawiało się o całej sprawie. Bo jeśli się o czymś nie mówi, to się to nie zdarzyło.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, ale cisza nie była już tak brzemienna ani tak niezręczna.

Przerwał ją odgłos kroków.

Dołączył do nich zastępca Jacka, któremu Jack już wcześniej ją przedstawił. Scott Nester pochodził z Arkansas i prostacko przeciągał głoski, jak to robią w tamtych stronach. Ale poza tym był pod każdym względem profesjonalistą.

116

— Szefie, nie udało nam się nawiązać łączności radiowej z nikim na tej fermie. Co mamy dalej robić? Mogę powiedzieć załodze helikoptera, żeby tam poleciełi.

Jack wstał. Musiał przejąć dowodzenie, a to oznaczało koniec wspomnień.

— Sugerowaliśmy mieszkańcom ewakuację, więc może nikogo tam nie ma. Udało ci się uzyskać potwierdzenie, że się stamtąd wynieśli?

— Kesler przez cały czas ich wywołuje.

Jack przez chwilę bił się z myślami, czy wysłać helikopter. Lorna pomyślała, że to nie najlepszy pomysł i ostrzegawczo uniosła rękę.

— Helikopter narobi strasznie dużo hałasu, będzie świecił reflektorami... Jeśli ta kocica jest w pobliżu, zamieszanie może ją wypłoszyć. Stracimy szansę na jej wytropienie.

Jack zastanowił się nad jej słowami i spojrział na zegarek.

— Powinniśmy tam doflynąć w ciągu pięciu minut. Helikopter nie doleci szybciej. Mimo to połącz się z pilotem. Niech grzeje silnik. Nie chcemy, żeby...

Przerwał mu głośny tupot wojskowych butów. Podbiegł do nich jeden z agentów o wyglądzie nastolatka.

— O co chodzi, Kesler? — rzucił Jack.

— Szefie, właśnie dostałem wiadomość o fermie.

— Ewakuowali się?

— Nie, szefie. Znaczy się, nie wiem, szefie.

Jack popatrzył na młodzieńca tak, jakby go chciał uspokoić.

Chłopak głośno przełknął ślinę.

— Po wielu wywołaniach dostałem wreszcie odpowiedź. Z miejscowego hufca skautów.

Mówią, że ich drużyna wyruszyła rano w pobliże fermy na tygodniowy obóz.

Lorna poczuła, że jej serce zamiera.

— Od tej pory nie mają z nimi kontaktu.

15

Stella ruszyła biegiem w stronę obozu. Głośne krzyki i piski dzieci nadal wypełniały wieczorne powietrze, ale teraz towarzyszyły im spokojniejsze głosy wychowawców i dyżurujących rodziców. Jej bosa stopy plaskały o drewniane klepki kładek, zza jej pleców dochodził ciężki tupot buciorów Garlanda Chase'a. Przyciskając do ust walkie-talkie, puścił przez nie soczystą wiązanekę.

— Niech wszyscy kierują się w stronę obozu! — rzucił na zakończenie.

Biegło coraz więcej osób, ale Stella jako pierwsza dotarła na plac obozowiska. Na sznurach wisiały zapalone lampiony, wciąż jeszcze płonęło kilka ognisk. Stały tam rozmaite namioty w różnych kolorach — od starych z wojskowego demobilu po wymyślne altanki z miejscowego sklepu ze sprzętem turystycznym. Na ziemi leżały sterty kajaków, sprzęt wędkarski i puste śpiwory, rozciągnięte niczym porzucone wylinki zmieniających skórę węży.

Podbiegła do jednego z dorosłych — zażywnego mężczyzny z pokaźnym brzuchem, ledwo mieszczącym się pod zielonkawą bluzą skautowskiego munduru. Jego twarz była spocona i purpurowa z emocji i wysiłku.

— Co się stało?! — wy sapła.

118

Krzyki dochodziły z drugiego końca obozowiska, ale wydawało się, że już zamierają.

— Kilku chłopców się wystraszyło. — Spojrział na nią ponuro. — Poszli zbierać drewno na ognisko i upierają się, że widzieli bagiennego potwora. Wrócili z wrzaskiem do obozu. Po tych wszystkich opowieściach o upiorach, jakie opowiadają sobie przy ogniskach, to było jak dolanie oliwy do ognia. Wszyscy zaczęli biegać i wrzeszczeć, jedni ze strachu, drudzy dla draki.

Gar zaklął pod nosem. W jednej ręce trzymał strzelbę, drugą opierał na kolanie i zgięty w pół ciężko dyszał.

— Cholerni smarkacze...

— Przykro mi — powiedział szef obozu. — Zaraz opanujemy sytuację i zapędzimy wszystkich do spania. Zaraz całe to zamieszanie się skończy.

Nadbiegł jeden ze skautów. Miał rudą czuprynę, piegowatą twarz i wyglądał na osiemnastolatka. Na jego piersi widniała odznaka zdobywcy dwudziestego pierwszego stopnia sprawności i zapewne pomagał wychowawcy jako drużynowy. Trzymał za łokieć jedenastoletniego chłopca.

— To jeden z tych, co narozrabiali — oznajmił.

Chłopiec miał na sobie kąpielówki i T-shirt z nadrukiem

„Gryffindor House”. Wytrzeszczał oczy i trząsł się ze strachu, ale nie w obawie przed reprimendą.

Przeciwnie, chyba w ogóle nie zauważył obecności wychowawcy, bo ani na chwilę nie odrywał wzroku od lasu.

Wychowawca wziął go pod brodę i zmusił, by na niego spojrział.

— No i patrz Ty, do czego doprowadziłeś swoimi głupimi bujdami. Chcesz, żebym od razu odesłał cię do domu? Co powiedzą twoi rodzice?

Chłopiec próbował się wyrwać. Widać było, że jest bliski paniki. Cokolwiek chodziło po lesie, dzieciak był święcie przekonany, że zobaczył potwora.

Stella przyklękła, by znaleźć się na wysokości wzroku chłopca, wyciągnęła rękę i uwolniła go z rąk tamtych.

119

— Ty, opowiedz mi, co widziałeś — poprosiła łagodnie.

Chłopiec spojrział w stronę lasu, potem na nią.

— Dobrze nie widziałem — wydukał zduszonym szeptem. — Było całe białe. Widziałem, jak przeskoczyło przez wodę i schowało się w lesie. Wtedy uciekliśmy.

— Pewnie jeleń — prychnął lekceważąco Gar. — Smarkacz zląkł się ciemności, i tyle. Pełen agresji ton Gara spowodował, że chłopiec zaczął jeszcze bardziej dygotać. Stella skrzywiła się i kazała strażnikowi się zamknąć. Nie miała wątpliwości, że chłopiec coś widział. Tylko co? Pamiętała, że jej też błysnęło coś w zaroślach. Błada sylwetka, zdająca się jarzyć w świetle księżyca.

— To było duże — dodał chłopiec. — Większe od jelenia.

— Jak duże?

— Jak... boja wiem... — Rozłożył szeroko ramiona. — Co najmniej jak mały samochód.

Gar znów prychnął pogardliwie i powiesił sobie strzelbę na ramieniu.

Czując na plecach zimny dreszcz, Stella wyprostowała się i zwróciła do szefa obozu:

— Proszę, żeby pan zebrał wszystkie dzieci i zapraszam do nas do domu.

Wskazała piętrowy dom rodziców. Zbudowany z cyprysowych bali przetrwał atak „Katriny”.

Wolała, żeby wszyscy byli pod dachem, nie na otwartej przestrzeni.

— Co pani przyszło do głowy? — zachnął się szef. — Po co?

Stella zaczerpnęła powietrza. Wcześniej słyszała komunikat

radiowy o wielkim kocie, który wałęsa się w pasie przybrzeżnym. Nie podano szczegółów, z wyjątkiem jednego: zwierzę jest ogromne. Zaczęła mówić, uważając, by w jej słowa nie wkradła się panika:

— Dostaliśmy komunikat o wielkim jaguarze, który pojawił się na rozlewisku. Przedostał się z rozbitego statku na zatoce dość daleko stąd, ale lepiej nie ryzykować.

120

Szefa obozu замуrowało.

— Dlaczego... dlaczego nikt mi o tym... — wyjąkał.

Dopiero teraz nadbiegła grupa strażników Gara. Sapali

z wysiłku, w rękach trzymali strzelby. Ich zjawienie się dodało Garowi animuszu.

— Niech się wszyscy uspokoją — powiedział, unosząc rękę. — Też o tym słyszałem. Wielki czy nie, nie ma takiej możliwości, żeby jaguar przebył taki kawał drogi w jeden dzień. Więc nie podniecajmy się tylko dlatego, że jakiś smarkacz wystraszył się własnego cienia.

Szef obozu wyglądał na niezdecydowanego. W końcu to on jest odpowiedzialny za uczestników.

— Wyślę moich ludzi, żeby się rozejrzeli — uspokoił go Gar. — Jeśli w lesie coś jest, to to znajdą.

Strażnicy uśmiechnęli się i potrząsnęli strzelbami.

— Proszę bardzo — rzekła Stella. — Ale ja i tak zabieram obozowiczów do domu.

Przez chwilę wyglądało na to, że Gar będzie się stawiał, w końcu jednak tylko wzruszył ramionami.

— Dobra. To ja też z wami wracam. A ty uważaj — dodał, patrząc groźnie na chłopca — żeby więcej nie było z tobą kłopotu. — Odwrócił się i polecił swoim ludziom przeczesać pobliski las.

Stella zwróciła się do wychowawcy:

— Proszę zrobić zbiórkę wszystkich dzieci. Najszybciej i najciszej, jak to możliwe.

Wychowawca skinął głową. W ciągu paru minut zebrano dzieci i dorosłych w zastępy, po czym wszyscy w szyku ruszyli w stronę fermy. Dzieci były podniecone tą niespodziewaną przygodą, niektórzy dorośli wyglądali na zaniepokojonych, inni na naburmuszonych.



Stella poprowadziła ich ciągiem kładek, pochód zamykał Gar. Choć serdecznie znieubiła tego strażnika, była zadowolona, że tyły zabezpiecza ktoś z bronią w ręku. Idąc, patrzyła na boki na otaczający ich las, ale nie działo się nic niepokojącego.

121

Żaby skrzeczały, świetliki migotały, komary bzyczały i atakowały jak bombardujące myśliwce. A mimo to czuła na karku dziwne świerzbiecie, jakby coś patrzyło na nią z ciemnego lasu.

Z ulgą weszła na schody prowadzące do domu. Dom był duży i wiedziała, że choć zrobi się w nim ciasno, wszyscy się pomieszczą. Jej rodzice czekali na ganku.

— Co się dzieje? — spytał ojciec. — Co to za zamieszanie?

Stella opowiedziała swoją wersję wydarzeń.

Matka wysłuchiwała jej opowieści z niepokojem malującym się na twarzy, po czym wytarła ręce w fartuch i skinęła na dzieci.

— Wszyscy do środka — zarządziła. — Zaraz wam zrobię wielki gar gorącej czekolady.

Stella została na ganku, przyglądając się dzieciom wchodzącym do domu jak kurczęta za kwoką.

Niektóre wyglądały na wystraszone, inne uśmiechały się radośnie podniecone.

Dołączył do niej ojciec.

— Podjęłaś słuszną decyzję, Stell. Peg zajmie się tymi maluchami. Myślisz, że ten kot rzeczywiście się tam kręci?

— To bez znaczenia — rzucił Gar, dołączając do nich. — Moje chłopaki przeszukują las. Jeśli tam jest, już oni dadzą mu popalić.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz,

— Do diabła, to przecież tylko cholerny kocur.

Jakby w reakcji na jego słowa z lasu wychynęło jakieś zwierzę, wskoczyło na kładkę i przywarłszy do desek, zamarło bez ruchu. Wypełniało praktycznie całą szerokość kładki, a błyszczące w świetle księżycy ślepią patrzyły prosto na nich.

— Boże święty... — wyszeptał ojciec Stelli.

Gar cofnął się o krok i przyłożył strzelbę do ramienia.

— Nie strzelaj! — syknęła Stella.

Gar jednak wystrzelił. Huk był ogłuszający, z lufy wydobył się kłęb dymu. Był to typowy, wywołany strachem strzał na wiwat, bo nie było szans na trafienie zwierzęcia z tej odległości. Gar wyrzucił z komory dymiący patron i zarepetował. Ale i tak było już za późno.

122

Na dźwięk strzału zwierzę machnęło długim ogonem i jednym potężnym skokiem wpadło w leśny gąszcz.

— Wszyscy do środka — zarządził ojciec Stelli. — Gar, odwołaj swoich ludzi. Potrzebne nam tu teraz wszystkie strzelby do obrony.

Z lasu dobiegł odgłos kilku strzałów i mrozący krew w żyłach krzyk przerażenia. Trójka na ganku wstrzymała oddechy. Cały las zamarł i nawet żaby przestały skrzeczeć.

Gar nie odejmował kolby strzelby od policzka.

— Joe! — dobiegło ich wołanie matki Stelli.

— Do domu! — rozkazał ojciec.

W chwili gdy zaczęli się wycofywać, do ich uszu dobiegł nowy dźwięk: jęklivy warkot. Dochodził z za domu, gdzie nad głębokim kanałem mieściła się przydomowa przystań i dystrybutor paliwa.

— To łódź śmigłowa — zawyrokowała Stella.

Ktoś płynie do nich w odwiedziny.

Pozostawało mieć nadzieję, że ma dużo broni.

W przestronnym salonie wujek Joe brodził w tłumie dzieci stłoczonych w grupkach na podłodze i wodzących za nim szeroko rozwartymi oczami. Wychowawcy próbowali go o coś pytać, ale on jakby ich nie słyszał. W milczeniu przepychał się do wielkiego kamiennego kominka, który zajmował połowę tylnej ściany. Po obu jego bokach znajdowały się wychodzące na tyły domu szerokie okna, przez które widać było przystań.

Tuż za nim szli jego córka i syn szeryfa.

Gar stanął przy jednym z okien z walkie-talkie przytkniętym do ust i zaczął wzywać do zgłoszenia się.

Czy ktoś z jego ludzi w lesie jeszcze żyje?

Joe z córką podeszli do drugiego okna i stanęli obok siebie. W panującym w pokoju gwarze nie było słycać warkotu silnika i Joe zaczął się rozglądać. Przystań była pusta i w czarnej Wodzie odbijało się tylko światło lamp.

123

A jeśli ta łódź nie płynie do nich?

Nie mieli łączności radiowej i nie mogli się z nikim porozumieć. Po burzy zaczęły się kłopoty z łącznością krótkofalową, co działo się zawsze w wyniku gwałtownych skoków temperatury. Zmiany temperatury otoczenia powodowały skraplanie się wilgoci wewnątrz urządzenia, a to prowadziło do poważnych zakłóceń w odbiorze. Komunikat ostrzegający

0 jaguarze był ledwo słyszalny i wkrótce radio zamilkło. Joe miał zamiar zająć się jego naprawą, ale jeszcze się do tego nie zabrał.

Przebiegł wzrokiem kanał będący jedyną drogą łączącą fermę ze światem.

Był wąski i kręty, ale Joe pogłębił go na tyle, że mogły podpływać większe jednostki i przywozić na fermę pasażerów wielkich statków wycieczkowych. Po obu stronach las nieco przetrzebiono, by wyglądał bardziej malowniczo. Wycięto cały pas zarośli i odsłonięto potężne pnie wiekowych cyprysów, eksponując ich majestatyczny wygląd. Strategicznie rozmieszczono kwitnące krzewy, a zadbane poletka lilii wodnych przy obu brzegach dodawały otoczeniu uroku.

— Tam! — wykrzyknęła Stella, wyciągając rękę.

Daleko w górze kanału świeciło jasne światło i przedzierało się przez gałęzie.

— Dwie! — dodała, dostrzegając drugie światło. — Chyba jednak płyną do nas.

— Zostań przy oknie. Przejdę się na przystań.

— Tato, nie! Przynajmniej poczekaj, aż podpłyną bliżej.

1 weź Gara.

Joe się zawahał. Po chwili z za zakrętu wyłoniła się pierwsza łódź. Gładko i szybko pruła fale napędzana ogromnym śmigłem umieszczonym z tyłu. Reflektor z przodu skierowany był prosto na nich i jego ostre światło na moment ich oślepiło. Joe uniósł rękę i osłonił oczy.

Pierwsza łódź była coraz bliżej przystani i pędziła ku nim,

124

a z za zakrętu wyłoniła się druga. Podążała śladem pierwszej i podskakując na zostawionym przez nią kilwatterze, omiatała kanał nerwowymi błyskami reflektora.

Jedynym ostrzeżeniem było gwałtowne sapnięcie Stelli.

Mrużąc oczy w oślepiającym blasku, Joe dostrzegł potężny cień, który nagle wyskoczył z lasu i wysokim łukiem spadł na pierwszą łódź. Celem ataku był pilot. Zwierzę zepchnęło go z miejsca za sterami i wraz z nim runęło do wody, wprost na gęste skupisko lilii wodnych. Zanim pierwsza fala wywołana upadkiem dotarła do brzegu, kocica wyprysnęła spośród kwiatów i błyskawicznie skryła się w leśnej gęstwinie. W wodzie pozostało utrzymujące się na powierzchni ciało pilota. Było odwrócone brzuchem do dołu, oderwana głowa pływała kawałek dalej.

— Tato!

Stella wyciągnęła rękę w stronę pustej łodzi, która nadal gnała jak rozpędzony pocisk w stronę przystani.

— Zbiornik paliwa!

Łódź z impetem grzmotnęła w pomost. Siła uderzenia była tak wielka, że łódź wystrzeliła w powietrze, zahaczając dnem o stojący obok dystrybutor paliwa i odrywając go od podłoża. Trysnęła benzyna, łódź z hukiem runęła na dystrybutor, ze zgrzytem szorując metalem o metal. Na to wszystko przewrócił się słup i posypało szkło ze stłuczonego klosza latarni.

Po pomocy przeleciały iskry.

O Boże...

Joe wstrzymał oddech.

Widząc, co się dzieje, pilot drugiej łodzi wykonał gwałtowny zwrot, by nie dopuścić do zderzenia. Łódź obróciła się bokiem, wytracając szybkość, a pilot dodał gazu, by odskoczyć w bok.

Na próżno.

Błysnął ogień, a po okolicy przetoczył się huk eksplozji. Joe zdążył rzucić się na córkę i przygnieść ją do podłogi, dzięki czemu oboje uniknęli odłamków rozpryskującej się szyby. Pokój

125

wypełnił żar i dym. Do ogłuszonego Joego dotarły głośne krzyki. Odwrócił i zobaczył, że płonąca belka z pomostu uderza w okno kuchenne i wpada do środka. Nad głową usłyszał kanonadę spadających na dach szczątek pomostu.

Podniósł się na kolana i przysunął bliżej okna.

Cały świat stał w płomieniach. Palił się nawet kanał pokryty plamami benzyny. Wszystko spowijały kłęby czarnego duszącego dymu. Dostrzegł drugą łódź, którą wybuch odrzucił od pomostu. Leżała do góry dnem przy brzegu kanału.

Podpełzła Stella i szarpnęła go za ramię.

— Dom się pali! — krzyknęła.

Wyciągnęła rękę w stronę kuchni. Płomienie rozchodzące się od palącej się belki lizały meble. Joe spojrzął w górę i na belkach stropowych dostrzegł obłoczki dymu i złowieszcze blaski. Zasypany płonącymi szczątkami pomostu dach zaczynał się palić.

— Trzeba wyprowadzić dzieci! — Stella odwróciła się i próbując przekrzyczeć kakofonię dziecięcych pisków, wrzasnęła: — Gar! Pomóż nam wszystkich wyprowadzić!

Ale strażnik z posiekaną odłamkami szyby twarzą uciekał. Odepchnął płaczące się pod nogami dzieci i uderzył kolbą w twarz jednego z rodziców, który próbował go powstrzymać.

— Gar!

Stella zrobiła krok w jego stronę, ale on już dotarł do drzwi i wypadł na dwór.

Joe złapał córkę za łokieć.

— Ty i Peg zajmijcie się dziećmi. Ja idę na górę po broń. Popytaj dorosłych, jeśli ktoś umie obchodzić się z bronią, wyślij go do mnie na górę.

Stella przez chwilę stała oszołomiona, półprzytomna z przerażenia i szoku.

— Kochanie, zaprowadź dzieci do obozu. Rozpalcie jak najwięcej ognisk.

Jakby coś w niej pękło i paraliż minął. Skinęła głową i przytomnie spojrzała na ojca.

126

— Tato, co ty chcesz zrobić?

— O nic się nie martw. Zaraz do ciebie dołączę. Jeśli mamy wyjść z tego cało, będzie nam potrzebna każda lufa, jaką uda się nam zorganizować.

Rozległ się głośny trzask i fragment dachu zapadł się, zasypując pokój lawiną rozżarzonego popiołu.

Joe pchnął córkę w stronę wyjścia.

— Ruszaj!

16

W niebo wystrzelił potężny słup ognia.

Wszyscy na pokładzie kutra Straży Granicznej na moment zamarli. Gdy po niebie przetoczył się grzmot eksplozji, Jack chwycił za ramię swojego zastępcę.

— Wezwij helikopter! Natychmiast! — rozkazał i ruszył do sterówki.

Kuter płynął w dół kanału, zbliżając się do kolejnego zakrętu. Słup ognia przed nimi już opadł i zostawił po sobie krwistą poświatę prześwitującą między gałęziami drzew. Jack wyczuł w powietrzu oleistą woń paliwa i przypomniał sobie wybuch na trawlerze.

Czyżby kolejna zasadzka?

Odrzucił tę myśl jako mało prawdopodobną. O tym, że jego ekipa popłynie na fermę aligatorów, wiedziało zaledwie parę osób. Ale i tak nie miał zamiaru ryzykować.

— Zmniejsz szybkość. Wolno naprzód — polecił sternikowi i stanął obok niego.

Buczenie silnika obniżyło się o całą oktawę, dziób opadł i kuter raptownie zwolnił. Sternik obrócił koło sterowe i łódź wolno pokonała zakręt.

Jack zaklął pod nosem.

Cały świat przed nimi stał w płomieniach.

— Szefie? — odezwał się sternik.

128

— Silnik stop.

Na brzegu kanału stał duży, zbudowany z bali dom, do którego przylegała obszerna przystań.

Wśród dogasających resztek pomostu widać było dymiący wrak łodzi śmigłowej. Jack starał się

zrozumieć, co się tu wydarzyło. Czyżby pilot stracił panowanie nad łodzią i uderzył w przystań?

Nie można tego wykluczyć. Piloci łodzi śmigłowych tworzyli kastę zadufanych w sobie luzaków uważających się za prawdziwych królów rozlewisk.

Druga łódź leżała na brzegu kanału odwrócona dnem do góry i do połowy wbita w zarośla, jakby wyrzucona siłą wybuchu. W blasku ognia dojrzał w wodzie ciała.

Do sterówki wpadł Scott Nester.

— Helikopter już leci — zameldował.

Do Jacka jakby to nie dotarło.

— Ratownicy za burtę — rzucił, wskazując kanał. — Ludzie w wodzie.

Scott wybiegł ze sterówki, a Jack ruszywszy za nim, słuchał, jak wykrzykuje rozkazy. Dym robił się coraz gęstszy i coraz bardziej oleisty, spowijając kuter gęstym całunem.

Dom na brzegu kanału wciąż płonął. Na ich oczach część dachu zapadła się, wysyłając w powietrze gejzer rozżarzonego popiołu. Płomienie zaczynały już sięgać pobliskiego lasu, liżąc porośnięte hiszpańskim mchem gałęzie drzew.

— Jack! — Odwrócił się i zobaczył stojącą tuż obok Lornę. Twarz miała bladą, w szeroko otwartych oczach czaiło się przerażenie. — Słyszałam jakieś krzyki. — Wyciągnęła rękę w stronę szalejących płomieni. — To chyba krzyczały dzieci.

Jack ściągnął brwi i wsłuchał się w odgłosy towarzyszące pożarowi. Sam niczego nie słyszał, ale Lorna mówiła przekonująco. Miał też w pamięci informację o drużynie skautów, z którą urwał się kontakt. Jeśli są tam dzieci, jego ludzie muszą do nich dotrzeć.

Tylko jak?

Bał się podplynąć bliżej ognia. Płomienie odcięły im drogę do przodu, a z każdym podmuchem wiatru ogień coraz bardziej

129

się rozprzestrzeniał na otaczający ich las. Wpatrzył się w pograżone w ciemnościach mokradła. Ta część rozlewiska stanowiła labirynt krętych przesmyków wodnych, w większości za wąskich nawet dla pontonu.

Ale może zmieści się tam coś mniejszego?

Jack odwrócił się i spojrzał na Randy'ego i braci Thibodeaux, którzy nadal kręcili się przy swoich kanoe. Jeśli się pospieszą, wąskimi łódkami okrążą ogień i dotrą do fermy od tyłu.

— Randy! — Jack ruszył w stronę brata, zgarniając po drodze swoich ludzi. Każde kanoe może pomieścić pięć, sześć osób. — Spuszczajcie łódki na wodę. Teraz!

Randy'emu to wystarczyło. Powiódł wzrokiem za spojrzeniem Jacka i od razu wiedział, do czego brat zmierza. Wrzucił niedopałek do wody i spojrzał na braci Thibodeaux.

— Słyszeliście, co powiedział.

Bez słowa zabrali się do dzieła, dosłownie wyrzucając obie łódki za burtę. Woda chlusnęła i na moment zakryła łodzie, ale zaraz je wypluła. Przywiązane do dziobów sznury nie pozwoliły im odpłynąć z prądem.

Na pokładzie wybrana grupka mężczyzn skończyła zakładać hełmy i przewieszać przez plecy karabiny i strzelby myśliwskie, po czym sprawnie usadowiła się w płaskodennych kanoe. Prawie nie rozmawiali. Ludzie Jacka umieli bezszmerowo wypełniać jego polecenia.

— Straż Przybrzeżna jest już powiadomiona — zameldował Scott. — Podeślą nam więcej łodzi i helikopterów.

Jack skinął głową.

— Przejmujesz dowództwo na pokładzie — rzucił. — Pokierujesz stąd akcją ratunkową.

— Jasne.

Spojrzenia Jacka i Lorny na moment się spotkały. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i w jej postawie widać było pełną oczekiwania irytację. Nie chciała być pomijana, zdawała sobie jednak sprawę, że brak jej kwalifikacji, by wziąć udział w takiej akcji.

130

Jack odwrócił się i przełożył nogę przez burtę. T-Bob i Peeyot wsiedli do jednej łódki z trzema jego ludźmi, on sam i dwóch innych ludzi dosiedli się do Randy'ego w drugiej.

Ustalili, że popłyną w przeciwne strony, by w ten sposób zwiększyć szansę, że choć jedna z załóg odnajdzie drogę wokół ognia. Kanoë braci Thibodeaux już wyruszyło na wschód wprawiane w ruch wprawnie zanurzonymi w wodzie łopatkami. Jack usiadł na dziobie kanoë Randy'ego, on sam zajął miejsce na rufie i zabrał się do sterowania za pomocą masywnej drewnianej łopatki. Popłynęli na zachód, kierując się do wylotu wąskiego przesmyku, który odchodził od głównego kanału i nikał w głębi rozlewiska.

Jack założył gogle noktowizyjne i rozlewisko nabrało kształtów. W goglach zastosowano najnowszą technologię tak zwanej fuzji sensorów. Obraz powstawał dzięki wzmocnieniu jasności otoczenia z wykorzystaniem różnic temperaturowych podczerwieni. Jedyną wadą urządzenia było wąskie pole widzenia; by pokryć odpowiednio szeroki kąt, trzeba było ciągle kręcić głową.

Kanoë wpłynęło w wąską odnogę. Jack odruchowo spojrział w stronę ognia i aż zaklął pod nosem. Blask ognia i jego temperatura widziane przez niezwykle czułe gogle niemal go oślepiły.

Gwałtownie odwrócił głowę, a kanoë na jego szczęście wpłynęło w głęboki mrok pod sklepieniem z gałęzi.

Powoli odzyskał wzrok, świat stopniowo przybrał fosforyzujące zielonkawe barwy i w oddali rozbłysło kilka światełek jak fotograficzne flesze. Po prawej cały świat był jednak zalany światłem, jakby wschodziło słońce.

Jack patrzył przed siebie. Wiedział, że muszą odnaleźć drogę wokół tego gorejącego słońca, zanim wszyscy spłoną w jego żarze.

Lorna odprowadziła wzrokiem niknące w ciemnościach kanoë Jacka. Na kutrze pozostały tylko niedobitki załogi. Zastępca Jacka stał z telefonem satelitarnym przy uchu, sternik

131

zajął się opuszczaniem kotwicy, żeby nie zniosło ich w kierunku coraz potężniejszego ognia. W ciągu paru minut, jakie zajęło spuszczenie na wodę dwóch kanoë, płomienie zdążyły urosnąć i rozprzestrzenić się na boki.

Była zła, że wyłączono ją z akcji, ale przynajmniej nie ją jedną. Obok niej przysiadł Burt i po jego minie można było poznać, że też boleśnie przeżywa to, iż pozostawiono go na łodzi. Jack potrzebował miejsca dla swoich ludzi i w ciasnych łódkach zabrakło go dla Burta. Położyła mu rękę na karku i poczuła, że pies dygoce. Ogień i dym musiały go bardzo zestresować.

Poklepała psa po boku.

— Nic się nie przejmuj, Burt. Jack niedługo wróci.

Pies potwierdził jej słowa dwukrotnym stuknięciem ogonem

0 pokład, ale humoru mu to nie poprawiło.

Jej uwagę przyciągnął chłopot wody dobiegający gdzieś z tyłu.

Na rufie stał jeden z agentów Straży Granicznej i wychylony pomagał dwóm ratownikom wciągnąć na pokład ciało. Musiał to być jeden z pilotów łodzi śmigłowych i nawet z tej odległości Lorna nie miała wątpliwości, że mężczyzna nie żyje.

Burt się zerwał, ale Lorna położyła mu dłoń na łbie.

— Zostań — rozkazała.

Pies posłuchał, ale nie usiadł.

Lorna podeszła na rufę, żeby sprawdzić, czy jest potrzebna.

Agent straży zwrócił się do jednego z ratowników:

— A co z Jerryem?

Domyśliła się, że pyta o drugiego z pilotów.

Ratownik wspiął się nieco wyżej.

— Nie żyje — powiedział i na dowód wyjął coś z wody  
1     położył na pokładzie. Głowę mężczyzny. Szokujący widok spowodował, że Lorna odruchowo się cofnęła. — Śmigło wentylatora — mruknął i znacząco przejechał palcem po gardle.  
— Zaraz wyciągniemy ciało.

Wskoczył do wody i dołączył do kolegi.

132

Lorna najchętniej by stąd uciekła. Wystarczył jej jeden rzut oka, by wiedzieć, że głowy nieszczęśnika nie odcięto wirujące śmigło.

Przełykając ślinę, by zwalczyć mdłości, podeszła bliżej i przykłękała na jedno kolano. Starła się nie patrzeć na wos-kowoszarą skórę twarzy i otwarte oczy. Pod odciętą głową zebrała się niewielka kałuża zabarwionej na czerwono wody, kontrastując z białym pokładem. Skupiła uwagę na ranie na szyi. Szyja nie została gładko przecięta; rana miała wyraźnie poszarpane brzegi.

To nie rana, jakiej można się spodziewać po przecięciu śmigłem.

Koniuszkiem palca niepewnie podważyła strzęp przeciętej skóry i przyjrzała się nierównej linii przecięcia.

— Proszę pani — odezwał się agent — może nie powinna pani tego dotykać.

Zignorowała jego słowa, usilnie starając się zachować chłodny profesjonalizm. Jako lekarz weterynarii uczestniczyła w setkach sekcji zwłok zwierząt i w badaniach patologicznych.

Próbowała sobie wmówić, że to niczym się nie różni.

Pochyliła się niżej. Kręgi szyjne C3 i C4 uległy zmiążdżeniu w wyniku działania potężnej siły. Ze zgruchotanego kręgosłupa zwisało ponad dziesięć centymetrów szarobiałego rdzenia kręgowego — przypominał kabel z oddartą powłoką izolacyjną. Tylko jakaś potężna siła mogła w taki sposób oderwać głowę od korpusu.

Lorna przełknęła ślinę. Podczas pobytu w Afryce oglądała zwłoki antylop i gazeli zabitych przez lwy. Tamte rany były podobne, a spowodowało je gwałtowne potrząsanie i ciągnięcie ofiary.

— Proszę pani — strażnik nie dawał za wygraną.

Lorna się wyprostowała. Była coraz bardziej pewna swojej diagnozy i otaczający ją świat coraz bardziej mroczniał jej w oczach. Spojrzała na las. Szalejąca pożoga nie jest jedynym zagrożeniem.

133

O nie.

Odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę dowodzącego akcją.

— Agencie Nester!

Wciąż jeszcze rozmawiał przez telefon satelitarny, ale musiał wyczuć w jej głosie alarmujący ton, bo odjął od ucha słuchawkę i zasłonił ręką mikrofon.

— O co chodzi?

— Niech się pan połączy z Jackiem — rzuciła. — Trzeba go ostrzec. Tę drugą łódkę też.

— Ostrzec przed czym?

— Przed jaguarem... Potworem, na którego polujemy Już tu jest.

17

T-Bob siedział na dziobie, a jego młodszy brat kierował łódką, siedząc z tyłu. Z na wpół przymkniętymi oczami T-Bob wsłuchiwał się w odgłosy rozlewiska. Do polowania nie musiał używać fikuśnych gogli jak dwaj agenci Służby Granicznej w jego łódce. Wystarczył mu węch, którym wyczuwał ich płyn po goleniu i krochmal na ich mundurach.

Gogle i oni sami nie byli mu do niczego potrzebni.

T-Bob urodził się na rozlewisku — zupełnie dosłownie przyszedł na świat na kanoe podobnym do tego, którym płynęli — i od kiedy nauczył się chodzić, spędzał czas na polowaniach. Znał rozlewisko jak rodzonego brata.

Płynęli wśród mokradeł, a on nasłuchiwał. W nocy na rozlewisku bywa bardzo głośno: słychać rechot wielkich żab, pohukiwanie sów, piski ptaków w gniazdach. Po obu stronach przesmyku szumiały gęste łąny traw i trzciny, wśród których brat wprawna ręką manewrował łódką. Koło twarzy bzyczały chmary komarów.

Z oddali wciąż dochodziły groźne trzaski ognia trawiącego drewno, ale w miarę, jak zagłębiali się

w las, odgłos stawał się coraz cichszy. Żar i dym wypłoszyły z legowisk liczne dzikie zwierzęta i właśnie przed chwilą śmignęła przed nimi para zajęczków błotnych, a zaraz potem wyskoczył z trzciny jelen, błyskając białym ogonkiem.

135

T-Bob wpatrywał się w przesmyk.

W zachowaniu zwierząt nie czuło się paniki, zatem pożar musi być dość daleko. Sądząc po kierunku ich ucieczki, posuwają się wzdłuż granicy ognia.

T-Bob nie wątpił, że odnajdzie drogę pozwalającą okrążyć pożar. Zanurzał palec w wodzie, wyczuwając kierunek i siłę prądu, i na migi kierował ruchami brata. Unikał przesmyków ze stojącą wodą, wiedząc, że doprowadzi ich do stawu czy jeziora. Trzymał się kanałów z wartkim nurtem i prowadził brata łagodnym łukiem wokół pożaru.

Kazał Peeyotowi skrócić w kolejną odnogę i poczuł obcą, wierzącą w nosie woń. Była słaba, ale podziałała na niego jak uderzenie w twarz. Wonie mokradeł znał równie dobrze, jak zapach smukłego ciała swojej żony. Rozpoznawał każde tchnienie rozlewiska, niezależnie od pogody i pory roku. To, co czuł teraz, było obce.

Podniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść. Peeyot spowolnił ruch łódki, aż łagodnie się zatrzymała.

— Dlaczego sta... — zaczął jeden z agentów, ale T-Bob uciszył go machnięciem ręki. W noktowizyjnych goglach mężczyzna bardziej przypominał owada niż człowieka.

Couyon\*.

T-Bob skupił uwagę na ciemnej ścianie lasu. Niech sobie inni używają zmyślnych gadżetów, jemu wystarczą wyostrzone zmysły.

Coś tędy przechodziło.

Ale czy nadal jest w pobliżu?

T-Bob znów przymknął oczy, całym ciałem chłonąc chlupot wody, szum traw, trzask gałązek. W jego myślach tworzył się obraz otaczającego ich rozlewiska. Wnikając weń coraz bardziej, odtwarzał ścieżkę wyznaczaną przez dźwięki lub ich brak: nagłe chlupnięcia żab do wody, przerwy w stukaniu dzięcioła, furkot wystraszonej wiewiórki.

\* Couyon (cajuński francuski) — głupiec.

136

W lesie coś się poruszało.

Wolno i ostrożnie.

Nie oddalało się jak inni od ognia, ale podążało ku niemu.

Ku nim.

T-Bob dał znak i Peeyot bezszelestnie odepchnął się od błotnistej dna i precyzyjnie skierował łódkę we wskazany przesmyk. T-Bob nie próbował już okrążyć ognia. Skierował kanoe prosto na szalejące w oddali płomienie. Doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie zagłębić się w żar i dym w nadziei, że to coś skradającego się w ich stronę zrezygnuje.

Trzeba tylko poruszać się szybko i cicho.

Za jego plecami zaskrzeczał radiotelefon i jakiś głos zawołał:

— Pierwsza, zgłoście się!

Agent Straży Granicznej wyciągnął rękę, ale T-Bob ruchem głowy powstrzymał go od sięgnięcia po słuchawkę. Wszyscy czterej zamarli w oczekiwaniu, wpatrując się w ciemność.

Poza dźwiękami towarzyszącymi płomieniom na mokradłach zapadła głucha cisza.

— Drużyna Mansoura nie odpowiada — zameldował Scott.

Siedzący w łódce Jack już miał zareagować, gdy po drugiej stronie rozlewiska wybuchła strzelanina. Odgłos strzałów był tak wyraźny, jakby dochodził z najbliższego drzewa, ale Jack wiedział, że od tego miejsca dzieli ich co najmniej półtora kilometra. To była ich odpowiedź.

Lorna ma rację. Jaguar już tu dotarł.

Jack podniósł do ust radiotelefon.

— Za ile będzie helikopter?

— Powinien być za pięć minut.

— Każ im oblecieć ogień od wschodu. Tam, gdzie popłynęli tamci. — Pamiętał ostrzeżenia Lorny, że reflektory i łoskot wirników mogą spłoszyć jaguara. Miał nadzieję, że tak właśnie

137  
się stanie. — Każ pilotowi lecieć jak najniżej i robić jak najwięcej hałasu.

— Co się dzieje?! — zawołał Randy z drugiego końca łódki.

Jack nie przerwał rozmowy.

— I Scotty, uważajcie na siebie. Niech wszyscy wrócą na pokład.

— Już wrócili. Uważamy na oba brzegi. Zawracacie?

Jack czuł na sobie wyczekujące spojrzenia pozostałych.

— Nie, popłyniemy dalej. Spróbujemy okrążyć ogień i pomóc tym, którym pożar odciął drogę ucieczki. W razie ataku tej bestii nasza siła ognia może im się przydać.

— Tak jest, szefie. Zrozumiano.

Jack opuścił rękę z radiotelefonem.

— Znaczący płyniemy dalej, tak? — odezwał się Randy z tyłu łódki.

Jack skinął głową.

— Już prawie okrążyliśmy ogień — powiedział.

Przepatrywał otoczenie przez gogle. Żar i blask szalejących

płomieni był odczuwalny nawet poprzez gęstwinę drzew. Nękała go myśl, że zostawił braci Thibodeaux i pozostałych członków tamtej drużyny na pastwę losu, ale wyplątanie się z labiryntu przesmyków zajęłoby im więcej niż pięć minut, a odnalezienie ich tropu po drugiej stronie kanału o wiele dłużej.

Jack dostrzegł odchodzący wprost na południe nieco szerszy przesmyk z widocznym nurtem. Jeśli biegnie w miarę prosto, płynąc nim, mogliby ominąć granicę płomieni i dotrzeć na fermę aligatorów.

Randy westchnął i skierował łódź w bok. Pod naporem łopatek w rękach pozostałych dwóch członków załogi łódka szparko ruszyła w głąb strumienia. Jack badał wzrokiem postępy ognia w lesie.

Niestety, po kilkudziesięciu metrach strumień się zwęził, gałęzie drzew zwisały coraz niżej i dalsza droga zaczęła przypominać przeciskanie się przez wąski rękaw, a tunelowe pole widzenia gogli Jacka jeszcze to wrażenie wzmacniało.

138

Pochylił głowę, ale i tak gałęzie uderzały o jego hełm, a mokry mech szorował po twarzy

Usłyszał, jak siedzący z tyłu Randy głośno klnie.

Ale przynajmniej pożar trzyma się na wschód od nich.

Niestety, strumień stawał się coraz bardziej kręty, płynął ostrymi zakosami i otwierał się na sadzawki ze stojącą wodą. W nocnym powietrzu kotłowały się chmury świetlików widoczna przez noktowizor jako połyskliwe, srebrzystozielone chmury.

Na wpół oślepiiony blaskiem Jack nie dostrzegł gałęzi, która nagle wyskoczyła z ciemności i grzmotnęła go w twarz, rozdrapując policzek. Odepchnął ją i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z pomyłki.

Gałąź była miękka i odziana w tkaninę.

Z drzewa nad nimi zsunęło się ciało i spadło na kanoe. Pasażerowie łódki wrzasnęli z przerażenia.

Jack zdarł gogle z twarzy i krzyknął, by wszyscy zachowali spokój.

Ciało spoczęło częściowo w wodzie przerzucone w poprzek kadłuba. Brakowało mu jednej nogi i jednej ręki.

Randy wyciągnął przed siebie wiosło.

Jack odwrócił się i w blasku niedalekich płomieni ujrzał przerażający widok. Na sąsiednich drzewach wisały jeszcze dwa ciała, niczym makabryczne ozdoby choinkowe. Przyjrzał się im i stwierdził, że z obu skapują do wody krople gęstej krwi.

Przeniósł wzrok w głąb lasu i jakieś dwadzieścia metrów dalej stwierdził, że ich strumień przegradza płot, zamykając dalszą drogę. A na płocie wisi tablica. Mimo panujących ciemności udało mu się odczytać czerwony napis:



## TEREN PRYWATNY. WSTĘP WZBRONIONY.

Płot zapewne otaczał fermę aligatorów.

Byli na miejscu. Jakby na potwierdzenie z oddali dotarły ludzkie krzyki. Huk szalejącego ognia zagłuszał słowa, ale dało się rozróżnić wyższe piskliwe głosiki.

Dzieci.

— Nie przestawajcie wiosłować! — rozkazał.

Dwaj strażnicy zepchnęli ciało do wody i zaczęli machać

139

łopatkami. Kanoë ruszyło do przodu, omijając dwa wiszące ciała. Na dłoń Jacka spadła zimna kropla. Przyjrzał się plamce ciemnego szkarłatu i spojrział w górę. Umieszczenie ofiar tak blisko granic fermy nie mogło być przypadkowe. Jaguar zostawił je tu celowo, jakby wyznaczał granice swego terytorium i ostrzegał intruzów.

Do czego jeszcze jest zdolny?

18

— Rozpalcie ogniska w krąg wokół nas! Zróbcie jak największy ogień! — Wrzasnęła Stella, by przekrzyczeć piski i zawodzenie dzieci.

— Dlaczego tu tkwimy? — zaprotestowała jedna z matek. — Ogień się zbliża. Znajdziemy się w potrzasku.

Stella widziała wiele wpatrzonych w siebie oczu. Większość z obecnych nie widziała jaguara i nie miała pojęcia, jak błyskawicznie się porusza. Wiedziała, że jeśli spróbują uciekać przez las, narażą się na to, że wszystkich po kolei wyłapie.

— Obozowisko jest na otwartym terenie! — odrzyknęła. — Wiatr wieje w przeciwną stronę, a jeśli nawet ogień do nas dotrze, mamy dostęp do wody i możemy się schronić. Ale na wszelki wypadek powinniśmy już teraz zacząć moczyć chusty i przygotować się do zakrycia ust i nosów na wypadek, gdyby kierunek wiatru się zmienił.

— Ona ma rację — potwierdził Joe, kiwając głową. — Tu jesteśmy najbezpieczniejsi.

Był zlany potem i pokryty sadzą. Pomagał mężczyznom i starszym chłopcom utworzyć ochronny pierścień z ognisk. Matka Stelli dołączyła do kobiet z obozu i wszystkie razem starały się utrzymać w ryzach grupę młodszych dzieci i nie dopuścić do wybuchu paniki.

141

— Ktoś tu idzie! — krzyknął jeden z mężczyzn, wskazując do tyłu, w stronę fermy.

Stella wraz z ojcem odwrócili głowy. Na końcu jednego z pomostów pojawiły się trzy sylwetki.

Nad ich głowami przewalały się kłęby dymu, w pobliżu strzelały jęzory ognia.

Skąd oni się tam wzięli?

Przez ogrodzenie przeszedł ktoś czwarty i dołączył do pierwszych trzech.

— To ludzie Gara? — spytał Joe.

— Nie sądzę — odrzekła Stella, wyężając wzrok.

Podmuch wiatru na moment rozpedził chmurę dymu. Trzej mężczyźni mieli mundury i hełmy na głowach, wszyscy byli uzbrojeni.

— Wyglądają na wojsko.

To na pewno nie byli kolesie Gara.

Nawiasem mówiąc, po wybuchu pożaru Garland Chase zniknął. Wyskoczył z płonącego domu i pognął w stronę szopy ze sprzętem radiowym. Szopa stała blisko ogrodzenia na lekkim wzniesieniu, a z jej dachu sterczało kilka anten. Widocznie Gar postanowił się tam schronić i pewnie jeszcze się zabarykadował.

Mężczyźni na pomoście przeprowadzili krótką naradę i puścili się pędem po kładkach, kierując się wprost na obozowisko. Im byli bliżej, tym bardziej Stella utwierdzała się w swojej ocenie: wszyscy mieli na sobie polowe mundury, w rękach trzymali karabiny szturmowe. Biegając, rozglądali się na boki, jakby spodziewali się ataku.

Czy to znaczy, że wiedzą o wielkiej kocicy?

Dobiegnięcie do obozowiska zajęło im niecałą minutę. Ojciec Stelli i wychowawca wyszli im naprzeciw. Dowodzący oddziałem był o głowę wyższy od pozostałych. Obrzucił obozowisko

czujnym spojrzeniem i przedstawił się.

— Agent Jack Menard ze Straży Granicznej.

Więc to patrol służby granicznej. Słuchając krótkiej relacji ojca z wydarzeń ostatniej godziny, Stella odnotowała odznakę

142

przypiętą do munduru dowódcy Przedstawiała stojącego na tylnych nogach pegaza z trzema błyskawicami, na obrzeżu widniały trzy słowa: „Grupa Szybkiego Reagowania”. Prawdziwie elitarna formacja.

— Na kanale za domem mamy kuter patrolowy — rzekł mężczyzna — tylko że gdyby nawet udało się tam dopłynąć, wszyscy się nie zmieszczą. Ale w drodze jest już ekipa ratunkowa Straży Przybrzeżnej z helikopterami i kutrami. Gdy tylko tu dotrą, będziemy mogli rozpocząć ewakuację i odwieźć wszystkich w bezpieczne miejsce. Ale to potrwa. Przez ten czas musimy zachować spokój. Ojciec Stelli ściszył głos.

— Musicie wiedzieć, że tu się kręci jakiś biały tygrys. Piekielnie wielka bestia.

— Tak, wiemy. Nie dostaliście komunikatu o ewakuacji?

Ojciec spojrzął na córkę i zmieszany spuścił wzrok.

— Nieważne — powiedział mężczyzna pojednawczo. Teraz nie ma się nad czym rozwodzić, mówiły jego oczy. Klepnął ojca Stelli w plecy. — Dobrze zrobiliście, budując ten pierścień ognisk. Jeśli zachowamy czujność i będziemy mieli broń gotową do strzału, nic nam się nie stanie. Ojciec Stelli lekko się wyprostował, a ona spojrzała na mężczyznę z wdzięcznością. Podobało jej się to, że nie wyżywa się na tacie i nie deprymuje go w tak pełnej napięcia chwili. Na wymówki przyjdzie czas. Teraz ważne, żeby każdy dał z siebie wszystko.

Nic dziwnego, że ktoś z takim podejściem jest dowódcą.

Agent Menard wydał kilka poleceń swoim ludziom, po czym odczepił od paska radiotelefon i podniósł do ust. Stella kręciła się w pobliżu, podsłuchując.

— Dotarliśmy do fermy, ale jest tu ponad sześćdziesiąt osób. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Nawiązaliście łączność z tamtymi?

Widziała, jak słuchając odpowiedzi, mężczyzna kurczowo zaciska palce na radiotelefonie.

143

Głosem ochrypłym ze złości, co jeszcze bardziej uwydatniło jego cajuński akcent, warknął:

— Co takiego? Co zrobiła?

Lorna wyruszyła, przedzierając się przez fragment lasu na kawałku suchego terenu, flanki osłaniali agenci Garcia i Chil-dress, przodem biegł Burt. Jego nos nurzał się w poszyciu z bagiennych traw, ogon sterczał pionowo.

W rękach miała strzelbę z ładunkami usypiającymi — wiatrówkę Pneu-Dart kaliber .50, załadowaną pięcioma pociskami po półtora centymetra sześciennego chlorowodoru etor-finy znanego pod nazwą M99, silnego neuroleptoanalgetyku. Jedna kropla mogła zabić człowieka, pięć miligramów wystarczało do powalenia nosorożca. Tyle że od trafienia do zapadnięcia ofiary w stan katatonii musiał upłynąć pewien czas.

Dlatego z ulgą myślała o karabinach szturmowych Garcii i Childressa, chroniących jej boki.

Cała trójka przesiadła się z kutra na zodiaka i dopłynęła do wschodniego brzegu kanału. Kilka minut temu usłyszeli pojedyncze strzały po tej stronie kanału, a potem zapadła cisza. Strażnicy penetrowali okolicę przez gogle noktowizyjne, ale nie dostrzegli ani śladu ekipy z braćmi Thibodeaux.

Za to Lornie udało się uzyskać odczyt termiczny jakiegoś pięćdziesiąt metrów w głębi rozlewiska. Zarys źródła emitującego ciepło był niewyraźny i Lorna nie była pewna, co to jest, uznała jednak, że na szopa ślad jest za duży. Przyglądała mu się przez pełną minutę, ale zwierzę ani drgnęło. Wyglądało na to, że znalazło sobie legowisko u podnóża wielkiego cyprysa i ułożyło się do snu, w końcu jednak wstało i przeciągnęło się, wyginając się w charakterystyczny koci łuk, jakby było z gumy. Powierciło się przez chwilę i znów położyło.

Czy to może być młode jaguara, brat lub siostra Bagiry?

Mogłoby to tłumaczyć gwałtowną agresję kocicy. Broniła nie tylko swojego terytorium i zapasów

żywności, ale także

144

swojego dziecka. Nic dziwnego, że najpierw zaatakowała łódkę braci Thibodeaux. Mieli pecha, że wybrali tę stronę kanału, po której ukryła swoje dziecko.

Młode stawało się kluczem do wszystkiego.

Gdyby udało im się je zabrać i przewieźć na pokład kutra, mieliby idealną przynętę, a także sposób na odwrócenie uwagi matki od ludzi w kanoe — jeśli w ogóle jeszcze żyją. Ale nawet jeśli nie, mogliby przynajmniej śledzić jej poczynania.

I właśnie o tym próbowała przekonać Scotta Nesterę.

Że kontrolując młode, można kontrolować jego matkę.

I że warto podjąć szybką akcję, by je odnaleźć. Uparła się też, że chce wziąć w niej udział i ostrzegła zastępcę Jacka, że gotowa jest wyskoczyć za burtę i dotrzeć do brzegu wpław, jeśli będzie trzeba. Zaczęto szykować ponton i Scott przystąpił do wywoływania Jacka przez radio, by uzyskać jego zgodę. Nie udało się i ostatecznie skapitulował. Do niepokoju o losy tamtej ekipy teraz doszedł równie dręczący niepokój o Lornę.

Rozkazy wydane Garcii i Childressowi były zwięzłe i jasne.

— Tylko tam i z powrotem. Jeśli zwierzę zacznie uciekać, nie gońcie go. — Spojrzał wymownie na Lornę. — A jeśli ta pani zacznie się stawiać, przywleczenie ją tu za włosy.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę wielkiego cyprysa, ale nie udało się tego zrobić bezszelestnie.

Będąc parę kroków od drzewa, Lorna zauważyła, że młode wyczuło ich obecność, odczołgało się i ukryło za pnem.

Ukryło się czy uciekło?

Zwykle młode trzymają się swoich legowisk, nawet w obliczu zagrożenia. Lorna miała w pamięci film przyrodniczy, na którym cały miot małych lwiatek został wymordowany przez kobrę tylko dlatego, że bały się oddalić od jamy. Więc przy odrobinie szczęścia młode jaguara wciąż tam jest. Podeszła bliżej i jej gogle wyłowiły ledwo zauważalny ślad termiczny. Młode wciąż tkwiło za pnem drzewa, ale mogło lada chwila rzucić się do ucieczki. Próba uspiania go strzałką

145

nie wchodziła w rachubę, bo ładunek usypiający był o wiele za silny dla tak małego zwierzęcia. Ale nie może pozwolić mu uciec.

— Burt...

Pies zatrzymał się i nastawiwszy ucha, zaczął nasłuchiwać, patrząc przed siebie. Do wytopienia młodego nie potrzebował gogli. Lorna miała nadzieję, że jak większość tutejszych psów myśliwskich Burta wyszkolono do polowań na szopy.

A na złapanie szopa jest tylko jeden dobry sposób.

— Drzewo, piesku — rzuciła komendę.

Burt ruszył, szorując brzuchem po trawie, potem skręcił i zaczął okrążyć drzewo, by nie pozwolić zdobywcy uciec w głąb lasu.

Tak jak przypuszczała, młode posłuchało instynktu i postanowiło nie oddalać się od miejsca, w którym zostawiła je matka. Uznało jednak Burta za zagrożenie i kierując się kocim instynktem, wskoczyło na pień cyprysa.

Burt dopadł do drzewa i radośnie zaszczekał, oznajmiając, że odniósł sukces.

Lorna i dwaj agenci puścili się biegiem w stronę drzewa z uwieczonym kociakiem.

Nie chciała straszyć biednego malucha, ale wiedziała, że musi go schwytać.

I to jak najszybciej.

Szczekanie psa na pewno zwróci uwagę kocicy i spowoduje, że natychmiast ruszy w ich stronę.

Lorna pierwsza dopadła drzewa.

— Spokój, Burt.

Pies kręcił się koło drzewa, obwąchując je z wystawionym z podniecenia językiem, ale posłuchał polecenia i przestał szczekać.

Młode siedziało na pierwszej gałęzi nad ziemią. Było prawie noworodkiem i nie potrafiło wspinać się wyżej. Patrzyło ogromnymi, szklącymi się ze strachu oczami, sycząc ostrzegawczo i jeżąc

futerko.

146

Lorna wzięła z kutra gruby czerwony koc przeciwpożarowy i cały czas go niosła, przewiesiwszy przez ramię. Teraz odłożyła strzelbę, rozłożyła koc i zarzuciła go na szczenię jak sieć. Zaskoczenie i ciężar koca spowodowały, że szczenię spadło z gałęzi. Zaplątane w koc poleciało w dół, ale Lorna zdążyła je złapać. Zaczęło się wiercić i walczyć pod warstwą koca, ale podobnie jak jego siostra było niedożywione i słabe.

Nie odwijając z koca, przytuliła je w nadziei, że łagodny uścisk je uspokoi. Ze środka dobiegło tak żałosne miauczenie, że aż zakłuło ją w sercu.

Biedactwo!

— Czas wracać, proszę pani — odezwał się Garcia.

Obaj z kolegą trzymali gotowe do strzału karabiny i nerwowo nasłuchiwali, spodziewając się trzasku gałęzi pękających pod ciężarem rozjuszonyj matki maleństwa. Usłyszeli co innego: narastający miarowy klekot.

Wszyscy odwrócili głowy na północ, skąd dochodził dźwięk, i Lorna aż się skrzywiła, gdy w jej goglach rozbłysło oślepiające światło. Nadlatywał wezwany przez Jacka helikopter z Bay Lanau. Przesunęła gogle na czoło i świat wokół niej pogrzył się w ciemnościach, a rażące światło zamieniło w bladą plamkę na niebie. Helikopter był jeszcze około kilometra od nich, ale z każdą chwilą warkot wirnika stawał się coraz głośniejszy.

— Wracajmy już — powtórzył Garcia.

Lorna schyliła się i wolną ręką podniosła strzelbę.

Wyprostowując się, w leśnej gęstwinie ujrzała parę wielkich, jarzących się w mroku ślepi.

Zamarła bez ruchu.

Z gardła Burta dobył się głęboki warkot.

Sekundę później ślepie zgasły.

Lorna szybko się odwróciła.

— Co się stało? — spytał Childress.

— Uciekamy!

19

Lorna wygramoliła się z pontonu na drabinkę. Była roztrzęsiona, serce podeszło jej do gardła.

Wspięła się na pokład i spojrzała w stronę lasu.

Dlaczego ta wielka kocica nie zaatakowała?

Nad ich głowami zawisł helikopter, niemiłosiernie młócąc wirnikiem i strząsając z drzew liście i gałązki.

Wprawdzie Lorna dotarła z cenną zdobyczą na pokład, ale wiedziała, że zagrożenie nie minęło. Od linii drzew dzieliło ich zaledwie dziesięć metrów wody i kocica z łatwością może przeskoczyć taką odległość.

Również Garcia i Childress zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bo gdy tylko weszli na pokład, skierowali karabiny w stronę brzegu i stanęli w pozycji strzeleckiej.

Burt wyskoczył z pontonu i obwąchał zawiniątko w ramionach Lorny.

Dołączył do nich Scott Nester.

— Znaleźliście kociaka?! — wrzasnął, przekrzykując hałas.

— Młode — poprawiła go Lorna. — A także jego matkę.

Scott spojrzał na ciemną ścianę lasu, ale nie dostrzegł żadnego ruchu.

— Garcia? Widzisz tam coś?

— Nic poza cholernymi świetlikami. — Mężczyzna nadal zachowywał czujność, ale widać było, że napięcie znika. —

148

Może doktor Polk dojrzała tylko jakiś refleks na wodzie? Childress ani ja niczego tam nie widzieliśmy.

— Wiem, co mówię — powiedziała twardo Lorna. To, co zobaczyła, nie było refleksem gwiazd

na wodzie. Wciąż widziała jarzące się ślepie. Była w nich zimna inteligencja.

— Jeśli się pani nie myli — rzekł Scott — to ona wie, że mamy jej szczenię, i będzie się tu kręcić. Może dzięki temu zostawi naszych w spokoju.

W głosie zastępcy Jacka słychać było niepewność.

O ile ktoś jeszcze żyje.

Lorna uniosła wyżej koc ze szczenięciem, które już przestało się wiercić. Widocznie ciepło i ciemność je uspokoiły. Znow przeniosła wzrok na pogrążony w ciemnościach las.

Dlaczego kocica ich nie zaatakowała? Lorna czuła, że nie wystraszyły jej hałas i światła wiszącego nad nimi helikoptera. Przecież nie bała się rzucić na równie hałaśliwą łódź śmigłową i jej pilota.

Szczenię poruszyło się, szukając wygodniejszej pozycji. Choć nie było w aż tak opłakanym stanie jak szczenię znalezione pod pokładem trawlera, było bardzo wycieńczone. Czyżby matka o tym wiedziała i postanowiła o nie nie walczyć? Czy dlatego nie podjęła pościgu?

Lornie trudno było w to uwierzyć. Do tej pory kocica bardzo starała się chronić małe, więc chyba nie poddałaby się tak łatwo.

To gdzie się teraz podziewa? I jakie ma zamiary?

Minęło kolejne pięć minut, ale wciąż nic się nie działo. Helikopter zatoczył koło i znow przeleciał nad nimi, przeszukując szperaczem leśną gęstwinę.

Scott przeszedł na przeciwległą burtę i przez telefon satelitarny wdał się w rozmowę z jednostką Straży Przybrzeżnej na temat szczegółów akcji ratunkowej. Ich ekipa jest już w drodze i powinna dotrzeć w ciągu dziesięciu minut.

Burt zwinął się w kłębek na pokładzie, wtykając nos pod ogon. Nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, i to Lornę martwiło. Wiał wschodni wiatr i gdyby w powietrzu unosił się

149  
zapach dzikiego zwierzęcia, Burt powinien strzyc uszami, kręcić się po pokładzie i skomleć.

— Nie ma jej — mruknęła pod nosem Lorna.

Za plecami usłyszała podniecony głos Scotta. Odwróciła głowę w chwili, gdy opuścił telefon i ruszył w jej stronę.

— Odezwał się Jack. Jaguara właśnie dostrzeżono w pobliżu fermy. Dlaczego nie tutaj? Mówiła pani, że nie oddali się od małego.

Lorna odwróciła głowę i spojrzała na płonący dom, szukając jakiegoś sensu w tej nowej informacji. Helikopter znow przeleciał nad ich głowami, ciągnąc za sobą smugę gorącego dymu znad pogorzelniska i uważając, by nie rozdmuchać płomieni w ich stronę. Mimo to chmura żarzącego się popiołu opadła na pokład i z sykiem wpadła do wody.

— Wysyłam helikopter do Jacka — powiedział Scott. — Może odciągnie tego potwora od dzieci.

Mimo bijącego żaru Lornę przeszedł zimny dreszcz. Dzieci. Powoli zaczynała rozumieć zamiary kocicy

— Radiotelefon — sapnęła, wyciągając rękę. — Muszę natychmiast mówić z Jackiem. Jack obszedł krąg ognisk i upewnił się, że dokładnie otaczają całe obozowisko. Towarzyszył mu Randy, nie odstępując go ani na krok. Obaj mieli w rękach karabiny. Jack kazał wszystkim zgromadzić się przy namiotach w środku kręgu i trzymać jak najdalej od wody. Wartę przy ogniskach pełnili uzbrojeni dorośli.

W sumie siedmiu mężczyzn.

Za mało, by móc dokładnie obserwować cały las.

Strzelające w górę płomienie ognisk uniemożliwiały posługiwanie się goglami noktowizyjnymi i otaczająca ich ściana lasu sprawiała wrażenie czarnej i nieprzeniknionej. Jeden z ludzi Jacka w pewnej chwili dostrzegł przemykającą wśród drzew kocicę, ale zwierzę rozplynęło się w mroku, zanim zdążył przyłożyć karabin do oka.

150

— Cholerny duch — burknął pod nosem.

— Bawi się z nami — rzekł idący obok Randy. — Jak kot z myszami.

Jack wiedział, co brat ma na myśli. Kocica okazała się przebiegłym myśliwym i na pewno nie

dałaby się tak łatwo wypatrzeć. Wyglądało to tak, jakby ich specjalnie drażniła.

Coś tu jest nie tak.

Od napięcia aż rozboleły go zęby.

— Tutaj! — rozległ się krzyk z drugiej strony obozowiska. Głos należał do jednego z wychowawców. Chwilę potem padł strzał.

Wszyscy rzucili się w tamtą stronę.

Niektórzy zaczęli strzelać na oślep.

Randy też zerwał się do biegu, ale Jack go przytrzymał.

— Nie!

Być może zadziałało doświadczenie nabyte przez lata polowań na rozlewisku, może dwie tury zabawy w kotka i myszkę z rebeliantami w Iraku, ale Jack czuł, że zwierzę celowo ich zwodzi. Zaczął się rozglądać, Randy zrozumiał, o co mu chodzi, i zrobił to samo, przykładając karabin do ramienia. Ale teren do pilnowania był o wiele za duży dla dwóch par oczu.

Jack zbyt późno dostrzegł niebezpieczeństwo.

Za namiotem po lewej.

Jeden z chłopców szedł z naręczem drewna — połamanym krzesłem obozowym — by dorzucić je do sterty za namiotem. Na odgłos strzałów zatrzymał się i odwrócił głowę w ich stronę. Z lasu za jego plecami wyskoczyło coś wielkiego. Jednym płynnym ruchem kocica przeskoczyła krąg ognisk i znalazła się wewnątrz obozowiska.

Atak był tak błyskawiczny, że chłopiec nie zdążył nawet krzyknąć.

Kocica chwyciła go za koszulę na plecach, przytrzymała łapą i przeskoczywszy przez linię ognisk, skryła się ze swoją zdobyczą w lesie.

151

Jack wycelował, ale zawahał się w obawie, że może trafić w dziecko. Zresztą jego reakcja była instynktowna i zupełnie niepotrzebna. Chłopiec i tak pewnie jest już martwy.

Ożył radiotelefon przyczepiony do jego paska.

— Jack! Zgłoś się!

Był gotów zignorować wezwanie, ale głos należał do Lorny i słychać w nim było panikę. Przyłożył radio do ust.

— O co chodzi? — warknął, nie mogąc zapanować nad nerwami.

— O kocicę. Myślę, że chce zapolować na dzieci.

Jack się wzdrygnął.

— Spóźniłaś się. Już to zrobiła i zabiła jednego z chłopców.

— Zabiła? Nie, Jack, nie o to mi...

W lesie rozległ się przeciągły krzyk. Jack opuścił rękę z radiotelefonem. To musiał krzyczeć porwany chłopiec. Jego głos nie przestawał wibrować w ciemnościach przepełniony bólem i przerażeniem.

Więc jednak żyje!

Na Jacka spłynęła ulga, szybko jednak ustępując miejsca nowemu niepokojowi.

Dlaczego chłopiec wciąż żyje?

Jack pamiętał słowa Randy'ego o kocie i myszach, a to mogło znaczyć tylko jedno.

Przed zabiciem ofiary koty lubią się nią pobawić.

Jack wsłuchiwał się w dochodzące z lasu rozpaczliwe krzyki, które trwały i trwały...

Lorna słyszała krzyki przez niewyłączony radiotelefon, i to jej wystarczyło. Odwróciła się i rzuciła słuchawkę Scottowi.

— Niech pan wezwie helikopter.

— Po co?

— Muszę tam polecieć. Razem z młodym!

Scott zmarszczył czoło, ale nie protestował. Podniósł do ust

152

słuchawkę i zaczął wykrzykiwać polecenia. Chwilę później nadleciał helikopter.

— Nie może wylądować na pokładzie — powiedział. — Opuszczają pani uprzęż. Ale przelot na

fermę to będzie jeden krótki skok.

Do Lorny dotarł sens jego słów i zrobiło jej się niedobrze. Cała krew spłynęła jej do nóg, żołądek próbował zrobić to samo.

— Nie mogą wciągnąć pani na pokład — wyjaśnił Scott. — Zresztą będzie szybciej, jeśli tego nie zrobią. Po prostu przerzucą panią w uprzęży.

Zaczęła sobie wyobrażać, jak dynda na linie, i w tym momencie z ogłuszającym łoskotem wirników zawisł nad nimi helikopter. Spojrzała w górę. Z bębna wyciągarki obok drzwi kabiny zaczęła się odwijać lina zakończona uprzężą.

Nagle pożałowała pochopnej decyzji. Chyba jej nie przemyślała. Latanie helikopterem w kabine jest wystarczająco trudnym wyzwaniem, ale to...

Uprzęż zawisła nad pokładem, kołysząc się i podskakując. Garcia chwycił ją i przyciągnął, a Lorna naszała nagłą ochotą, by wziąć nogi za pas. Zwalczenie tej pokusy wymagało od niej maksimum silnej woli.

Scott przejął od niej koc z maluchem, a Garcia pomógł założyć uprzęż. Przełożył ją Lornie przez głowę i pod pachami i mocno ściągnął.

— Dobrze się pani czuje? — upewnił się.

Zamiast odpowiedzi wyciągnęła tylko rękę.

— Podajcie mi strzelbę.

Childress wziął z pokładu wiatrówkę na pociski usypiające, a Lorna dość niezdarnie przewiesiła ją sobie przez ramię. Scott oddał jej zawiniątko ze szczeniciem, a ona objęła je i przytuliła do piersi. Scott uniósł kciuk.

Nie ufając swojemu głosowi, skinęła tylko głową.

Scott zrobił dwa kroki do tyłu i zakreślił wyciągniętą nad głową ręką.

153

Hałas silnika nad głowami jeszcze się wzmógł i uprzęż nagle wpiła jej się pod pachy. Nogi zawisły nad pokładem i Lorna odruchowo nimi zamachała, szukając punktu oparcia. Ale było już za późno. Helikopter uniósł się i jednocześnie wyciągarka zwinęła parę metrów liny.

Lorna spojrzała w dół na uciekający spod nóg pokład i zmusiła się do odwrócenia wzroku.

Wolałaby na to wszystko nie patrzeć, ale wiedziała, że zamknięcie oczu jeszcze bardziej ją zestresuje. W dole przed nimi dom z drewnianych bali wciąż jeszcze płonął. Dach już dawno się zapadł, zamieniając budynek w żarzące się pogorzeliisko. Jęzory ognia wyrzucały w górę kłęby dymu.

Helikopter nabrał wysokości i Stella pomyślała, że chyba wisi za nisko. Widać pilot też doszedł do tego wniosku, bo wyciągarka zawarczała i zwinęła jeszcze kilka metrów liny. A potem wlecieli w ogniste piekło.

Wirniki helikoptera młóciły kłęby gorącego dymu, wywołując wokół niej piekielne tornado.

Wstrzymała oddech i w końcu zdobyła się na zamknięcie oczu. Czowała na sobie parzący podmuch, jakby przelatywali nad kraterem czynnego wulkanu. Z całej siły przyciskała do piersi koc.

Przełot nad pogorzeliiskiem trwał zaledwie kilka sekund, temperatura raptownie spadła i wszystko wróciło do normy. Spróbowała odetchnąć świeżym powietrzem i na próbę rozchyliła powieki.

Ziemia w dole była upstrzona szklącymi się czarno sadzawkami, które łączyły liczne drewniane kładki, podesty widokowe i pomosty. Widać też było kilka niewielkich budyneczków krytych blachą. Za sadzawkami widniał duży krąg płonących ognisk, za nimi zaczynało się ciemne rozlewisko. W środku kręgu stali zbici w gromadkę ludzie.

Obozowisko.

Helikopter zatoczył łagodny łuk w stronę obozu i siła bezwładności wychyliła Lornę na zewnątrz. Poczwała pęd powietrza i na moment doznała czegoś w rodzaju euforii, ale trwało to tylko sekundę.

154

Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch w dole.

Z jednego z budyneczków z lasem anten na dachu wyskoczył jakiś mężczyzna i zaczął biec pomostem. W jednej ręce trzymał wielką czarną strzelbę, zwinętą dłoń drugiej przyłożył do ust i coś krzyczał, ale słowa tonęły w łoskocie wirników. Widać usłyszał śmigłowiec i uznał, że

nadlatuje ekipa ratunkowa Straży Przybrzeżnej.

Bojąc się, żeby o nim nie zapomniano, mężczyzna jeszcze przyspieszył, jednak przesadził. Zaplątał się we własne nogi i runął jak długi na drewniany pomost. Strzelba wypadła mu z ręki, walnęła o deski i mimo hałasu silnika Lorna usłyszała huk wystrzałów. Z dymiącej lufy wystrzeliła cała seria pocisków.

A potem helikopter nad jej głową zaczął się gwałtownie kołysać.

Jak złapany na haczyk pstrąg zaczęła tańczyć i podrygiwać na końcu liny.

Trzymając się kurczowo upręży, zadarła głowę. Z tylnej części maszyny buchał czarny oleisty dym. Przypadkowy pocisk musiał trafić i uszkodzić coś ważnego.

Helikopter pochylił się do przodu i zaczął ostro pikować, ciągnąc za sobą smugę płomienia.

Lorna spojrzała na pędzącą ku niej ziemię.

Nie ulegało wątpliwości, że za chwilę się rozbija.

20

Jack przyglądał się pikującemu w dół helikopterowi.

Pod kabiną zwisała jakaś postać w upręży i po rozwianych na wietrze blond włosach rozpoznał w niej Lornę. Pilot starał się spowolnić spadanie, maszyna z bezwładnie obracającymi się wirnikami gwałtownie się kołysała. Zachował też tyle przytomności umysłu, by skierować helikopter z dala od obozowiska i zgromadzonych tam ludzi.

Maszyna skręciła na zachód w stronę rozlewiska, ciągnąc pod sobą Lornę zwisającą dziesięć metrów poniżej pływaków. Gdy helikopter opadł niżej, z impetem walnęła o deski pomostu i szorowała po nich plecami.

Na szczęście helikopter nie pociągnął jej zbyt daleko.

Maszyna rozbijała się w lesie tuż za granicą rozlewiska. Obracające się wciąż łopaty wirników najpierw ścięły wierzchołki drzew, potem się odłamały i poszybowały w głąb lasu. Jack podświadomie czekał na huk eksplozji, ale zobaczył tylko kłąb gęstego dymu, który wznosił się w niebo. Umiejętności pilota i mokradła musiały zamortyzować uderzenie.

— Bolton! Reese! — wrzasnął, przekrzykując zawroźnienie obozowiczów. — Sprawdźcie, co z pilotem!

Obaj strażnicy ruszyli biegiem do rozbitej maszyny, Jack pobiegł w stronę najbliższego pomostu, a za nim ruszył Randy. Żaden z nich nie widział Lorny.

156

Z pomostu w głębi podniósł się ciężko mężczyzna i odcinając się na tle płomieni, także ruszył w stronę Lorny. Trzymał w ręku wojskową strzelbę. Z daleka przypominała automatyczną broń szturmową AA-12 używaną w walkach ulicznych, która z odległości trzydziestu metrów potrafi roztrzaskać stalową beczkę i przebić na wylot ścianę.

Jack widział upadek mężczyzny i przypadkowo wystrzeloną serię. Musiał biec z palcem na spuście. Cholerny dureń dysponował potężniejszą siłą ognia, niż powinien. Często miewał do czynienia z takimi lokalnymi szpanerami.

Wiadomo: im większa pukawka, tym bardziej rozdęte ego.

Jack machnął ręką na palanta i zajął się szukaniem Lorny.

Czy ona w ogóle przeżyła?

Lorna leżała na plecach. Była oszołomiona, dzwoniło jej w uszach. Pewnie na chwilę straciła przytomność. Uniosła się na łokciu i usłyszała krzyki. Jakby budząc się z koszmarnego snu, dopiero po chwili uprzytomniła sobie, gdzie jest i co się z nią stało. Pamiętała, że w chwili upadku przekręciła się na plecy, starając się chronić przód, gdy szorowała po pomoście. Za to plecy bolały ją tak, jakby ktoś przeciągnął ją pod pasem szlifierskim.

Nad jej głową zawisł jakiś cień.

— Rany boskie! Żyjesz? — wyjąkał męski głos, po czym od razu stał się głośniejszy. — Nie chciałem strzelać! To był wypadek, przysięgam. Gdybyście nie próbowali odlecieć... Znaczy się, nie widzieliście mnie, czy jak?

Mówił zaczepnym tonem, w jego głosie było więcej pretensji niż troski, jakby to, co się stało, było jej winą. Ale w jego głosie Lorna usłyszała coś jeszcze. Choć może tylko jej się wydawało. Upadła



na plecy, straciła przytomność i budzi się jak z koszmarnego snu, więc może przeszłość i teraźniejszość zlewają się w jedno.

Mężczyzna pochylał się nad nią, był tuż obok, jego twarz tonęła w mroku. Wyciągnął rękę.

157

— Nie ruszaj się. — Zabrzmiało to jak groźba. — Jesteś oplątana liną.

Mimo to poruszyła się.

Jednak coś w tym głosie...

Uświadomienie sobie, czyj to głos, było jak uderzenie obuchem. Ten głos i ta pochylona nad nią sylwetka. Zna tego człowieka. Dławiąc się z przerażenia, spróbowała wstać, jakby chciała uciec od przeszłości nękającej ją przez ostatnie dziesięć lat. Ale tylko jeszcze bardziej się zaplątała w uprząż i linę.

— O co ci chodzi? — Mężczyzna zrobił krok do przodu i odwrócił głowę w stronę, z której dochodził tupot nóg. Jego twarz oświetlił blask płomieni.

Lorna patrzyła na niego zmartwiała. Pamięta tę twarz: haczykowany nos, mięsiste wargi, świńskie oczka. Wspomnienie zwałyło się na nią i ją przygniotło. Pustkę w jej wnętrzu wypełniły barwy i dźwięki. W uszach zabrzmiał jej własny szloch, jej błagania, żeby przestał. Poczula znów tamto upokorzenie i tamten strach. Widać cały czas tłumila to w sobie, chowała w jakimś zakamarku jestestwa. Szok, jakiego wtedy doznała, kazał jej wierzyć, że nie przyjrzała się dobrze napastnikowi.

Ale się myliła.

Stał nad nią ten sam człowiek, który dziesięć lat temu próbował ją zgwałcić i którego napaść doprowadziła do śmierci Toma.

— Lorno!

Aż podskoczyła na dźwięk swojego imienia. Jack jak wtedy biegł jej z pomocą, jeszcze bardziej łącząc przeszłość z teraźniejszością.

Ale nawet to nie skłoniło jej do oderwania wzroku od stojącego nad nią bandziora. Wydawało jej się, że na widok biegnącego Jacka i jego brata łajdak kurczy się i zapada w ciemność.

Jack podbiegł i padł obok niej na kolana, nie zwracając uwagi na mężczyznę.

158

— Lorno, nie ruszaj się!

Choć Jack powtórzył słowa wypowiedziane przed chwilą przez jej oprawcę, jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej. Nie było w nim śladu groźby, tylko szczerą troska.

— Nic mi nie jest — powiedziała, po czym bardziej na własny użytek powtórzyła: — Nic mi nie jest.

Chwyliła go za rękę, a on jej pomógł wyplątać się z upręży. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że tamten łajdak już oddala się w stronę fermy.

— To on — powiedziała.

Jack podążył za jej spojrzeniem. Chyba też go rozpoznał, bo jego twarz spochmurniała.

— Powinienem się domyślić — burknął Randy. — Garland Chase. Kurewski synalek szeryfa Gumbo. Kto poza nim potrafiłby tak latać z odbezpieczoną pukawą?

Lorna ścisnęła Jacka za ramię. Mogła wreszcie nadać imię swojemu koszmarowi. Garland Chase.

— To ten bydlak na mnie napadł. Tamtej nocy, kiedy zginął Tommy.

Randy odwrócił się gwałtownie i wbił w nią wzrok.

— Tak, wiem — szepnął Jack.

Randy zmrużył oczy.

— O czym wy mówicie?

Brat Jacka nie znał szczegółów tamtej nocy. Jego rodzina nauczyła się jej nienawidzić i na nią zwała całą winę. Ta sama rodzina, którą niegdyś miała nadzieję uważać za swoją. Zaczęła dygotać, choć może tylko w wyniku doznanego przed chwilą szoku.

Jack objął ją i przytulił.

Nie protestowała. Czowała tkwiącą w nim siłę, ale i coś jeszcze, coś nieokreślonego — ciepło i bliskość, których od tak dawna jej brakowało. W jego objęciach po raz pierwszy uzmysłowiła sobie

w pełni, co straciła tamtej koszmarnej nocy. Straciła wtedy nie tylko nienarodzone dziecko i ukochanego, ale także rodzinę. Pełną miłości i ciepła przyszłość.

159

Wszystko to zabrano jej tamtej nocy.

Ale ta myśl nie wywołała w niej rozżalenia. Wręcz przeciwnie, poczuła płomienną wściekłość.

Miała dość trzymania wszystkiego w tajemnicy, tłamszenia w sobie. Jednym ruchem uwolniła się z objęć Jacka i obezwładniającego ją dotąd kosmaru. To już przeszłość, a ona nie jest przerażoną nastolatką.

Rozejrzała się i jej wzrok padł na strzelbę z pociskami usypiającymi. Podeszła chwiejnym krokiem, podniosła strzelbę i bez słowa ruszyła przed siebie. Czuła, jakby przy każdym kroku ktoś przypalał jej plecy żywym ogniem, ale ból tylko ją otrzeźwiał i pozwalał jeszcze bardziej się skupić.

Jack podbiegł do niej z boku.

— Lorno, co ty chcesz zrobić? On nie jest tego wart.

Przewierciła go wzrokiem.

— Oczywiście, że nie. Tym bydlakiem zajmę się później. Teraz mam ważniejsze sprawy.

Obserwując obie strony pomostu, sprawdzała odcinek, po którym przejechała na plecach. W chwili uderzenia o pomost zawiniątko ze szczenięciem wypadło jej z rąk i gdzieś poleciało. Ale gdzie?

Obeszła kolejną sadzawkę wyglądającą jak staw hodowlany i tuż przy brzegu dojrzała plamę czerwieni. Brzeg sadzawki otoczony był trawą, i to w trawie leżało zawiniątko z czerwonego koca przeciwpożarowego wraz z zawartością, częściowo zanurzone w wodzie.

Lorna odłożyła strzelbę, przeszła pod poręczą pomostu i zeskoczyła na trawę.

Zawartość koca poruszyła się, ze środka dobiegło żałosne miauczenie. Po lustrzanej wodzie sadzawki przebiegły drobne zmarszczki, leżące dotąd spokojnie czarne kłody drgnęły i zaczęły podpływać bliżej zwabione ruchem. Z wody wynurzyła się para ślepi, niczym peryskop łodzi podwodnej.

Lorna usłyszała, że ktoś zeskakuje z pomostu.

Jack.

Nie odrywając wzroku od wody i koca, czterema susami

160

dotarła do brzegu sadzawki. Zanurzone w wodzie szczenię próbowało się uwolnić i całe zawiniątko podrygiwało.

Jeśli mu się uda... i ucieknie...

Krawędź koca uniosła się i Lorna dostrzegła biały wąsaty pyszczek. Rzuciła się przed siebie, z kolanami w błocie. Złapała zawiniątko i wysupłała z niego szczenię.

— Mam cię...

Odchyliła się do tyłu i przycisnęła szczenię do piersi. Podniosła się z kolan i wyprostowała, i w tym momencie woda przy brzegu eksplodowała. Na trawę wyskoczył aligator z rozwartym szeroko pyskiem, błyskając białym podbrzuszem i żółtymi zębiskami.

Lorna szarpnęła się do tyłu, ale zrobiła to zbyt wolno.

Szczęki zatrzasnęły się z siłą wystarczającą do zmiążdżenia kości. Zęby zahaczyły o koniec koca i wyszarpane go z jej rąk. Bestia cofnęła się i zarzuciła skórzastym łbem. Koc pofrunął, a młode wyleciało. Upadło na trawę, przeokożkowało, zerwało się na krótkie łapki i jak błyskawica oddalało się od sadzawki.

No nie...

Lorna wiedziała, że w ściganiu się z nim jest bez szans. A jeśli uda mu się dobiec do otwartego rozlewiska...

...ale Jack zagroził mu drogę. Jak obrońca rzucający się na piłkę złapał w pędzie przerażonego malucha i przetoczył się po trawie, przyciskając go do brzucha. Zatrzymał się i wtedy pod pomostem za jego plecami poruszył się cień.

— Jack!

Z ciemności wypadł aligator i przebijając gwałtownie łapami, popędził w stronę Jacka, który nie miał szans uciec. Aligator był tuż-tuż..

— O nie, ty skórzana dupo!

Nagle z góry spadł jakiś ciemny kształt i wylądował na grzbiecie aligatora. Randy! Całym ciężarem przygniótł gada do ziemi. Aligator zaczął się rzucać i przekreślać na grzbiet, ale Randy trzymał się go jak przyklejony. Loma uskoczyła im

161

z drogi, a zwierzę i człowiek przetoczyli się koło jej nóg. Zanim wpadli do wody, Randy rozstawił nogi i z całej siły kopnął aligatora w miękkie podbrzusze. Chronione pancerzem zwierzę aż wyskoczyło w powietrze i zamiatając ogonem, runęło do wody spory kawałek od brzegu.

Lorna podbiegła i pomogła Randy'emu wstać. Woda w sadzawce zabulgotała i w ich stronę ruszyło kilka kolejnych kłód. Najwyższy czas się wycofać.

Loma złapała jeszcze koniec namokniętego koca i wyciągnęła go z wody. Miała szczęście.

Jack już się pozbierał i teraz walczył z rozjuszonym młodym. Zwierzę było wielkości średniego psa i próbowało się wyrwać, drapiąc pazurami i drąc na strzępy jego mundur. Na twarzy Jacka widać było grymas bólu, ale nie wypuszczał szczenięcia z rąk.

Loma rozłożyła koc i podbiegła do nich.

— Daj mi je!

Jack chętnie pozbył się kłębówiska pazurów i długich, ostrych jak igły ząbków. Znow zawinęła małego w koc i przycisnęła do siebie, po czym wszyscy troje pospiesznie wspięli się na pomost.

— Dlaczego ten mały potwór jest taki ważny? — burknął Jack. Miał do krwi podrapane ramiona i ręce.

Loma już nabrała powietrza, by odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Przypadkiem spojrziała na pomost ciągnący się w stronę lasu i zmartwiała.

Odpowiedź na pytanie Jacka leżała przyczajona na końcu pomostu: potężna góra mięśni, pazurów i kłów, znacznie dłuższych, niż sądziła. Zwierzę zajmowało całą szerokość pomostu. Leżało bez ruchu i wpatrywało się w Lome.

Poczuła w piersi paraliżujący strach, który nie pozwalał jej oddychać.

Od jak dawna tam leży?

Księżycowa poświata i blask płomieni uwydatniały śnieżną biel futra zwierzęcia. Z obnażonych zębów zwisał bezwładnie

162

mały chłopiec, nie wykazując oznak życia. Kocica trzymała dziecko za skautowską kamizelkę. Z odebranego przez Jacka komunikatu radiowego wynikało, że chłopcu na imię Tyler.

Czy nie żyje?

Dziecko z wysiłkiem poruszyło ręką.

A więc żyje... Bogu dzięki żyje... jest tylko w szoku...

Jack odwrócił się i uniosł karabin, ale się zawahał. Dziecko żyje, a jeśli on nie położy kocicy jednym strzałem, zapewne skończy się to rozszarpaniem chłopca na śmierć.

— Nie strzelaj — ostrzegła go Loma.

Stała przed Jackiem, rozwinęła koc i uniosła szczenię nad głowę.

No, dalej, przecież o to ci chodzi...

Nie spuszczać z niej wzroku, samica puściła chłopca i położyła na nim łapę, dociskając go do desek pomostu.

— Lomo...

Loma stała wpatrzona w oczy kocicy, dostrzegając w nich nadnaturalną inteligencję.

— Wiem, co robię — szepnęła.

Przynajmniej miała taką nadzieję.

21

Gar leżał rozplaszczony na brzuchu i próbował być niewidzialny. Jego strzelba leżała pod nim, ale bał się poruszyć, żeby ją spod siebie wyciągnąć.

Jeszcze dziesięć sekund wcześniej biegł spokojnie do kryjówki w szopie radiowej. Wraz z kumplami ukryli w niej karton budweisera i przez cały dzień wpadali tam, by zwilżyć gardła. Komu to mogło przeszkadzać? Gar tak naprawdę nie wierzył w opowieści o kocim potworze, który

buszuje na rozlewisku. Boże kochany, ileż to opowieści słyszał przez te wszystkie lata o różnych strachach na moczarach, a jak dużo sam opowiadał?

Uznał, że łażenie po fermie i nicnierobienie to całkiem niezły sposób zarabiania pieniędzy.

Zwłaszcza że oprócz paru butelek piwa udało mu się też opróżnić kilka portfeli z niepil-nowanych plecaków obozowiczów.

W ramach jednej dniówki.

Tylko że teraz wszystko nagle poszło w diabły.

Biegąc pomostem, dostrzegł przemykające w leśnym gąszczu ogromne białe zwierzę, które kierowało się wprost na niego. Instynktownie skręcił na podest, przeskoczył przez bramkę w balustradzie i znalazł się na platformie do karmienia, zwisającej nad sadzawką niczym trampolina. Rozpłaszczył się na niej i zrobił to praktycznie w ostatniej chwili.

164

Potężne kocisko przeskoczyło przez ogrodzenie i wylądowało na pomoście nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego.

Leżał, wstrzymując oddech i tłumiąc krzyk przerażenia. Pod okazałym brzuchem czuł nie tylko karabin, ale każdy gwóźdź i każdy sęk w deskach. Jego przepiękny pęcherz groził samoczynnym opróżnieniem, ale nic nie mogło go zmusić do poruszenia się.

Wiedział, że jeśli bestia go dostrzeże, będzie się to równało wyrokowi śmierci.

Z drugiego końca pomostu dobiegły go jakieś głosy. Zobaczył kobietę z helikoptera, która ostrożnie zbliżała się do wielkiego kota. W rękach trzymała zawiniątko z czerwonego koca. Za nią posuwali się bracia Menardowie — Jack i Randy. Nawet przerażenie nie stłumiło w nim ukłucia nienawiści. Jack złamał mu kiedyś nos i wybił dwa przednie zęby. Gar był wtedy gotów zabić łajdaka, ale wtrącił się jego tata i załatwił wysłanie gnoja do Iraku.

Ale teraz Jack wrócił.

Akurat w tej chwili nawet go to ucieszyło, bo Jack trzymał karabin szturmowy wymierzony w kocisko.

Zabij skurwiela, ponaglił go w duchu.

Ale Jack nie strzelił.

Gar domyślał się dlaczego. On też zauważył chłopca. Bestia trzymała w łapach jednego ze smarkaczy z obozu.

Strzelaj wreszcie, do jasnej cholery!

Blondynka zrobiła parę kroków do przodu i minęła kryjówkę Gara. Przyklękła na jedno kolano i położyła zawiniątko na podeście. Była odwrócona do niego plecami i Gar nie widział dokładnie. Miała coś w tym zawiniątku... coś pod kocem.

Dlaczego ta bestia się na nią nie rzuca?

Wreszcie wyprostowała się, cofnęła i dołączyła do Jacka i jego brata.

— No chodź — mruknęła, znów mijając kryjówkę Gara. — Zabieraj swoje dziecko.

165

Stojące na drugim końcu pomostu zwierzę wydało niski pomruk. Gar bardziej go poczuł przez skórę, niż usłyszał. Zrobiło krok do przodu, potem następny, zostawiając na deskach pomostu nieprzytomnego chłopca. Zaczęło się czołgać w stronę zawiniątka, szorując brzuchem po pomoście i machając ogonem na boki. Jego mięśnie aż drżały z emocji, uniesione wargi obnażały potężne kły, jakby zwierzę się uśmiechało.

Znalazło się na jego wysokości i Gar jeszcze mocniej przywarł do desek platformy. W brzuchu mu burczało, kombinezon był mokry od potu.

Dlaczego ten łajdak nie strzela?

Loma gestem ręki powstrzymała Jacka od strzału. Wiedziała, że jaguary mają najgrubszą i najtwardszą czaszkę ze wszystkich wielkich kotów, bo wymagają tego mięśnie ich potężnych szczęk. Kula wystrzelona nawet z bliska może ześlizgnąć się po twardym czerepie, a jeśli nie położą kocicy trupem jednym strzałem, ich chwilowe zawieszenie broni zmieni się w krwawą jatkę. Musi zaufać zwierzęciu, że chcąc odzyskać swoje dziecko, dotrzyma warunków wymiany. Życie młodego za życie chłopca.

Loma ryzykowała życie ich wszystkich, ale opierała swe nadzieje na tym, że kocica nie rozszarpała chłopca.

Jaguar czołgał się wolno, wbijając w nią złocistobrazowe ślepie. Większość kotów ma pionowe źrenice, ale nie jaguary. Loma przyglądała się, jak rozszerzają się od adrenaliny.

Przestąpiła z nogi na nogę, chcąc skupić uwagę kocicy na sobie. Wreszcie jaguar dotarł do zawiniątka. Był tak blisko, że Loma poczuła piżmową woń mokrego futra. Miała przed sobą górę mięśni i dzikości, piękną i jednocześnie przerażającą. Wpatrzona w nią ogromne ślepie znów błyszczały nadnaturalną inteligencją. Kocica jeszcze bardziej się przysunęła. Widać było, jak pod jej skórą prężą się i grają potężne mięśnie, jakby poruszane prehistoryczną siłą.

166

Gdyby Lorna wyciągnęła rękę, prawie mogłaby jej dotknąć.

Jakaś jej część była nawet gotowa to zrobić — udowodnić sobie, że to wszystko prawda. Na moment dotknąć czegoś, co nie jest z tego świata. W blasku ślepi widziała głębie, coś więcej niż tylko kocie spojrzenie.

I wtedy magia chwili prysła.

Do tej pory okutane w koc szczenię leżało spokojnie, ale widocznie poczuło matkę, bo zaczęło się wiercić, próbując się oswobodzić.

Kocica spojrzała w dół.

Niedobrze.

Loma chciała, by uwaga zwierzęcia była skupiona na niej, i tupnęła. Kocica syknęła ostrzegawczo. Jej wzrok znów spoczął na Łomie.

O właśnie. Patrz na mnie.

Zwierzę błyskawicznie wysunęło łapę z ogromnymi pazurami. Żółte szpony zaczęły o brzeg koca, po czym kocica gwałtownie się szarpnęła, potrząsając łapą, by uwolnić się od białej w poduszczykę igły. Udało się, czarna strzałka poleciała w ciemność.

Chwilę wcześniej Loma zastawiła pułapkę. Kładąc na pomoście koc ze szczenięciem, między deski wcisnęła dwie strzałki ze środkiem usypiającym w taki sposób, by igły sterczały do góry. Miała nadzieję, że kocica nastąpi na choć jedną z nich i wstrzyknie sobie środek usypiający. Nie słysząc huku wystrzału i nie czując wyraźnego ukłucia, zwierzę mogło w ogóle tego nie zauważyć.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Z pyska kocicy wydobył się niski, groźny warkot i nim Loma zdążyła się cofnąć, zwierzę runęło do przodu. W panice i szoku Loma gwałtownie się cofnęła, potknęła i klapnęła na pomost. Jednak kocica ją zignorowała. Złapała w zęby zawiniątko ze szczenięciem, odwróciła się i jak strzała pomknęła do lasu.

Loma wiedziała, że w ciągu dziesięciu minut środek usypiający zadziała i wprowadzi zwierzę w stan katatonii, a wtedy będzie można bezpiecznie do niego podejść.

167

Pozwoliła sobie na westchnienie ulgi, wypuszczając długo wstrzymywane powietrze. Udało się...

...i wtedy usłyszała huk wystrzału, na którego dźwięk aż podskoczyła. Z lewego uda zwierzęcia trysnęła fontanna czerwieni. Kula trafiła je podczas skoku i spowodowała, że jaguar wylądował na boku, siłą rozpędu przejechał po pomoście i zatrzymał się tuż obok nieruchomego chłopca.

Loma spojrzała na Jacka i jego brata, ale obaj wyglądali na równie zaskoczonych.

— Masz, ty skurwysynu! — rozległ się triumfalny okrzyk.

Odwróciła się i ujrzała postać podnoszącą się z podestu. To ten bydlak Garland Chase. Trzymał w rękach strzelbę i na jej oczach strzelił raz i jeszcze raz.

Kocica zwinęła się z bólu, ale nie mieli do czynienia z rysiemi. Zwierzę było ranne, ale dalekie od poddania się. Loma dostrzegła kłębek białego futra. Wyrzucone z koca i przygniecione ciężarem upadającej matki młode leżało na pomoście. Szyja malca była wykręcona pod dziwnym kątem. Strzelający zdał sobie sprawę, że kocica wciąż żyje, i rozpoczął prawdziwą kanonadę, strzelając na oślep. Fragment drewnianej poręczy eksplodował od kuli, kocica zerwała się i runęła w ich stronę. Rozjuszona hukami wystrzałów i bólem instynktownie zaatakowała najbliższy cel, skacząc na Lornę, Jacka i Randy'ego.

Huk wystrzału za plecami na moment ogłuszył Lome.  
Instynktownie pochyliła głowę, ale zdążyła jeszcze dojrzeć, jak prawy oczodół jaguara eksploduje obłoczkami krwi i szarej tkanki. Atak został przerwany w połowie skoku tak gwałtownie, jakby zwierzę uderzyło głową w mur. Jego potężne ciało runęło na pomost.  
Loma poruszyła się, ale Jack przytrzymał ją za ramię. Wyminął ją z dymiącą lufą karabinu i nie opuszczając broni, ostrożnie zbliżył się do kocicy. Także Randy cały czas trzymał ją na muszce. Ale kocica nie żyła.

168

Zginęli oboje — matka i dziecko.

Uwagę Lomy przyciągnął krzyk dobiegający zza balustrady pomostu. Umieszczona w niej bramka prowadziła na podest z występem zawieszonym nad najbliższą sadzawką. To stamtąd Garland Chase strzelał do jaguara, narażając wszystkich na niebezpieczeństwo. Strzelał, a teraz nagle gdzieś zniknął. Chociaż nie, jest...

— Pomóżcie mi! — rozległo się jego rozpaczliwe wołanie.

Loma wstała i dostrzegła Garlanda, który wisiał wczepiony

w krawędź występu. Widać w panice stracił równowagę i zawisł nad sadzawką.

Randy wyminął ją i puścił się biegiem po pomoście, by zająć się chłopcem. Strzały ocuciły Tylera i chłopiec usiadł oszołomiony, nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje.

Loma podeszła do bramki i odsunęła zasuwkę.

— Jack, musisz mi pomóc! — krzyknęła.

Jack odwrócił się i w tym momencie woda w sadzawce eksplodowała.

Pokryte pancerzem zwierzę z szeroko rozwartymi szczękami wyskoczyło w powietrze i żółte zębiska zacisnęły się na nodze Garlanda, który zawył z bólu. Potężny aligator bez trudu oderwał go od pomostu i razem runęli do wody.

Loma podbiegła do krawędzi podestu. Woda pod nią się kotłowała, gwałtowne ruchy aligatora świadczyły o tym, że rozszarpuje ofiarę. Na moment nad powierzchnią błysnęła biała ręka, ale zaraz zniknęła.

Jack stanął obok niej i wycelował karabin, ale nie bardzo mógł strzelać. Walka toczyła się w czarnej, nieprzeniknionej toni.

Z daleka rozległo się wołanie:

— Elvis! Nie!

Na podest widokowy po drugiej stronie sadzawki wbiegła młoda kobieta. Bez chwili wahania przeskoczyła przez balustradę i zanurzyła się w wodzie.

— Co ona wyprawia?! — krzyknął Jack. Wyglądało na to, że ma zamiar pójść w jej ślady.

169

— Czeka! — powstrzymała go Loma.

Kobieta zwróciła się do aligatora po imieniu i nie ulegało wątpliwości, że jest stąd. Loma wiedziała, że niektóre aligatory rozpoznają swoich opiekunów po głosie i potrafią przyplwać na wezwanie. Zdarzali się też tacy, którzy kąpali się ze swoimi podopiecznymi.

Kobieta zniknęła i woda nagle się uspokoiła. Szał ataku minął. Chwilę później kobieta wyłoniła się z wody, ciągnąc bezwładną postać. Na wodzie została ciemnopurpurowa smuga.

Krew.

— Pomóżcie mi! — krzyknęła kobieta.

Kawałek dalej na powierzchni wody wypłynął aligator. Musiał mieć około pięciu metrów długości, w pysku trzymał kawałek bladej ludzkiej kończyny — nogę odgryzioną w kolanie.

Usatysfakcjonowany zdobyczą zawrócił i odpłynął.

Loma cofnęła się i podbiegła do schodków prowadzących na trawiasty brzeg sadzawki. Kilka kroków dalej dziewczyna zmagiała się z ciałem ofiary, starając się wyciągnąć je z wody.

Jack ruszył za Lomą.

— Potrzebny mi twój pasek! — zawołała Loma, odwracając się w jego stronę.

Chociaż w ogóle nie miała ochoty, musiała podjąć próbę uratowania temu łajdakowi życia.

22

Duncan Kent tkwił w ukrytej w chaszczach rozlewiska hebanowej łodzi z silnikiem strumieniowym i ssał wiśniowego dropsa. Wraz z nim w łodzi siedziało jeszcze czterech uzbrojonych mężczyzn. Druga identyczna łódź stała na wodzie dwadzieścia metrów dalej. W sumie ekipa liczyła dziesięciu ludzi dobranych przez Duncana i stanowiących elitę pracowników ochrony firmy Ironcreek Industries.

Duncan obserwował fermę aligatorów przez noktowizyjną lornetkę. Obie łodzie od zachodu słońca kręciły się po mokradłach w całkowitych ciemnościach i jedynym źródłem światła na łodzi Duncana był trzymany przez niego niewielki odbiornik GPS. Urządzenie służyło mu do namierzania zwierząt. Każde uczestniczące w projekcie „Babilon” zwierzę miało wszczepiony elektroniczny marker.

Byli tu między innymi po to, by jeszcze tej nocy odnaleźć i zlikwidować jaguara, tak by nie pozostał po nim ślad. Szczęśliwie się złożyło, że tę część zadania już za nich wykonano, i teraz mógł przyglądać się przez lornetkę stygnącemu truchłu wielkiej kocicy. Jej strata stanowiła bolesny, ale nie śmiertelny cios dla projektu „Babilon”.

Przyglądając się grupce ludzi zajętych ratowaniem rannego, Duncan obmyślał konieczną korektę dalszego ciągu akcji. Ranny wił się z bólu na trawie, siedzący na nim mężczyzna

171

starł się go unieruchomić, blondynka próbowała założyć na kikut prowizoryczną opaskę uciskową. Duncan opuścił lornetkę. Zjawili się za późno. Mimo markera namierzenie celu trwało zbyt długo. Ale trudno.

Kocica nie żyje i do wypełnienia pozostała druga część misji: pozbycie się jej ciała. Ale jeszcze nie teraz, bo lada chwila zjawi się ekipa Straży Granicznej. Będzie musiał wziąć na wstrzymanie i tylko sprawdzić, dokąd ją zabiorą. Ale i tak czuł ucisk w żołądku. Uprzedzał szefa Ironcreek o ryzyku związanym z przewożeniem okazów podczas tropikalnej burzy, ale jego ostrzeżenia zostały zignorowane. Kierownictwo miało nóż na gardle i musiało się spieszyć. Okazy powinny być dostarczone do centrali Ironcreek w Bethesda w stanie Maryland i posłużyć do zademonstrowania, iż projekt „Babilon” ma sens.

Od powodzenia tego projektu zależała przyszłość Ironcreek. W dziedzinie prywatnych kontraktów na potrzeby wojska panowała ostra konkurencja. Przy dwóch wojnach toczonych równocześnie w Iraku i Afganistanie zapotrzebowanie na ludzi, sprzęt i nowe technologie urosło do rozmiarów wielomiliardowych zamówień. Ironcreek konkurowało z Raytheonem, Air-Scanem, DynCorpem i wieloma innymi firmami. Kluczem do sukcesu jest znalezienie unikalnej niszy, która pozwala na dostawy sprzętu czy usług różniących się od ofert pozostałych.

I o ile firmy typu Blackwater specjalizowały się w systemach i usługach ochronnych, o tyle specjalnością Ironcreek Industries stały się prace badawczo-rozwojowe na potrzeby wojska. W rezultacie głównym konkurentem nie była inna prywatna firma, ale sama DARPA\*, agencja badawczo-naukowa Departamentu Obrony.

Rząd zdążył się zainteresować różnymi pomysłami z dziedziny bioinżynierii, a to oznaczało poważną ingerencję w do-

\* DARPA — Defence Advanced Research Projects Agency — Agencja Nowoczesnych Obronnych Projektów Badawczych.

172

menę Ironcreek. Naukowcy z DARPA już wszczepiali implanty do mózgu szczurów i rekinów i prowadzili badania nad kierowaniem ich zachowaniami, jakby były biologicznymi robotami. Również larwom owadów wszczepiano elektroniczne chipy, dzięki czemu wykluwały się z nich mole i muchy z chipami wrośniętymi w ciała. Tego typu eksperymentów robiono bardzo dużo, a najnowszym była podjęta przez DARPA próba ingerencji w genom po to, by wpływać na zachowania osobnika drogą bezpośredniej manipulacji genetycznej.

By przetrwać, firma Ironcreek musiała znaleźć dla siebie miejsce w tej szybko rozwijającej się dziedzinie. Okazja ku temu nadarzyła się w Iraku, gdzie w samym sercu bagdadzkiego zoo znajdowało się tajne laboratorium broni biologicznej, o którego istnieniu ludzie z Ironcreek dowiedzieli się od poddanego torturom irackiego naukowca wojskowego. Za utrzymanie tej wiedzy

w tajemnicy sownie opłacili kogo trzeba.

Duncana wysłano na miejsce, by przejął wyniki i przydatne do dalszych badań okazy Zapłacił za to krwią. Ciało miał pokryte bliznami wymownie świadczącymi o znaczeniu projektu. Przez całą lewą stronę twarzy, od włosów aż do podbródka, biegly cztery gruzełkowate blizny. Po tygodniu spędzonym w śpiączce musiał przejść aż dziewięć operacji, podczas których odtworzono mu nos, scalono złamaną szczękę i wszczepiono dentystyczne implanty. Uszkodzenie gruczołów ślinowych powodowało suchość w ustach, którą częściowo łagodziło ssanie tabletek i dropsów.

Doznał też wielu innych urazów, z których nie wszystkie miały postać fizyczną. Czasami budził się w nocy w zmiętej pościeli, zlany potem, z ustami wykrzywionymi grymasem bólu i przerażenia. Wspomnienie poranka w Bagdadzie i rzucającego się na niego potwora było tak samo bolesne i żywe jak wszystkie blizny.

Potwór szympan, porzucony przez opiekunów, był na szczęście wygłodzony i na wpół żywy, inaczej Duncan na pewno nie przeżyłby tego spotkania. Zapłacił za ich projekt własną krwią

173  
i nie miał zamiaru dopuścić, by ta ofiara poszła na marne. Szczególnie teraz, gdy projekt był już tak bliski ostatecznego sukcesu.

Zdawał sobie sprawę z trudności, choćby te nieoczekiwane kłopoty, jakie ostatnio pojawiły w ośrodku badawczym na wyspie Eden Utracony. Jednak gdy chodzi o sukces komercyjny, szybkość działania często jest ważniejsza niż ostrożność. Hasła typu: „Najpierw bezpieczeństwo” są dobre dla mięczaków.

Duncan podniósł rękę i zatoczył nią koło. Cichy szmer silników wyrzucających pod ciśnieniem strumień wody przybrał nieco na sile i obie łodzie obróciły się w stronę wylotu.

— Sefie? — odezwał się zastępca. W tym krótkim słowie słychać było respekt, ale i niepokój. „I co teraz zrobimy”? — brzmiało naprawdę jego pytanie.

Duncan schował do kieszeni odbiornik GPS.

— Reszta okazów nadal jest w ośrodku badawczym nad rzeką — powiedział.

Dla ochrony interesów Ironcreek i by nie dopuścić do ujawnienia tajemnic, okazy należy stamtąd zabrać lub zniszczyć. Spojrzał na zegarek i obliczył w myślach czas. Zbliża się koniec nocy, ale nie mogą stracić kolejnego dnia.

— Zaatakujemy jeszcze tej nocy — zdecydował. — Uderzymy z chirurgiczną precyzją, tuż przed wschodem słońca.

W myślach już zaczynał układać strategię ataku, ale zastępca miał jeszcze jedno pytanie.

— Sefie?

Tym razem Duncan też wiedział, co kryje się za tym słowem i bez wahania odpowiedział:

— Żadnych żywych świadków.

22

Lorna stała na ganku. Do wschodu słońca zostały już tylko dwie godziny i powinna czuć śmiertelne zmęczenie, ale była podminowana, w jej żyłach buzowała adrenalina wywołana wydarzeniami ostatniej nocy.

Schodek niżej czekał Jack.

Odwiózł ją do domu z posterunku Straży Granicznej w Nowym Orleanie, gdzie złożyła szczegółowe zeznania. Wszyscy obozowicze byli już bezpieczni i tylko niektórzy mieli niewielkie poparzenia i nawdychali się dymu. Chłopiec porwany przez jaguara oraz Garland Chase zostali przewiezieni śmigłowcem do szpitala. Mężczyzna stracił mnóstwo krwi i prawie całą lewą nogę, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Funkcjonariusz Straży Przybrzeżnej chciał zastrzelić aligatora, lecz Lorna się sprzeciwiła, tłumacząc, że strzelanina i szalejący w pobliżu pożar rozdrażniły zwierzę i spowodowały, że poddało się odwiecznemu instynktowi. Wyglądało też na to, że córka właściciela fermy — ta, która wskoczyła do wody i uratowała życie Garlandowi — jest gotowa zasłonić aligatora własnym ciałem. Ostatecznie Elvis uszedł z życiem.

Nie dało się tego niestety powiedzieć o samicy jaguara i jej młodym. Ich ciała załadowano do śmigłowca i przetransportowano do ACRES. Śmierć zwierząt była ogromną stratą, ale



Lorna widziała też, jak z lasu wyniesiono zwłoki trzech mężczyzn ze zmiażdżonymi czaszkami i rozszarpanymi gardłami. Kocica była bezlitosną maszyną do zabijania i pozostawienie jej przy życiu byłoby zbyt niebezpieczne.

Na szczęście nie wszyscy zginęli. Przeżył pilot rozbitego helikoptera, wychodząc z kraksy tylko ze złamaniem ręki i obojczyka. Odnalazła się również druga piroga z braćmi Thibodeaux, którzy — podobnie jak dwaj agenci Jacka — przeżyli i dopłynęli do fermy od drugiej strony. Obawiano się, że wszyscy padli ofiarą jaguara, ale T-Bob tak dobrze znał rozlewisko, że w pewnej chwili zarządził porzucenie kanoe i wspięcie się na dwa wysokie cyprysy. Siedząc wysoko na drzewie i kryjąc się przed wzrokiem kocicy, odstraszył ją kilkoma strzałami.

Lorna widziała bezwładne ciało ogromnej kocicy wkładane do sieci ładunkowej, podczepionej pod śmigłowcem i unoszonej w powietrzu. Chciała jak najszybciej wracać do ACRES, ale Jack się uparł, że ma z nim polecieć śmigłowcem Straży Przybrzeżnej do Nowego Orleanu i złożyć zeznanie. Po przesłuchaniu zaproponował, że najpierw odwiezie ją do domu, a następnie na przystań po jej samochód. Chciała się tylko przebrać i z przystani pojechać prosto do ACRES.

— Zaczekam tutaj — powiedział, zatrzymując się na schodkach ganku.

Stał w samym podkoszulku, ponieważ jego bluza od munduru została poszarpana przez oszalałe ze strachu szczenię. Lewą rękę miał zabandażowaną od przegubu do łokcia.

— Nie wygłupiaj się. Wejdz do środka. — Wskazała na jego przedramię. — Przez bandaż przesiąkła krew. Mam w domu apteczkę. Przed wyjściem zmienię ci opatrunek. To zajmie tylko chwilę.

Jack schował zakrwawioną rękę za siebie.

— Nic mi nie będzie — mruknął.

— Nie wolno lekceważyć ugryzień i zadrapań dzikich kotów — Na rękach miała dość blizn świadczących o prawdziwości jej słów. — Dali ci jakiś antybiotyk?

178

— Dali mi receptę. Wykupię rano.

Wzniosła oczy do nieba. Najwyraźniej medycy zatrudnieni w Straży Przybrzeżnej nic nie wiedzą na temat ran zadawanych przez dzikie koty. Choć właściwie skąd mają wiedzieć? Na morzu takie rzeczy raczej się nie zdarzają.

— Jesteś uczulony na penicylinę? — spytała, wkładając klucz do dziurki zamka.

— Nie.

— U kotów w pyskach występuje szczep bakterii o nazwie Pasteurella. To groźna bakteria.

Widziałam już techników weterynaryjnych bez palców i fragmentów dłoni, bo zlekceważyli ugryzienie kota. Musisz natychmiast dostać antybiotyk. Mam w domu augmentin. Zawsze trzymam zapas na wypadek, gdybym musiała go sobie zaaplikować. — Obrzuciła Jacka znaczącym spojrzeniem. — Ale ode mnie tego nie słyszałeś.

W końcu skapitulował i wszedł na ostatni schodek prowadzący na ganek. Lorna otworzyła drzwi, sięgnęła do wyłącznika i puściła go przodem.

— Kuchnia jest na końcu prosto. — Pokazała ręką. — Wezmę apteczkę i zaraz do ciebie przyjdę.

Wbiegła na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Czowała, jak protestują jej poranione plecy, ale nie zwolniła. Była nabuzowana. Weszła do łazienki i otworzyła apteczkę. Na półkach stały rzędy buteleczek i słoiczek z lekarstwami na recepty, obok leżały artykuły toaletowe i łazienkowe drobiazgi. Wzięła słoiczek augmentinu i potrząsnęła. Zostało jeszcze dużo tabletek. Zabrała też świeżą rolkę gazy i butelki z wodą utlenioną i jodyną.

Zamknęła szafkę i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Włosy miała potargane i przyklejone do czaszki, ubranie wyglądało jeszcze gorzej. Nie należała do próżnych kobiet, ale pomyślała, że są pewne granice. Odłożyła medykamenty do umywalki i podeszła do wanny. Odkręciła prysznic, odczekała chwilę, aż woda się nagrzej, i weszła do wanny w ubraniu, pozwalając

179

wodzie łać się na nią przez dobre pół minuty. Nie otwierając oczu, rozebrała się i jeszcze przez

chwile stała w parzącym skórę ukropie. W końcu wyszła i się wytarła.

Chwilę zajęło jej rozczesanie rozpuszczonych włosów. Potem pobiegła do pokoju i włożyła czyste dzinsy i białą bluzkę bez rękawów. Wróciła do łazienki po lekarstwa i zeszła na dół.

Jack siedział przy kuchennym stole odwrócony do niej plecami. Opuścił nisko głowę i sądząc po pozycji, drzemał. Nie chcąc go budzić, zatrzymała się w drzwiach.

Na moment ujrzała Toma. W sylwetce Jacka widzianego z półprofilu widać było niewątpliwe rodzinne podobieństwo. Rozluźniony i z opuszczoną gardą wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej. Pod skorupą twardego mężczyzny wyczuwała chłopięcość, jakby zamieszkał w nim duch młodszego brata.

Musiał ją usłyszeć lub wyczuć jej obecność, bo poderwał głowę i spojrzał do tyłu. Twarz mu na nowo steżała i tylko jego cajuński akcent zabrzmiał jakoś miękko i ciepło.

— Lorno...

To jedno słowo spowodowało, że poczuła gęsią skórę. Przesunął po niej rozspanym wzrokiem, odnotowując jej nowy strój. Gdyby nie był taki zmęczony, pewnie nie pozwoliłby sobie na taką poufałość. Pod jego wzrokiem poczuła, jak po brzuchu rozchodzi się ciepło i już tam pozostaje. Nieco zmieszana podeszła do stołu i rozłożyła medykamenty, potem podeszła do zlewu i nalała do szklanki wody, żeby miał czym popić lekarstwo. Czowała się pewniej, stojąc plecami do niego.

Weź się w garść, ale już...

Odwróciła się ze szklanką w rękę.

— Lepiej zażyj od razu dwie. Potem obejrzę ci rękę.

Wytrząsnął dwie tabletki na dłoń, a ona przysunęła sobie krzesło, rozłożyła czystą gazę i postawiła butelkę z jodyną. Odchylił głowę, żeby przełknąć antybiotyk i wtedy zauważyła plamki krwi na jego podkoszulku.

— Ktoś ci opatrzył te rany na piersi? — spytała.

180

— To tylko drobne zadrapania.

To ją zezłościło i pozwoliło przezwyciężyć skrępowanie.

— Zdejmuj koszulę — poleciła.

— To naprawdę nic takiego.

— Nie dyskutuj. — Machnęła ręką.

Spojrzał na nią spode łba i jednym ruchem ściągnął podkoszulek. Klatkę piersiową i brzuch miał pokryte siateczką płytkich zadrapań. Ruch rąk przy zdejmowaniu podkoszulka spowodował, że kilka z nich znów zaczęło krwawić. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby się nimi zająć.

— W głębi obok werandy jest łazienka z prysznicem — powiedziała, wzdychając. — Masz wziąć gorącą kąpiel i przemyć wodą z mydłem każdy najmniejszy ślad po pazurach.

— Nie mamy na to czasu...

— Polecenie lekarza. — Wstała od stołu. — W łazience są czyste ręczniki. Ja przez ten czas znajdę ci jakąś czystą koszulę. Mój brat jest mniej więcej twojego wzrostu.

Wyglądało na to, że Jack ma zamiar protestować, ale Loma wyciągnęła rękę.

— Ruszaj. Zaparzę świeżą kawę i podgrzeję kilka pączków.

To go chyba przekonało, bo bez słowa ruszył do łazienki.

Napełniła czajnik i wyjęła dzbanek do parzenia kawy. Czekając, aż woda się zagotuje, wzięła do ręki słuchawkę i wybrała numer ACRES. Zadzwoiła do laboratorium genetyki, podejrzewając, że kogoś tam jeszcze zastanie.

Istotnie ktoś podniósł słuchawkę i Loma usłyszała zniecierpliwiony kobiecy głos:

— Doktor Trent.

— Zoe, tu Loma.

W tle słychać było głos Paula, męża Zoe, który z przejęciem perorował coś o błędach odczytu RNA. Rozpoznała też stłumiony głos doktora Metoyera, ale nie mogła dosłyszeć słów. Cała trójka urządziła sobie nocną nasiadówkę.

— Chciałam się tylko upewnić — powiedziała Loma.

— To przestań się upewniać, chica, i jak najszybciej zbieraj

swój tyłeczek! Nawet nie wiesz, co tracisz. A mnie przydałoby się tu trochę estrogenu.

Uśmiechnęła się, słysząc podniecenie w głosie koleżanki.

— Musiałam wstąpić po coś do domu. Powinnam być w ciągu godziny. Skończyliście badanie DNA?

Zoe spoważniała.

— Jeszcze nie. Ale powinniśmy się wyrobić do twojego przyjazdu. Mamy za to komplet danych z obrazowania metodą rezonansu magnetycznego. Wyniki wskazują na pewne zaskakujące anomalie neurologiczne.

— To znaczy?

— Za dużo tego na telefon. Aha, i żebyś nie była zaskoczona. Mniej więcej godzinę temu zrobiliśmy twoim zwierzętom serię badań EEG.

Elektroencefalogram?

— Ale dlaczego? — Jej wcześniejsze podniecenie zamieniło się w irytację. Czuła się odpowiedzialna za los uratowanych zwierząt. Przeszły już wystarczająco dużo. — Powinniście poczekać z badaniami na mnie. Przecież wiesz.

— Wiem, wiem. Ale badanie było nieinwazyjne. Wszystko ci wyjaśnimy, gdy się zjawisz.

— Zaraz będę — rzuciła i odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że jej ostatnie słowa mogły zostać potraktowane jako groźba lub obietnica.

Czajnik zaczął gwizdać, Loma wsypała do zaparzacza mieszankę kawy z cykorią z Cafe du Monde i te proste czynności nieco ją uspokoiły.

Usłyszała otwierające się drzwi łazienki i do kuchni wkroczył Jack z mokrymi włosami i niemal parującą skórą. Był boso, miał na sobie spodnie od polowego munduru i ręcznik przerzucony przez jedno ramię.

— Wycierając się, słyszałem, że rozmawiasz. Wszystko w porządku?

— Będzie, gdy dotrę do ACRES. Coś ich tam strasznie podnieciło.

— Więc to może poczekać. — Jack pokazał głową stół. — Mogę się tym zająć po odwiezieniu cię...

— Siadaj — przerwała mu i wskazując filiżankę gorącej kawy, dodała: — Cukier? Śmietanka?

— Może być czarna. — Niechętnie usiadł przy stole.

Loma obejrzała jego zadrapania i ślady po ugryzieniach, sprawdzając, czy naprawdę je wyszorował.

— Teraz trochę zapieczę — uprzedziła.

Posmarowała ranki jodyną, patrząc, jak jego skóra ściąga się przy każdym dotyku, choć jednocześnie ukryte pod nią mięśnie pozostają nieruchome, a Jack oddycha równo i spokojnie. Poczwała nagłą ochotę, by przyłożyć ucho do jego klatki piersiowej i posłuchać bicia serca i tego rytmicznego oddechu, ale się opanowała.

Poza tym jedyną reakcją jego ciała było pojawienie się krwistego rumieńca na szyi i stwardnienie mięśni brzucha, jakby się szykował na przyjęcie ciosu w żołądek. Podejrzewała, że przyczyną nie jest tylko jodyna. Jakby na potwierdzenie Jack bezwiednie poprawił się na krześle.

Opatrując kolejne skaleczenia, natknęła się na kilka starych blizn na lewym ramieniu, szyi i plecach. Bezwiednie pociągnęła palcem po jednej z krech.

— Od odłamków miny pułapki — wyjaśnił spokojnie. — Bomby podłożonej na drodze.

— Przepraszam. Nie chciałam cię... — Jej ręka opadła, a twarz oblał rumieniec zmieszania.

Dokończyła smarowanie jodyną i zabandażowała mu rękę.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że Jack patrzy na jej twarz. Jego wilcze oczy były poważne i nieprzeniknione. Pochylił się do przodu i przez moment pomyślała, że chce ją pocałować, ale on tylko sięgnął po filiżankę z kawą.

— Dzięki — powiedział, wstając. — Wspomniałaś coś o czystej koszuli.

— Oczy... oczywiście — wyjąkała, czując się głupio, że o tym zapomniała i że się jąka. — Zaraz przyniosę z pokoju brata.

Z ulgą wybiegła z kuchni. Wylała wilgotne dłonie o dżinsy, winiąc nocną duchotę za warstewkę potu na całym ciele. A może to tylko zmęczenie, które obniżyło jej odporność? A może chłopięcość, którą dostrzegła w drzemiącym mężczyźnie? A może myśl o Tomie i nocach spędzanych w jego objęciach? Jej umysł mógł już o tym zapomnieć, ale ciało nie. Wyjęła czysty T-shirt z komody brata i szybko wróciła do czekającego na nią Jacka. Włożył go i stwierdziła, że myliła się co do jego rozmiaru. Jack ledwo się mieścił w tej koszulce.

— Gotowa? — spytał, założywszy skarpetki i buty. Skinęła głową i otworzyła drzwi wejściowe, z przyjemnością wystawiając spoconą twarz na powiew chłodnego nocnego powietrza. W ciemności rozbrzmiał głośny krzyk.

— A wy gdzie się, do cholery, wybieracie?

24

Jack instynktownie pociągnął Lornę za siebie i przykucnął. W blasku lampy na ganku czuł się wystawiony na atak i lekko oślepiiony. Ciemną dróżkę prowadzącą do wejścia osłaniały potężne dęby i krzaki magnolii, wypatrzył jednak jakiś ruch. Od strony bramy zmierzała ku nim ciemna postać.

Loma wysunęła się zza Jacka.

— Kyle? A co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś uziemiony na platformie jeszcze przez cztery dni. — Odwróciła się do Jacka i rzuciła pod nosek: — To mój brat.

— Przecież ci powiedziałem przez telefon, że wrócę wcześniej.

— A ja ci powiedziałam, że nie ma potrzeby.

— Nie miałem zamiaru pozwolić ci na włóczenie się samej po mokradłach. I wygląda na to, że wróciłem w samą porę.

Mężczyzna wyłonił się z cienia i wszedł w krąg światła lampy nad gankiem. Jack przyjrzał mu się uważnie. Brat Lomy miał jak ona piaskowo blond włosy, tyle że krótko ostrzyżone po bokach i dłuższe na czubku. Wyglądało na to, że nie golił się od wielu dni i równie długo nie zmieniał roboczych szortów i koszulki polo. Jego umięśnione ciało przypominało napiętą sprężynę, w tym momencie może nawet nieco zbyt napiętą. Chłopak położył dłoń na poręczy schodów i Jack zauważył, że paznokcie i kostki palców ma czarne od ropy. Ciemniejsze było tylko spojrzenie, którym podejrzliwie zmierzył Jacka.

185

— Mówiłam ci, żebyś się nie spieszył z powrotem — rzekła Loma. — Już jest po wszystkim. Zupełnie niepotrzebnie zrobiłeś kawał drogi.

— To dokąd się teraz wybieracie? — Kyle stał na schodkach stopień niżej, blokując przejście.

— Do ACRES.

— Oboje?

Loma spojrzała na Jacka.

— Nie. Jack mnie tylko podwozi do auta. Stoi na przystani koło zoo.

Jack odchrząknął.

— Albo mogę cię zawieźć prosto do laboratorium. Byłoby szybciej, a ja chętnie posłucham, co twoi koledzy mają do powiedzenia o tych zwierzakach. To się może przydać w śledztwie.

Loma skinęła głową.

— Bardzo by mi... znaczy, możemy tak zrobić.

Kyle zmrużył oko i przyjrzał się Jackowi.

— Ty jesteś Jack Menard, prawda?

Jack skinął głową.

Kyle przeniósł spojrzenie na siostrę.

— To jadę z wami.

— Nie wygłupiaj się. Lepiej się prześpij.

— Skoro on jedzie — Kyle dźgnął powietrze palcem w stronę Jacka — to ja też. Taka randka wymaga przyzwotki.

— To nie żadna randka. — Loma poczerwieniała, ale bardziej ze złości niż ze zmieszania. —  
Dam sobie radę sama.

— Co? Jak wtedy, kiedy wybrałaś się na przejażdżkę z innym z braci Menardów?  
Loma wytrzeszczyła oczy i zaniemówiła zaszokowana jego słowami. Jack z trudem się  
powstrzymał, by nie przyłożyć smarkaczowi pięścią w nos.

Kyle zdał sobie sprawę, że przeholował i szybko zrejterował.

— Przepraszam. Głupio powiedziałem.

Wszedł na ostatni schodek i podszedł do siostry, jakby

186

skrócenie dystansu miało złagodzić efekt jego słów. Dotknął jej ramienia, lecz Loma się odwróciła i  
ruszyła po schodkach. Poszedł za nią, nie odstępując jej na krok.

— Po tym, co ci Menardowie z tobą zrobili — powiedział nieco łagodniej i widać było, że  
złość ustępuje miejsca szczerzej trosce — nie chcę, żeby znów ci się coś przytrafiło. Tylko to  
chciałem powiedzieć. Dałbym sobie odciąć prawą rękę, żeby cię ochronić. Przecież wiesz.  
Szczera żarliwość jego słów trochę ją udobruchała.

— Oczywiście, że wiem, Kyle. Ale akurat w tej kwestii nie wiesz, o czym mówisz. —  
Spojrzała na Jacka. — Ufam mu.

Wyraz jej twarzy poruszył Jacka bardziej niż wypowiedziane przez nią słowa, i bezwiednie lekko  
się wyprostował. Miał jeszcze w pamięci dotyk jej palców na skórze, ciepły i miękki.

Kyle obrzucił oboje uważnym spojrzeniem i pokręcił głową.

— Mimo to wolałbym z tobą pojechać. Do twojego powrotu i tak nie zmruję oka. — Mówił  
znacznie łagodniejszym tonem i tym ją przekonał. — I obiecuję, że nie sprawię ci kłopotu.

— Zgoda. Ale my już wyjeżdżamy.

— Mnie to pasuje.

Usunął się i Loma poszła do furtki, a Kyle i Jack za nią. Mimo iż chłopak zmienił ton i zaczął  
mówić bardziej pojednawczo, Jack czuł, że nadal zerka na niego podejrzliwie. Pewnie Kyle  
postanowił mieć się na baczności i Jack to rozumiał. Chce chronić siostrę i jest mu obojętne, czy  
komuś się narazi, czy nie.

Wszyscy troje wpakowali się do szoferki służbowego pick--upa i Jack zadzwonił do brata, by  
powiadomić go o zmianie planów. Randy wraz z Burtem siedzieli na posterunku i czekali na  
odwiezienie do domu.

— No to spotkamy się koło zoo — zdecydował Randy i rozłączył się, zanim Jack zdążył  
zaprotestować.

Jack zerknął kątem oka na Lomę. Usiadła obok niego z przodu i po jej minie widać było, że  
myślni przebywa gdzie indziej. W kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki świadczące  
187

o skupieniu. Znów była panią doktor, która próbuje rozwikłać jakieś zagadki.

Kyle pochylił się do przodu i wcisnął między nich.

— No to co jest właściwie grane z tymi cholernymi zwierzakami? Co w nich jest takiego  
niezwykłego?

— Właśnie próbuję do tego dojść — powiedziała Loma w zadumie.

25

Godzinę później Lorna siedziała już w zakładzie genetyki przed trzydziestocalowym,  
ciekłokrystalicznym, panoramicznym ekranem monitora komputerowego. Widać było na nim liczne  
pootwierane okna, ale jej uwaga skupiona była tylko na jednym; pośrodku ekranu. W oknie obracał  
się wolno trójwymiarowy obraz ptasiego mózgu powstały w wyniku obrazowania metodą  
rezonansu magnetycznego głowy afrykańskiego żako o imieniu Igor. Sąsiednie okno zawierało  
fotografię pozbawionej piór papugi o nieco gadzim wyglądzie.

— I co my tu widzimy? — spytał stojący za nią Jack.

— Coś niezwykłego — wyręczyła Lomę Zoe Trent.

Neurobiolog dołączyła do nich w niewielkiej salce konferencyjnej. Jej mąż Paul został jeszcze w  
pracowni, analizując wyniki DNA pod kątem obecności dodatkowego chromosomu.

— Co jest temu ptaszysku? — zdziwił się Kyle.

Brat Lorny siedział na stołku obok niewielkiej klatki z Igorem. Nastroszona papuga przysiadła nisko na żerdzi i w niczym nie przypominała bystrego, żywo reagującego ptaka sprzed paru godzin. Podłoga klatki zasłana była wodnistymi odchodami.

Biegunka wywołana stresem.

Loma czuła rosnącą w brzuchu gulę niezadowolenia. Koledzy powinni byli na nią poczekać z przeprowadzeniem dodatkowych badań. Dbanie o zdrowie i dobre samopoczucie zwierząt w ośrodku należało do jej obowiązków i dotyczyło to też zwierząt

189

uratowanych z trawlera. Uważała, że wystarczająco dużo przeszły i nie zasługują na traktowanie jak świnki morskie.

— Jak to możliwe, że to brzydactwo wcale nie ma piór? — spytał Kyle.

Lorna odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu:

— Po pierwsze, nie jest żadnym brzydactwem. Po drugie, sądzimy, że to genetyczna wrzutka z przeszłości. Utracona cecha, która nagle znów się pojawiła.

— Dziwne.

Nie zaoponowała, bo to rzeczywiście było dziwne. Właściwie w tej sprawie wszystko było dziwne.

— Po prostu zajmij się nim. Jest bardzo wystraszony. Pogadaj z nim.

Papugi to towarzyskie stworzenia i obecność innych podnosi je na duchu.

Kyle wzruszył ramionami, przysunął głowę bliżej klatki i ściszył głos do łagodnego szeptu.

— No to kto jest brzydkim ptaszyskiem? Bo jasne, że nie ty.

Igor z zaciekawieniem zmrużył oko i cicho zagdakał, co w ptasim języku jest odpowiednikiem chichotu.

Podobnie jak siostra Kyle umiał obchodzić się ze zwierzętami. Mimo iż porywczy, miał miękkie serce, co mogło tłumaczyć jego wybuchowość. Wszystko bardzo przeżywał i Loma wiedziała, że bardzo ją kocha i chce chronić. Ich ojciec zmarł, kiedy byli jeszcze dziećmi, i od tamtej pory Kyle zawsze chciał pełnić obowiązki głowy rodziny, co od śmierci ich matki jeszcze się nasiliło. Loma kochała go za tę opiekuńczość i jednocześnie buntowała się przeciw jego wtrącaniu się we wszystko, ale była to sytuacja aż nazbyt często spotykana w życiu rodzinnym surowego świata Południa.

Słowa Jacka, który stał oparty biodrem o biurko, znów skierowały jej uwagę na ekran monitora.

— To co jest takiego niezwykłego w tym rezonansie magnetycznym? — zwrócił się do Zoe. — Dlaczego Loma musiała to zobaczyć?

190

Neurobiolog wskazała ekran.

— To pomoże zrozumieć, dlaczego nie poczekaliśmy z elek-troencefalogramami. — W jej głosie pojawił się przepraszający ton, lecz Loma nie dawała się udobruchać.

Patrzyła na obracający się obraz. Mózg papugi wyglądał jak większość ptasich mózgów i tak naprawdę niewiele się różnił od mózgu ssaków. Widoczny na ekranie rdzeń kręgowy przechodził w pień mózgu, mózdzek i mózg podzielone były na dwie półkule, jednak niemal od razu zauważyła coś dziwnego między warstwami ptasiego przodomózgowia. Widać było pięć wyraźnie ciemniejszych obiektów. Miały twardą, niemal krystaliczną strukturę i ostro zarysowane krawędzie. Obróciła obraz tak, by spojrzeć na te dziwne obiekty z góry, a one ułożyły się w tkwiący w tkance neurologicznej regularny pięciokąt.

— Co to jest? — spytała.

Zamiast odpowiedzi Zoe wcisnęła przycisk na klawiaturze. Z ekranu zniknął mózg papugi i został zastąpiony innym.

— To mózg jednej z małpek kapucynek.

Loma wyobraziła sobie zrosnięte bliźnięta i zbliżyła twarz do ekranu. W tkance mózgowej małpki widać było identyczne obiekty. Obróciła obraz. Było ich tyle samo i znajdowały się w morfologicznie identycznych miejscach. Nawet ich ułożenie było podobne: idealnie symetryczny pentagram.

Mimo ciepła panującego w pomieszczeniu, Lorna poczuła zimny dreszcz.

Zoe przysunęła się bliżej.

— Znaleźliśmy identyczne zaciemnienia w tkance mózgowej wszystkich zwierząt z trawlera. Mogę ci to pokazać na innych obrazach.

Lorna pokręciła głową. Nie miała powodu nie wierzyć koleżance.

— To są implanty?

— Chyba nie. — W głosie neurobiolog pojawiła się nutka podniecenia. — Sądzymy, że to cechy naturalne.

191

— Naturalne?

— Tak. — Zoe poruszyła myszką i zrobiła zbliżenie jednego z obiektów. — Przyjrzyj się dobrze. Zwróć uwagę, że wokół nie ma żadnych zablźnień, które powinny występować w przypadku wszczepienia implantu. Nie ma też wokół nich śladu ziarniny, jaka wystąpiłaby w wyniku wprowadzenia obcego ciała.

— Więc co to jest?

Zoe wzruszyła ramionami.

— Doktor Metoyer też się nad tym zastanawia. Jon Greer z patologii próbuje to wyciąć z mózgu martwego szczenięcia. Może wtedy uda nam się to bliżej zbadać. Wykonuje też kilka biopsji mózgu z okolic wtrąceń.

— Biopsje? — zdziwił się Jack. — A po co?

Zoe obwiodła palcem obraz wtrącenia na ekranie.

— Wydaje się, że tkanka neurologiczna jest gęstsza w strefie zaciemnień. Doktor Metoyer chce uzyskać potwierdzenie, że w tym rejonie występują gęściej stłoczone neurony.

Lorna też chętnie by się o tym przekonała. Pamiętała błysk przebiegłej inteligencji w oczach jaguara. A także zdumiewającą zdolność papugi do recytowania ciągu cyfr wartości pi. Większa liczba neuronów przekłada się na bogatsze środowisko synaptyczne, a to z kolei oznacza większą moc obliczeniową mózgu. To mogłoby tłumaczyć niezwykłą inteligencję zwierząt z trawlera.

Zoe wyprostowała się i przeczesała palcami krótkie czarne włosy.

— Teraz już wiesz, dlaczego chcieliśmy jak najszybciej zrobić EEG. Byliśmy bardzo podekscytowani i nie mogliśmy czekać.

Lorna wolno pokiwała głową. Badając przebieg elektrycznych wykresów czynności mózgu, szukali zmian spowodowanych tymi obiektami.

— I co wykazało EEG?

— Początkowo nic ciekawego. Wydawało się, że przebieg wszystkich fal mózgowych nie odbiega od normy i każdy był

192

równie unikalny, jak linie papilarne na palcach. Nie stwierdziliśmy żadnej powtarzalności.

Mimo to na twarzy Zoe nie malował się zawód. Emanowała podnieceniem i Lorna czuła, że to jeszcze nie wszystko. Zoe spojrzała na klatkę z Igorem.

Lorna podążyła za jej wzrokiem.

— O co chodzi?

— Zaraz ci pokażę. — Zoe pochyliła się nad klawiaturą i szybko nacisnęła sekwencję przycisków. — Pokażę ci wykresy czterech EEG papugi, dwóch małpek i młodego jaguara. Dla uproszczenia pokażę ci tylko po jednym przebiegu dla każdego z tych czterech zwierząt.

Na ekranie ukazały się wykresy.

Panthera onca

0035 0037 0038 0039 0040 0041 0042 0043

Cebus apella (os. A)

0035 0037 0038 0039 0040 0041 0042 0043

Cebus apella (os. B)

Psittacus erithacus

0035 0037 0038 0039 0040 0041 0042 0043

Zoe spojrzała na Lomę i uniosła pytająco brwi. Loma wiedziała, o co jej chodzi. Czy widzisz na tych wykresach coś niezwykłego?

193

Zajęło jej to tylko sekundę, po czym pokazała dwa środkowe wykresy.

— Te dwa przebiegi są niemal identyczne. — Odczytała nagłówki i ściągnęła brwi. Cebus apella. Osobnik A i B. — Dotyczą dwóch zrosniętych małpek.

Zoe kiwnęła głową.

— Zgadza się. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że uzyskaliśmy błędny odczyt. Że siateczka z elektrodami na głowie jednej małpki mogła odbierać sygnały od bliźniaczki. Albo że skoro są genetycznymi bliźniaczkami, ich aktywność mózgowa też jest identyczna. Żeby się upewnić, wzięliśmy wszystkie cztery zwierzęta i przebadaliśmy je jeszcze raz.

Postukała w klawisze i na ekranie ukazały się cztery kolejne przebiegi.

— Oto, co otrzymaliśmy, kiedy wszystkie cztery znalazły się na sali w tej samej chwili.

Panthera onca

0072 0073 0074 0075 0076 0077 0078 0079

Cebus apella (os. A)

0072 0073 0074 0075 0076 0077 0078 0079

Psittacus erithacus

194

Lorna pochyliła się nad ekranem i powiodła końcem palca po czterech wykresach EEG. Była coraz bardziej zdumiona. To niemożliwe!

— Wszystkie są podobne — zauważył Jack.

— Dla każdego prowadziliśmy odczyty przez pełne dziesięć minut, ale nic się nie zmieniło.

Wszystkie cztery były przez cały czas zsynchronizowane.

Łomie z trudem przychodziło pogodzenie się z tym, co ma przed oczami.

— Potem — kontynuowała Zoe — przenieśliśmy zwierzęta do klatek z wyjątkiem papugi.

Przebadaliśmy Igora ponownie, ale już pod nieobecność reszty. Wykres jego EEG znów miał pierwotny wygląd.

Loma spojrzała na klatkę z papugą i stojącego przy niej brata.

— Chcesz powiedzieć, że kiedy wszystkie są razem, ich fale mózgowe jakimś cudem podlegają synchronizacji?

— Na to wygląda.

Ale jak to możliwe? Słyszała wprawdzie o studentkach, które mieszkając razem, zaczynają jednocześnie miesiączkować, ale wynikało to z feromonów w powietrzu, które powodowały synchronizację cyklu. Co mogło wywoływać podobne zjawisko u zwierząt? Jeśli wyniki nie uległy przekłamaniam, musi istnieć jakiś wspólny bodziec lub możliwość porozumiewania się.

Loma ściągnęła na monitor dane z rezonansu magnetycznego. Raz jeszcze na ekranie pojawił się trójwymiarowy model mózgu Igora. Obróciła go tak, by mieć widok z góry na pięć dziwnych obiektów.

— Cokolwiek się z nimi dzieje — powiedziała — musi to mieć związek z tymi zaciemnieniami. Ta cecha występuje u wszystkich badanych osobników.

Wpatrując się w ekran, wyobraziła sobie siatkę gęściejszej tkanki wypełniającej pentagram. Coś jej to przypominało, tylko co? Rozczapierzyła palce dłoni, przyjrzała się im i ją olśniło. Poruszyła dłonią, obracając ją na boki.

— Antena satelitarna — mruknęła.

195

— Co? — zdziwiła się Zoe.

— Rozmieszczenie obiektów w mózgu zwierzęcia. A jeśli to działa jak małe antena nadawczo-odbiorcza? Wysyła sygnał o bardzo niskiej częstotliwości, który inne odbierają i w jakiś sposób synchronizują swoje fale mózgowe.

Zoe zamilkła rozdarta między negacją a próbą rozważenia takiej możliwości.



— Masz na myśli coś w rodzaju telepatii? — odezwał się Kyle, podejrzliwie przyglądając się papudze.

— Nie. — W głosie Lomy brzmiała pewność. — W każdym razie nie dosłownie. Żeby przebiegi EEG mogły się zgadzać, coś musi je stymulować. I nie są to ani hormony, ani feromony. Mamy do czynienia z różnymi gatunkami zwierząt.

— Iw dodatku z bardzo szybkim czasem reakcji — dodała Zoe. Mur jej niedowierzania się kruszył.

Lorna pokiwała głową.

— Takim stymulantem mógłby być słaby sygnał elektryczny. Wystarczający do tego, żeby otworzyć klapki w mózgach całej czwórki.

— Ale co by mogło być źródłem zasilania? — zastanowił się Jack. — Nie widzę tu żadnej baterii.

Tym razem odpowiedziała Zoe:

— Żadna bateria nie jest potrzebna. Mózg jest urządzeniem elektrycznym, które poprzez dostarczanie i odprowadzanie substancji chemicznych z neuronów produkuje energię zwaną potencjałem aktywnym. Przeciętny mózg wytwarza energię o mocy dziesięciu do dwunastu watów. W sposób ciągły — rano, w południe i wieczór. To wystarczy do zapalenia latarki.

— A już na pewno do wysłania słabego sygnału elektrycznego. — Nie odrywając wzroku od modelu rezonansu magnetycznego, Loma głośno przełknęła ślinę.

Nagle od strony drzwi dobiegł głos:

— Co oczywiście, moja droga, prowadzi nas do następnego pytania.

Lorna odwróciła głowę i ujrzała stojącego w drzwiach

196

Carltona Metoyera. Od jak dawna przysłuchiwał się ich rozmowie?

— Mianowicie? — spytała Zoe.

Wszedł ubrany w lśniący czystością fartuch. Jak zawsze nienagannie ubrany dżentelmen z Południa, nawet w środku nocy.

— Doktor Polk właśnie zaproponowała intrygujące rozwiązanie zagadki, w jaki sposób mózgi różnych zwierząt się ze sobą łączą. Ale to prowadzi do jeszcze bardziej fascynującego pytania.

Loma zrozumiała i wypowiedziała je głośno:

— Pytania „dlaczego”?

Po co te wszystkie zwierzęta się ze sobą łączą?

26

Duncan siedział w SUV-ie zaparkowanym na poboczu drogi prowadzącej do ACRES. Szyba była opuszczona, słuchał nocnego chóru żab i świerszczy. Za groblą po lewej toczyła swoje bagniste wody Missisipi. Wiał lekki wietrzyk, czyniąc ciężkie wilgotne powietrze prawie zdatnym do oddychania.

Przez gogle noktowizyjne przyglądał się ośrodkowi. Budynki były ciemne i tylko w paru oknach na parterze paliło się światło. W uchu miał słuchawkę, która pozwalała słuchać meldunków w miarę zajmowania przez jego ludzi stanowisk wokół budynku. Czekał na potwierdzenie pełnej gotowości do akcji, nie odrywał wzroku od jedynej drogi dojazdowej do ośrodka.

Nie życzył sobie żadnych niespodzianek.

Zastępca wreszcie zameldował, że wszystko gotowe.

— Czekamy tylko na pański sygnał — powiedział.

— Wszystkich policzyłeś i zidentyfikowałeś?

— Siedmioro, wśród nich agent Służby Granicznej. Zakładamy, że jest uzbrojony.

— Będzie waszym celem numer jeden. I pamiętajcie, że potrzebny nam ktoś z personelu naukowego, żeby go potem u nas przepytac.

— Jasne, panie komendancie.

Muszą się dowiedzieć, ile naukowcom z ośrodka udało się

198

rozgrzyć z projektu „Babilon” i co ważniejsze, co z tego wyostało się na zewnątrz. Potem

informator zostanie zlikwidowany, a jego ciało zniknie bez śladu. Na Karaibach nie brakuje głodnych rekinów.

Duncan po raz ostatni przyjrzał się ośrodkowi. Jego ludzie otoczyli teren szczelnym kordonem, a po odejściu wszelkie ślady ich bytności zniszczą ładunki zapalające. O świcie walcząca o prawa zwierząt bojówka terrorystyczna wyśle komunikat do mediów i weźmie na siebie odpowiedzialność za przeprowadzony atak. Żadne nitki nie będą łączyły akcji z Ironcreek Industries.

Upewniwszy się, że wszystko w porządku, już unosił do ust radiotelefon, by wydać rozkaz rozpoczęcia akcji, gdy nagle na drodze za jego plecami pojawiły się światła nadjeżdżającego samochodu. Ich blask na moment go oślepił. Szybko zdjął gogle i spojrzał we wsteczne lusterko. Zza zakrętu wyłonił się samochód, a jego reflektory omiotły okolicę po łuku i na moment go oświetliły. Opuścił rękę z radiotelefonem i postanowił odczekać.

Czuł budzącą się w nim podejrzliwość.

O tej porze i w tym miejscu nie spodziewał się żadnego mchu.

Patrząc na zbliżający się samochód, wsunął do ust kolejnego dropsa. Trafił na ananasowego i skrzywił się z niesmakiem. Ananasowe nie należały do jego ulubionych. Mimo to zaczął ssać. Czekając, analizował stopień zagrożenia i korygował w myślach szczegóły planu.

Samochód okazał się starą zdezelowaną półciężarówką Chev-rolet, którą trzymała w całości głównie rdza i warstwa szarej farby podkładowej. Jechała w jego stronę i była coraz bliżej. Jedź i nie zatrzymuj się, polecił w myślach kierowcy.

Chevrolet posłusznie zjechał na bok, żeby go wyminąć, potem jednak z tyłu pojawił się krwistoczerwony blask i pojazd zaczął hamować, po czym z głębokim westchnieniem silnika zatrzymał się równoległe do SUV-a Duncana. Kierowca przechylił się, opuścił szybę po stronie pasażera i poprawił daszek

199

bejsbolówki. Miał na sobie poplamiony T-shirt i myśliwską kamizelkę.

— Potrzebna ci pomoc, kolego?! — zawołał z silnym cajuńskim akcentem. Ot, zwykły szczur z mokradła, który gdzieś zabalował.

Duncan wziął pistolet i skrzywił się w duchu.

Cholerny dureń musiał się zatrzymać...

Odwrócił się do okna i kierowcę chevroleta aż cofnęło na widok pokrytej bliznami twarzy. Duncan wiedział, że takiej twarzy jak jego się nie zapomina, a nie może być żadnych świadków. Uniósł pistolet...

...iw tym momencie z tylnej kanapy w szoferce chevroleta poderwał się czamo-brązowy pies i zaczął tak głośno ujadać, jakby miał przy pysku megafon.

Duncan był tak zaskoczony, że odruchowo szarpnął się do tyłu i poczuł rozchodzące się po plecach ciarki. Mimo woli stanęła mu przed oczami scena, kiedy rzuciła się na niego inna dzika bestia.

Kierowca odwrócił się do tyłu i wrzasnął na psa:

— Burt, zamknij jadaczkę! Własnych myśli nie słyszę!

Walące jak młotem serce podeszło Duncanowi do gardła.

Nieświadomy jego reakcji kierowca chevroleta zapytał:

— Nie wiesz pan przypadkiem, czy jest tu gdzieś jakieś inne zoo? Mój dumy brat się uparł, żeby...

Strach Duncana zamienił się w furję. Wściekły, że dał się zaskoczyć, szarpnął pistolet i wystawił go przez okno. Nacisnął spust, ale w tym samym momencie pies wyskoczył z szoferki i rzucił się wprost na niego.

Szarpnął się w chwili wystrzału i szybę chevroleta zbryzgała krew. Kierowca złapał się za bok głowy, wrzasnął „kurwa” i skulił się we wnętrzu.

Duncan przeniósł wzrok na atakującego psa, ale ten zwinął się podczas skoku, uderzył w bok SUV-a i upadł na drogę między pojazdami.

Silnik chevroleta nagle zawył na wysokich obrotach, zgrzyt-

200

nęły biegi, samochód wyrwał do przodu i zaczął się zataczać od skraju do skraju drogi, prowadzony

na osłep przez kulącego się w środku kierowcę.

Duncan szarpnął drzwi, wyskoczył na jezdnię i przyjąwszy pozycję strzelecką, opróżnił cały magazynek w stronę uciekającej półciężarówki. Chevrolet gwałtownie wahał się w lewo, ale nie zwolnił. Pęd wyrzucił go w powietrze jak z procy i pojazd stoczył się po stromym zboczu grobli. Duncan ruszył za nim, w biegu zmieniając pusty magazynek na pełny. Patrzył, jak chevrolet wali maską w kamienne nabrzeże, koziołkuje i wpada do rzeki. Rwący po burzy nurt porwał wrak, który prawie natychmiast zatonął.

Duncan czekał z wycelowanym pistoletem. Minęły pełne dwie minuty, ale ciało nie wypłynęło na powierzchnię.

No i chuj z nim.

Nie miał czasu na dokładniejsze poszukiwania i musiał się tym zadowolić. Ale jeśli nawet kierowca przeżył, nim kogokolwiek zaalarmuje, po ekipie Duncana nie będzie śladu.

Z twarzą poczerwieniałą z emocji i walącym sercem zawrócił do SUV-a. Rozejrzał się za psem, ale ten musiał się gdzieś odczołgać. Wsiadł do wozu i wziął do ręki radiotelefon. Nie ma tu już nic do roboty. Podniósł słuchawkę do ust.

— Do wszystkich stanowisk. Bierzcie się do roboty. Roz-pirzyć tę budę.

26

— Igor, powiedz, ile to jest pi? — spytała Lorna, zastępując Kyle'a przy klatce. — Ile to jest pi?

Wszyscy zebrali się za jej plecami. Papuga łypnęła na nią jednym okiem, potem drugim. Dzięki łagodności brata Igor otrząsnął się z ponurego otepienia, ale w jego wzroku nadal brakowało wcześniejszego błysku.

Carlton przesunął się do przodu i stanął obok Lomy.

— Co ty właściwie robisz? — spytał.

— Chcę coś sprawdzić. — Gestem ręki odgoniła szefa. — Niech się wszyscy odsuną.

Cofnęli się posłusznie, a ona jeszcze bardziej zbliżyła twarz do klatki i ściszyła głos do łagodnego szeptu.

— No dalej, Igor...

— Igor — powtórzył niepewnie ptak.

— Dobrze, Igor. Kto jest dobrym ptakiem?

— Igor! — zaskrzeczał nieco radośniej i przestąpił z nogi na nogę.

— Dobry ptaszek. A teraz powiedz mi, ile to jest pi. Już to robiłeś. Pi.

Ekran stojącego obok monitora wypełniał ciąg cyfr określających wartość stałej matematycznej: 3,141592653589793...

Papuga przekrzywiła głowę.

— Trzy...

202

— Tak jest. Dobrze, Igor.

— Jeden... cztery...

Ptak rozpoczął recytację jak poprzednio, potem jednak coś się posypało.

— Osiem... siedem... koło... trójkąt...

Igor przekrzywił głowę prawie o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął patrzeć od dołu, jakby coś podglądał. Zwężone do szparek oczy świadczyły o wysiłku umysłowym.

— Lomo? — Carlton z wyraźnym zniecierpliwieniem spojrział na zegarek.

Odwróciła głowę. Wpadka Igora nie tylko jej nie zniechęciła, ale jeszcze bardziej utwierdziła w podejrzeniach. Wolą się jednak upewnić.

— Zoe, czy mogłabyś przynieść tu Bagirę? A ty, Paul, przynieś kapucynki.

Oboje skinęli głowami i szybko wyszli z sali.

Lorna spojrzała na Carltona.

— Wcześniej, zarówno na trawlerze, jak i w naszym oddziale kwarantannowym, Igor potrafił wyrecytować wartość pi do setnych miejsc po przecinku. Nie mogłam wtedy zweryfikować wszystkich cyfr, ale co najmniej pierwszych dwanaście było prawidłowych.

— Też to pamiętam — wtrącił pospiesznie Jack.

— Nie bardzo rozumiem. — Carlton wzruszył ramionami. — Przecież to tylko zwykłe papugowanie, nic więcej. Co chcesz w ten sposób udowodnić?

— Myślę, że to coś więcej niż papugowanie. Pytałeś, po co zwierzęta synchronizują swoje fale mózgowo. Wydaje mi się, że znam odpowiedź.

Widziała, z jakim napięciem Jack jej się przygląda, i jego zainteresowanie dodawało jej animuszu. A jeśli się myli?

Po chwili Zoe i Paul wrócili ze zwierzętami. Zoe trzymała opatuloną w kocyk Bagirę i widać było tylko jej pyszczek i jasnoniebieskie ślepka, którymi czujnie wodziła po wszystkich. Obie małpki wczepiły się wszystkimi sześcioma kończynami

203

w fartuch Paula, który podtrzymywał je na zgiętym ramieniu. Na jego twarzy malował się uśmiešek jak u dumnego taty.

— Kiedy wcześniej przyniesiono tu zwierzęta — zwróciła się Loma do Carltona — ile trzeba było czasu, żeby wystąpiła synchronizacja?

— Powiedziałbym, że to kwestia sekund. Nie więcej niż pół minuty

Loma z zadowoleniem kiwnęła głową i znów odwróciła się w stronę klatki. No to spróbujmy teraz, pomyślała.

— Igor, ile to jest pi?

Ptak się wyprężył, oczy mu rozbłysły, jakby wróciło w niego życie.

— Ile to jest pi? — powtórzyła Loma.

Igor błysnął żrenicami i rozpoczął recytację swoim niesamowitym, niemal ludzkim głosem. Tym razem ani przez sekundę się nie zawahał.

— Trzy, jeden, cztery, jeden, pięć, dziewięć, dwa, sześć, pięć...

Siedzący przed monitorem Kyle sprawdzał ciąg cyfr na ekranie.

— Rany, zgadza się — sapnął, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

Nie przestając recytować, Igor zmrużył lekko oczy, ale nie był to przejaw szczególnej koncentracji — prędzej ukontentowania.

— ...trzy, pięć, osiem, dziewięć, siedem, dziewięć, trzy...

Wszyscy trwali w zdumionym milczeniu. Szef Lomy podszedł do Kyle'a i razem z nim śledził ciąg cyfr na ekranie.

Występ Igora trwał dobre trzy minuty.

Loma widziała, jak z twarzy Carltona znika sceptycyzm, a w to miejsce pojawia się strach. W końcu zdjął okulary, przetarł je chusteczką i pokręcił głową.

— Przyznaję. Pamięć tej papugi jest zdumiewająca.

— Nie jestem pewna, czy chodzi tu o pamięć — powiedziała Loma, słuchając recytacji Igora.

— Wydaje mi się, że on to na bieżąco oblicza.

204

Carlton już się szykował, żeby ją ofuknąć, ale nagle coś zaświtało mu w głowie.

— Myślisz że... że ta synchronizacja... że to wykracza poza fizyczność i dotyczy funkcjonalności?

Loma uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Co to znaczy? — zaciekał się Kyle.

Zoe przysunęła się bliżej i przyjrzała młodemu w swoich ramionach.

— Nie łączą się tylko po to, żeby się zsynchronizować...

— ...tylko dokonują sieciowania na poziomie funkcjonalnym — dokończył jej mąż.

Kyle ostentacyjnie wzmszył ramionami na znak, że nic z tego nie rozumie. Jack przysunął się bliżej Lomy, jakby to miało mu pomóc coś pojąć.

— Mózg tak naprawdę jest organicznym komputerem — wyjaśniła Loma. — Przez większość czasu ogromna sieć neuronów i synaps jest bezczynna, stanowiąc źródło potężnej, niewykorzystanej mocy obliczeniowej. Myślę, że te anteny w mózgach pełnią funkcję sieciowych routerów, które łączą moc obliczeniową w głowach poszczególnych zwierząt. Każde ma dostęp do

uśpionych mocy w innych organicznych komputerach w sieci. Mówiąc ogólnie, zwierzęta te tworzą coś w rodzaju bezprzewodowej sieci komputerowej.

— Ale jak to możliwe? — wymamrotał Jack.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, rozmowę przerwało brzęczenie telefonu komórkowego.

Carlton zrobił przeproszącą minę i uniósł aparat do ucha. Powiedział „halo”, przez chwilę słuchał, po czym rzucił do słuchawki:

— Dzięki, Jon. Zaraz tam będziemy.

Szef Lomy zamknął klapkę telefonu i spojrział na Jacka.

— Niewykluczone, że nasz patolog będzie mógł odpowiedzieć na pańskie pytanie, agencje Menard.

205

Jack widział w życiu wiele martwych ciał, ale pracownia patologii w ACRES wywarła na nim wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Pozbawiona okien sala miała wielkość boiska do koszykówki, betonowa podłoga pełna była kraterów ściekowych i przykrytych klapami otworów zrzutowych. Środek zajmowały ogromne stoły ze stali nierdzewnej i zwisające nad nimi lampy operacyjne. Na suficie zamontowano system szyn z wielokrażkami, który służył do transportu dużych zwierząt. Powietrze było przesycone wonią formaldehydu z przebijającą przez nią nutą zgnilizny.

Pracownia przypominała gigantyczną rzeźnię.

Obietnica usłyszenia odpowiedzi z ust patologa przyciągnęła tu wszystkich.

Na jednym ze stołów leżały nietknięte zwłoki samicy jaguara, wszyscy zgromadzili się jednak przy stole, na którym rozłożono pokrojone szczątki szczenięcia. Małe ciało leżało rozplaszczone jak żaba, bo wewnątrz zostało opróżnione, a wyjęte narządy pływały w opisanych słojach: serce, nerka, śledziona, wątroba. Najokropniejsze wrażenie robiła jednak rozpiłowana na pół i pusta w środku czaszka.

Mózg szczenięcia leżał na tacy u szczytu stołu, jego szara powierzchnia połyskiwała w blasku halogenów.

Jack widział, z jaką miną Loma popatrzyła na wypatroszone zwierzę. Jego gwałtowna i niepotrzebna śmierć wyraźnie ją poruszyła, jednak patolog właśnie zaczął mówić, i to przykuło jej uwagę.

Doktor Jon Greer machnięciem pincety przywołał wszystkich bliżej.

— Uznałem, że powinniście to sami zobaczyć — powiedział.

Za pomocą pincety i skalpela odchylił wierzchnią warstwę mózgu i odkrył głębszą warstwę tkanki mózgowej. Tkanka nie różniła się wyglądem od reszty z wyjątkiem czterech małych czarnych kropek, które niczym diamenty iskrzyły się w świetle. Zamiast piątego widać było niewielkie wgłębienie w zwartej tkance.

206

— Wyjąłem jeden z tych przedmiotów i przeprowadziłem kilka szybkich testów. Zaraz wam pokażę.

Poprowadził ich do sąsiedniego stołu. Na plastikowej tacy leżał jeden z czarnych diamentów, tyle że pocięty na cztery części. Greer pęsetką uniósł jedną z nich i zbliżył do kupki proszku o wyglądzie grubo zmielonego pieprzu.

— Opilki żelaza — wyjaśnił.

W chwili gdy cząstka znalazła się nad kupką, kilka opilek poderwało się i do niej przyłgnęło. Greer powiódł wzrokiem po zebranych.

— Sadzę, że mamy do czynienia z gęstym agregatem kryształów magnetytu.

— Magnetytu? — powtórzył Jack. Nikt z pozostałych nie wyglądał na zaskoczonego i tylko brat Lomy sprawiał wrażenie że jest mu niedobrze i że wolałby być gdzie indziej. — Znaczy coś jak magnes?

— Coś w tym rodzaju — potwierdziła Loma.

— Każda tkanka mózgowa, w tym także nasza, zawiera rozproszone w sposób naturalny kryształki magnetytu — wtrąciła Zoe. — Większa koncentracja występuje w korze mózgowej, w mózdzku, a nawet w warstwach oponowych okrywających mózg.

Loma kiwnęła głową.

— Poziom magnetytu w mózgach ptaków jest nawet wyższy. Uważa się, że te magnetyczne kryształki podczas długich przelotów migracyjnych pomagają ptakom orientować się w stosunku do ziemskiego pola magnetycznego. Dzięki temu co roku przelatują z miejsca na miejsce i nie gubią się. Magnetyt znajdujemy też u pszczoł, ryb, bakterii i innych organizmów, które przemieszczają się według wewnętrznych kompasów.

— To po co nam to w ludzkim mózgu? — spytał Jack.

Loma wzruszyła ramionami.

— Tego nikt nie wie.

— Ale istnieją pewne teorie — zaznaczyła Zoe. — Najnowsze badania dowodzą, że biomagnetyzm może stanowić

207

fundament życia na naszej planecie. Że to właśnie magnetyzm jest prawdziwym łącznikiem między energią a żywą materią. Na przykład macierze piezoelektryczne występują w białkach, enzymach, a nawet w DNA. Praktycznie we wszystkich cegiełkach życia.

Loma przerwała jej machnięciem ręki.

— Dobra, teraz to nawet ja się pogubiłam.

— Niezależnie od wszystkiego — podjął Greer — nigdy nie zetknąłem się z taką koncentracją magnetytu u żadnego zwierzęcia. Ani z taką symetrią i regularnością rozmieszczenia. Pozwoliłem sobie zbadać ten obiekt pod mikroskopem. Składa się z coraz to mniejszych kryształów, które dzielą się na coraz mniejsze identyczne cząstki.

— Jak fraktale — mruknął Kyle.

— Właśnie — potwierdził Greer.

Jack z trudem powstrzymał się od poskrobania się po głowie. A co to są fraktale?

— Ale te wtrącenia czy węzły magnetytu to zaledwie połowa całej tej historii — kontynuował patolog, prowadząc ich z powrotem do pierwszego stołu. Końcem pęsetki zaznaczył linie między poszczególnymi obiektami. — Wszystkie węzły są ze sobą połączone mikroskopijnymi nitkami kryształów i tworzą siatkę połączeń. Wewnątrz tej siatki znajduje się obszar o podwyższonej gęstości neuronów.

— Co nie jest zaskoczeniem — zauważył doktor Carlton Metoyer.

Wszyscy spojrzeli na szefa ACRES.

— Udowodniono, że magnetyczna stymulacja mózgu prowadzi do rozrostu neuronów i powstawania nowych połączeń synaptycznych. Jeśli tę siatkę magnetyczną utworzono na etapie rozwoju embrionalnego, słaba, ale ciągła stymulacja magnetyczna musiała spowodować powstanie obszaru o większym zagęszczeniu neuronów.

Jack pamiętał wcześniejsze rozmowy, ale wolał się upewnić.

— I dzięki temu zwierzęta byłyby mądrzejsze?

208

— W indywidualnych przypadkach... do pewnego stopnia tak. Ale przede wszystkim wpisuje się to w teorię doktor Polk o istnieniu sieci bezprzewodowych połączeń między zwierzętami. Im więcej neuronów, tym silniejsza elektryczna stymulacja miejscowa. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że sygnał powodujący synchronizację ma charakter elektromagnetyczny. Słaby impuls elektromagnetyczny, wspólny dla wszystkich zwierząt.

Loma pokręciła głową, jakby nie mogła się z tym wszystkim oswoić.

— Pozostało jeszcze tak wiele pytań, na które brak nam odpowiedzi.

— Więc nie będę was tu dłużej trzymał — powiedział Greer — ale jest jeszcze coś.

— Co takiego? — spytał Carlton.

Patolog przeszedł na drugą stronę stołu. Na plastikowej tacce leżał maleńki przedmiot będący niewątpliwie wytworem ludzkich rąk — plastikowa kapsułka wielkości ziarna groszku. Przez przezroczystą powłokę prześwitywała elektronika.

— Pomyślałem, że może chcielibyście zobaczyć, jakie mik-rochipy wszczepiano tym zwierzętom.

Loma ściągnęła brwi.

— Mikrochipy? — powtórzyła. — Chcesz powiedzieć, że te zwierzęta były monitorowane? Greer zwrócił ku niej twarz.

— Rezonans magnetyczny wykazał u każdego ze zwierząt wszczepiony pod skórę mikrochip. Początkowo myśleliśmy, że to w celach identyfikacyjnych, tak jak to się robi z domowymi psami i kotami. Ale porównałem go z naszymi standardowymi chipami i wygląda na to, że ten jest dużo bardziej skomplikowany. Jest cały napakowany elektroniką.

— Mogę obejrzeć? — zapytał Jack.

Patolog wziął chip z tacki i podał Jackowi, a ten dokładnie mu się przyjrzał. Wprawdzie oględziny nie mogły mu wiele powiedzieć, ale wystarczyły do zapalenia lampki ostrzegawczej

209

w głowie. Skomplikowana elektronika i stopień zminiaturyzowania chipa wskazywały na jego militarne pochodzenie.

Może to transponder... albo marker GPS...

Jego oględziny na tym się skończyły, bo w tym momencie zgasły wszystkie światła i w pozbawionym okien pomieszczeniu zapanowały nieprzeniknione ciemności. Wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu, aż włączy się generator zasilania awaryjnego.

— Myślałem, że już sobie z tym poradziliśmy — mruknął ze złością Carlton.

Jack zeszywniał, a jego wewnętrzny system ostrzegawczy przełączył się nagle z cichego brzęczyka oczekiwania na głośne wycie syreny alarmowej. Pamiętał swoje rozważania sprzed chwili.

Marker GPS...

Pamiętał też wybuch na trawlerze. Ktoś próbował zacierać ślady, ale nie wszystkie udało mu się zatrzeć.

Pozostałe doprowadziły go tu.

Nie ma co do tego wątpliwości.

— To nie awaria zasilania — powiedział spokojnie. — To napad.

26

Lorna zatoczyła się od stołu i na kogoś wpadła. Czyjeś ramiona opłoty ją i podtrzymały. Po piżmowym zapachu mieszanki potu i jodyny poznała Jacka.

Przy drugim końcu stołu zajaśniała blada plama światła. To Zoe wyjęła telefon komórkowy i świecącym ekranem próbowała choć trochę rozproszyć ciemności. Niestety, do niczego innego telefon się nie nadawał, bo burza zwała lokalny maszt telefonii komórkowej. Zresztą i bez tego odbiór był tu bardzo kiepski.

Wszyscy skupili się wokół świecącego wyświetlacza jak ćmy lecące do światła.

Carlton stał podparty pod boki, opanowany jak zwykle.

— Agencie Menard, skąd pan wie, że to napad, a nie zwykła awaria zasilania?

— Póki się nie upewnię, panie doktorze, że nie mam racji — powiedział z naciskiem Jack — wolę przyjąć najgorszy scenariusz. Ten, kto wysadził trawler, mógł tu dotrzeć za zwierzętami. Ten chip wyjęty z ciała szczenięcia wygląda jak marker do monitoringu. To ich mogło tu doprowadzić.

— Fantazjuje pan, agencie Menard. — Carlton się skrzywił. — A poza tym, komu by się chciało podejmować taki trud?

Loma poczuła, jak mięśnie w ciele Jacka twardnieją. Nadal trzymał ją w objęciach i stojący o krok dalej brat obrzucił ją

211

kwaśnym spojrzeniem. Pod ciężarem jego wzroku wyzwoliła się z objęć Jacka.

— Może jednak powinniśmy wysłuchać agenta — powiedziała Zoe, przysuwając się bliżej męża. — Na wszelki wypadek. Nic nas to nie kosztuje.

Wszystkie twarze zwróciły się w stronę Jacka.

— W tym pomieszczeniu nie ma okien — powiedział. — A to oznacza, że dla kogoś monitorującego budynek to ślepy punkt. Dla bezpieczeństwa nikt nie powinien się stąd ruszać, póki nie sprawdzę, co się dzieje.

— A może po prostu stąd wyjdźmy — odezwał się Greer i wyciągnąwszy rękę ku ścianie w

głębi, dodał: — Tamtędy wychodzi się na rampę załadunkową na tyłach budynku.

— Nie. Budynek jest na pewno otoczony. Rampy też pilnują.

— To co robimy? — spytała Zoe. Jej wielkie oczy zrobiły się ze strachu jeszcze większe.

— Na razie wszyscy zostają tu. Jest tu jakieś pomieszczenie, gdzie można się ukryć i ewentualnie zabarykadować?

— Chłodnia — odparł patolog. — Można do niej wejść, ale od środka nie da się zamknąć.

— Dajcie mi spojrzeć — odezwał się Kyle. — Po czterech latach w technikum mechanicznym powinienem umieć coś wykombinować.

— Dobrze. — Jack skinął głową. — Niech wszyscy znajdą sobie jakąś broń. Skalpel, nóż, nożyczki, strzykawka, cokolwiek. Ja spróbuję dostać się do samochodu. Mam tam karabin i strzelbę.

Greer znalazł dwie latarki, zapalił jedną, a drugą podał Jackowi.

— Może się panu przydać.

Ludzie rozeszli się po sali i pod kierunkiem patologa zaczęli się zbroić.

Loma wysunęła się za Jackiem z kręgu światła i skierowała wraz z nim ku drzwiom z napisem „Wyjście”. Napis był zasilany małym akumulatorkiem.

212

— A może lepiej moja strzelba na ładunki usypiające? — spytała. — Ta, którą miałam na mokradłach. Zostawiłam ją w moim gabinecie. To bliżej niż do samochodu na parkingu.

Nie chciała, żeby Jack stawał nieuzbrojony przeciw bandzie napastników.

— Dobry pomysł. — Skinął głową.

— Pójdę z tobą. — Czuła, że Jack będzie protestował, więc nie czekając, ciągnęła: — Trzeba wprawy, żeby załadować M--dziewięćdziesiąt dziewięć do naboju strzykawkowych.

I rzeczywiście tak było. Wystarczyła chwila nieuwagi i człowiek w ciągu paru sekund mógł nie żyć. Ale Jack i tak się najeżył.

— Pójdę z tobą tylko do gabinetu — obiecała. — To piętro wyżej. Stamtąd od razu wrócę. — Nim zdolał zareagować, wyminęła go i podeszła do drzwi. — Chodź, idziemy.

Nacisnęła klamkę, ale ją przytrzymał. Sądziła, że będzie chciał wciągnąć ją do środka i nie pozwolić wyjść, ale on tylko ją wyminął i ruszył przodem.

— Trzymaj się za mną. Nie rozmawiamy.

Podążyła za jego barchystą sylwetką, a drzwi za nimi zamknęły się i znaleźli się w nieprzeniknionych ciemnościach. Jack sięgnął za siebie i namacał jej rękę. Dłoń miał wielką i twardą od odcisków, ale jego uścisk pozwalał jej czuć się pewniej w ciemnościach. Poprowadził ją w stronę klatki schodowej.

Dlaczego on nie zapalił tej latarki? — zastanawiała się.

Dotarli do schodów i zaczęli po ciemku wchodzić na górę. W pobliżu podestu parteru pojawiła się słaba poświata. Przez okna klatki schodowej wpadało do środka blade światło gwiazd. Po smolistej czemi na dole nawet tak mizerne oświetlenie stanowiło ulgę.

Szli w głąb korytarza. Jej gabinet i pracownia znajdowały się tylko parę drzwi dalej. W połowie drogi usłyszeli stłumione uderzenie, które dotarło od frontu budynku. Loma zacisnęła palce na dłoni Jacka. O tej porze w ośrodku nie powinno nikogo być.

213

Jack przyspieszył kroku i po chwili dotarli do jej gabinetu. Jack otworzył drzwi, wyciągnął rękę i puścił Lornę przed sobą. Skoczyła do przodu, a on ostrożnie zamknął za nimi drzwi. Jego odcinająca się na tle oszklonych drzwi sylwetka uniosła rękę i przyłożyła palec do ust.

Loma podbiegła do biurka, uderzając się po ciemku w kolano. Zostawiła futerał ze strzelbą na blacie. Wymacała go, otworzyła zatrzaski i zabrała się do składania obu części. Może są ludzie potrafiący składać broń z zawiązanymi oczami, ale ona do nich nie należała. Trochę się spociała i zasapała, ale w końcu kolba wskoczyła na miejsce.

Jack pilnował drzwi.

Wzięła do ręki dwa naboje strzykawkowe i wyjęła fiolkę M99 z wyłożonej atlasem przegródki w futerał. Napełnianie naboju groźną trucizną po ciemku było szaleństwem, ale nie miała wyjścia.



Może nie była najlepsza w składaniu broni w ciemno, ale w obchodzeniu się z fiolkami leków i strzykawkami miała lata doświadczenia. Sprawnie napełniła dwie strzykawki i załadowała do strzelby.

Odwróciła się w chwili, gdy Jack raptownie odsunął się od drzwi i zaraz potem za mleczną szybą bezszelestnie przemknęło korytarzem kilka cieni. Napastnicy zachowywali się tak cicho, że nie dosłyszała nawet szmeru ich kroków. Jeden z cieni zatrzymał się przy ich drzwiach.

Loma wstrzymała oddech, zamarła w bezruchu i tylko serce waliło jej w piersiach jak młotem. A potem cień poszedł dalej. Loma domyślała się, dokąd zmierzają napastnicy. Kilka drzwi dalej znajdowało się pomieszczenie kwarantannowe. Tyle że gdy tam dotrą, spotka ich zawód, bo powitają ich puste klatki. Wprawdzie jagnię wciąż tam jest, ale pozostałe zwierzęta z trawlera znajdują się piętro wyżej w pracowni genetycznej, gdzie poddawano je badaniom.

Niestety, odnalezienie całej reszty nie zajmie im pewnie dużo czasu, zwłaszcza jeśli mają do dyspozycji elektroniczny

214

monitoring. Pytanie tylko, czy tego typu urządzenia działają w pomieszczeniach zamkniętych.

Po dziesięciu sekundach Jack oderwał się od drzwi i podszedł do biurka. Mimo ciemności poruszał się po gabinecie zupełnie swobodnie. Wyciągnęła do niego rękę ze strzelbą, ale on przytknął wargi do jej ucha i szepnął:

— Zostań tu. Schowaj się i nie wychodź.

Zdecydowanym mchem zamknął jej dłonie na strzelbie.

Zrozumiała go bez słów.

Reguły gry uległy zmianie. Coś, co dotąd stanowiło tylko podejrzenie, teraz zamieniło się w przerażającą pewność. Zostali napadnięci i Jack nie chce jej zostawiać bez możliwości obrony. Jego twarde uścisk świadczył o tym, że kwestia nie podlega dyskusji.

Nie czekał nawet na jej zgodę, tylko bez słowa ruszył do drzwi. Otworzył je, wymknął się na korytarz i bezszelestnie zamknął.

Loma patrzyła na jego ciemną sylwetkę za szybą. Wolałaby, żeby w ogóle nie wychodził, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Jego cień przesunął się w przeciwnym kierunku niż napastnicy. Ale ilu jeszcze tam zostało?

Jack niechętnie zostawiał Lomę samą, ale nie mógł sobie pozwolić na bezczynne czekanie. Ruszył ciemnym korytarzem do najbliższego wyjścia. Nie powinien był się zgodzić, żeby mu towarzyszyła. Powinna zostać z tamtymi. Zamknięci w chłodni mają największą szansę na to, że napastnicy ich nie znajdą. Jack nie miał wątpliwości, że nie są to zwykli złodzieje. Napadł ich oddział profesjonalnych zabójców z wojskową przeszłością.

Przebiegł w myślach ich możliwe zamiary i wnioski zdecydowanie go nie ucieszyły. Celem nocnego ataku jest pewnie pozbycie się wszelkich śladów — to kontynuacja akcji zapoczątkowanej wysadzeniem wraku trawlera. Chodzi im głównie

215

o odzyskanie lub likwidację zwierząt, które przeżyły katastrofę. Tylko co jeszcze? Do czego gotowi są się posunąć i jak mają zamiar zatrzeć wszelkie ślady?

Aż bał się pomyśleć.

Korytarz kończył się wahadłowymi drzwiami, za którymi zaczynał się hol z głównym wyjściem. Jack był zbyt sprytny, aby myśleć o próbie wyjścia tą drogą. Pamiętał, jak napastnicy sprawnie i bezszelestnie poruszali się po ciemnym korytarzu. Muszą być wyposażeni w jakieś urządzenia noktowizyjne i na pewno obstawili wszystkie wyjścia.

Musi przedostać się jak najbliżej parkingu bez wychodzenia z budynku. Dopiero potem znajdzie jakieś otwarte okno.

Ale wolałby przedtem wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Podszedł do drzwi i zajrzał do ciemnego holu przez dwie wąskie, zbrojone drutem szybki.

Dwuskrzydłowe frontowe drzwi znajdowały się na wprost niego, po drugiej stronie holu. Nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnych podejrzanych cieni po tej lub tamtej stronie oszklonych drzwi wyjściowych.

Ale nie dał się nabrać.

Już miał się odwrócić, gdy coś przyciągnęło jego uwagę. Gdyby w holu nie było tak ciemno, mógłby w ogóle tego nie dostrzec. Zza oparcia kanapy błyskało ledwo widoczne czerwone światelko i w jego poświacie dostrzegł stojący na podłodze dwudziestolitrowy kanister. Poczul, jak włoski na karku stają mu dęba.

Bomba benzynowa...

Cofnął się i przelknął gulę strachu. Wiedział już, co chcą zrobić napastnicy. Nie mają zamiaru zadowolić się eliminacją samych zwierząt.

Zależy im na zatarciu wszelkich śladów.

Nikt z przebywających w budynku nie ujdzie z życiem.

Jack pomyślał o ludziach ukrytych na dole w chłodni i Łomie w jej gabinecie. Pamiętał, jak zadrżała, kiedy kazał jej zostać. Obdarzyła go zaufaniem, a wygląda na to, że on to zaufanie dramatycznie zawiedzie. Bomba i wywołana przez nią burza

216

ogniowa będą oznaczać pewną śmierć dla wszystkich przebywających w budynku.

Nie ma wyboru.

Skoro chcą wojny...

Cofnął się, stanął na jednej nodze, a drugą kopnął w drzwi. Wahadłowe połówki rozchyliły się, a on z zamachem wrzucił do holu zapaloną latarkę.

Snop rześnistej światła poszybował łukiem do ciemnego holu.

Liczył na to, że pilnujący wejścia korzysta z gogli noktowizyjnych, i to go oślepi. Nie miał granatu błyskowego, który zwykle załatwia takie sprawy, ale spojrzenie na jasny rozbłysk światła latarki powinno dać podobny efekt: na moment oślepić pilnującego, a jednocześnie zwrócić jego uwagę na hol.

Jack wpadł do holu i popędził ku bocznej ścianie, na której znajdowało się okno wychodzące na skwer oddzielający budynek od parkingu. Jeśli ma brać udział w wojnie, musi się uzbroić.

Otworzył okno, przebił pięścią siatkę ochronną i wyskoczywszy na zewnątrz, skrył się w rosnących pod oknem krzakach. Wiedział, że zaskoczenie wywołane błyskiem latarki potrwa tylko chwilę. To musi wystarczyć.

Przedarł się przez zarośla i puścił pędem w stronę tonącego w ciemnościach parkingu. Od głównego wejścia dobiegł go okrzyk rzucony stłumionym, pełnym wściekłości głosem.

Biegł, pochylony, modląc się w duchu, żeby tamci też trzymali nisko głowy. Szczególnie Loma. Jednak nie docenił przeciwników.

Za jego plecami rozległ się głośny wybuch. Zaskoczony poślizgnął się na mokrej trawie i runął jak długi głową do przodu. Szarpnął się, przekręcił na bok i spojrzał na budynek. Z drzwi wejściowych zaczynały buchać płomienie i kłęby dymu, deszcz odłamków szkła posypał się na skwer przed budynkiem, sięgając miejsca, w którym leżał.

217

Usiadł na trawie lekko oszołomiony. Zdetonowali bombę. Jemu chodziło tylko o odwrócenie uwagi od swojej ucieczki, jednak oni uznali, że uwięzieni w budynku podejmują próbę wydostania się frontowymi drzwiami. Zdetonowali bombę, co było jak strzał z armaty do muchy.

Ale wynikały z tego dwa ważne wnioski na temat dowodzącego akcją: łajdak jest pozbawiony wszelkich skrupułów i zdeterminowany.

Jack podniósł się i ruszył na parking.

Jeśli mają ujść z życiem, będzie musiał też tak postępować.

26

Duncan podszedł do płonącego rumowiska, które jeszcze niedawno było głównym wejściem. Twarz miał ukrytą pod maską gazową i bez wahania wkroczył w kłębiący się dym. Od pewnego miejsca na twarzy czuł pieczenie, co precyzyjnie wyznaczało granicę, gdzie kończył się martwy naskórek i zaczynała zdrowa tkanka. Oceniał poczynione przez bombę szkody.

Ładunek zapalający wyrzucił przez drzwi frontowe kulę ognia i piekielnie gorącego powietrza. W kłębach toksycznego dymu pojawiały się jęzory ognia, ale siła udarowa ładunku nie była

największa. Odłamki szyb poleciały na zewnątrz, fragment podwieszono sufitu zarwał się, ale konstrukcja budynku pozostała nienaruszona. Duncan oglądał dokumentację techniczną gmachu i wiedział, że zbudowano go jak twierdzę, która ma przetrzymać huragany i powodzie. Tak go zaprojektowano i jeden ładunek wybuchowy nie mógł poczynić większych szkód.

To właśnie dlatego kazał swoim ludziom rozmieścić wokół budynku jeszcze dziesięć ładunków. Nie chciał wysadzić go w powietrze, lecz wypalić od dachu po fundamenty. Już teraz ogień z pierwszego ładunku sięgnął pierwszego piętra. Nie miał zamiaru tak wcześnie go odpalać, ale nagły rozbłysk światła w holu na moment go oślepił i nawet natychmiastowe zerwanie gogli niewiele pomogło. Oślepiający błysk wywołał

219

w nim takie uczucie, jakby jego źrenice zostały spopielone. Przestraszył się, że naukowcy chcą się wymknąć z budynku głównym wejściem i chcąc im to uniemożliwić, zadziałał impulsywnie i zdetonował ładunek.

Nie może pozwolić, żeby ktokolwiek się stąd wydostał.

Dotarł do drzwi i zajrzał do wypalonego przez ogień holu. Kłęby dymu, fruujące w powietrzu płatki sadzy i zawalony kawałek sufitu utrudniały dokładne rozpoznanie. Któryś z jego ludzi zdążył już wyłączyć automatyczne zraszacze i system alarmowy. Duncan rozejrzał się po holu w poszukiwaniu ciał tych, którym uniemożliwił wydostanie się na dwór.

Część holu była przysypana gruzem z zawalonego sufitu. Pewnie pod spodem leżą jakieś ciała, ale tego się już nie dowie. Upewniwszy się, że nikt nie mógł przeżyć wybuchu, wycofał się na zewnątrz.

Na szczęście wokół nie było żadnych innych zabudowań. Wątpił, by ktokolwiek zauważył krótkotrwały błysk kuli ognia, która rozplynęła się w ciemnościach. Niemniej przedwczesne odpalenie ładunku sprawiło, że musiał dokonać pewnych zmian w planie akcji. Należy ją skrócić. Ogień rozprzestrzeniła się i jego ekipa będzie musiała ewakuować się szybciej, niż to pierwotnie zakładał.

Wyłonił się z kłębow dymu i podszedł do swojego zastępcy. Mężczyzna stał z radiotelefonem przy uchu i słuchał meldunku kierującego akcją wewnątrz budynku.

Duncan odczekał, aż zastępca się rozłączy, po czym zapytał:

— Co mówi?

— Dotarli do pomieszczenia z klatkami. Znaleźli tylko jedno zwierzę, owcę. Zgodnie z rozkazem zlikwidowali ją, zabrali odciętą głowę i już wychodzą.

— A co z resztą? — Duncan wiedział ze wskazań trans-ponderów, że powinny tam być co najmniej cztery inne okazy.

Zastępca pokręcił głową.

— Ani śladu. Korey rozdzielił swoich ludzi i wysłał trzech do kostnicy. Mają się zająć ścierwem tych dwóch zabitych na

220

mokradłach. — Duncan miał w pamięci śmierć jaguarów. — Pozostali trzej rozejdą się po budynku i sprawdzą piętro po piętrze, pokój po pokoju. Odnajdziemy wszystkie.

Duncan powoli pokiwał głową. Rozkaz otrzymany z wyspy Eden Utracony nakazywał uratowanie wszystkiego, co się da — ze szczególnym uwzględnieniem czaszek okazów — i spalenie całej reszty. Wygląda na to, że sprawy na wyspie się komplikują i szefowie nie mają zamiar zajmować się tą wpadką. Ma to zrobić Duncan, i na tym koniec. Ale z jego punktu widzenia to nie było zwykłe zlecenie. Dla niego była to sprawa honoru, bo za projekt „Babilon” zapłacił własną krew. Nie może pozwolić, by coś się nie udało.

Zwierzęta stanowią intelektualną własność Ironcreek Industries. To, co się mieści w ich głowach, należy do firmy, a tym samym do niego. Miał świadomość, że jeśli nawet jego ludziom nie uda się odnaleźć pozostałych zwierząt, padną ofiarą ognia. Nie zostanie po nich żaden ślad. Ale dla spokoju wolałby stąd wywieźć głowy wszystkich zwierząt.

I nie tylko.

— A co z ludźmi? — spytał. — Mają kogoś, kogo będzie można przesłuchać?

Odpowiedzią było irytujące kręcenie głową.

— Jeszcze nie, szefie.

Duncan westchnął i wrócił do obserwacji budynku. Pozostawało mieć nadzieję, że nie zabił wszystkich. Wkrótce się o tym przekona.

— Trzymajcie ścisły kordon wokół budynku — powiedział. — Nawet jeśli ludzie Koreya ich stamtąd nie wykurzą, zrobi to ogień.

30

Lorna kuciała w gabinecie, tuląc do piersi strzelbę. Od wybuchu było jej coraz trudniej oddychać. Dym sączył się przez szparę pod drzwiami i wypełniał niewielkie pomieszczenie. Ze strachu oddychała szybko i płytko i starała się powstrzymywać łzy, których przyczyną był nie tylko gryzący dym.

Gdzie był Jack w chwili wybuchu? Nie wiedziała, czy jest ranny i czy przeżył, ale wiedziała jedno: od tej chwili może liczyć tylko na siebie. Ma do wyboru dwa wyjścia: zostać w gabinecie i się udusić albo wyjść i zaryzykować, że ją złapią.

Żaden wybór.

No i dokąd mogłaby pójść?

Wyjście do głównego holu nie wchodziło w rachubę. Próba dotarcia do brata i kolegów w pracowni patologii oznaczała przecięcie drogi napastnikom. Jeśli jej koledzy zachowają zimną krew, będą bezpieczni. Chłodnia ma wielkość garażu na dwa samochody, jest zbudowana z żelbetu i przynajmniej przez jakiś czas powinna oprzeć się dymowi i ogniewi.

Tego samego nie można powiedzieć o jej gabinecie.

Zerknęła przez ramię na drzwi w bocznej ścianie. Wchodziło się nimi do pracowni, gdzie spędzała zwykle większość dnia. Stamtąd mogłaby się przemknąć ciągiem pracowni i oddalić od ognia.

222

Ale najpierw musi coś zrobić.

Zwierzęta zostały w pracowni genetyki piętro wyżej. Nie może pozwolić, by spłonęły żywcem.

Poza główną klatką schodową istniały jeszcze wąskie schody służbowe, którymi wchodziło się na pierwsze piętro. By do nich dotrzeć, wystarczy przejść przez jej pracownię.

Tyle że miała ochotę skulić się w kącie i czekać, aż ktoś przyjdzie i ją uratuje. Wiedziała, że tak reaguje na przeżyty szok i próbowała się uspokoić. Panikowanie nigdy nie wychodziło jej na dobre. Więc rusz się...

Wstała powoli, wciąż przyciskając do piersi strzelbę, jakby czerpała z niej siłę. W końcu nie jest zupełnie bezbronna.

Nie odrywając wzroku od drzwi na korytarz, przesunęła się do bocznego wyjścia do pracowni. Samo to, że ruszyła się z miejsca, pomogło nieco stłumić paraliżujący ją strach. Lekko dotknęła klamki, sprawdzając, czy jest gorąca, nacisnęła ją i weszła.

Na środku pracowni stały stoły i ławy z mikroskopami, cewnikami, mikropipetami, inkubatorami, urządzeniami do fuzji komórek, a także książkami i stosami sprawozdań z prac badawczych. Całą jedną ścianę zajmowały podwójne drzwi chłodziarki i regały z rzędami stalowych termosów mieszczących kriozlewki z zamrożonymi zarodkami, nasieniem i jajeczkami zagrożonych gatunków zwierząt. Tu mieścił się sens jej życia zawodowego: zamrożone zoo ośrodka.

Mimo strachu poczuła ukłucie żalu, że jej praca może pójść na marne. Może kiedyś da się to odtworzyć, ale będzie to wymagało wielu lat pracy i wszystkiego pewnie i tak się nie odzyska. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że pożar tu nie dotrze i ciekły azot utrzyma zarodki w stanie zamrożonym aż do przybycia straży pożarnej.

Nic więcej nie mogła zrobić, ruszyła więc przez pogrążoną w ciemnościach pracownię do wyjścia na służbowe schody wiodące na pierwsze piętro. Wyteęzała słuch, chcąc usłyszeć

223

jakieś podejrzone odgłosy, ale szum krwi w uszach i tak wszystko zagłuszał. Poruszała się ostrożnie ze strzelbą w jednej ręce, drugą wyciągając przed siebie i macając w ciemnościach. Na szczęście знаła swoją pracownię na tyle dobrze, że mogłaby poruszać się po niej po omacku.

Dotarła do drzwi prowadzących na schody. Dotknęła klamki i tym razem metal okazał się

cieplejszy, ale nie gorący. Posuwała się w stronę ognia, lecz wbiegnięcie schodami na górę, zabranie zwierząt i zbiegnięcie na dół powinno jej zająć tylko chwilę.

Uchyliła drzwi, stwierdziła, że wąskie schody są puste, i mszyła biegiem na górę. Zakład genetyki zajmował prawie całe pierwsze piętro i drzwi do pracowni znajdowały się tuż obok schodów.

Wstrzymała oddech, sprężyła się i dopadła do drzwi. Wskoczyła do środka, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami.

Udało się.

Z głębi ciemnego wnętrza dobiegło niepewne skrzeczenie.

Igor!

Papuga ją rozpoznała. Wyobraziła sobie jej wytrzeszczone w ciemnościach oczy i przeszedł ją lekki dreszcz. Miała w pamięci popis niezwyklej inteligencji ptaka.

Oderwała się od drzwi i uspokoiła. Przecież to tylko zwierzęta, które ktoś brutalnie wykorzystał. W głębi serca pozostały zwierzętami.

Ostrożnie przeszła przez pomieszczenie. Mieszczącą się na pierwszym i zarazem ostatnim piętrze pracownię genetyczną wyposażono w ciąg świetlików i panujące w niej ciemności nie były aż tak nieprzeniknione.

Loma znalazła klatkę z Igorem tam, gdzie ją zostawili — w przylegającej do pracowni salce konferencyjnej. Młode jaguara i dwie kapucynki siedziały w przenośnych klatkach podobnych do plastikowych pojemników, jakich używa się do przewozu zwierząt samolotem. Trafiały do nich zwierzęta w trakcie badań.

Podeszła bliżej i nagle uświadomiła sobie, że nie wie, jak je wszystkie stąd zabrać. Przenośne klatki z jaguarem i małp-

224

kami nie stanowiły problemu, ale do zabrania Igora potrzebna będzie jej chyba trzecia ręka.

Weszła do salki i pochyliła się nad klatką papugi.

— Nie hałasuj — szepnęła, kładąc palec na ustach. — Ciii...

Wyglądało, jakby zrozumiał, bo dostosował się do jej tonu i zaskrzeczał na wdechu:

— Igor... pomoże, Igor...

I o to chodzi, ptaszku.

Musiał wyczuć dym.

Przesunęła zasuwkę na drzwiczkach klatki. Nie dałaby sobie rady z całą klatką, ale samego ptaka mogła unieść. Igor wczepił się pazurami w wewnętrzną stronę drzwiczek i kilkakrotnie przekrzywił głowę. Otworzyła drzwiczki i papuga wyjechała na nich z klatki, jakby rozumiała intencje Lomy. Papuga wspięła się na chyboczącą górną krawędź drzwiczek, a Loma wyciągnęła rękę i ptak bez słowa zachęty z jej strony przeskoczył na nią, po czym pomagając sobie dziobem, wspiął się po rękawie i usadowił na jej ramieniu.

Loma czuła, że Igor drży. Zapewne wybuch i dym bardzo go wystraszyły. Ufa, że go stąd wydobędzie, jakby wiedział, że właśnie to ma zamiar zrobić.

Z Igorem wczepionym w jedno ramię i strzelbą przewieszoną przez drugie, przeszła do pracowni i wzięła klatki. Wciśnięta w kąt Bagira otworzyła pyszczek, zwinęła język i obnażywszy ząbki, zasyczała cicho. Obie kapucynki wczepiły się w pręty klatki i wykrzywiły na nią małe mordki.

Obładowana zwierzakami mszyła do wyjścia na schody. Klatki utrudniały jej ruchy, przewieszona przez ramię strzelba obijała się o biodro, ale Loma wiedziała, że musi dotrzeć przynajmniej na parter. Jeśli potem się okaże, że nie będzie innego wyjścia, po prostu otworzy okno i wypuści zwierzęta na wolność. Na otwartej przestrzeni będą miały większą szansę na przeżycie niż tutaj. Jakby na potwierdzenie tego, dym na schodach zrobił się dużo gęściejszy, a powietrze gorętsze.

Było jak w kominie.

225

Lorna zaczęła szybko schodzić, starając się zachowywać jak najciszej. Zwierzęta wyczuły niebezpieczeństwo, bo siedziały jak trusie i jedynym słyszalnym dźwiękiem było ciche charczenie Igora, jakby ptak głęboko wzdychał. Ale słyszała je tylko dlatego, że Igor trwał przyklejony do jej

ucha. Martwiła ją obecność toksyn w dymie. Ptaki, które niemal w całości składają się z płuc i worków powietrznych, są szczególnie wrażliwe na zatrute powietrze.

Z ulgą dotarła do końca schodów i weszła do pracowni. Było tam chłodniej, zapewne dzięki obecności zamrożonego zoo. Zaniepokoił ją opar unoszący się w powietrzu. Wiedziała, skąd się bierze. Ciekły azot używany do utrzymania próbek w stanie zamrożonym parował, zmieniając się w gaz. W normalnych warunkach gaz był usuwany z pomieszczenia przez system wentylacyjny, ale przy braku zasilania wentylatory nie działały i gaz zbierał się w pracowni. Wiedziała, że jeśli długo nie będzie wentylacji, azot w końcu wyprze tlen i zrobi się niebezpiecznie.

Podeszła do jedyne okna, postawiła klatki na podłodze i uchyliła je. Do środka wpadł chłodny powiew znad rzeki, Igor zadygotał i wbił szpony w jej ramię.

— Wszystko w porządku — szepnęła uspokajająco. — Zaraz stąd wyjdziemy.

Miała zamiar przejść przez sąsiednią pracownię biometryczną doktora Chang'a i dotrzeć do zakładu weterynarii na końcu budynku. Chciała znaleźć się jak najdalej od źródła ognia i znaleźć jakąś kryjówkę.

Ale nie było jej to dane.

— Stać!

Słyszając ten niespodziewany wrzask, aż podskoczyła. Krzyknął ktoś za jej plecami. Igor ze strachu stracił równowagę i ześlizgnął się po jej rękawie, i dopiero na łokciu uczepił się dziobem i zatrzymał. Loma bez namysłu chwyciła go w obie ręce i wyrzuciła przez otwarte okno na dwór. Ptak poleciał na ziemię jak zamrożony indyk. Był pozba-

226

wiony piór i nie mógł fruwać, ale z okna do trawiastego podłoża było niedaleko i nic nie mogło mu się stać. Wprawdzie nie widziała, gdzie upadł, ale usłyszała jego cichy skrzek protestu. Miała tylko nadzieję, że nikt inny go nie usłyszał.

— Obróć się powoli! — Z gabinetu wynurzyła się ciemna postać. Loma była zbyt zaabsorbowana niepokojącym oparem, by zauważyć, że drzwi przez cały czas były uchylone. — Odłóż broń, bo strzelam!

Chwilę potrwało, nim zdała sobie sprawę, że napastnik mówi o jej strzelbie na strzałki usypiające. Pospiesznie zsunęła ją z ramienia, rzuciła na podłogę i podniosła obie ręce.

Znalazła się w potrzasku.

31

Jack kucnął w zaroślach. Dotarcie do parkingu zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał. Starał się pozostawać w ukryciu i musiał zatoczyć szeroki łuk, idąc przez otaczający teren las, by niepostrzeżenie dotrzeć do samochodu. Nie chciał ryzykować, że zostanie dostrzeżony, zanim będzie miał do obrony coś więcej poza gołymi rękami.

Ukryty w krzakach obserwował swojego pick-upa. Dzieliło go od niego już tylko około trzydziestu metrów, jednak teren nie był porośnięty drzewami ani krzakami. Jeśli spróbuje do niego dotrzeć, będzie widoczny jak na dłoni. Na domiar złego parking był wysypany żwirem i jeśli nie zachowa szczególnej ostrożności, chrzęst kroków będzie słychać na drugim brzegu Missisipi.

Ale nie miał wyjścia.

Stanął na palcach, jak zając wystawił głowę pomiędzy krzaków i puścił się pędem w stronę pick-upa. Przy każdym kroku spodziewał się huku wystrzału, ale nic takiego nie nastąpiło. Pewnie wszyscy są tak zajęci obserwacją budynku, że nikt nie ma czasu patrzeć na boki.

Dobiegł do skraju parkingu, zahamował z poślizgiem na mokrej trawie i stawiając płasko stopy, zaczął ostrożnie przemieszczać się po żwirze. Dotarł do swojego służbowego pick--upa i ukrył się za nim.

228

Ukucnął, jedną ręką opierając na ziemi, i przez chwilę zbierał się w sobie. Pick-upem był ford raptor F-150 z dwoma rzędami siedzeń w kabinie i specjalnie wykończoną karoserią. Skrytka na broń znajdowała się w tylnej części kabiny.

Nim zdążył wykonać jakiś ruch, coś mokrego i zimnego dotknęło jego nadgarstka. Odskoczył tak gwałtownie, że żwir pod jego nogami głośno zachrząścił. Spod samochodu wyczołgał się jakiś

ciemny kształt. Duży pies w czarno-brązowe łaty, zawzięcie machający ogonem. Chwilę trwało, nim do Jacka dotarło, na co patrzy.

— Burt — szepnął zdumiony.

Jak to możliwe?

Spróbował ułożyć wszystko w głowie. Zostawił brata z psem na posterunku. Potem do niego zadzwonił i wtedy Randy powiedział, że nie chce mu się czekać i woli do niego dołączyć. W drodze do domu i tak musiał przejechać koło ACRES.

Więc gdzie jest Randy?

Jack ruszył w stronę grobli i przeszukał dojazd od drogi do parkingu. Nigdzie nie było półciężarówki brata, a przecież starego rozklekotanego chevroleta trudno nie zauważyć. Szukając jakiegoś śladu, który pomógłby mu zrozumieć, co się stało, Jack nagle wyobraził sobie, jak brat natyka się na szykujących się do akcji napastników i zupełnie nieświadomie pakuje się w sam środek piekła.

Przykłęknął na jedno kolano, bo aż pociemniało mu w oczach, kiedy to do niego dotarło. Burt nie zostawiłby Randy'ego, chyba że nie miał innego wyjścia. Potem musiał wyczuć zapach Jacka i schował się pod jego samochodem.

Przysłonił ręką oczy, jakby to miało go uchronić przed spojrzeniem prawdzie w oczy.

Boże święty, nie...

Chciał wybiec na drogę i wołać brata, ale na szczęście dotarło do niego, że w ten sposób wystawi się na pewną śmierć. Burt rozpląszczył się z brzuchem przy ziemi, niepewnie machając ogonem: wyraźnie przepraszał i prosił o gest otuchy.

229

Jack położył rękę na jego grzbiecie.

— Dobry piesek — powiedział cicho.

Wiedział, że jeśli natychmiast się stąd nie mszy, już nigdy się na to nie zdobędzie.

Czując kamienny ciężar na sercu, z trudem wstał i kluczykiem otworzył tylne drzwi szoferki.

Kabina nie miała oświetlenia sufitowego i otwarcie drzwi nie mogło przyciągnąć uwagi kogoś z goglami noktowizyjnymi. Wsiadł, sięgnął do skrytki i zaczął po ciemku manipulować kluczykiem przy zamku pokryw.

W skrytce miał służbowy automatyczny pistolet Heckler & Koch P2000 i strzelbę Remington 870.

Zabrał pistolet i zostawiwszy strzelbę, sięgnął po coś innego — odebrany Garlandowi Chase'owi automatyczny karabin szturmowy AA-12. Ustawiony na automat karabin strzelał z szybkością trzystu pocisków na minutę i mógł bez trudu rozpirzyć takiego pick-upa jak ten.

Jak by powiedział jego brat, to „prawdziwy zajebisty skurwiel”.

Mając w pamięci eksplozję w holu i kulę ognia, Jack wziął karabin. Łajdak dowodzący tą akcją może być pozbawionym skrupułów bandziorem, ale jeszcze nie miał do czynienia z Cajunem, w którym wrze gniew. Jack pokaże draniowi, co to jest prawdziwe polowanie.

Wyskoczył z kabiny, pamiętając o żwirze, i klepnął się po udzie, dając Burtowi sygnał, że ma mu towarzyszyć. Od dawna on i Burt stanowili zabójczy zespół przemierzający okoliczne pola i moczary w poszukiwaniu zdobyczy. Teraz dysponują jeszcze odpowiednio zabójczą siłą ognia.

— Chodź, piesku. Pójdziemy zapolować...

32

Trzymając uniesione ręce, Loma patrzyła na podchodzącego napastnika. Ogromne gogle noktowizyjne zakrywały mu prawie całą twarz i brak ludzkich rysów nadawał mu dodatkowo groźny wygląd. Groźniejszy niż wymierzony w nią karabin szturmowy.

Machnął bronią.

— Odsuń się od okna! — rozkazał.

Posłusznie zrobiła parę kroków, uderzając po drodze w stół. Nie przestając w nią celować, mężczyzna przykłęknął na jedno kolano, szybko zajrzał do obu plastikowych pojemników i się wyprostował.

Przyłożył dwa palce do gardła i zameldował służbistym tonem:

— Alfa Jeden. Mam tu kogoś z personelu. Kobieta. Ma ze sobą zwierzęta. Dwa. Trzecie

wyrzuciła przez okno od strony zachodniej.

Loma zakłęta w duchu. Więc jednak zauważył.

Słuchał przez chwilę, po czym odpowiedział:

— Ptaka. Tak jest. Sprawdź.

Przesunął gogle na hełm i nacisnął przycisk. Nad jego czołem rozjarzyła się lampa świecąca tak jasno, że na chwilę Lomę oślepiła. Nie przestając w nią celować, mężczyzna wystawił głowę przez okno i szybko zlustrował zarośla pod ścianą budynku.

231

Lorna wstrzymała oddech.

Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na nią. Zdjęcie z twarzy gogli nie nadało mu bardziej ludzkiego wyglądu. W oślepiającym blasku lampy jego zarośnięta twarz i jarzące się bezlitośnie oczy wyglądały równie groźnie. Zimne krwiożercze spojrzenia, jakimi ją obrzucał, niemal ją obezwładniały.

Spokojnie kontynuował rozmowę, jakby Lomy w ogóle nie było.

— Nie, ani śladu papugi. — Kolejna przerwa. — Tak jest, szefie. Odciać im głowy i zabrać. Zrozumiałem.

Mężczyzna sięgnął do pasa i wyjął z pochwy groźnie wyglądający nóż — Lomę zmroziło. Ani na moment nie spuszczać z niej wzroku, przyklęknął na jedno kolano.

— Poczekam na Takeo z zabranie stąd kobiety — rzucił do mikrofonu.

Żołnierz — bo nie miała wątpliwości, że jest najemnym komandosem — pochylił się i skierował lampę na jeden z pojemników. Nóż złowieszczo lśnił w jej blasku.

Jakby czując grożące im niebezpieczeństwo, kapucynki zaczęły głośno skrzeczeć.

Loma poczuła typowo macierzyńską wściekłość, w której utonęło gniotące jej serce przerażenie.

Skoczyła do przodu. W rękach trzymała stalową butlę z ciekłym azotem. Wcześniej wykorzystwała chwilę, kiedy żołnierz wyglądał przez okno, porwała butlę ze stołu i ukrywając za plecami, jedną ręką odkręciła nakrętkę.

Zamachnęła się i rzuciła butlę w pochylonego żołnierza, który ze zdumienia tylko wytrzeszczył oczy. Z butli chlusnął ciekły azot i oblał mu twarz. Mężczyzna szarpnął się w bok i instynktownie nacisnął spust. Koło głowy Lomy przeleciały pociski, rozbiły szkło i odłupały kawał tynku ze ściany.

Żołnierz wypuścił karabin i nóż i złapał się za twarz. Rogówki jego oczu zamieniły się w kawałki lodu, a wysadzone z oczodołów gałki oczne spłynęły po twarzy. Oślepiony i cierpiący męczarnie runął na plecy, krzyk bólu uwiązł mu w gardle,

232

z otwartych ust dobyła się mgiełka pary. Widocznie wciągnął ciekły azot do nosa i ust, skąd mrozący wszystko płyn przedostał się do gardła i płuc.

Wił się na podłodze, rozdrapując sobie twarz, walcząc z piekielnym bólem i próbując wciągać powietrze do zmrożonych płuc.

Loma przeżywała inny rodzaj horroru, który prawie ją sparaliżował. Nigdy nikogo nie zabiła i chociaż żołnierz wciąż się jeszcze mszał i próbował walczyć, wiedziała, że jest już trupem.

Na sztywnych nogach wyminęła jego ciało i sięgnęła po pojemniki. Wiedziała, że zostało jej bardzo mało czasu i że lada chwila zjawią się tu inni. Postawiła jeden pojemnik na parapecie, otworzyła klapkę i odwróciła do góry dnem. Siedzące w środku kapucynki wczepiły się w pręty pojemnika, wystraszone i nierozumiejące, co się dzieje. Poruszyła klatkę, próbując je wytrząsnąć. Jedna z małek puściła się i poleciała w dół, pociągając za sobą bliźniaczkę. Oszołomiona parka zniknęła w ciemnościach.

Przykro mi, maluchy...

Loma bardzo nie chciała zostawiać ich na pastwę losu, ale im dalej stąd, tym większą miały szansę na przeżycie. Wzięła drugą klatkę i też postawiła ją na parapecie. Gdy tylko otworzyła klapkę, przerażony hałasami jaguarek wystrzelił jak z procy.

Rzuciła pojemnik na podłogę i schyliła się po strzelbę. Przemknęło jej przez myśl, czy nie zastąpić jej zdobyczym karabinem szturmowym, ale wijący się w męczarniach żołnierz nadal kurczowo go



trzymał, a ona była tak przybita i przerażona tym, co zrobiła, że nie byłaby w stanie mu go wyrwać. Jednak postanowiła przemóc się na tyle, by coś od niego zabrać. Rzucając się konwulsyjnie po podłodze, nieszczęśnik stracił z hełmu gogle, które leżały teraz obok niego. Loma schyliła się, podniosła je z podłogi i założyła. Ciemne pomieszczenie rozjarzyło się fosforyzującą zielonkawą jasnością.

233

Fakt, że widzi w ciemnościach, spowodował, iż przez chwilę się zastanawiała, czy pójść śladem zwierząt i wyskoczyć przez okno, doszła jednak do wniosku, że szybko ją dopadną. Napastnicy są profesjonalnie wyszkoleni i wyposażeni i na pewno pilnują budynku. Zwierzętom mogło się udać przemknąć niepostrzeżenie, ale nie jej. Największą szansę na przeżycie dawało jej pozostanie w środku i ukrywanie się tak długo, jak tylko się da. Wypuściła zwierzęta na wolność i teraz może już tylko martwić się o siebie — no, jeszcze o brata i kolegów zamkniętych na dole.

Wyszła z pracowni i ruszyła w głąb budynku. Gogle pozwalały jej poruszać się dużo sprawniej. Celem były pomieszczenia przychodni weterynaryjnej — jej królestwa.

Jeśli zdoła tam dotrzeć, spróbuje zrealizować pewien pomysł, który przyszedł jej do głowy. Stojąc przed budynkiem, Duncan słuchał przez radio cichnących jęków umierającego. Nie wiedział, co się stało, ale najwyraźniej jeden z jego ludzi — ten, który natknął się na kobietę i zwierzęta — został wyeliminowany.

Chwilę później zgłosił się inny z członków grupy Koreya. W jego głosie, mimo zakłóceń, słychać było zdenerwowanie.

— Fielding załatwiony — zameldował. — Nie żyje. Kobieta zniknęła. Pojemniki puste. Duncan dotknął mikrofonu na gardle.

— Znajdź ją!

Przymknął oczy i przez chwilę w zadumie ssał dropsa o smaku limonki. Jeśli pojemniki są puste, musiała wyrzucić zwierzaki przez okno, tak jak papugę. To znaczy, że są na wolności i rozlazły się po krzakach.

Otworzył oczy i spojrzał na swojego zastępcę Connora Reeda. Wiedział, że mężczyzna przysłuchiwał się rozmowie przez radio, choć na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Przeciągnął ręką po rudej szczecinie na policzku. Reed był od niego młodszy

234

i od szkolenia rekruckiego należał do jego oddziału. To właśnie on stał na czele grupy, która przybiegła mu na ratunek po napaści zmutowanego szympansa w Bagdadzie.

— Kto pilnuje zachodniego wyjścia? — spytał Duncan.

— Gerard z karabinem snajperskim. Jest na skraju lasu.

— Dołącz do niego. Rozejrzyjcie się za tymi zwierzakami. Strzelać do wszystkiego, co się msza.

— Tak jest, szefie — szczerknął Reed służbiście i mszył biegiem w stronę drzew.

Duncan wiedział, że na Connora można liczyć. Był sprawny i wyprany z uczuć jak robot.

Spuszczony ze smyczy zostawiał po sobie tylko miny i trupy. Dwa lata temu wymordował całą wioskę somalijskich rebeliantów — mężczyzn, kobiety i dzieci, a nawet błakające się wśród ludzi psy — w akcie zemsty za kolegę, który stracił nogę w wybuchu miny pułapki. Duncan mógł być pewny, że i to zadanie wykona z bezlitosną skutecznością.

Gdy tylko Connor zniknął za narożnikiem budynku, radiotelefon Duncana znów zaskrzeczał.

— Alfa Jeden, tu Korey. Jestem w kostnicy.

— Melduj. Macie te dwa martwe jaguary?

— Tak jest, szefie. Ich łby są już w drodze. Ale wydaje nam się, że wiemy, gdzie się ukrywają pozostałe cele, to znaczy naukowcy. Jest tu coś w rodzaju wielkiej chłodni. Na głucho zamknięta, ale w środku chyba coś się msza. — Duncan wyraźnie się ożywił — Proszę o pozwolenie na wysadzenie drzwi. Ale nie gwarantuję, że nie będzie przy tym ofiar.

Duncan rozumiał obiekcje Koreya. Potrzebny im przynajmniej jeden żywy jeniec. Wiedział, że podczas tego rodzaju akcji wszyscy w środku mogą zginąć, uznał jednak, że gra jest warta świeczki. W końcu jest ktoś, kto na pewno ujdzie z życiem: kobieta, której na razie udało się uciec. A to

wystarczy.

— Wysadzajcie — rozkazał.

— Tak jest, szefie.

235

Duncan przeniósł wzrok na dymiące resztki głównego wejścia do budynku. W środku wciąż się jeszcze paliło i wydobywające się kłęby dymu były rozświetlone krwawymi błyskami. Może być spokojny, że nikt się tędy nie przedostanie, a dojazd jest obstawiony.

Pora kończyć.

Wyciągnął z kabury pistolet. Solidna masa sig sauera dodawała mu pewności siebie i skłaniała do działania. Ruszył w stronę najmniej zadymionego okna. Gdzieś w środku kryje się kobieta. Jest przerażona. Próbuje uciec. Zapewne ma broń.

Uśmiechnął się — tak można było nazwać grymas, jaki pojawił się na połowie jego twarzy.

Nie chciał, żeby zginęła. W każdym razie jeszcze nie teraz. Musi najpierw wydobyć od niej odpowiedzi. Może uszczknąć też jakąś premię dla siebie.

Przez tę poharataną twarz kobiety w ogóle się nim nie interesowały i jeśli na jego widok cokolwiek okazywały, to tylko odrazę i przerażenie. Takich, które byłyby skłonne go zadowolić, było jeszcze mniej. Chyba że za pieniądze lub pod groźbą pistoletu..

Musi znaleźć tę kobietę. Im więcej wysiłku w to włoży, tym premia będzie słodsza. Wyciągnie z niej wszystko.

A potem strzeli jej w głowę.

33

Jack trzymał się leśnego gąszczu.

Chciał jak najszybciej obejść budynek i wolał pójść dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą. Oddalił się od zabudowań, zagłębił w las i zamierzał wyjść z niego dopiero, gdy znajdzie się na wprost tylnego wejścia do budynku. Czuł, że oczy pilnujących będą zwrócone na zabudowania, nie do tyłu.

Mimo to starał się poruszać możliwie jak najciszej i jak najostrożniej. Tak samo zachowywał się sunący za nim jak cień Burt, który wyczuł, że uczestniczą w polowaniu. I tylko serce w piersi Jacka buntowało się przeciwko takiej stracie czasu i starało skłonić go, by machnął ręką na środki ostrożności i zaatakował z bronią wypluwającą serie pocisków.

Przed chwilą słyszał strzelaninę. Strzały były stłumione i dochodziły z budynku. Mimo to rozpoznał karabin szturmowy i od razu wyobraził sobie Lome, jak leżąc w gabinecie, wykrwawia się na śmierć.

Zbliżał się do południowego skrzydła budynku, walcząc z ogarniającą go desperacją. Pięćdziesiąt metrów od mum skrył się pod zwisającymi gałęziami dębu obrośniętego hiszpańskim mchem i rozejrzał wokół. Pracownia patologii, gdzie zostawił wszystkich poza Lorną, znajdowała się w podziemiach tylnej części budynku.

Pytanie tylko, czy jeszcze tam są... No i gdzie jest teraz Loma?

237

Próbował sobie wyobrazić, jak mogła zareagować na pożar. Jeśli nie została w gabinecie, ogień i dym mogły ją przepędzić na tyły budynku.

A to by znaczyło, że wszyscy są w jednym rejonie.

Oby tak właśnie było.

Przyjrzał się dokładniej budynkowi. Wzdłuż tylnej ściany biegła betonowa rampa, która kończyła się na podnoszonej bramie z blachy falistej tak szerokiej, że bez trudu pomieściłaby czołg. To zapewne o niej wspominał patolog.

Jack nie miał zamiaru z niej korzystać. Skupił uwagę na zwykłym służbowym wejściu dla personelu. O ile dobrze pamiętał rozkład pomieszczeń, drzwi prowadzą do niewielkiego biura zakładu patologii. Tamtędy spróbuje wejść do środka.

Jack schował się za pniem dębu i przycupnął obok Burta. Nie miał wątpliwości, że co najmniej jeden z napastników pilnuje tyłów budynku i na jego widok natychmiast podniesie alarm. Gdzie on może być? W lesie jest zupełnie ciemno i łajdak może być gdziekolwiek.

Podrapał Burta za uchem. Wprawdzie nie miał noktowizora, ale koło niego siedział lepszy sposób

na podrasowanie wzroku i słuchu — jeden z najlepszych psów myśliwskich w Luiz-janie. — Pora wyniuchać tego ptaszka. — Jack wyciągnął rękę i wydał cichą komendę. — Szukaj! Burt wystrzelił jak z procy. Od małego uczono go wypłaszania ptaków na polach i w lesie. Jack szkolił go na gołębiach z podciętymi lotkami i z pomocą Randy'ego i Toma nauczył Burta przeszukiwać teren tak precyzyjnym zygzakiem, że czyścił pole z ptactwa jak kosiarka. To przypomniało mu obu braci z tamtych czasów i poczuł w sercu tak bolesne ukłucie, jakby ktoś wbijał mu nóż.

Słumił żal i mszył za Burtem, przecinając jego zygzakowatą trasę. Pies biegał tam i z powrotem po leśnym gąszczu, ani przez chwilę nie oddalając się bardziej niż na odległość pewnego strzału.

238

W nozdrza wiał mu lekki wietrzyk znad rzeki, tworząc idealne warunki do polowania.

Podążając za Burtem, Jack krył się za drzewami, nasłuchiwał dobiegających z ciemności szmerów i filtrował w myślach dźwięki towarzyszące buszującemu psu. Burt oddalił się na jakieś dwadzieścia metrów i... wtedy to usłyszał.

Trzask łamiącej się gałązki po prawej. Ciężkie stąpanie. Ktoś się tam wiercił.

Jack oparł się plecami o drzewo i namierzył źródło dźwięku. Wydał usta i cicho zaćwierkał głosem strzyżyka, jednego z najpopularniejszych ptaków śpiewających w tych stronach. Burt znał ten sygnał i natychmiast znieruchomiał. Jack wyobraził go sobie, jak leży rozplaszczony na ziemi, tak jak go tego nauczono.

Odczekał pełną minutę — wystarczająco długo, by wartownik znów skupił uwagę na budynku.

Uznawszy, że odczekał dość długo, Jack wysunął się zza drzewa i jeszcze ostrożniej niż dotąd zaczął sunąć w kierunku celu wystawionego przez Burta.

Kawałek dalej prześwitywał skraj lasu.

Ciągnąca się za nim pusta przestrzeń była rozjaśniona blaskiem gwiazd, przez co wyraźnie odcinała się od ciemnego lasu. Na tym jaśniejszym tle widać było ciemną sylwetkę mężczyzny ze snajperskim karabinem na ramieniu, który ustawił się przy samej linii drzew. Broń wyglądała na półautomatyczny karabin M21. Jeden strzał mógłby położyć każdego, kto spróbowałby się wymknąć przez tylne drzwi budynku lub się do nich zbliżyć.

Z pistoletem w ręku Jack zaczął sunąć przez zarośla bezszelestnie jak duch, dziękując opatrności, że wiatr wieje mu w twarz. Lekka nadrzeczna bryza pomagała tłumić wszelkie obce zapachy i niepokojące dźwięki.

Jednak gdy do celu zostały mu już tylko dwa metry, mężczyzna nagle odwrócił głowę.

Nie chcąc strzelać, Jack runął do przodu. Wiedział, że wystrzał z pistoletu na otwartej przestrzeni zabrzmiał jak huk armaty. Nim mężczyzna zdołał zareagować, dopadł go i wyrwał

239

karabin, jednocześnie podcinając mu nogi i powalając na ziemię. Skoczył na leżącego i wbił mu oba kolana w klatkę piersiową, wyciskając z niego dech i uniemożliwiając wydobyć głosu.

A potem wtoczył mu lufę pistoletu pod brodę i wystrzelił.

Skompa czaszki i hełmu jak poduszka zredukowały huk wystrzału do pyknięcia, wciąż jednak zbyt głośnego.

Nie czekając na ewentualną reakcję kompanów strażnika, Jack zerwał się na równe nogi, gwizdnął na Burta i puścił się pędem w stronę budynku. Przebiegł przez otwartą przestrzeń i siłą rozpędu wskoczył na rampę, niemal tracąc równowagę. Zatoczył się i niewiele brakowało, a wyrzynałby głową w stalową żaluzję bramy, jednak w ostatniej chwili udało mu się zatrzymać.

Zawrócił do drzwi i nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Niczego innego nie należało się spodziewać, choć po cichu liczył na choćby ten jeden dar losu. Nic z tego. Schował pistolet do kabury i wziął do ręki karabin. Wiedział, że ze szturmowym AA-12 nie ma żartów.

Ale żarty się skończyły.

Zrobił trzy kroki do tyłu i wycelował w zamek.

Nim zdążył nacisnąć spust, z oddali dotarły do niego odgłosy gwałtownej strzelaniny. Kanonadę

słysząc było od zachodniej strony. Była głośna, a to świadczyło o tym, że strzały padają na dworze. Popatrzył w tamtą stronę.

Co się tam dzieje? Do kogo oni strzelają?

Spojrzał nieco dalej i nagle uświadomił sobie, że czegoś mu brakuje.

Nie ma Burta!

Poczuł zimny dreszcz. Pies rzadko wyłamywał się z wyuczonej rutyny, chyba że jakaś nieodparta woń przyciągała jego uwagę: martwa ryba czy gnijące truchło wiewiórki. Co gorsza, uwielbiał wtedy wytarzać się w tym cudownym smrodzie.

Strzelanina po chwili ucichła.

Znów zapadła nocna cisza.

240

Jack odwrócił głowę i znów spojrzał na drzwi. W odróżnieniu od Burta nie miał czasu na luksus zaspokajania ciekawości. Ani na żadne subtelnosci.

Uniósł karabin i wystrzelił.

Lorna usłyszała z dołu głośny huk wystrzału. Nie była pewna, czy strzelano wewnątrz, czy na zewnątrz budynku. Idąc przez kolejne pracownie do przychodni weterynaryjnej, cały czas słyszała pojedyncze wystrzały i krótkie serie. Cieszyła się, że postanowiła zostać w budynku i nie zdecydowała się na ucieczkę. Przy tej liczbie napastników na pewno by jej się nie udało.

Pomyślała o zwierzętach, którym nie dała takiego wyboru.

Czy to do nich strzelano?

Pocieszając się, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, by je uratować, dotarła do zakładu weterynarii. W klinice trwał remont, w ramach którego modernizowano salę operacyjną i nie trzymano tam żadnych zwierząt.

Chociaż tyle.

Ze strzelbą w rękę ostrożnie wsunęła się do gabinetu zabiegowego. Poruszała się na ugiętych nogach, starając się wszystkimi zmysłami wyczuwać kryjące się w mroku niebezpieczeństwa. W powietrzu czuć było zapach świeżej farby i trocin. Dzięki goglom dostrzegła stojący pośrodku stół do badań, a nad nim lampy. Pod ścianą po lewej ciągnął się rząd pustych stalowych klatek, po prawej znajdowało się stanowisko mycia zwierząt i sala operacyjna.

Wszędzie panowała głucha cisza.

Lorna zrobiła tylko parę kroków i od razu skręciła w lewo, w stronę drzwi oznakowanych ostrzegawczymi symbolami.

Otworzyła je i weszła. Pod ścianą stało pięć zielonkawych butli z tlenem, z których specjalnymi rurkami w ścianach rozprowadzano sprężony gaz po pracowniach ośrodka. Wiedziała, z której z nich czerpany jest tlen dla sali operacyjnej. Zdjęła ze ściany głowicę regulacyjną i otworzyła zawór.

241

Z butli wydobyło się syczenie.

Pozostałe butle zostawiła nietknięte.

Dygocąc z emocji, zamknęła za sobą drzwi i wycofała się do sali operacyjnej, ale po drodze zatrzymała się w laboratorium.

Miała do zrobienia coś jeszcze.

Tylko czy wystarczy jej czasu?

Jack jednym kopnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka. Od huku wystrzału dzwoniło mu w uszach. W małym biurze z trudem mieściło się biurko i szafa na akta. Drzwi po prawej prowadziły do pracowni patologii, duże okno na wprost wychodziło na otwartą przestrzeń holu.

Widać było błędzące w oddali światełka.

Latarki.

Ludzie z latarkami szli w jego stronę, zapewne przyciągnięci hukiem wystrzału.

Jack złapał krzesło i rzucił nim w szybę, jednocześnie waląc barkiem w zamknięte drzwi. Otworzył je i wpadł do pracowni.

Dziesięć metrów dalej zobaczył dwie sylwetki.

Mężczyźni mieli na sobie kamuflażowe kombinezony, w jednej ręce trzymali latarki, w drugiej

pistolety, i o ułamek sekundy za późno zareagowali na nagłe otwarcie drzwi.

Jack nacisnął spust i przytrzymał, omiatając lufą wnętrze pomieszczenia. Grad pocisków przeszył dwóch mężczyzn na wysokości brzucha, niemal przecinając ich na pół.

Wypuszczone z rąk latarki poszybowały w powietrzu.

Nie wiedząc, ilu jeszcze napastników znajduje się w pobliżu, Jack wskoczył za stalową szafę z narzędziami i spojrzał w stronę chłodni.

W korytarzyku coś zabłysło i od razu zgasło.

Cholera!

Co najmniej jeszcze jeden.

Nim zdążył się zastanowić, co robić, padły dwa strzały i obie

242

porzucone latarki przestały świecić. Miał do czynienia ze strzelcem wyborowym, który wolał działać w ciemnościach.

Niedobrze.

Jack przestał cokolwiek widzieć i odruchowo cofnął się za szafę.

W tym samym momencie usłyszał tupot butów na betonowej posadzce i brzęknięcie podkutego obcasa o stalową kratkę. Na ślepo skierował lufę w stronę, z której dobiegł dźwięk i posłał kolejną serię. Zdawał sobie sprawę, że błysk towarzyszący wystrzałom zdradza jego pozycję, ale nie miał wybom. Trzymał spust, aż opróżnił magazynek.

Przez huk wystrzałów przebił się głośny krzyk.

Jack nastawił uszu.

Czyżby udało mu się trafić?

Nim zdążył to rozważyć, znów rozległ się tupot nóg. Tym razem kroki brzmiały jednak trochę niepewnie i... oddalały się.

Jack opuścił karabin i wyjął z kabury pistolet.

Gdzieś z oddali doleciał odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwi.

Napastnik uciekł.

Coś tu jest nie tak. Ma do czynienia z wyszkolonymi zabójcami, nie tchórzami. Więc dlaczego tak się zachowują?

Wysunął się z kryjówki z pistoletem wycelowanym w drzwi i w tym momencie świat wokół niego eksplodował.

34

Duncan wsłuchiwał się w zamierający huk. Przed chwilą coś wybuchło w podziemiach budynku.

Od razu spróbował nawiązać łączność z Koreyem — bezskutecznie.

Trochę go to zaniepokoiło, ale stwierdził, że nie ma się czym przejmować.

Budynek jest otoczony i nikt nie ma szans wydostać się na zewnątrz ani dostać do środka.

Na podłodze leżały zmasakrowane zwłoki Fieldinga. Brakowało mu jednego oka, usta były czarne jak przy ostrym odmrożeniu. Duncan zdążył już zauważyć stojące w pokoju butle z ciekłym azotem i odtworzył w myślach przebieg zdarzenia. Fielding nie docenił kobiety i nie zachował należytej ostrożności.

Dureń.

Duncan obojętnie pomyślał o męczarniach, w jakich tamten konał.

Podszedł jeden z komandosów, Azjata o imieniu Takeo.

— Piętro czyste — zameldował. — Ani śladu kobiety.

Duncan nawet nie kiwnął głową. Wiadomość nie była dla niego zaskoczeniem.

Od drzwi do pracowni dobiegł głos innego z jego ludzi:

— Mam zejść na dół i sprawdzić, co się dzieje w kostnicy?

Z tym można jeszcze poczekać.

— Nie, pójdziecie ze mną — powiedział Duncan.

244

Budynek jest otoczony i wszystko inne nie ma znaczenia. Za dwie minuty i tak go tu nie będzie.

Wyjdzie stąd z przynajmniej jedną zdobyczą, potem każe spalić tę pieprzoną budę i będzie po wszystkim.

— Dokąd, szefie? — spytał Takeo.

Duncan nie odpowiedział, wpatrzony w leżący na biurku stosik wizytówek. Doktor Loma Polk. Z wcześniejszego rozpoznania wiedział, że tak się nazywa miejscowa lekarka weterynarii i że podlega jej pracownia kriogeniczna i klinika weterynaryjna. Z planu pomieszczeń wiedział też, że zakład weterynarii mieści się na parterze w drugim końcu budynku, w części najbardziej oddalonej od ognia.

Pewnie spanikowała i uciekła do drugiego znanego sobie miejsca, by tam poszukać schronienia. Duncan przeszedł nad zwłokami Fieldinga i mszył w głąb budynku. Zachował maksymalną ostrożność. Los Fieldinga to ostrzeżenie. On nie popełni tego samego błędu i jej nie zlekceważy.

— Za mną — rzucił przez ramię.

Wybuch zwałił Jacka z nóg. W głębi ciemnej sali paliło się i ogień zdążył się rozprzestrzenić na korytarzyk do chłodni. Całe pomieszczenie stopniowo wypełniało się dymem.

Rozejrzał się szybko i upewnił, że nie widać kolejnych napastników. Pomyślał, że ten, który uciekł, lada chwila zaalarmuje kompanów i że nie zostało mu dużo czasu. Ruszył biegiem w stronę ognia. Okrążył narożnik i stwierdził, że cały korytarzyk wypełnia gęsty dym, a z obu stron po ścianach pełzają jęzory ognia. Znajdujące się na końcu stalowe drzwi do chłodni wysadzono i teraz stały otworem.

Z głębi dobiegał płacz kobiety. Widać napastnicy zorientowali się, że w chłodni ukryli się ludzie i postanowili się do nich dostać, tylko zbyt niefrasobliwie obeszlą się z materiałem wybuchowym. Jack mszył, nie bacząc na ogarniające korytarzyk płomienie.

245

Gdy mijał osmalone od wybuchu resztki drzwi, z dymu wystrzeliła nagle wycelowana w jego twarz ręka. Zrobił szybki unik i tylko mignęło mu w oczach stalowe ostrze, o milimetry rozmiijając się z jego nosem.

— To ja — syknął. — Agent Menard!

Z dymu wynurzył się brat Lomy ze skalpelem w wyciągniętej ręce. Dmgął przywiązaną do pasa i z kąta, pod jakim zwisała mu dłoń, można było poznać, że ma złamany nadgarstek.

Kyle nie wyglądał na zmieszanego, że o mało nie wydlubał oka sprzymierzeńcowi. Interesowało go tylko jedno.

— Co z Lorną?

Jack ze smutkiem pokręcił głową. Miał cichą nadzieję, że udało jej się wydostać z pułapki i że tu ją znajdzie.

— Nie wiem — powiedział.

— Jak to nie wiesz? — Kyle powiedział to z taką miną, jakby znowu chciał zrobić użytek ze swojego skalpela.

— Została na górze w swoim gabinecie.

Jack wyminął Kyle'a i mszył tam, skąd dochodził szloch kobiety. Musi ich stąd wyprowadzić. Płakała Zoe Trent. Klęczała nad leżącym na boku w kałuży krwi mężem, z jego piersi sterczał kawał stalowej rury, która przebiła go niemal na wylot.

Mężczyzna nie mszał się i nie oddychał.

Po jego drugiej stronie klęczał patolog Greer, przykładając mu palec do szyi. Spojrzał na Jacka i pokręcił głową.

Jack poczuł, że ogarnia go furia.

Za plecami usłyszał Kyle'a. W jego głosie zadziorną butność zastąpiły niepewność i poczucie winy.

— Gdybym nie zablokował tak tych drzwi... żeby nie musieli ich wysadzać...

— To nikt z was by już nie żył — dokończył za niego Jack. Nie miał co do tego złudzeń.

Obok Zoe stanął Carlton Metoyer. Twarz miał szarą i postarzałą. Pochylił się i spróbował podnieść Zoe.

— On już odszedł, moja droga — powiedział cicho. — My też musimy stąd iść.

246

— Nieceee! — zawyła kobieta, czepiając się ręki męża.

Jack nie miał czasu na subtelności. Podszedł i siłą podniósł ją z klęczek. Próbowwała się wyrwać, ale on bez słowa wyniósł ją z chłodni i przeniósł wśród jęzorów ognia liżących ściany korytarzyka. Zoe przestała walczyć i tylko z jej piersi wydobywało się żalosne zawodzenie. Uczepiła się Jacka jak tonący ratownika, ale ratownik nie mógł wyciągnąć jej z topieli.

Wyniósł ją do pracowni i oddał w ręce Greera i Carltona.

— Zabierzcie ją stąd. Wyjdźcie tylnymi drzwiami. Droga tamtędy jeszcze przez parę minut powinna być wolna. Biegnijcie do lasu i nie zatrzymujcie się.

Byli zbyt zaszokowani, by dyskutować.

Tylko Kyle się zawahał i spojrział na Jacka.

— A moja siostra...

— Dołącz do nich — powiedział Jack, wyciągając rękę. — Znajdę ją.

Kyle wciąż się jednak wahał.

Jack pchnął go za oddalającą się trójką.

— Zaufaj mi. Odnajdę ją — obiecał.

Albo też zginę.

Loma klęczała w wejściu do sali operacyjnej. Dzięki goglom wyraźnie widziała salę zabiegową aż do drzwi. Wpatrywała się w nie z takim napięciem, że pod powiekami czuła suchość i drapanie. Ale bała się nawet mrugnąć.

I miała rację.

Bez żadnego ostrzeżenia — nie słyhać było kroków czy szeptów — drzwi się otworzyły, do środka wpadły dwie skulone sylwetki i natychmiast odskoczyły na boki. Obie z bronią w rękach.

Tuż za nimi wszedł ktoś trzeci. Był wyprostowany i wyglądał na lepiej zbudowanego od tamtych.

Coś w jego wyglądzie sprawiło, że serce Lomy zaczęło mocniej bić.

247

Odchyliła się, by nie być na linii jego wzroku, i sięgnęła po leżącą na podłodze zapalarkę. Zwykle używała jej do zapalania palnika Bunsena. Kilka minut wcześniej wzięła ją ze stołu laboratoryjnego wraz z podręczną butlą propanu, z której zasilano palnik. Ośrodek leżał na uboczu i nie doprowadzono do niego gazu z miasta.

W drugą rękę wzięła końcówkę trzymanego na kolanach węża. Normalnie wąż łączył urządzenie anestetyczne z końcówką instalacji tlenowej na ścianie. Odłączyła wąż od urządzenia, ale drugi koniec zostawiła podłączony do kurka zasilanego z butli w magazynku. Odczekała dwie minuty, aż wąż napełni się propanem.

Zdjęła zacisk z końcówki węża i przytknąwszy zapalarkę, nacisnęła dźwignię. Potarty kamień dał iskrę, a ta zapaliła sączący się gaz.

Z końcówki węża buchnął płomień. Loma ponownie ją zacisnęła i patrzyła, jak błękitny płomyk wędruje w głąb wypełnionego propanem węża. Ogień szybko dotarł do kurka w ścianie i zniknął w głębi. Wyobraziła sobie, jak płomyk wędruje dalej systemem rur i jak ognista strzała zmierza prosto ku...

Gdy tylko Duncan przekroczył próg, jego uwagę zwróciło syczenie. W pierwszej chwili pomyślał, że to szykujący się do ataku wąż, ale szybko się zorientował, że syk dochodzi z za zamkniętych drzwi, na których widniały dwa ostrzegawcze symbole.

248

Krew zaczęła pulsować mu w skroniach.

Gdzieś w głębi pomieszczenia błysnął ogienek. To mogło oznaczać tylko jedno.

Zasadzka...

Nie było czasu ostrzec ludzi, którzy już rozeszli się na boki. Odskoczył od syczących drzwi, potrącając Takeo. Drugi z komandosów właśnie ustawił się pod drzwiami...

...gdy nastąpił wybuch.

Niebieska kula ognia wyrwała drzwi z zawiasów, które walnęły stojącego pod nimi mężczyznę, przełamując się na pół. Zaraz potem nastąpił drugi wybuch, ale Duncan zdążył zasłonić się Takeo

przed główną falą uderzeniową.

W powietrzu gwizdały odłamki, z łomotem przetoczyła się zielona butla z tlenem.

Czując dzwonięcie w uszach, Duncan odepchnął Takeo.

Azjata dźwignął się na kolana oszołomiony i ogłuszony. Zwrócił twarz ku Duncanowi, jakby szukał u niego wytłumaczenia. Jego pokaleczona odłamkami twarz spływała krwią, brakowało jednego ucha.

Nagle klepnął się w szyję.

Wyszarpnął spod brody pierzastą strzałkę.

Strzykawkę ze środkiem usypiającym...

Duncan był tak ogłuszony wybuchem, że nie usłyszał pyk-nięcia.

Głowa Takeo opadła do tyłu. Coś wymamrotał, a z jego ust wydobyła się biaława piana. Po chwili zeszczywniał i runął na podłogę.

Zanim Duncan zdążył wykonać jakikolwiek ruch, coś uderzyło go prosto w gardło. Szarpnął się i wyrwał strzałkę, wściekły, że dał się zaskoczyć.

Wygląda na to, że mimo wszystko on też nie docenił doktor Polk. Tyle że teraz może ją już tylko przeklinać.

Żeby cię zajebało, ty dziwko...

249

Lorna patrzyła, jak drugi z mężczyzn upada na podłogę. Widziała, że próbuje walczyć z efektami środka usypiającego, ale nawet minimalna dawka M99 mogła być śmiertelna. A obu potraktowała porcjami wystarczającymi do powalenia nosorożca i trafiła prosto w gardła, gdzie występuje duże zagęszczenie naczyń krwionośnych.

Mimo to odczekała pół minuty, upewniając się, że obaj leżą jak martwi.

Dłużej nie mogła czekać.

Ogień na drugim końcu sali coraz bardziej się rozprzestrzeniał, zamieniając jej noktowizyjne gogle w drażniącą wzrok przeszkodę. Zsunęła je z twarzy, ostrożnie wychynęła z kryjówki i mszyła do wyjścia. Nie może dać się odciąć płomieniom, potrzebna jej też nowa broń. W strzelbie były tylko dwa pociski i oba wykorzystała. Znów jest bezbronna.

Podeszła do pierwszego z mężczyzn i podniosła z podłogi jego karabin. Był masywny, ciężki i nieprzyjazny w dotyku. Przypatrując się broni, mszyła dalej i w chwili gdy mijala drugiego z mężczyzn, coś złapało ją za kostkę u nogi i szarpnęło z taką siłą, że runęła twarzą na podłogę.

Duncan podniósł się od razu, gdy tylko kobieta uderzyła głową o posadzkę. Krzyknęła i spróbowała się odtoczyć. Miała rozciętą brodę, krwawiła i była oszołomiona. Z jadowitym uśmiechem usiadł na niej, zamachnął się i rękkojeścią sig sauera uderzył ją w tył głowy.

Jej ciało zwiotczało i znieruchomiało. I wiedział, że w odróżnieniu od niego nie udaje.

Więc kto kogo nie docenił, pani doktor?

Duncan potarł gardło. W dalszym ciągu czuł pieczenie od ukłucia igłą strzałki. Pewnie przez kilka najbliższych dni będzie miał chrypę, ale nic ponadto. Strzałka trafiła prosto w mikrofon na gardle i wprawdzie go przebiła, ale igła uległa stępieniu i ledwo drasnęła stwardniałą tkankę blizny na szyi.

Co nie było

250

takie dziwne, zważywszy, że prawie całą jego szyję pokrywała zrogowaciała chropowata skorupa — pamiątka po dawnym ataku.

Przekreślił kobietę na plecy. Nadal oddychała. To dobrze.

Dotarło do niego, że jest nawet ładna, i do tego blondynka. Takie najbardziej lubił.

Pochylił się, zarzucił bezwładne ciało na ramię i podłożył rękę pod pośladki Lomy. Postanowił wrócić tą samą drogą do wyjścia z budynku.

Popędzany adrenaliną szybko dotarł do głównego holu. W korytarzu pełnym duszącego dymu dostrzegł kogoś w kamuflażowym kombinezonie. Mężczyzna siedział na podłodze oparty plecami o ścianę.

Na widok Duncana uniósł rękę. Z jego ust wydobył się charkot:

— Szefie.



Korey, dowódca oddziału szturmowego.

To on miał wysadzić drzwi chłodni i wyprowadzić kogoś z naukowców. No i gówno z tego wyszło. Zawalił i zmusił Duncana do wzięcia sprawy w swoje ręce.

Korey jęknął i opuścił rękę. Był zbyt osłabiony, by utrzymać ją w powietrzu. Siedział na podłodze w kałuży krwi — a także własnych odchodów, sądząc po zapachu — i trzymał się za brzuch, który był tak rozszarpany, jakby dostał kulą armatnią.

— Pomocy...

Ktoś załatwił cały oddział Koreya.

Duncan spojrział w głąb zadymionego holu, jakby nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Pora się stąd wynosić. Nie zwracając uwagi na błagania rannego, mszył do okna.

Ma to, po co tu przyszedł, a reszta się nie liczy.

Dotarł do okna i nie zdejmując kobiety z ramienia, wygramolił się na zewnątrz. Stał na ziemi, dotknął mikrofonu na gardle i wywołał zastępcę:

— Connor, przygotuj ludzi do odwrotu.

— Ale szefie...

251

— To rozkaz. Spotkamy się przed budynkiem.

Odwrócił się i ruszył w tamtą stronę

— A co ze zwierzakami? — odważył się wtrącić Connor. — Jeszcze ich nie mamy. Na taką małą odległość transpondery są do dupy.

Rzeczywiście tak było. Dokładność namierzania z użyciem GPS ograniczała się do obszaru około pięciuset metrów kwadratowych. Na terenie gęsto porośniętym krzakami i drzewami mogło to przypominać szukanie igły w stogu siana.

— Znaleźliśmy tylko jakiegoś bezpańskiego psa — dodał Connor.

Psa?

Duncan pamiętał psa, który wyskoczył z półciężarówki i się na niego rzucił.

— Załatwiliście skurwiela? — warknął ze złością.

— Nie. Drań uciekł.

Niedobrze.

— Kończ poszukiwania — rozkazał zdecydowanym tonem. — Jak wszyscy wyjdą, rozpirzcie tę budę.

— Zrozumiałem.

Ruszył w stronę SUV-a zaparkowanego przed wejściem. Miał zamiar wyłapać wszystkie zbiegłe zwierzęta, ale teraz przestało mu zależeć. Na ramieniu niósł wystarczająco satysfakcjonującą zdobycz. Zwierzęta są osłabione i niedojrzałe i na wolności długo nie pociągną. A poza tym jego zdobycz pozwoli wyrównać straty. Kobieta im powie, czego się dowiedzieli i kto jeszcze o tym wie. A to powinno zadowolić jego szefów na wyspie.

A na koniec będzie mógł się jej pozbyć tak, jak mu się spodoba.

Już on dopilnuje, żeby było przyjemnie.

35

Jack przykleknął w zadymionym korytarzu obok umierającego mężczyzny. To na pewno jeden z napastników — może nawet ten, którego wcześniej postrzelił i który uciekł. Nie na wiele mu się to zdało. Sądząc po rozharatym brzuchu, długo nie pożyje.

Mężczyzna spojrział na Jacka szklistym, przepelnionym cierpieniem wzrokiem.

Widać było, że zdaje sobie sprawę, że śmierć się zbliża.

Jack wystarczająco często widywał takie spojrzenie na polu bitwy i na nie właśnie liczył. Wiedział, że w takich chwilach umierający często chce się pojednać ze światem.

— Była tu kobieta — powiedział. — Blondynka. Lekarka. Wiesz, gdzie jest teraz?

Jack stracił już zbyt dużo czasu. Uciekając z dolnego poziomu, balansował między ostrożnością a paniką. Bał się wpaść w zasadzkę, wiedząc, że martwy na pewno nie pomoże Łomie. Ale czuł także, że ma coraz mniej czasu.

Gdzie ona może być?

Ranny wycharczał tylko jedno słowo. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Jacka, jakby w swoich ostatnich chwilach potrzebował jego towarzystwa.

— Złapana...

Jack zeszywniał i przełknął przekleństwo.

253

— Dokąd ją zabrali?

Żołnierz próbował chyba odpowiedzieć, ale oczy uciekły mu do tyłu i zamilkł.

Jack złapał go za rękę.

— Dokąd? — rzucił błagalnym tonem.

Ranny znów spojrzał na Jacka, jego głowa opadła na bok, a wzrok powędrował ku otwartemu oknu.

Lekka bryza rozwiewała kłęby dymu.

— Wyprowadzili ją z budynku?

Cisza. Jack złapał rannego pod brodę i uniósł jego twarz, ale otwarte oczy patrzyły martwo.

Mężczyzna nie żył.

Jack po raz ostatni uściśnął jego dłoń i się wyprostował.

Nie pozostało mu nic innego, jak podążyć za tym nikłym śladem. Podszedł do otwartego okna, wystawił głowę i rozejrzał się. Pusto. Wskoczył i wylądował na wilgotnej trawie. Niebo na wschodzie zaczynało już jaśnieć.

Usłyszał, że przed wejściem ktoś uruchamia silnik.

Puścił się pędem z pistoletem w rękę, czując, jak gniotące mu pierś przeczucie szybko zamienia się w pewność. Nadchodzi świt i napastnicy odjeżdżają, zabierając ze sobą Lomeę.

Wybiegł zza narożnika budynku i dojrzał rozmyte w dymie tylne światła SUV-a, który wjeżdżał już na podjazd prowadzący do drogi na groble.

Uniósł pistolet, ale nie strzelił.

Mógłby trafić Lomeę.

Zdesperowany opuścił broń i pobiegł na pobliski parking. Kłęby dymu, który zaczynał już buchać z dachu budynku, szybko wessały jego sylwetkę.

Przebiegł przez wysypany żwirem plac parkingowy i podbiegł do swojego pick-upa. Szarpnął drzwi, wskoczył do środka i uruchomiwszy silnik, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Silnik zawył na wysokich obrotach, spod buksujących kół trysnęły fontanny żwiru. Pojazd wyrwał do przodu.

Jack wykonał gwałtowny skręt i zamiatając tyłem jak ryba ogonem, pognął za ciężarówką.

254

Nie może jej zgubić.

Przed sobą widział tylne światła SUV-a, pojawiające się i znikające na wijącym się podejździe.

Znów wdusił pedał gazu do podłogi. Prowadząc jedną ręką, drugą opuścił szybę i wystawił pistolet na zewnątrz. Wystrzelił, celując nisko w opony. Naprawdę nie liczył, że trafi, ale miał nadzieję, że uciekający usłyszą strzały, i to na tyle ich zaskoczy, że coś zrobią — może zwolnią, może wpadną w panikę.

Przy trzecim strzale wpadł w wyrwę na drodze, podbiło mu rękę i pocisk trafił w tylną szybę kabiny, która pokryła się pajęczyną pęknięć.

Zaklął pod nosem. Musi bardziej uważać.

Czerwone światła SUV-a na moment rozbłysły, po czym pojazd jeszcze przyspieszył. Z okna dachowego wysunęła się postać z karabinem i zaczęła do niego strzelać.

Jack osunął się na siedzeniu, ale ani trochę nie zwolnił. Na przedniej szybie pojawiły się ślady po pociskach, jedna z kul ją przebiła i utkwiała w zagłówniku siedzenia pasażera.

Światła stop SUV-a znów rozbłysły. Kierowca ostro hamował przed skrętem na drogę na grobli.

Jack nie zdejmował nogi z gazu. Gdyby udało mu się staranować ich od tyłu i ustawić bokiem, miałby szansę ich dopaść.

Odległość między pojazdami gwałtownie malała.

SUV zaczął wchodzić w zakręt.

No, dalej...

Jack w myślach zachęcał ośmiocylindrowy silnik forda do jeszcze większego wysiłku.

Zapatrzony w tył uciekającego SUV-a nie dostrzegł mężczyzny, który nagle wyłonił się zza drzewa na poboczu drogi. Mężczyzna uniósł granatnik i wycelował.

Jack powinien się być domyślić, że profesjonalny oddział szturmowy nie zostawi niezabezpieczonych tyłów. Postawili kogoś przy bramie, i to uzbrojonego w ciężką broń.

255

Ta myśl przemknęła Jackowi przez głowę w ciągu krótkiej chwili, jakiej wartownik potrzebował, by wycelować granatnik i odpalić pocisk w chmurze dymu i ognia.

Huk ocucił Lornę. Był tak głośny, jakby ktoś wbijał jej gwoździe w czaszkę. Krzyknęła, nie wiadomo, czy z bólu, czy ze strachu. W ustach czuła posmak krwi, rzucało nią tak, jakby płynęła łądką w czasie sztormu.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że leży na tylnym siedzeniu ciężarówki, a huk nie towarzyszy burzy, tylko strzałom oddawanym przez kogoś stojącego obok niej z głową wystawioną przez okno dachowe.

Spróbowała unieść ręce do głowy, ale okazało się, że są związane na plecach. Samochód ostro skręcił przy wjeździe na drogę na grobli i rzuciło ją na boczną szybę.

Powoli zaczęła sobie wszystko przypominać.

Napad na ośrodek, rozlew krwi, zasadzka w przychodni...

Spojrzała przez okno w stronę ACRES. W tym momencie z drogi dojazdowej wypadł inny pojazd i skierował się prosto na nich. Sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar ich staranować.

Lorna rozpoznała pick-upa Jacka.

— Jack!

Z pobocza wystrzelił płomień. Spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła żołnierza z dymiącym granatnikiem w rękach.

Pick-up Jacka wręcz eksplodował. Przód poderwało w kuli ognia, pojazd przeokoziolkował w powietrzu, spadł na tylny zderzak i przewrócił się na dach, zgniatając kabinę. Na leżący wrak posypał się deszcz odłamków szkła i rozżarzonych kawałków metalu.

Huk był tak potężny, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy i usłyszała się dopiero, gdy wszystko ucichło. Ktoś złapał ją za ramię i pchnął na siedzenie. Czyjaś dłoń uderzyła ją w twarz tak mocno, że na moment przestała widzieć.

— Zamknij mordę!

256

Odzyskała wzrok i spojrzała przez łyżę w okno. SUV pędził drogą na grobli, pick-up Jacka zniknął. Chwilę później gdzieś dalej rozległa się stłumiona eksplozja. W ciemne niebo wystrzelił potężny słup ognia.

ACRES.

Lorna zamknęła oczy, zbyt otepiała, by krzyczeć. Pomyślała o bracie i kolegach z pracy. Modliła się w duchu, żeby udało im się wcześniej wydostać z budynku. Ale nawet tę wątłą nadzieję odebrały jej słowa rzucone obojętnym tonem przez kierowcę:

— Connor, połącz się z Daughterym i każ mu przed odjazdem spenetrować teren. Niech zabijają każdego, kto jeszcze żyje.

35

Jack leżał ogłuszony w kolczastych zaroślach. Miał trudności z zachowaniem ostrości widzenia i otaczający świat to się wyostrzał, to rozmazywał.

Gdzieś obok huczał pożar i spowijały go kłęby czarnego oleistego dymu. Udało mu się na tyle odwrócić głowę, by stwierdzić, że to płonie wrak jego służbowego pick-upa.

Miał w pamięci widok wartownika z granatnikiem.

W momencie odpalenia zareagował instynktownie. Nie kierowała nim żadna myśl, tylko czysty odruch. Szarpnął drzwi i dał szczipaka z kabiny, jak najdalej od samochodu. Mimo to fala uderzeniowa i tak go dopadła, podrzuciła jak szmacianą lalkę i cisnęła w krzaki.

Musiał na moment stracić przytomność.

Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, nie wiedząc, czy da radę się podnieść. Już samo oddychanie sprawiało mu ból, wskazując, że złamane ma co najmniej jedno żebro.

A potem usłyszał zbliżające się ciężkie kroki.

Sięgnął po pistolet, ale musiał go gdzieś posiać, bo kabura była pusta. Starał się przewalczyć protest obolałego ciała. Przecież nie umrze, leżąc bezradnie na plecach.

W zasięgu wzroku pojawiła się postać w kamuflażowym kombinezonie. Mężczyzna zdążył już zastąpić granatnik karabinem szturmowym, który trzymał wycelowany w Jacka.

258

— Kurewsko trudno cię zabić — warknął.

Jack podniósł ręce. Wiedział, że nie może liczyć na litość i wszelkie prośby będą bezskuteczne.

Zresztą nie miał zamiaru prosić. Uniesionymi rękami chciał odepchnąć od siebie napastnika.

Żołnierz nagrodził jego wysiłki drwiącym uśmiechkiem, w którym był jednak cień podziwu. Mimo to uniosł karabin i wycelował.

Jack usłyszał głośny trzask.

Napastnik runął twarzą do przodu. Z jego nosa buchnęła krew, a głowa znalazła się tuż obok kolan Jacka.

Zza powalonego napastnika wyłoniło się przemoknięte straszidło.

— Randy...

Brat Jacka odrzucił na bok masywny konar, którym wałnął w głowę mężczyznę z karabinem.

Rozejrzał się, przeczesując palcami ociekającą wodą czuprynę, po czym jego wzrok spoczął na Jacku.

— A gdzie Burt?

Pół godziny później Jack z bratem wciąż jeszcze przeszukiwali zarośla wokół płonącego budynku, cały czas zachowując ostrożność. Bomby zapalające zamieniły ośrodek w płonąca pochodnię i w blasku ognia las pełen był tańczących cieni, co utrudniało poszukiwania i dodatkowo szarpało nerwy.

Randy pokrótce opowiedział o napaści na drodze i o tym, jak wpadł do rzeki. Ale Cajuna nie tak łatwo utopić. Przeplłynął z prądem spory kawałek, po czym, słysząc strzelaninę, wrócił przez las.

Jack nie mógł sobie wymarzyć lepszego kompana do łażenia po lesie. Bracia od lat razem nie polowali, ale prawie natychmiast znaleźli wspólny język. Raz jeden szedł przodem, raz drugi.

Porozumiewali się na migi i instynktownie trzymali ciemniejszych miejsc. Przez ostatnie lata wyrósł między nimi

259

mur niedomówień zrodzonych ze świadomego odsunięcia się Jacka od rodziny. Dopiero teraz Jack zdał sobie sprawę, jak bardzo brakuje mu takich prostych rodzinnych kontaktów i jak szybko dałoby się ten mur zburzyć. Ale musiałby chcieć.

Na razie miał ważniejsze sprawy na głowie. Szukali nie tylko Burta, ale także być może kręcących się tu jeszcze napastników.

Jack zabrał karabin szturmowy, którego używał wartownik powalony przez Randy'ego. Niestety, brat uderzył bardzo mocno i rozłupał mu czaszkę, zabijając na miejscu.

— Byłem strasznie nabuzowany — wyjaśnił Randy. — Skurwiele o mało mnie nie utopili.

Śmierć wartownika wcale Jacka nie ucieszyła. Wolałby go przypiec i wyciągnąć, dokąd jego banda wywiozła Lomę. Ale mężczyzna nie żył i Jackowi pozostawało mieć nadzieję, że znajdzie kogoś w lesie. Jednak wkrótce weszło słońce i ich wysiłki spełzły na niczym. Okrążyli ośrodek, ale widocznie napastnicy ewakuowali się zaraz po odpaleniu bomb zapalających.

— I co teraz? •— spytał Randy.

— Znajdziemy Burta i wyniesiemy się stąd.

Nie obawiając się już ataku, Jack przyłożył dłonie do ust i głośno gwizdnął. Randy zrobił to samo, wykrzykując przy tym imię psa, ale ich głosy utonęły w huku towarzyszącym pożarowi. Raz jeszcze obeszlą cały ośrodek, gwizdząc i głośno nawołując Burta.

W połowie drugiej rundy usłyszeli szelest, jakby coś szybko przedzierało się przez zarośla. Jack zeszywniał i skierował w tę stronę karabin.

Z lasu wyłoniła się grupka znajomych osób.

Brat Lomy i troje jej kolegów z pracy ślaniali się na nogach, byli brudni i w podartych ubraniach,

ale wyraźnie uradowani ich widokiem.

Wszyscy z wyjątkiem jednego.

Kyle podszedł do Jacka z taką miną, jakby chciał się na

260

niego rzucić. Rozejrzał się na boki, po czym przeniósł wzrok na dogasający pożar.

— Loma... — wyksztusił.

— Nie — zapewnił go szybko Jack. Nie miał jednak zamiaru ukrywać przed nim prawdy. —

Wyszła z budynku, tylko że tamci ją zabrali.

— Zabrali? — powtórzył Kyle.

Nim Jack zdążył odpowiedzieć, z głębi lasu dobiegło głośnie szczekanie.

Randy się rozpromienił.

— Mon Dieu! To Burt!

Bez namysłu mszył w tamtą stronę, a za nim podążył Jack, dając znak pozostałym, by również się mszyli. Zrobiło się już widno i można było oczekiwać, że lada chwila ktoś zauważy bijące w niebo kłęby dymu. Do pożaru zjedzie się straż i policja z wyciem syren i Jackowi zależało na tym, żeby wszyscy stanowili jedną grupę i mieli tę samą opowieść.

Kyle zrównał się z Jackiem i podtrzymując złamany nadgarstek, rzucił ze złością:

— Dlaczego zabrali moją siostrę?

— Żeby ją przepytać. Zatrzeć ślady. Będą chcieli z niej wydobyć, czego zdołała się dowiedzieć o tych zwierzakach.

Kyle zbladł.

— A potem?

Jack spojrział na niego. Pytanie chłopaka nie wymagało odpowiedzi. Łatwo się było domyślić, co się stanie potem. Dlatego nie odpowiedział wprost.

— Przez co najmniej jeden dzień będzie bezpieczna.

Dołączył do nich Carlton.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi, agencie Menard? — spytał.

— Bo cała akcja miała mieć charakter chimrgicznego cięcia. Szybko zaatakować i jeszcze szybciej się wycofać. Ale im nie wyszło. Przez te wszystkie ofiary śmiertelne i pożar będą chcieli jak najszybciej stąd zniknąć i dopiero wtedy zabiorą

261

się do jej przepytywania. Prawdopodobnie spróbują wrócić do swojej bazy operacyjnej, gdziekolwiek się ona znajduje.

— Zapewne gdzieś poza terytorium Stanów Zjednoczonych — stwierdził Carlton.

— Dlaczego pan tak sądzi? — spytał Jack. Też tak uważał, ale był ciekaw argumentacji doktora.

— Ze względu na to, co zrobiono tym zwierzętom. Jak je potraktowano. W żadnym laboratorium badawczym na terenie USA nie dopuszczono by do takich wybryków. Ale amerykańskie firmy i korporacje, które chcą obejść obowiązujące u nas przepisy, często umieszczają swoje utajnione centra badawcze poza naszymi granicami, w Meksyku, na Karaibach, w Ameryce Południowej... Na świecie działają tysiące tajnych laboratoriów.

Jack pokiwał głową. Sam też doszedł do podobnych wniosków, głównie na podstawie tego, że trawler ze zwierzętami miał zamiar przedostać się na rozlewisko. To była ewidentna próba nielegalnego przekroczenia granicy.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Kyle.

Jack zatrzymał się i stanął twarzą do reszty grupy. Potrzebował pełnej współpracy ich wszystkich.

— Jeśli mamy rację, szansa Lomy na wyjście z tego cało w dużej mierze zależy od utrzymania porywaczy w przeświadczeniu, że wszyscy w ACRES zginęli. Jeśli będą przekonani, że mają jedynego świadka, poczują się pewniejsi i nie będą się spieszyli. Czy mogę na was liczyć?

Wszyscy pokiwali głowami — nawet Zoe, która miała oczy napuchnięte od płaczu, ale już iskrzyła się w nich złość. Jej rozpacz powoli ustępowała miejsca zawziętości.

— Tutaj! — dobiegło wołanie Randy'ego. Wyprzedzał wszystkich o kilkanaście kroków, prąc

niestmdzenie w stronę, z której dobiegało ujadanie Burta.

Jack przyspieszył kroku i zobaczył ulubieńca rodziny Menar-dów, jak z wywieszonym językiem i dumnie zadartym ogonem zawzięcie obszczekuje wysoki cyprys.

262

Randy stanął nad nim, wziął się pod boki i zadarł głowę do góry.

— Ciekawe, co stare psisko zapędziło pod to drzewo?

Jack także spojrział w górę.

Coś się poruszyło w gęstwinie gałęzi, po czym z góry dobiegł zadziorny, pełen złości głos:

— Igor!

Jack był tak zaskoczony, że się cofnął o krok. Jego uwagę zwrócił ruch na innej gałęzi. Spośród igieł cyprysa wyglądały dwie brązowe mordki, z jeszcze innego miejsca dobiegało typowe kocie syczenie.

Jack patrzył zdumiony, próbując coś z tego zrozumieć. Był pewny, że wszystkie zwierzęta zginęły w pożarze.

— Loma... — szepnęła Zoe, wytrzeszczając oczy. — To ona je uwolniła, zanim zdołali je dopaść.

Carlton podszedł bliżej i też zadarł głowę. Widać było, że jest zaintrygowany.

— Wygląda, jakby wszystkie świadomie schroniły się razem — rzekł w zadumie. — Czyżby pod wpływem strachu następowało to dziwne łączenie myśli? Czy dzięki zastrzykowi adrenaliny ich neurony osiągnęły wyższy stopień synchronizacji?

Wszyscy otoczyli drzewo, a Burt łasił się do Jacka, domagając się pochwały i akceptacji. Jack już wiedział, co zwabiło psa do lasu. Loma posłużyła się Burtem, by wytropić na rozlewisku inne młode z tego samego miotu. Co do jednego Jack miał absolutną pewność: dobry pies zawsze rozpoznaje właściwy trop.

Poklepał psa po boku.

— Dobry Burt. Dobry piesek.

Kyle jednak się nie rozchmurzył.

— A co z Lomą? — burknął. — Wciąż nam nie powiedziałaś, jak zamierzasz ją odszukać.

— Bo sam nie wiedziałem.

Twarz Kyle'a jeszcze bardziej spochmumiała.

263

— Ale już wiem.

Po raz pierwszy od wyłączenia światła w ACRES Jack poczuł przyływ optymizmu. Zbyt jeszcze małego, by zastąpić nękający go lęk o losy Lomy, ale to już coś.

— Mianowicie? — Kyle nie dawał się zbyć. — Jak ją znajdziemy?

Jack wyciągnął rękę w stronę drzewa.

— One nam pomogą.

35

Patrząc na ciągnącą się w dole, rozświetloną słońcem połąć błękitu, Lorna po raz pierwszy w życiu się nie bała. Morze sięgało po horyzont we wszystkich kierunkach i tylko na południu widać było grupkę wysepek. Samolot leciał w ich stronę, a ona nie miała spoconych dłoni ani nie czuła przyspieszonego bicia serca.

Nie czuła nic poza otępieniem.

Jak na puszczonej w kółko taśmie filmowej widziała odtwarzany po raz kolejny obraz wylatującego w powietrze pick-upa Jacka i następujący wkrótce po tym wybuch, który zamieniał ACRES w piekielną kulę ognia.

Nikt nie przeżył...

Powinna się teraz martwić o swoje życie, ale czuła się w środku pusta i wypalona i było jej wszystko jedno. Wydawało się nawet, że nękający ją ból głowy jej nie dotyczy. Za lewym uchem wyrosła jej gula wielkości gęsiego jaja, a w uchu dzwoniło.

Tinnitus, pomyślała, wtórny efekt urazu.

Pobieżnie opatrzyli jej obrażenia, ale głównie interesowała ich jak najszybsza ucieczka z miejsca

akcji. Pojechali na polanę w rejonie rozlewisk, stamtąd tuż po wschodzie słońca helikopter zabrał ich na statek zacumowany za łańcuchem wysp barierowych na Zatoce Meksykańskiej i tam przesiedli się na hydro-

267

plan. Byli w powietrzu już od ponad trzech godzin i na jej wyczucie lecieli w kierunku zachodnich Karaibów, a może nawet na Kubę.

Odwróciła twarz od okna, patrząc, jak jej porywacz gramoli się z kokpitu i przechodzi do kabiny pasażerskiej. Sześćoosobowa kabina była luksusowo wykończona skórą i mahoniem i dowodziła, że finansujący tę operację musi mieć naprawdę kupę forsy.

Porywacz ze skompą blizn na twarzy dołączył do niej i dwóch pilnujących ją strażników. Na statku wziął prysznic i jego świeżo umyte włosy były ułożone na żel i wyglądały jak natłuszczone.

Przyglądała się bliznom na jego twarzy i szyi, jakby czytała historię jego urazów. Zaatakowało go jakieś zwierzę. Być może lew, sądząc po rozległości blizn. Nie przedstawił się, ale słyszała, jak inni mówią o nim Duncan.

Zupełnie ją ignorując, usiadł obok muskularnego mężczyzny z kamienną twarzą i rudą czupryną ostrzyżoną na wojskowego jeża. Drab o nazwisku Connor pełnił funkcję jej strażnika, choć niewiele było do roboty. Ręce wciąż miała skute kajdankami — na szczęście już z przodu — i w ogóle nie stawiała oporu. Była na ich łasce, a oni jak dotąd nie traktowali jej zbyt bmtalnie.

Uznała, że łatwiej rozezna się w sytuacji, okazując pokorę, niż gdyby rzucała się i walczyła. Mimo to na widok Duncana wypełniającą ją pustkę zastąpiło pieczenie, które dotarło do serca i rozeszło się po całym ciele.

A drań siedział i nie zwracał na nią uwagi.

— Wciąż ani słowa od Daughtery'ego — powiedział do mdzielca. — Powinien się już odezwać.

— Co mam w tej sprawie zrobić?

— Gdy dolecimy na wyspę, uruchom nasze kontakty w Nowym Orleanie. Chcę wiedzieć, co się tam wydarzyło po naszym odjeździe.

— Tak jest, szefie. Ale zna pan Daughtery'ego. Zawsze był trochę narwany. Pewnie polazł do Dzielnicy Francuskiej, spił się na Burbon Street i teraz leży z jakąś kurwą.

268

— Jeśli to prawda, to przy najbliższej okazji obetnę mu lewe jajo.

— To może nie wystarczyć. Żeby go ukrócić, trzeba by mu obciąć oba.

Duncan uniósł brwi, jakby poważnie się nad tym zastanawiał. W końcu opadł na oparcie fotela i zapatrzył się w dal. Wyglądał nieco łagodniej.

Loma zerkała na niego, nie ufając mu ani trochę.

Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo spojrzał na nią.

Westchnął i pochylił się do przodu. Loma dostrzegła obwisły płat skóry po lewej stronie jego twarzy i pomyślała, że zapewne nastąpiło uszkodzenie nerwu. Sięgnął do kieszeni, wyjął mlonik dropsów o smaku owoców tropikalnych i wyciągnął w jej stronę.

Pokręciła głową.

Wzruszył ramionami, wsunął dropsa do ust i znów westchnął.

— Zdziwiał mnie pani, doktor Polk.

Starła się nie okazać zaskoczenia na dźwięk swojego nazwiska. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, z których mógłby je wyczytać. Musiał jednak wyczytać coś w jej twarzy, bo jego usta rozciągnęły się w lekkim uśmiešku. Starał się zbić ją z tropu.

— Według moich obliczeń załatwiła pani co najmniej trzech moich ludzi.

W jego głosie nie było złości ani groźby.

— To godne podziwu. I pełne inwencji. Miejmy nadzieję, że okaże pani podobną inwencję na wyspie. Moi zwierzchnicy i ja będziemy mieli do pani kilka pytań. Gotowość do współpracy zostanie nagrodzona.

A jeśli nie zechce współpracować? W jego oczach można było wyczytać, co się wtedy stanie.

Ale to nie tylko nie zbiło jej z tropu, ale wręcz pomogło zebrać się w sobie. Po raz pierwszy

otworzyła usta. Wiedziała, że błaganie nie ma sensu i że jej los jest przesądzony. Chciała się tylko dowiedzieć, dlaczego zginęło tylu ludzi.

— O co w tym wszystkim chodzi? — Starła się mówić

269

spokojnym, pewnym siebie tonem, ale z trudem udawało jej się opanować drzenie głosu. — Genetyczne zmiany w zwierzętach i potem to wszystko... żeby to ukryć, żeby nie wyszło na jaw... Co wy tu robicie?

Duncan nawet nie mrugnął okiem i Loma pomyślała, że może lepiej nie znać odpowiedzi. Jego szczerą i otwartą odpowiedź poruszyła ją bardziej niż zawołana groźba sprzed chwili, bo ostatecznie rozwiewała resztkę nadziei, że wyjdzie z tego cało.

— Nazywamy to projektem „Babilon”.

Babilon?

Dostrzegł wyraz niepewności na jej twarzy.

— Nazwa nawiązuje do miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło. W największym skrócie, prowadzimy badania nad wojną biologiczną. A dokładniej nad systemami biobroni. Jak się pani wkrótce przekona, udało wam się tylko drasnąć powierzchnię czegoś znacznie większego. Gdy osiągniemy cel, raz na zawsze zmieni się sposób prowadzenia wojen.

Po raz pierwszy poczuła strach. Więc nie chodzi o zwykły przemysł na potrzeby jakiegoś tajnego programu badawczego. To coś dużo większego.

Nim zdążyła się odezwać, z głośnika na suficie dobiegł głos pilota:

— Za pięć minut lądujemy. Proszę zapiąć pasy.

Loma wyjrzała przez okno. Samolot zniżał się ku grupce wysepek, które wcześniej dostrzegła.

Większość wyglądała na bezludne piaszczyste łachy z pojedynczymi drzewami, ciągnące się łagodnym łukiem wokół większej zalesionej wyspy przypominającej kształtem sztangę ciężarowca. Składały się na nią dwie oddzielne wysepki, które dawno temu połączył piaszczysty przesmyk i las mangrowy.

Hydroplan zaczął się zniżać nad zachodnią częścią większej wyspy. Wrzynająca się w nią zatoka obwiedziona była pasmem białego piasku, nad plażą wznosiła się biała willa z prowadzącymi do niej tarasowymi schodami na stromym zalesionym

270

zboczu. Umieszczone na tarasach błękitne oczka wodne połączone były pasemkami kaskad.

Podchodząc do wodowania, hydroplan zatoczył szeroki łuk i Lorna mogła rzucić okiem na wschodnią część wyspy. Z góry sprawiała wrażenie niezamieszkałej i dzikiej.

Morze Karaibskie jest usiane tysiącami takich wysepek i wiele pozostaje w prywatnych rękach.

Przechodząc z rąk do rąk i zmieniając w ten sposób przynależność państwową, wysepki takie stanowią wymarzoną lokalizację dla kogoś pragnącego prowadzić cichą działalność badawczą, niepodlegającą ograniczeniom, jakie narzuca współczesne społeczeństwo.

Hydroplan wleciał w zatoczkę i usiadł na wodzie. Spod pływaków wystrzeliły gejzery piany, po czym maszyna zaczęła sunąć w stronę kamiennego pomostu. Pasma oślepiająco białego piasku stykało się z błękitną wodą, rosnące gdzieś palmy i mangrowce rzucały plamy cienia.

Warkot samolotu wypłoszył stado gołębi, które uleciały z leśnej gęstwiny.

Loma czuła jednak, że ten raj skrywa mroczne tajemnice i na wyspie bije w ukryciu czarne serce.

Otworzyła usta i wypuściła długo wstrzymywane powietrze.

Odwróciła twarz od okna i stwierdziła, że Duncan w milczeniu jej się przypatruje.

Z iskierkami rozbawienia w oczach wskazał ręką wyspę.

— Witam w Edenie, pani doktor — powiedział ze zjadliwą ironią.

35

Jack zawiózł wszystkich na posterunek Straży Granicznej w Nowym Orleanie i zaprowadził do sali komputerowej.

Historia zbudowanego z czerwonej nieotynkowanej cegły budynku sięgała lat dwudziestych ubiegłego stulecia, kiedy to głównym zadaniem agentów straży było wyłapywanie dezertersów ze statków i łamiących prohibicję przemysłników, próbujących przemycać mm z Karaibów. Ale czasy



się zmieniły. Straż Graniczną zaliczono do służb bezpieczeństwa wewnętrznego i postemnek wyposażono w najnowocześniejsze urządzenia komputerowe pozwalające prowadzić obserwację i nasłuch. Zadaniem jego funkcjonariuszy była obecnie ochrona granic przed terrorystami i zapobieganie przemytowi broni.

Chodząc po sali i rozmasowując sobie skronie, Jack próbował pozbyć się uczucia, że pęka mu głowa. Od powrotu niemiłosiernie piekła go skóra, a tłący się w kościach żar groził, że lada chwila wybuchnie żywym płomieniem. Połknął bez popijania trzy aspiryny i czekał, aż zadziałają. Nie ma teraz czasu chorować, a panujący w grupie nastrój napięcia też mu w niczym nie pomaga.

— Jak długo tu zostaniemy? — chciała wiedzieć Zoe.

Jack oderwał dłonie od skroni.

— Najwyżej dobę.

Wiedział, że losy Lomy będą już wtedy przesądzone i pod-

272

trzymywanie fikcji, iż wszyscy w ACRES zginęli, przestanie być potrzebne. Pierwszy śmigłowiec ratunkowy przyleciał na miejsce kwadrans po odnalezieniu Burta i Jack z ulgą zobaczył emblemat Straży Granicznej na kadłubie śmigłowca. Ich służba powietrzna często zjawia się jako pierwsza na miejscu zdarzenia.

Jack machaniem rąk sprowadził helikopter na ziemię. Dobrze znał pilota i w krótkich słowach wyjaśnił mu, że należy zachować całą sprawę w tajemnicy. Później porozumiał się jeszcze z innymi służbami mundurowymi i uzgodnił wspólną wersję wydarzeń. Już w porannych wiadomościach podano informacje o tragicznym pożarze i o tym, że nikt się nie uratował. Wkrótce potem do miejscowej stacji NBC przyszedł e-mail, w którym odpowiedzialność za podpalenie ACRES przyjmowała na siebie nowa organizacja terrorystyczna walcząca o prawa zwierząt.

Niewątpliwie była to zasłona dymna, która miała odwrócić uwagę od prawdziwych sprawców napadu, ale Jackowi było to na rękę, bowiem słowo „terrorystyczna” tak podnieciło wszystkie media, że nikomu nie przyszło do głowy podawać w wątpliwość, iż wszyscy zginęli i brak naocznych świadków.

Potem Jack polecił przewieźć wszystkich tutaj, w tym także Burta i zwierzęta z trawlera.

Randy rozsiadł się w kącie na fotelu i zapadł w drzemkę, Burt ułożył się przy jego nogach, zwierzęta powoli wychodziły ze stanu oszołomienia wywołanego łagodnymi środkami uspokajającymi. Doktor Greer usunął pod miejscowym znieczuleniem wszczepione markery do monitoringu. Umieszczono je w miedzianej puszcze Faradaya, by uniemożliwić ich namierzenie. Z wyjątkiem jednego, który przekazano komputerowcowi sprowadzonemu z miejscowego biura FBI. Używając bardzo silnych szkieł powiększających, specjalista przebadał marker i dokonał jego dezaktywacji.

Pozwoliło mu to potwierdzić opinię Jacka.

— To nie jest produkt komercyjny. Prędzej militarny lub paramilitarny. W każdym razie należy do kogoś z dużą forszą.

273

Słyszając te słowa, do Jacka dołączył Carlton z kubkiem kawy w ręku.

— Jeśli ten pański specjalista ma rację, to potwierdza to moje wcześniejsze podejrzenia — powiedział.

— Mianowicie? — Jack był rad, że wreszcie coś się dzieje.

— Mam na myśli to, co wykryliśmy. To nie jest zwyczajne odstępstwo od zasad, jakie obowiązują przy badaniach nad zwierzętami, i nie chodzi o jakąś pojedynczą firmę. Wyczuwam w tym coś znacznie większego. Nie zdziwiłbym się, gdyby był w to zamieszany rząd.

— Ma pan na myśli nasz rząd?

Carlton popatrzył na niego jak na naiwne dziecko.

— Rząd amerykański bez przerwy finansuje różne tajne projekty, także w formie dotacji z funduszy DARPA, agencji badawczo-rozwojowej Departamentu Obrony. Ale powinien pan wiedzieć, że od paru lat w środowisku naukowym krążą pogłoski o projektach tak tajnych i nielegalnych, że ludzie biorący w nich udział znikają bez śladu.

— I sądzi pan, że mamy do czynienia z jednym z takich projektów?

— Tego nie wiem — westchnął Carlton. — Ale występuje też inne niepokojące zjawisko.

Myślę o prywatnych dostawcach sprzętu i usług do celów militarnych. Sądzę, że w trakcie służby w wojsku miał pan okazję zetknąć się z firmą Black-water?

Jack pokiwał głową.

Blackwater była prywatną firmą ochroniarską, którą rząd amerykański zaangażował do działań w Iraku i Afganistanie. W praktyce funkcjonowali jak najemnicy. Jack zetknął się z kilkoma pracownikami Blackwater w Iraku i współpraca z nimi przebiegała zupełnie gładko, choć wyczuwało się pewną zawiść ze strony regularnych wojskowych. Obie armie walczyły na tym samym terenie i z tym samym wrogiem, tyle że najemnicy Blackwater byli lepiej wyposażeni i lepiej opłacani. Zresztą w większości rekrutowali się z byłych żołnierzy armii

274

amerykańskiej, którzy podejmowali pracę po zakończeniu służby Jackowi też zresztą złożono taką propozycję i nawet się nad nią zastanawiał.

Potem jednak wybuchły skandale związane z działalnością Blackwater, w których obwiniano firmę o skryte zabójstwa, przemyt broni, masakry ludności cywilnej, a nawet zabijanie świadków federalnych.

Ostatecznie Jack zdecydował się na służenie krajowi na rodzinnej ziemi.

— Dlaczego mówi pan o Blackwater? — zapytał.

— Ponieważ od roku dwutysięcznego firma zarobiła na zamówieniach rządowych ponad miliard dolarów. A są tylko jedną z sześciuset firm, które działają i w Iraku, i w Afganistanie.

— Wszystko to wiem — mruknął Jack. Chciał, żeby naukowiec przeszedł do rzeczy.

— Natomiast może pan nie wiedzieć, że takie zamówienia nie są ograniczone tylko do firm o charakterze paramilitarnym. Rozszerzono je także na środowisko naukowe i setki instytutów badawczych skorzystały z okazji, żeby się podłączyć. Dużych i małych. I z tego, co słyszę, konkurencji nie tyle ze sobą walczą, ile podrzynają sobie gardła.

Tego rzeczywiście nie wiedział. Przed oczami stanęły mu zwierzęta, oddział komandosów i brutalne zachowanie.

— Przy grze o tak ogromne pieniądze — ciągnął Carlton — skandale typu Blackwater rozprzestrzeniają się w środowisku naukowym jak wirus. Padają oskarżenia o korporacyjne szpiegostwo, wandalizm, ucieczkę do krajów Trzeciego Świata, by ominąć przepisy. Lista zarzutów nie ma końca.

Jack rozumiał rozgoryczenie doktora. Wszystko to idealnie pasowało do tego, co się wydarzyło. Drzwi się otworzyły i do sali wszedł brat Lomy, który wracał z ambulatorium. Rękę od dłoni po łokieć miał w gipsie, jego oczy świeciły dziwnym blaskiem od zażytych środków przeciwbólowych.

275

Randy poruszył się na fotelu i otworzył oczy.

— No fajnie — mruknął, spoglądając na chłopaka. — Widzę, że dołączył do nas jeden z Polków. Znaczą się, pewno znów ktoś spróbuje mnie zabić.

Kyle spojrzął na niego spoode łba.

— O co ci chodzi?

Jack stanął między nimi. Głowa mu pękała i nie potrzebował żadnych dodatkowych kłopotów, zwłaszcza ze strony Ran-dy'ego. Jeśli nawet w ciemnościach lasu uraza zniknęła, to w pełnym świetle powróciła.

— Randy, weź się przymknij — warknął.

Zaperzony Randy skrzyżował ręce na piersiach.

— Mówię tylko, że ile razy Menardowie i Polkowie się spotykają, to ktoś z naszej rodziny ginie... albo prawie ginie, jak w moim przypadku.

Kyle poczerwieniał jak burak.

— To co ma powiedzieć moja siostra? Wy tu sobie siedzicie, popijacie kawkę i opychacie się pączkami, a jej grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

— A co, są pączki? — zainteresował się Randy, prostując się w fotelu.  
Kyle wzmszył ramionami i skierował swoją złość na Jacka.  
— Mnie już naprawili — rzucił, unosząc rękę w gipsie. — Ale co robimy dla Lomy?  
Powiedziałaś, że masz jakiś plan.  
— Uspokój się. Mam... w każdym razie mam nadzieję, że mam. — Zerknął w stronę komputerowca.  
— Jaki? — Kyle nie rezygnował, ale w jego głosie pojawił się pojednawczy ton.  
Jack wziął do ręki puszkę Faradaya z markerami.  
— Użyjemy tego — powiedział.  
W chwili gdy w ACRES zgasły światła, Jack właśnie oglądał jeden z markerów. Schował go wtedy do kieszeni, żeby później dokładniej obejrzeć. Potem, gdy rozstawał się z Lomą w jej gabinecie, zostawił jej strzelbę na ładunki usypiające, ale zrobił też coś jeszcze.

276

— Podrzuciłem Lornie jeden z takich markerów. Włożyłem go jej do kieszeni.  
Twarz Kyle'a złagodniała, pojawił się na niej cień nadziei.  
— Mój Boże — szepnęła Zoe. — Myśli pan, że za pomocą tego da się ją namierzyć?  
— Na to liczę.  
Komputerowiec widać przysłuchiwał się ich rozmowie, bo zawołał od swojego stolika:  
— Sądzę, że dam radę to uaktywnić. To na pewno działa na zasadzie GPS. Jeśli wszystkie ich markery działają tak samo, powinno się udać. Choć to może trochę potrwać. Będę musiał przeszukać satelitę po satelicie. — Podniósł głowę i spojrzał na nich. — Byłoby szybciej, gdybym miał choć z grubsza pojęcie, gdzie szukać.  
Jack szybko skojarzył słowa Carltona i swoje domysły.  
— Meksyk albo jakaś wyspa na morzu. Może na Karaibach. Na pewno niezbyt daleko. W każdym razie na południe od Stanów.  
Carlton skinął głową, że też jest tego zdania.  
Kyle znów zmarkotniał.  
— To ogromny obszar. Wiem coś o tym. Moja firma naf-ciarska ma platformy na całej zatoce.  
— To ważna wiadomość — rzekł Jack. — Bo jeśli jest tak, jak myślę, to taka platforma mogłaby nam posłużyć jako centmm operacyjne.  
Kyle spojrzał na niego. Z jego oczu zniknęła senność i widać było, że zaczyna kombinować. Myśl, że może się do czegoś przydać, wyraźnie go podrajcowała. Tylko że wciąż nękała go zasadnicza wątpliwość.  
— Ale czy ona jeszcze żyje?

35

Lorna przeszła nabrzeżem w stronę willi. Idący za nią Connor trzymał w ręku pistolet, ale nie chciało mu się nawet do niej celować.  
Bo i po co? Dokąd miałyby uciec?  
Nawet zdjęli jej kajdanki.  
Rozcierając przeguby rąk, szła za Duncanem, który prowadził ją do przeszklonej wiaty przy końcu nabrzeża. Powietrze przesycone było wonią soli morskiej i cynamonowym zapachem lasu mangrowego, na plaży stały leżaki, na brzeg wyciągnięto rząd żółtych kajaków. Ot, typowy nadmorski kurort.  
Ale tylko na pierwszy rzut oka.  
Przy końcu plaży w cieniu palm stali umundurowani strażnicy z karabinami. Na dachu willi sterczały las anten i talerzy satelitarnych, za bardzo rozbudowany jak na potrzeby zwykłej łączności i telewizji. I wszędzie panowała głucha cisza. Znikąd nie dochodziły dźwięki reggae ani żadne śmiechy — nic poza łagodnym szumem fal liżących plażę.  
Wydawało się, że powietrze jest tak naelektryzowane, jakby zbierało się na burzę.  
Również na twarzy strażnika, który wyszedł im naprzeciw spod wiaty, malowało się napięcie.  
Odciągnął Duncana na bok i Loma zobaczyła w jego oczach strach.  
Stała w pięknym południowym słońcu, czekając, aż skończy

rozmawiać. Dzwonienie w uchu ustało, ale próba obrócenia głowy i dyskretnego rozejrzenia się spowodowała ostry spazm bólu w „gęsim jaju” z tyłu głowy. Dzięki temu udało jej się jednak coś zauważyć.

Przy końcu plaży na piasku leżała rozpostarta niebieska plandeka.

Można by pomyśleć, że przykryto nią jakiś sprzęt do pływania, tylko że Duncan też popatrzył w tamtą stronę. Przyjrzała się i dostrzegła, że spod plandeki wycieka ciemna struzka i spływa do wody, jakby ciekąca z silnika ropa. Ale coś jej mówiło, że to nie ropa.

Dostrzegła wystający spod plandeki blady kształt.

Ludzką rękę.

Podszedł do nich Duncan.

— Wczoraj wieczorem znów ich zaatakowano — powiedział do Connora. — Dopłynął wpływ i nim zdążyli go zastrzelić, zabił Polaskiego i poszarpał Garcie.

— Jak mogli dać się tak zaskoczyć? Monitoring nie zadziałał?

— Nie wiem. Idę porozmawiać z Malikiem. Zostawił wiadomość, że czeka na mnie w pracowni.

— A co z nią? — Connor wskazał Lomę kciukiem.

Duncan wzmszył ramionami.

— Zamknij w którejś z zagród. Niech tam siedzi, aż po nią przyjdę.

Przeszli pod wiatą i wyszli na przestronne patio. Miejsce było puste, stały tam ogrodowe krzeselka i tekowe stoły, ale tylko przy jednym siedziało dwóch śniadokórych mężczyzn w fartuchach laboratoryjnych. Jeden z zasępioną miną palił papierosa, którego trzymał na europejską modłę filtrem skierowanym do wnętrza dłoni, drugi siedział z podpartą głową.

Okna na głównym piętrze willi skierowane były na zatokę. Wszystkie zasłonięto ciężkimi żaluzjami chroniącymi przed huraganami, co nadawało budynkowi wygląd twierdzy. W widocznym przez wysokie drzwi balkonowe wnętrzu panował

279

półmrok, ale i tak widać było, że jest urządzone z przepychem: adamszkowe zasłony w kolorze kości słoniowej, meble z drewna mahoniowego i różanego, zapewne z lokalnego wyrębu, na podłodze terakota. Wszystkie barwy były stonowane i elegancką monotonią urozmaicały tylko poduszki z barwnymi wzorami zwierzęcymi i kilka obrazów na ścianach.

Duncan poprowadził ich długim korytarzem, który stanowił przedłużenie wiaty i przy otwartych oknach i drzwiach zapewniał orzeźwiający podmuch znad morza. Po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi do poszczególnych pomieszczeń, na przykład do kuchni, w której trzech kucharzy zajętych było szykowaniem posiłku.

Zapach piekącego się chleba i duszącego się na płycie mięsa z czosnkiem podrażnił nos Lomy i uświadomił, od jak dawna nie miała nic w ustach. Ale o jedzeniu nie było mowy. Na końcu korytarz przechodził w obszerny gabinet-bibliotekę.

Pokój wyglądał jak przeniesiony z British Museum i zawierał zapierający dech w piersiach zbiór oprawionych w skórę ksiąg, kolorowych muszli i starodawnych przyrządów żeglarskich, wśród których znajdował się antyczny sekstant i kołowrót kotwiczny z żaglowca. Całą jedną ścianę zajmowała kolekcja dennych skamielin, na których jak na fotografiach ze starożytnego świata widać było trylobity, prehistoryczne ryby i wach-larzewate koralowce.

Na widok Duncana z fotela obok wygasłego kominka podniósł się mężczyzna o niedźwiedziowatej posturze, do tej pory siedzący nieruchomo i wpatrzony w otwarte okna. Ubrany był w płócienne spodnie, buty do kostek i kamuflażową kurtkę. Wyglądał na człowieka dobrze po sześćdziesiątce, ale był nadal dobrze umięśniony, o bujnej szpakowatej czuprynie, a wysmagana wiatrami, opalona twarz pozbawiona była zmarszczek. Czuło się w nim lata spędzone w wojsku — sądząc po żeglarskiej czapce na oparciu fotela, zapewne w marynarce wojennej — ale także pewne rozleniwienie życiem w dobrobycie.

Loma domyśliła się, że to właściciel willi. Prawdę powie-

dziawszy, tak doskonale pasował do tego pokoju, że śmiało mógłby być jednym z eksponatów. Mężczyzna wyszedł na środek pokoju i podał rękę Dun-canowi, zamykając dłoń komandosa w niedźwiedziowatej łapie.

— Nie spodziewałem się tu pana — powiedział Duncan, starając się ukryć zaskoczenie. — Myślałem, że uczestniczy pan w prezentacji Ironcreek w Waszyngtonie.

— Po utracie ładunku nie miało to sensu.

Mężczyzna popatrzył na Lome, ale tylko ściągnął brwi i bez słowa odwrócił wzrok. Pewnie nie należy do wielbicieli kobiet, pomyślała. Znała takich aż za dobrze.

— Przyleciałem dziś rano — wyjaśnił. — Akurat trafiłem na to całe zamieszanie.

Duncan westchnął.

— Właśnie idę do doktora Malika, żeby z nim o tym porozmawiać.

— Czeka na ciebie. — Mężczyzna wskazał ręką ścianę pełną książek. — Potem przyjdź, to pogadamy.

— Dobrze, szefie.

Fragment regału z książkami odchylił się i ukazało się tajemne przejście. Stanowiło jakby przedłużenie korytarza i prowadziło w głąb górotworu za domem.

Serce Lomy zaczęło bić szybciej. Connor ją popchnął i nie pozostało jej nic innego, jak podążyć za Duncanem wykutym w skale korytarzem.

Regał zamknął się za nimi, zasłaniając przejście z przygnębiającą dokładnością.

Czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze słońce? — przemknęło jej przez myśl.

Connor zrównał się z Duncanem.

— Co Bryce Bennett tu robi? — spytał konspiracyjnym szeptem.

— Widocznie Malik informował go na bieżąco o naszych problemach — mruknął niechętnie

Duncan. — Mówiłem durniowi, żeby nie zawracał szefowi głowy. To tylko świadczy

281

0 tym, że arabusom nie można ufać. Nawet jeśli są po naszej stronie.

Krótkim korytarzem dotarli do dużej okrągłej sali ze stanowiskami pracy pośrodku i wejściami do innych pomieszczeń w prowadzących dalej przejściach. Przy stołach pracowało kilku techników w białych fartuchach. Słyszając ich kroki, kilku podniosło głowy, ale szybko je opuściło. Wyglądało na to, że willa stanowi tylko przykrywkę dla podziemnego labiryntu

1 doskonale kamufluje prawdziwe przeznaczenie wyspy.

Loma się rozejrzała. Na pozór sala przypominała pracownię genetyczną doktora Metoyera, tyle że była od niej dziesięć razy większa i bez porównania lepiej wyposażona. Na stołach stał imponujący zestaw termocyklerów, urządzeń do żelowania, pieców hybrydacyjnych i inkubatorów, a nawet cała aparatura LI-COR 4300 do analizy DNA. Stały też całe baterie czystych probówek, kapturów, shakerów i wirówek. Pod ścianą znajdowało się kompletne stanowisko z mikroskopem elektronowym z mikromacierzą.

W pracowni nie brakowało niczego i nie było badania, którego nie dałoby się tu przeprowadzić.

Tkwiały w niej naukowiec poczuł ukłucie zazdrości, ale jednocześnie aż zadrżała na myśl, ile to wszystko musiało kosztować. No i o czym to świadczy. Ktoś wydał fortunę, by stworzyć laboratorium naukowe poza zasięgiem amerykańskiej jurysdykcji.

Duncan przemierzył salę i wszedł do jednego z korytarzy prowadzących w głąb.

— Wsadź doktor Polk do jednej z zagród na końcu — polecił, zatrzymując się przy drzwiach. — Ja idę porozmawiać z doktorem Malikiem.

Connor pchnął ją i zmusił, by poszła dalej. Zobaczyła po lewej dużą szybę i znajdującą się za nią salę zabiegową. Wyposażenie sali było skromne i składało się ze stalowego stołu i zawieszonych nad nim lamp bezcieniowych na podwójnym wysięgniku.

282

W sali stał mężczyzna w średnim wieku ubrany w szpitalny kombinezon. Śniada cera i gęsta czarna czupryna wskazywały na pochodzenie arabskie, może egipskie.

Duncan wszedł przez boczne drzwi i z jego miny można było wywnioskować, że nie darzy gospodarza sympatią.

Loma spojrzała na stół i przystanąła.

Connor nie tylko jej nie popędził, ale sam się zatrzymał i zaczął przyglądać.

— Jakim cudem przedostał się na naszą część wyspy? — warknął Duncan, nie bawiąc się w żadne uprzejmości. — Myślałem, że są na stałe monitorowani.

— Są monitorowani — odburknął mężczyzna, dopasowując się do tonu Duncana.

Niewątpliwie miała przed sobą kogoś nazywanego doktorem Malikiem. Pewnie Malik jest kierownikiem naukowym całości, a Duncan odpowiada za bezpieczeństwo. Widać było, że nie po raz pierwszy się ścierają.

Malik wskazał stół.

— Jego kompani musieli usunąć marker. Wycięli go czymś ostrym. Może kamienną siekierką. Chodź, pokażę ci.

Doktor odsunął się na bok i Loma po raz pierwszy ujrzała w całości to, co leżało na stole. Zakryła usta dłonią wstrząśnięta widokiem. Wcześniej zza pleców Malika widziała tylko nogi i dolną część korpusu i sądząc po rodzaju futra i wielkości kończyn, myślała, że ma do czynienia z orangutanem lub inną dużą małpą.

Ale teraz Malik się odsunął i okazało się, że była w błędzie.

Ramiona były rzadziej porośnięte futrem, na klatce piersiowej widniały otwory po kulach, ale dopiero rzut oka na twarz i głowę spowodował, że głośno stęknęła. Zmatowiała gmba szczecina okalała pozbawioną zarostu twarz z wystającą górną i dolną szczęką, ale nie jak u małp. Szczęki były bardziej spłaszczone, oczy większe i bardziej zaokrąglone, czoło wyższe i pomarszczone.

Loma знаła z obrazków wygląd pierwszych ludzi, gatunków

283

homoidalnych w rodzaju Australopithecus czy Homo habilis. Podobieństwo było uderzające. To, co leżało na stole, nie było małpą.

Pamiętała wrzutki z przeszłości u zwierząt z trawlera, jakby w ich przypadku odwrócono bieg zegara ewolucji. Aż pociemniało jej w oczach na myśl, co może oznaczać to, co leży za szybą na stole. Ich badania nie ograniczają się tylko do zwierząt.

Spojrzeła na Connora i nie mogąc opanować przerażenia i odrazy, syknęła:

— Prowadzicie eksperymenty na ludziach!

35

Jack stał w gabinecie szefa okręgu Bernarda Paxtona. To właśnie Paxton rok wcześniej wyznaczył Jacka na szefa Grupy Szybkiego Reagowania, choć akurat teraz miał taką minę, jakby tej decyzji żałował.

Paxton całe przedpołudnie spędził na rozmowach z prasą i miał na sobie galowy mundur: granatowe spodnie w czarne prążki i dopasowaną koszulę. Ciemną czuprynę posmarował brylantyną i włożył nawet galową kurtkę, teraz jednak kurtka była rozpięta, a on stał pochylony nad biurkiem.

Na blacie rozłożona była szczegółowa mapa rejonu Zatoki Meksykańskiej.

Paxton postukał w nią palcem.

— To stąd odebraliście sygnał od doktor Polk? Z tego markera, który jej podrzuciłeś?

— Tak wynika ze współrzędnych. — Jack skinął głową. — Wyspa Eden Utracony. Gdzieś tu, w tym skupisku wysepek.

Paxton wyczuł w jego głosie niepewność.

— Ale nie jesteś absolutnie pewny?

— Sygnał trwał tylko parę sekund, potem go zgubiliśmy.

Jack stał sztywno wyprostowany, zaciskając pięści. Komputerowcowi FBI udało się w końcu odebrać sygnał z wojskowego satelity GPS 2R-9 orbitującego ponad dziewiętnaście tysięcy kilometrów nad Zatoką Meksykańską. Odczyt wydawał

285

się pewny i lokalizował marker około stu sześćdziesięciu kilometrów od brzegów Kuby. Tylko że chwilę potem sygnał po prostu zanikł.

— Zgubiliście sygnał i już go nie odzyskaliście? — upewnił się szef.

— Porywacze mogli ją wprowadzić do wnętrza budynku albo do jakiegoś miejsca, które uniemożliwiło transmisję sygnału. Albo — co sugeruje ten facet z FBI — porywacze stosują jakiś elektroniczny sprzęt zagłuszający, który obejmuje całą wyspę.

Jack powstrzymał się od wymienienia jeszcze jednej możliwości. Można było wyobrazić sobie ciało Lomy wyrzucone za burtę do morza. To też spowodowałoby zaniknięcie sygnału.

Paxton ostentacyjnie głośno westchnął.

— No to pech. Te wyspy terytorialnie należą do Nikaragui. Nie możemy na nie wysłać ekspedycji tylko dlatego, że straciliście kontakt.

— Ale szefie...

Paxton uniósł rękę.

— To poza naszą jurysdykcją. Mogę uruchomić kanały dyplomatyczne, rozpocząć rozmowy, ale to potrwa co najmniej dobę.

Dobę, której nie mamy, pomyślał Jack i zaklął w duchu. Starał się panować nad sobą, ale najchętniej walnąłby pięścią w biurko i wrzasnął, żądając natychmiastowej akcji. Wiedział jednak, że taki wybuch przyniesie więcej szkody niż pożytku. Nie chciał być kamie odsunięty od sprawy.

— Pozwól mi odczynić moje hokus-pokus — ciągnął szef. — Daj mi parę godzin na wykonanie paru telefonów. Przez ten czas niech ten agent FBI próbuje namierzyć sygnał. Jeśli uda wam się coś ustalić, bardzo mi to pomoże. Ale przede wszystkim trochę odpocznij, bo wyglądasz jak kupa gówna.

Wyglądowi odpowiadało samopoczucie Jacka: głowa mu pękała, w gardle piekło i czuł, że ma gorączkę. Ale nie mógł sobie teraz pozwolić na grypę czy przeziębienie. Dawka aspi-

286

ryny i leki antyhistaminowe utrzymają go na chodzie przez przynajmniej dobę.

A potem niech się dzieje, co chce.

— Znajdź sobie jakąś połówkę i się prześpij — powiedział Paxton. — To rozkaz.

— Tak jest, szefie. — Odwrócił się do wyjścia z poczuciem zawodu.

— Jack! — zawołał za nim szef. — Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Jack kiwnął głową. Znał szefa i wiedział, że nie rzuca słów na wiatr. Ruszył do sali komputerowej, by przekazać reszcie niepomyślne wiadomości. Zszedł na dolny poziom, przystanął na chwilę, żeby zebrać się w sobie, i otworzył drzwi. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu, w oczach tliła się nadzieja.

Kyle wstał ze stołka.

— No i kiedy wyruszą na poszukiwania Lomy? — rzucił niecierpliwie.

Jack nie odpowiedział.

Randy wyczytał odpowiedź z twarzy brata.

— O skurwysyny... nie wyruszamy, tak?

Kyle przeniósł wzrok na Randy'ego, potem znów na Jacka. Zbladł i opadł na stołek. Po czym spojrzął na zegarek. Od zabrania ich z lasu przez helikopter Straży Granicznej minęło pięć godzin i dwadzieścia dwie minuty. Wszyscy mieli poczucie, że czas Lomy dobiega końca, o ile już się nie skończył.

Jack poczuł, jak w środku coś go zaczyna palić. Pewnie w równej mierze gorączka, co gnębiący go zawód. Widział też przygnębienie na twarzach innych. Nie może tego tak zostawić.

Do diabła z tym!

Zamknął za sobą drzwi i skinął na brata.

— Randy, rusz tyłek i zadzwoń do braci Thibodeaux. Powiedz im, że znów idziemy na polowanie.

Randy wstał i otworzył usta, jakby chciał o coś spytać.

Nim zdążył to zrobić, Jack wyciągnął rękę w stronę brata Lomy.

287

— Kyle, mówiłeś, że w razie potrzeby będziemy mogli skorzystać z którejs z twoich platform.

Kyle kiwnął głową i zerwał się na równe nogi.

— Bez problemu. Kiedy?

— Zaraz.

Jack w rozpalonej głowie zaczął układać plan działania. Wiedział, że pilot i co najmniej dwóch członków jego Grupy Szybkiego Reagowania potrafią trzymać języki za zębami i zrobią, o co ich poprosi. To powinno wystarczyć. Prawdę mówiąc, im mniejsza będzie grupa uderzeniowa, tym lepiej. Muszą się dostać na wyspę tak, by tamtejsze radary ich nie wykryły, i wykraść Lomę, nim ktokolwiek się zorientuje.

Carlton dołączył do Zoe i Greera. Szef ACRES rozumiał bez słów, co się dzieje.

— Zwierzęta wkrótce trafią do ambulatorium w tutejszym zoo — powiedział. — Pojedziemy tam z nimi i nie wyściubimy nosa. A przy okazji spróbujemy dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Zoe pokiwała głową.

— Paul... — głos jej się lekko załamał — ...przekazał zapasową kopię naszych wyników do zewnętrznego serwera. Będziemy mogli kontynuować badania od miejsca, w którym je przerwaliśmy.

Carlton łagodnym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

— Damy ci znać, gdy tylko dowiemy się czegoś ważnego — powiedział.

Jack potoczył wzrokiem po pełnych oczekiwania twarzach.

— No to mszajmy.

35

Stojąc w zagrodzie dla zwierząt, Lorna pomyślała, że już wie, co musi czuć byk czekający na rzeź. W blasku mocnych, niczym nieosłoniętych żarówek rozglądała się po swoim więzieniu. Wszystkie inne pomieszczenia w podziemnym laboratorium świeciły czystością i przypominały wnętrza nowoczesnej kliniki.

Ale nie to.

Podłogę wykuto w litej skale i wyżłobiono w niej rowki do splukiwania moczu i kału zwierząt; boczne ściany z wilgotnych bloczków cementowych zamykała od przodu bramka ze stalowej siatki. Całość bardziej przypominała psią budę niż więzienną celę.

W środku nie było nawet stolka, na którym mogłaby usiąść, i nie pozostawało jej nic innego, jak krążyć po klatce o wymiarach trzy na półtora metra. W niskim pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilkanaście identycznych klatek. Wszystkie były puste, ale Loma potrafiła sobie wyobrazić ich więźniów. Przejechała dłonią po ścianie i wyczuwszy rysy na cemencie, pomyślała o martwym osobniku na stole operacyjnym. Sądząc po wysokim czole i płaskiej twarzy, musiał należeć do gatunku ludzkiego, ale jak zwierzęta z trawlera sztucznie cofnięto go na wcześniejszy etap rozwoju, genetycznie zwracając do formy prehistorycznej.

289

Tylko po co?

Przypomniała sobie uwagę Duncana o systemach biobroni.

Nie wiedziała, co to jest, ale nie miała cienia wątpliwości, że prowadzone w tym laboratorium badania nad zwierzętami poszerzono o eksperymenty na ludziach. Miejsce było tak odosobnione, że nie tylko nikt nie protestował, ale pewnie nawet o tym nie wiedział. Dodatkowo ta lokalizacja umożliwiała stosunkowo łatwe zdobywanie materiału do badań. Na Karaibach handel ludźmi kwitnie w najlepsze i biedne kraje, takie jak Haiti, są powszechnie znanym źródłem pozyskiwania niewolników, których kupuje się od ich rodzin. Miejscowe władze wiedzą o tym procederze, ale za odpowiednią opłatą gotowe są odwracać wzrok.

Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i męskie głosy.

— Tu ją zamknąłem.

— Wyprowadź ją. — Loma rozpoznała chrapliwy głos Duncana. — Malik chce być przy przesłuchaniu. Pana arabusa zainteresowała jej wiedza weterynaryjna.

Do Lomy dotarł sens jego słów i jej dłonie zwilgotniały ze strachu. Na widok mężczyzn instynktownie cofnęła się w kąt klatki.

Rudowłosy strażnik otworzył kluczem bramkę, Duncan zatrzymał się parę kroków dalej i skrzyżował ręce na piersiach.

— Wychodź — warknął Connor, nie wyjmując broni z kabury.



Loma zaczerpnęła powietrza i siłą woli zmusiła się do posłuchania rozkazu. Nie chciała dopuścić, by siłą wywlekli ją z celi. Nie widziała innego sposobu, jak okazywać gotowość do współpracy. Duncan obrzucił ją pozbawionym wyrazu spojrzeniem, jednak na jego pokrytej bliznami twarzy widać było grymas złości. Odwrócił się bez słowa i mszył korytarzem w stronę głównego laboratorium. W okrągłym pomieszczeniu nie było nikogo poza doktorem Malikiem, który stał przy jednym ze stanowisk do

290

badań genetycznych. Usłyszawszy otwierające się drzwi, odwrócił głowę.

Lorna zawahała się w progu, ale Connor pchnął ją tak, że zatoczyła się do środka i z trudem utrzymała równowagę.

— Musisz się tak zachowywać? — parsknął ze złością Malik. Mówił z brytyjskim akcentem, ale jego angielszczyzna miała wyraźnie bliskowschodnie korzenie. Skinął na Lomę ręką. — Proszę tu podejść, doktor Polk.

Duncan podszedł razem z nią, Connor pozostał przy drzwiach.

Z bliska Malik wyglądał na starszego, niż sądziła. Wprawdzie jego śniada twarz była pozbawiona zmarszczek, a gęsta czarna czupryna tylko z lekka przyprószone siwizną, ale musiał się zbliżyć do sześćdziesiątki. Miał na sobie ten sam chirurgiczny uniform co poprzednio, ale teraz zarzucił na niego biały, sięgający do połowy uda laboratoryjny fartuch.

Zapraszającym gestem wskazał krzesło.

— Przykro mi, że muszę panią w to wszystko wciągać.

Nie skorzystała z zaproszenia i nie usiadła. Duncan szarpnął ją za rękę, podprowadził do krzesła i posadził.

Malik skrzywił się, ale nic nie powiedział.

— Zadaż jej te swoje pytania i skończmy z tym — burknął Duncan.

Malik westchnął.

— Ze względu na ochronę prawa do naszej intelektualnej własności muszę panią spytać, czego się dowiedzieliście z badań na okazach, które znalazły się w waszym posiadaniu.

Loma nie potrafiła patrzeć im prosto w oczy. Prześlizgując się spojrzeniem po otaczającej ją aparaturze, odczytywała napisy na tabliczkach: bufor trawienny firmy PureLink Genomie, zymogram żelowy firmy Novex, hybrydyzer firmy Spotlight. Za plecami Malika stały dwa inkubatory i mikroskop odwrócony z mikromanipulatorem do badań na embrionach.

Pełne wyposażenie do wykonywania zapłodnień in vitro.

Czyżby w tym tkwiła przyczyna rozlewu krwi i całego tego koszmaru?

291

Uniosła głowę i w tym samym momencie dostała w twarz zewnętrzną stroną dłoni. Z rozciętej wargi pociekła jej krew, guz z tyłu głowy aż zawibrował, wysyłając ostry spazm bólu.

Oczy Lomy napełniły się łzami — łzami wściekłości i bólu.

— Przestań! — syknął Malik.

Nie zwracając na niego uwagi, Duncan pochylił się nad Lomą.

— Odpowiadaj na pytania albo znowu dostaniesz.

Wyraz jego oczu świadczył, że nie są to puste groźby.

Malik zaczął coś mówić, ale przerwała mu w pół słowa

i otarła krew z ust. Już wcześniej zdecydowała, że nie będzie niczego ukrywała. Bo i po co?

— U wszystkich zwierząt stwierdziliśmy obecność dodatkowych chromosomów — zaczęła. — Stwierdziliśmy też strukturalne zmiany w ich mózgach. Siatkę kryształów magnetytu.

— Godne podziwu — pokiwał głową Malik. — Szczególnie jak na tak krótki czas, jakim dysponowaliście.

— Co jeszcze? — warknął Duncan.

— Zauważyliśmy też, że zwierzęta potrafią się ze sobą neurologicznie łączyć. Doszliśmy do wniosku, że takie usieciwienie zwiększa ich możliwości intelektualne.

Malik znów pokiwał głową. Potwierdzał to, co dotąd było tylko jej domysłem.

— Na tym przerwaliśmy — powiedziała.

— Kto jeszcze o tym wie? — warknął Duncan.

Loma czuła, że to dla nich kluczowe pytanie. Tak naprawdę po to ją tu przywleczono i tylko dlatego jeszcze żyje. Chcą wiedzieć, czy ta wiedza wydostała się poza obręb ACRES. Uznała, że szansa na pozostanie przy życiu tkwi w lekkim zmodyfikowaniu prawdy.

— Nie jestem pewna — odrzekła. — Ale wiem, że kopie zapasowe wyników naszych badań są regularnie przekazywane do zewnętrznego serwera. Odbywa się to automatycznie.

Malik popatrzył na Duncana.

292

Komandos pogardliwie wykrzywił usta.

— To bez znaczenia. Przynajmniej na razie. Wszyscy zginęli, i to powinno dać nam wystarczająco dużo czasu, żeby sobie z tym poradzić.

— Jak najszybciej — powiedział z naciskiem Malik. — Pan Bennett będzie przy tym obstawał.

— Gdzie jest ten zewnętrzny serwer? — spytał Duncan.

— Nie wiem — odparła zgodnie z prawdą. Wiedziała tylko, że ACRES zatrudnił jakąś firmę komputerową w Baton Rouge.

Duncan uniósł rękę gotów przetestować jej prawdomówność.

Odchyliła głowę i zasłoniła twarz.

— Znam ich tylko z nazwy — powiedziała szybko. Starła się, by jej słowa zabrzmiały przekonująco. — Nazywają się Southem Compu-Safe. Ale serwery mają w całej Luizjanie. Nie wiedziała, czy ta ostatnia informacja jest prawdziwa, czuła jednak, że jeśli ten drań uzna, że dane ACRES tkwią w jednym konkretnym miejscu, po prostu każe je wysadzić. A wtedy jej rola się skończy i nie będzie im już potrzebna. Żeby przeżyć, powinna sprawiać wrażenie, że jest przydatna. Duncan opuścił rękę. Po minie widziała, że jej wierzy. Na jego twarzy pojawił się wyraz namysłu. Musi tym jego myśleniem tak pokierować, by wyciągnąć maksimum korzyści dla siebie. Zaczęła szybko mówić, nie próbując ukrywać strachu.

— Żeby dotrzeć do danych, trzeba podać sekwencję haseł zabezpieczających. Wpisuje się osobiste hasło pracownika, po czym trzeba odpowiedzieć na kilka pytań kontrolnych, które dla każdego pracownika są inne. Ale nie mam pojęcia, jak się zdalnie wchodzi do tego serwera. To ostatnie stwierdzenie było szczerą prawdą.

Duncan już jej nie słuchał. Wciąż stał zamyślony ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt daleko stąd.

— Ile czasu potrwałoby ustanowienie bezpiecznego łącza satelitarne z tym Compu-Safe? — włączył się Malik. — Takiego, którego nie dałoby się prześledzić do nas?

293

— Co najmniej cztery godziny — burknął obojętnie Duncan, po czym spojrzał na Lome. — Ale wystarczy parę telefonów, żeby się przekonać, czy pani doktor mówi prawdę.

Loma miała ochotę skurczyć się pod jego spojrzeniem, ale dzielnie wytrzymała.

— Zatem wygląda na to, że jeszcze trochę pocieszymy się jej towarzystwem — powiedział Malik. — Może to i lepiej, bo chętnie usłyszę, co ma do powiedzenia na temat naszych ostatnich kłopotów.

— Nie musi o nich wiedzieć — warknął Duncan.

— Jeśli ma się jakiś problem, nigdy nie zawadzi wysłuchać innej opinii. A poza tym niczym nie ryzykujemy, prawda? — Malik spojrzał na Duncana i pytająco uniósł brew. — Chyba że nie jesteś pewny naszych środków bezpieczeństwa i boisz się, że ucieknie.

Twarc Duncan jeszcze bardziej spochmumiała.

Loma pomyślała, że doktor Malik jest całkiem sympatyczny.

Póki nie usłyszała jego następnych słów:

— Poza tym pani doktor zostanie mnóstwo czasu na rozmowy w trakcie przygotowań.

To ją zmroziło i nawet Duncan wyglądał na zniesmaczonego tą uwagą.

— Przygotowań do czego? — spytała.

Malik podszedł bliżej i poklepał ją przyjaźnie po ramieniu.

— Do drobnego zabiegu. Pomyślałem, że byłoby grzechem nie skorzystać z pani obecności i nie uzupełnić naszych zapasów genetycznych.

— O czym pan mówi? — Żołądek ścisnął jej się ze strachu, a wzrok mimowolnie powędrował ku ciału na stole operacyjnym.

Malik jeszcze raz klepnął ją uspokajająco i odsunął się na bok.

— Proszę się nie obawiać. Pobierzemy tylko kilka pani jajeczek.

35

Lorna z trudem powstrzymywała łzy, przyglądając się, jak laborant zabiera próbki jej krwi w oznaczonych kolorami fiolkach. Była cała złana potem. Potarła palcem założony na zgięciu łokcia opatrunek.

Sala zabiegowa wyglądała jak gabinet ginekologa z piekła rodem. Otaczała ją masa urządzeń ultradźwiękowych i chirurgicznych, stół, na którym ją posadzono, można było przestawić na pozycję leżącą. Wyposażono go w strzemiona, nie miał natomiast żadnej miękkiej podściółki. Najwyraźniej wygoda pacjentek nikogo tu nie obchodziła i wszystko zostało wykonane z zimnej stali. Najbardziej jednak zdeprymowały ją masywne skórzane pasy służące do mocowania delikwentek.

To utwierdziło ją w przekonaniu, że większość badanych trafiała tu wbrew swojej woli i rekrutowała się z grona współczesnych niewolnic, którymi z zapałem handlowano na całych Karaibach. Poczula dreszcz na myśl o tym, ile kobiet przywiązywano przed nią do tego stołu i poddawano bmtalnym gwałtom cielesnym i psychicznym.

W końcu zjawił się pilnujący jej mdowłosy strażnik.

— Idziemy — rzucił.

Nie stawiała oporu. Zsunęła się ze stołu i pozwoliła podprowadzić do wyjścia. Chodzenie sprawiało jej ból. Poza pobraniem krwi laborant wykonał też bolesną biopsję szpiku

295

kostnego z biodra. Czowała ból przy każdym kroku, zdając sobie sprawę, że najgorsze dopiero przed nią. Tego typu badania przedoperacyjne mają na celu ustalenie poziomu hormonów i wykonanie próby genetycznej.

Wyniki badań zdecydują, czy ją też wsadzą w strzemiona i pasy mocujące.

Przytrzymując Lomę za łokieć, Connor wprowadził do sąsiedniego gabinetu. Siedzący za biurkiem doktor Malik coś pisał. Regał za jego plecami był pełen książek i czasopism, a ich stan świadczył o tym, że są często czytane. Na widok Lomy Malik zamknął wypełniany formularz i spojrzał na nią znad sterczących na cienkim nosie okularów do czytania.

— Proszę usiąść, pani doktor — powiedział, wskazując krzesło i przenosząc wzrok na jej strażnika. — To na razie wszystko, sierżancie Reed. Zawołam was, gdy skończymy.

Connor nawet nie drgnął. Wyglądał tak, jakby nie miał zamiaru się mszyć.

— Komendant Kent powiedział, że mam pilnować więźnia — burknął.

Duncan rzeczywiście wydał mu takie polecenie, a sam poszedł zweryfikować prawdziwość opowieści Lomy o zapasowej kopii na serwerze Compu-Safe.

Malik westchnął przeciągle.

— Nie ma takiej potrzeby, ale jeśli to was uszczęśliwi, możecie jej pilnować pod drzwiami.

Connor skrzywił się i tylko mocniej zacisnął palce na łokciu Lomy. Wyraźnie nie miał ochoty ustąpić.

Malik zamachał ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

— Pod drzwiami z tamtej strony, jeśli łaska. Jesteśmy tu jak w bunkrze. Nie ma okien i nasza więźniarka nigdzie stąd nie wyjdzie. Mój gabinet jest równie bezpieczny jak cela.

Grymas niezadowolenia na twarzy Connora stał się wyraźniejszy, ale jego palce na ramieniu Lomy rozluźniły uścisk. Pomyślała, że pewnie zostaną jej sińce, może wręcz odciski palców.

— Będę tuż za drzwiami — mruknął, wycofując się.

296

Dla Malika jakby przestał istnieć, bo nie czekając na jego wyjście, przeniósł wzrok na Lornę.

— Doktor Polk, proszę siadać. Mamy dużo spraw do omówienia. Myślę, że niektóre okażą się dla pani pouczające.

Lorna chętnie skorzystała z zaproszenia. Ostatnie przejścia i ból w biodrze powodowały, że niezbyt

pewnie stała na nogach. Opadła na krzesło i rozejrzała się po gabinecie. Jedna boczna ściana wypełniona była baterią monitorów ciekłokrystalicznych, rozmieszczonych wokół wielkiego, pięćdziesięciocalowego ekranu plazmowego. Większość była ciemna i tylko na kilku było widać obraz podziemnych pomieszczeń, w tym gabinetu ginekologicznego.

Musiał na nim obserwować przebieg jej zabiegu.

Ze wstrętem odwróciła wzrok.

Przeciwnie ściana pełna była dyplomów i świadectw ukończenia licznych szkół i Loma uważnie im się przyjrzała. Chciała się czegoś dowiedzieć o mężczyźnie za biurkiem. Większość świadectw pochodziła z zagranicznych uczelni i była w obcych językach, w tym parę po arabsku. Jeden z francuskojęzycznych dyplomów pochodził z Universite Pierre et Marie Curie, inny z Centre National de la Recherche Scientifique — największego francuskiego ośrodka badań naukowych. Może doktor Malik z etyką jest na bakier, ale na pewno nie należy do nieuków.

— W ciągu godziny powinniśmy mieć wyniki pani badań — powiedział, pochylając się nad biurkiem. — Wyjaśnię teraz, co się będzie działo dalej. Żeby nie musiała się pani niepokoić. Loma nie wiedziała, czyjej rozmówca nie zdaje sobie sprawy z jej sytuacji, czy świadomie się z niej naigrywa.

— Zależnie od wyników ustalimy genetycznie odpowiednią kombinację lupronu i menopuru z dodatkiem eksperymentalnego hormonu stymulującego pęcherzyk jajnikowy. Normalnie na wyhodowanie dojrzałych jajeczek potrzeba wielu dni, ale dzięki opracowanej przeze mnie metodzie wystarczy zaledwie parę godzin. Ale mamy czas, żeby porozmawiać.

297

Lorna w końcu zmusiła się do otwarcia ust.

— Co pan ma zamiar zrobić z moimi jajeczkami?

— Proszę mi zaufać, zostaną użyte do szczytnych celów. Wykorzystamy je w naszym programie badań nad hybrydyzacją embrionów, do którego właśnie przystępujemy.

— Jakich embrionów? — Przed oczami stało jej ciało na stole operacyjnym.

— Nie da się na to odpowiedzieć jednym słowem. Ale nim do tego dojdziemy, chciałbym być z panią szczerzy. Przejrzałem pani akta.

Moje akta?

— Biorąc pod uwagę pani wykształcenie i doświadczenie w dziedzinie genetyki i hodowli zwierząt, chętnie zatrudniłbym panią w naszym laboratorium. Byłoby nierozsądne nie wykorzystać wiedzy tak doświadczonego naukowca. A jeśli wykaże pani odpowiednią chęć współpracy, nic nie stoi na przeszkodzie, by mogła pani pozostać na wyspie.

— W charakterze więźniarki?

— Wolę słowo „koleżanka”. I to byłoby znacznie lepsze niż rozwiązanie alternatywne. Myślę, że gdy pani lepiej pozna i zrozumie naszą metodologię i cele, pozbędzie się pani wielu lęków i uwolni od rozterek.

Miała w tej kwestii poważne wątpliwości, ale nic nie stało na przeszkodzie, by posłuchać tego, co Malik ma do powiedzenia. W końcu im dłużej on będzie mówił, tym dłużej ona pozostanie przy życiu.

— Proszę mówić. — Skinęła głową. — Czym dokładnie się tu zajmujecie?

Malik oparł się o fotel z taką miną, jakby obłaskawienie jej sprawiło mu satysfakcję. Choć równie dobrze mogło mu tylko zależeć na zdobyciu rozumiejącej jego wywody słuchaczki.

— Czym się tu zajmujemy? Żeby na to odpowiedzieć, musimy cofnąć się do samego początku. Zna pani Księgę Rodzaju?

Ta niespodziewana zmiana tematu zaskoczyła Lornę.

— Ma pan na myśli Biblię?

298

Malik skinął głową.

— Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo\* — rzekł.

Loma nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

W oczach Malika pojawiły się iskierki rozbawienia.

— Proszę wybaczyć tę odrobinę pychy Zapewne jestem pod zbyt wielkim wpływem naszego głównego fundatora Bryce'a Bennetta. Jest człowiekiem głęboko religijnym. To cytat, którego często używa w nawiązaniu do naszej pracy. Także jeden z powodów, dla których wybrał właśnie tę wyspę. To wyspa Eden Utracony. — Malik uśmiechnął się do swoich myśli i pokręcił głową. — Jak mógłby z tego nie skorzystać?

— Nie rozumiem. Jaki to ma związek z waszymi eksperymentami z dziedziny genetyki?

— Wszystko w swoim czasie. Pozwoli pani, że zacznę od własnej definicji wielkiego początku. Naukowych podstaw wszelkiego stworzenia. Bennett ma swoje Słowo Boże, ja mam coś osadzonego w nauce.

— Co takiego?

— Słyszała pani o fraktalach?

Znów ją zaskoczył nagłą zmianą tematu. O czym ten człowiek mówi? Jednocześnie przypomniała sobie, że nie tak dawno była już o tym mowa. O fraktalach wspomniął jej brat, kiedy rozmawiali o strukturze kryształów magnetytu w mózgu jaguara. Słyszała wcześniej o fraktalach, ale miała na ich temat tylko podstawową wiedzę, która nijak nie pasowała do tematu ich rozmowy.

Pokręciła głową. Wolą usłyszeć, co jej rozmówca ma do powiedzenia w tej sprawie.

— No cóż, z definicji fraktale to nieregularne figury geometryczne, które powstają przez wielokrotne powtórzenie tego samego kształtu. Inaczej mówiąc, są to figury dające się rozbić na coraz mniejsze wersje tej samej formy.

\* J 1,1.

299

Lorna ściągnęła brwi. Pamiętała słowa Johna Greera, który opisywał węzły magnetytu w mózgu zwierzęcia i ich strukturę utworzoną z coraz mniejszych kryształów.

— Widzę, że trochę się pani pogubiła. Pozwoli pani, że spróbuję to wyjaśnić. — Malik postukał w klawiaturę komputera i jeden z ekranów na ścianie rozblysnął. — Wszystkie figury geometryczne da się przedstawić w postaci algorytmu lub równania matematycznego. Oto jeden z najprostszych przykładów.

Na ekranie pojawił się zwykły trójkąt. — Jeśli teraz każemy komputerowi kilkakrotnie ten kształt powielić, otrzymamy coś takiego. — Malik znów postukał w klawiaturę.

Kilka trójkątów ustawionych pod różnymi kątami i w różnych płaszczyznach utworzyło na ekranie przestrzenny wielokąt. Lorna wzruszyła ramionami. Po jej minie było widać, że nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

— Tak, wiem — rzekł Malik. — To nic specjalnego. Ale każmy teraz, żeby komputer powtórzył tę operację sto tysięcy razy, zmniejszając niektóre elementy, inne powiększając i zmieniając kąt nachylenia, ale w zasadzie powielając wciąż ten sam trójkąt. Oto, co wtedy otrzymamy.

300

Lorna wytrzeszczyła oczy.

— To wygląda jak górski pejzaż — sapnęła zdumiona.

— Właśnie. Pejzaż złożony z milionów powtórzeń jednego kształtu. W tym przypadku trójkąta. To właśnie przez powtarzanie w nieskończoność tego samego bazowego algorytmu lub fraktala i tworzenie złożonych kombinacji dzisiejsze komputery generują obrazy na użytek filmów czy gier komputerowych.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z...

Malik nie pozwolił jej dokończyć.

— Bo to zjawisko występuje nie tylko w nadmorskich krajobrazach i łańcuchach górskich. Stykamy się z nim na co dzień w całej przyrodzie. Weźmy na przykład drzewo. Jeśli przyjrzymy się konarom dowolnego drzewa, okaże się, że składają się z niezliczonych powtórzeń tego samego wzoru, charakterystycznego dla danego gatunku.

Na ekranie pojawił się prosty wzór: kreska rozwidlona w kształcie litery „Y”, która następnie zaczęła się powielać, by w końcu osiągnąć kształt rozgałęzionego drzewa.

Y

301

— Ta sama fraktalna zasada obowiązuje w całej przyrodzie. Od budowy galaktyk aż po najmniejszy płatek śniegu, od prądów oceanicznych po chmury na niebie. Występuje wszędzie wokół nas i w nas samych.

— W nas?

— Nasze ciała mają strukturę fraktalną. Spotykamy fraktale w rozroście naczyń krwionośnych i rozmieszczeniu pęcherzyków płucnych, w kształcie naszych nerek, a nawet w rozgałęzieniach dendrytów w mózgu. Ale sprawa nie sprowadza się tylko do wyglądu. Jest dużo bardziej złożona. Gdy sięgnąć głębiej, okazuje się, że nawet funkcjonowanie naszych ciał ma strukturę fraktalną. Udowodniono, że fraktale określają sposób chodzenia, rytm bicia serca, szybkość, z jaką oddychamy. Naukowcy wykorzystują też wiedzę o fraktalach do oceny funkcji mózgowych i szukają struktury fraktalnej w wykresach EEG. I znajdują.

Malik musiał dostrzec zdumienie na jej twarzy, bo się uśmiechnął.

— Tak jest. Niektórzy neurofizjolodzy zaczynają nawet lansować pogląd, że ewolucja inteligencji oparta była na strukturze fraktalnej. Że inteligencja pojawiła się dzięki powielającemu się rozrostowi mniejszych elementów. Innymi słowy, że istnieje coś w rodzaju podstawowego fraktala inteligencji, pierwotnego nasienia, z którego rozwinęła się cała inteligencja. Tak jak to drzewo, które przed chwilą pani pokazałem. Wyobraża pani sobie, co by to mogło znaczyć, gdyby udało nam się okiełznać ten fraktal, nauczyć się nim sterować?

Loma pomyślała o zwierzętach z trawlera i ich niezwyklej inteligencji.

— I do tego zmierzają wasze badania — szepnęła. — Poszukujecie tego fraktala.

— Właśnie tak. I jesteście blisko.

W głosie Malika brzmiała duma.

Dalsze wywody doktora przerwało ciche pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł laborant — ten sam, który wcześniej

302

pobierał Lornie krew. Był przeraźliwie chudy, miał długie ręce i nogi i przypominał patykowatego owada. Łysiejąca czaszka powodowała, że rysy twarzy były jakby przygniecione przez ciężar jego wysokiego czoła.

Na jego widok poczuła odrazę zmieszaną ze strachem.

Czyżby mieli już wyniki?

— O co chodzi, Edwardzie?

— Chciałem poinformować, panie doktorze, że zakończyłem skanowanie próbek pobranych od pacjentki. — Jego małe oczka prześlizgnęły się po niej i wróciły do Malika. — Zarówno krwi, jak i szpiku. Nie znalazłem żadnych zanieczyszczeń.

— Doskonale. A kiedy dostaniemy wynik pomiar poziomu hormonów?

— Za pół godziny.

— Dziękuję.

Laborant skłonił głowę i wycofał się z gabinetu.

Malik splótł dłonie na blacie biurka.

— To dobra wiadomość. Nic nie wskazuje na to, żeby pani jajeczka nie nadawały się do następnej fazy naszego eksperymentu.

Loma wołała się nie zastanawiać, co to może oznaczać, i skupiła uwagę na innym fragmencie wypowiedzi laboranta.

— Jakiego rodzaju zanieczyszczeń szukaliście w mojej krwi?

— Ach, no cóż, z uwagi na pani kontakt z naszymi okazami musieliśmy się upewnić, że nie została pani zainfekowana paskudną odmianą białka występującego w ich krwi. To niestety efekt uboczny zmian, jakie w nich zachodzą. Nie do końca to rozumiemy. Samopowielające się białko produkowane przez ich krew, które dla ludzi jest toksyczne.

— Toksyczne?

— Niestety. Białko dla naszych okazów jest nieszkodliwe, ale po dostaniu się do innych organizmów wywołuje objawy podobne do grypy. Błyskawicznie rozchodzi się po ciele z krwią i pokonuje barierę krew—mózg. Po dotarciu do mózgu wywołuje skrajnie niebezpieczną

nadaktywność neuronów. Po-  
303

czątkowo ten stan podniecenia wywołuje zdumiewające krótkotrwałe wyostrenie zmysłów. Naprawdę niezwykle. Zainfekowany ma nagle dużo lepszy wzrok, powonienie, smak, dotyk. Praktycznie wszystko. Początkowo chcieliśmy nawet wykorzystać to zjawisko do zwiększenia wartości bojowej żołnierzy na polu walki, ale ostatecznie musieliśmy zrezygnować.

— Dlaczego?

Malik wzruszył ramionami.

— Niestety, taka nadaktywność neuronów szybko wypala mózg delikwenta. Nie ma jak temu zapobiec, nie da się tego wyleczyć. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zainfekowania wszyscy umarli.

35

Każde zgrzytnięcie wirników helikoptera dudniło Jackowi w głowie, odbijające się w wodach zatoki jaskrawe słońce raziło go i okulary przeciwsłoneczne niewiele pomagały. Siedział na fotelu obok pilota ze zmrużonymi oczami, w brzuchu mu burczało, czuł mdłości. Normalnie nigdy nie cierpiał na lęk wysokości czy chorobę lokomocyjną, ale tym razem jego żołądek postanowił aktywnie reagować na każdy mch helikoptera w górę i w dół, a nawet na boki. Objął kolana wilgotnymi od potu dłońmi i przełknął dławiącą kluczę w gardle.

— Już prawie jesteśmy — zameldował pilot przez słuchawki. Jack otworzył szerzej oczy i wbił wzrok w widoczną w oddali platformę. Wyglądała jak czamy zardzewiały dinozaur, który próbuje wydobyć się z dołu ze smołą. Lądowisko na jego grzbiecie oznaczone było koncentrycznymi kręgami jak na tarczy strzeleckiej, wokół jak mrówki kręcili się pracownicy Brat Lomy pochylił się na tylnym siedzeniu i wetknął głowę między pilota a Jacka. Chłopak dzielił kabinę pasażerską z Randym i dwoma ludźmi Jacka, Maćkiem Higginsem i Bruce'em Kimem.

Mack posturą istotnie przypominał ciężarówkę, na której cześć nadano mu imię. Był potężnie zbudowany, miał ogoloną na łyso głowę i wysokie czoło kojarzące się z maską pojazdu. Żuł niedopałek zgaszonego cygara i przyglądał się platformie.

305

Jego partnerem był zylasty Amerykanin koreańskiego pochodzenia, któremu strzecha długich czarnych włosów opadała na równie czarne oczy. Dzięki oliwkowej cerze i chłopięcym rysom mógłby być młodszym bratem Bruce'a Lee, któremu zresztą nie ustępował w umiejętnościach walki wręcz.

Jack sam ich wybrał, zostawiając swojego zastępcę Scotta Nestera w Nowym Orleanie, by krył ich na miejscu. Scott miał też informować Jacka o ewentualnych posunięciach Paxtona, ale poza tym byli zdani wyłącznie na siebie.

No, prawie.

— Randy właśnie dostał cynk od kumpli — poinformował Kyle. — Już wyruszyli na południe. Jack kiwnął głową. Słowo „kumple” zapewne odnosiło się do braci Thibodeaux. Pożyczyli od kuzyna statek, który normalnie czarterowano do pływania po Zatoce z miłośnikami wędkarstwa głębinowego. Po przybyciu na platformę pasażerowie helikoptera zamierzali się rozdzielić. Jack i jego ludzie mieli odbyć dalszą drogę hydroplanem, a Randy i Kyle polecieć helikopterem na spotkanie z braćmi Thibodeaux.

Atak na wyspę Eden Utracony miał nastąpić o zmroku i stanowić skoordynowaną akcję z dwóch stron wyspy jednocześnie. Jack przestudiował morską i satelitarną mapę obu wysepek i trzymał je obie zwinięte pod lewym udem. Miał zamiar raz jeszcze im się przyjrzeć podczas lotu na platformę, ale nękający ból głowy i wiercenie w brzuchu skutecznie go do tego zniechęciły.

Tyle że ich plan akcji nie należał do zbyt skomplikowanych: przedostać się na wyspę, odnaleźć Lomę i uciec.

Z mapy satelitarnej wynikało, że główne zabudowania znajdują się po zachodniej stronie wyspy O zmierzchu Jack i jego ludzie mieli przedostać się na wyspę od ciemniejszej, wschodniej strony w nadziei, że wyspa jest tam mniej pilnowana. Półtora kilometra od brzegu mieli zanurkować i uczepiwszy się podwodnych skuterów, popłynąć pod wodą z aparatami tlenowymi i bronią w

nieprzemakalnych workach, dopłynąć do wyspy i kontynuować akcję na lądzie.

306

By odwrócić uwagę od ich lądowania, Randy i jego ekipa mieli wpłynąć do zatoczki od strony willi. Bracia Thibodeaux zabrali na statek cały arsenał, w tym wyrzutnię granatów

0 napędzie rakietowym.

Jack wołał nie pytać, jak bracia zdobyli tego rodzaju broń. Był za mądry, żeby zadawać takie pytania. Rodzina Thibodeaux szczyciła się korzeniami sięgającymi XVIII wieku i przodkami wywodzącymi się od karaibskich piratów, którzy łupili wyspy w tym rejonie. Zdaniem niektórych współczesny klan Thibo-deaux nie do końca wyzbył się zwyczajów swoich przodków.

Dlatego Jackowi było obojętne, skąd bracia wzięli arsenał,

1 tylko cieszył się, że ma ich po swojej stronie. Statek miał wpłynąć do zatoczki pod pozorem awarii. Spod pokładu powinny wydobywać się kłęby czarnego dymu, sugerując pożar silnika. Broń miała być gotowa do użycia w każdej chwili, by w razie potrzeby przyjść z odsieczą ekipie Jacka.

I tylko jedno pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Czy Loma jeszcze żyje?

Wcześniej Jack rzucił się w wir przygotowań, świadomie odsuwając od siebie myśli o jej losie, jednak przymusowa bezczynność podczas lotu zaczęła wypalać mu wnętrze strachem o nią. Od spotkania na trawlerze minęła zaledwie doba, ale Loma zdążyła już na dobre zagnieździć się w jego sercu. Może brało się to z ich wspólnych przeżyć sprzed lat, podejrzewał jednak, że jest w tym coś więcej.

Pamiętał jej błękitne jak morze oczy i blond włosy z końcówkami zbielejącymi od słońca. Pamiętał, jak przygryza dolną wargę, kiedy się nad czymś zastanawia. I jej rzadko pojawiający się uśmiech, który nagle rozjaśnia jej poważną twarz niczym promień słońca przebijający się przez zachmurzone niebo. Te i inne wspomnienia zapalały mu się w głowie jak żarówki, miał jednak także w pamięci obraz z jej poprzedniego życia, jak leży na plecach na końcu ciemnego parkingu, a mroczne sylwetki pochylają się nad nią, głośno rechocząc.

Wtedy ją uratował, ale równocześnie zawiódł.

307

To wspomnienie spowodowało nagły przyptyw gwałtownej złości, która zastąpiła dławiącą go chęć zwymiotowania. Nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Przecież uczestniczył w zaciętych potyczkach i krwawych zasadzkach w Iraku, ale nigdy nie odczuwał takiej dzikiej pierwotnej wściekłości. Był gotów rozszarpać wrogów zębami, wgrzyzać się w ich ciała do kości i rozdzierać na strzępy gołymi rękami.

Byle tylko ją obronić —już niejako chłopak, ale mężczyzna.

Zamyślony aż podskoczył, kiedy płozy śmigłowca dotknęły lądowiska. Nawet nie zauważył, że już siadają. Drzwi się otworzyły i wszyscy po kolei wyskoczyli na platformę.

To znaczy wszyscy poza Jackiem, bo on siedział przez dłuższą chwilę, czekając, aż szalejąca w nim burza krwi się uspokoi. W końcu pchnął drzwi ramieniem i dołączył do reszty.

Nie miał zamiaru udawać przed sobą, że przed chwilą nic się w jego głowie nie wydarzyło, ale nie mógł też pozwolić, by górę wzięły emocje. Ma konkretne zadanie do wykonania. Nie chciał też analizować przyczyn napadu takiej wściekłości ani zastanawiać się nad uczuciami, które do niego doprowadziły.

To nie jest właściwy moment.

Przede wszystkim musi mieć pewność, że Łomie nic nie grozi.

35

Lorna i doktor Malik stali przed jednym z monitorów wiszących na ścianie. Na ekranie obracał się trójwymiarowy obraz mózgu, przywołując Lornie na myśl wykonany w ACRES rezonans magnetyczny mózgu Igora. Tyle się od tamtej pory wydarzyło, że miała uczucie, jakby minęła cała wieczność. Próbowwała skupić się na objaśnieniach Malika, ale nie mogła wyzbyć się przygnębiającego poczucia klęski. Słowa doktora brzmiały pusto i dochodziły z daleka.

— To najdokładniejsze odwzorowanie anomalii mózgowych, jakie udało nam się uzyskać w badanych okazach.



Malik wskazał palcem pięć węzłów na ekranie. Zabarwiono je na jasnoniebiesko, by wyróżniały się z otaczającej szarej tkanki mózgowej. Rozmieszczenie i liczba węzłów były identyczne z wynikami uzyskanymi podczas rezonansu magnetycznego mózgu Igora, tyle że obraz Malika odznaczał się dużo lepszą rozdzielczością. Wyraźnie widoczne były nie tylko węzły, ale także ścieżki kryształów magnetytu łączące je w jedną całość.

Obracający się obraz miał strukturę krystaliczną i kształt analogiczny do płatka śniegu.

— Wie pani, co to są anteny fraktalne? — spytał Malik.

Lorna spróbowała otrząsnąć się z otępienia, ale i tak chwilę potrwało, nim wydusiła szorstkie „nie”.

— Ma pani telefon komórkowy?

309

To dziwne pytanie nieco rozwiało mgłę otulającą jej głowę i pobudziło ciekawość.

— Oczywiście.

— Zatem ma też pani antenę fraktalną. W ciągu minionej dekady naukowcy odkryli, że anteny zbudowane w układzie fraktalnym wykazują zdumiewającą zdolność pracy w o wiele szerszym zakresie częstotliwości i przy znacznie lepszym stosunku sygnału do szumów. To odkrycie pozwoliło producentom zminiaturyzować anteny do mikroskopijnych rozmiarów, przy zachowaniu parametrów anten stukrotnie większych. To zrewolucjonizowało przemysł telefonii komórkowej. Oto, jaką moc kryją w sobie fraktale.

Malik wskazał ekran.

— I właśnie to widzimy. Antenę fraktalną utworzoną z naturalnych kryształów magnetytu w mózgu.

Lorna przyjrzała się strukturze płatka śniegu i przypomniała sobie swoje niezdarne skojarzenie z anteną satelitarną. Pamiętała też dziwną synchronizację przebiegów EEG.

— I dzięki tym antenom fraktalnym zwierzęta mogą się ze sobą łączyć neurologicznie — powiedziała w zadumie.

— Otóż to. Widoczna tu krystalizacja ma zdecydowanie fraktalną strukturę. Cała neuronowa macierz zbudowana jest z powtarzających się podstawowych form krystalicznych.

— Jak ten pejzaż górski z trójkątów.

Malik pokiwał głową.

— Ale to tylko czubek góry — zaznaczył. — Początkowo ten obraz stanowił szczyt naszych możliwości przy zastosowaniu standardowych technik. Umożliwiały osiągnięcie tego poziomu, po czym nawet pod mikroskopem elektronowym widać było tylko krystaliczną strukturę złożoną z setek coraz mniejszych kryształków. Przypominało to trochę te rosyjskie laleczki, które tkwią jedna w drugiej. Ile razy myśleliśmy, że już dotarliśmy do najmniejszego kryształu, ten się otwierał i ukazywał tkwiące w nim jeszcze mniejsze jego odmiany. I tak się to ciągnęło bez końca, wykraczając poza nasze możliwości badawcze.

310

W głosie Malika zabrzmiało zniechęcenie i Lorna przypomniała sobie jego płonący żądzą sukcesu wzrok, kiedy opisywał próby znalezienia podstawowego fraktala będącego pierwotnym nasionkiem całej inteligencji.

— Bez względu na nasze wysiłki pierwotny fraktal wciąż się nam wymykał i robił coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zupełnie się rozplątał w jakiejś tajemniczej dziurze, do której nie mieliśmy nawet ochoty zaglądać.

Lorna przypomniała sobie białego królika, który w Alicji w Krainie Czarów znika w króliczej jamie.

— Wprawdzie nie mogliśmy zajrzeć do tej dziury, ale domyślałem się, co w niej jest.

To na dobre rozbudziło jej ciekawość.

— Co?

— Dziwny świat fizyki kwantowej. Coraz mniejsze fraktale prowadzą w końcu do świata subatomowego. Nawiasem mówiąc, niektórzy fizycy uważają, że znajomość fraktali pomaga wyjaśnić niektóre zawiłości teorii kwantowej. Takie pojęcia jak nielokalność kwantowa czy stany

splątane, jak to, że cząstka subatomowa może być równocześnie w dwóch miejscach, czy jak to możliwe, że światło ma charakter falowy i jednocześnie cząsteczkowy. Kiedy wchodzi się do świata cząstek elementarnych, dzieją się różne dziwne rzeczy, ale we fraktalach może tkwić ich wytłumaczenie.

Loma nie bardzo rozumiała, do czego to wszystko zmierza, i Malik musiał zauważyć jej zniecierpliwienie.

— Pokażę pani coś, czego dowiedziałem się dopiero z naszych badań. Coś praktycznego, a zarazem zdumiewającego. Przeskanowałem jeszcze raz ten sam mózg, ale tym razem nie pod kątem struktury krystalicznej, tylko energii magnetycznej wytwarzanej przez kryształy. Chodziło mi o to, że skoro nie potrafię dostrzec fizycznej postaci kryształów, może uda mi się zmierzyć elektromagnetyczny ślad tych niewidzialnych cząstek.

— Jak w przypadku światła odległych gwiazd — dorzuciła Loma.

311

Malik przyjrzał się jej i na jego twarzy odmalowało się uznanie.

— No proszę, idealne porównanie. Mimo iż nie widzimy odległego słońca czy planety, potrafimy wykryć docierające do nas światło.

— Więc powtórzył pan badanie, poszukując energii zamiast kryształków?

— Tak. I oto, co znalazłem.

Skierował pilota w stronę jednego z ekranów i nacisnął przycisk. Niebieski płatek śniegu nagle rozkwitł, zamieniając się w burzę błękitu wewnątrz czaszki badanego okazu.

Loma aż sapnęła i zakryła ręką usta.

— Jest wszędzie...

Malik uśmiechnął się dumny ze swego odkrycia.

— Każdy węzeł jest jak nasionko fraktalnego drzewa. Kryształy rozrastają się w gałęzie, potem w cieńsze łodyżki i tak dalej, i tak dalej.

Loma pamiętała, jak widziane wcześniej trójwymiarowe fraktalne drzewo rozrosło się z pojedynczego Y. Tak samo zachowywały się kryształki w badanym mózgu, rozrastając się i jednocześnie malejąc, by w końcu stać się niewidocznymi nawet dla najbardziej precyzyjnych przyrządów badawczych. A jednocześnie ich istnienie nadal sygnalizowało promieniowanie elektromagnetyczne emitowane przez niewidoczne kryształki — energię docierającą ze świata subatomowego.

Malik gestem ręki zaprosił ją, by usiadła na krześle przy biurku.

— Tak więc pokazałem pani, jak daleko i głęboko rozgałęziają się korytarze zagadki fraktali i jak jej korzenie sięgają świata kwantów. Ale zastanówmy się teraz nad dmgą stroną medalu: jak daleko na zewnątrz sięgają gałęzie tego fraktalnego drzewa. Jak już pani wie, okazy są w stanie łączyć się i tworzyć wspólną sieć.

Kiwnęła głową, czując, do czego Malik zmierza.

— Uważa pan, że łącząc się, to samo fraktalne drzewo jeszcze bardziej rozgałęzia się na zewnątrz?

— Otóż to. Fraktalne drzewo wyrasta poza granice pojedynczej czaszki, i robiąc to, zyskuje na sile.

312

Lorna pamiętała, jak Igor recytował z pamięci wartość stałej pi.

— Co prowadzi do pytania: dokąd to wszystko zmierza? Jeśli korzenie drzewa mogą się rozrastać prawie w nieskończoność w świecie subatomowym, czy to samo mogą robić gałęzie w świecie zewnętrznym? I jeśli tak, to co z tego wynika? Jaki poziom superinteligencji da się w ten sposób osiągnąć?

Loma wyobraziła sobie, jak korzenie fraktalnego drzewa zagłębiają się w świat energii kwantowej i zaczynają korzystać z tego niewyczerpanego źródła mocy. Wyobraziła sobie także wyrastające na zewnątrz gałęzie tegoż drzewa. Zapewne użyte wcześniej analogie biblijne skłoniły ją do zrobienia jeszcze jednego porównania.

— To niemal jak drzewo poznania dobra i zła. To z Księgi Rodzaju.

Malik prychnął lekceważąco.

— Teraz mówi pani jak Bennett.

Lorna poczuła ciarki na myśl o tym, do czego to wszystko prowadzi. Była pewna, że ma rację, czując lęk przed rodzajem inteligencji, jaka mogłaby się zrodzić z tych eksperymentów. I to ją zmobilizowało.

— Musi pan przestać się w tym grzebać — powiedziała twardo.

Malik westchnął i opadł na fotel wyraźnie zawiedziony.

— Miałem nadzieję, że jako naukowiec wykaże się pani bardziej otwartym umysłem.

Od dalszego ciągu jego tyrady uratowało ją pukanie do drzwi. Do gabinetu wkroczył ten sam laborant, niosąc przed sobą stalową tacę z trzema dużymi strzykawkami.

Na jego widok Malik się rozchmurzył.

— O, Edward. Badania hormonów skończone?

— Tak, panie doktorze. I mam tu gotowy zestaw leków dla pacjentki.

Malik przeniósł spojrzenie na Lornę.

— Wygląda na to, doktor Polk, że będziemy musieli przerwać naszą rozmowę. Ale wrócimy do niej później. Może uda

313

mi się panią przekonać do bardziej racjonalnego spojrzenia niż przez pryzmat Biblii. Ale gdy się jest na wyspie o nazwie Eden, to pewnie niczego innego nie można się spodziewać.

Wiedząc, co ją czeka, Lorna bezwiednie przyłożyła rękę do brzucha. Zza pleców laboranta wyjrzała dobrze znana sylwetka strażnika. Connor musiał dostrzec wyraz buntu na jej twarzy, bo wymownym gestem położył dłoń na kolbie pistoletu. Nawet nie próbuj myśleć o oporze, mówiła jego mina.

— Po serii zastrzyków powinna pani poleżeć co najmniej pół godziny — powiedział Malik. — Obawiam się, że to, co panią czeka, nie będzie zbyt przyjemne. Sztuczna stymulacja jajników do przyspieszonego wytwarzania pęcherzyków może być nieco... — z namysłem dobrał następne słowo — ...wyczerpująca.

Poczuła bolesne ukłucie strachu, jakby ktoś dźgnął ją nożem w brzuch.

— Potem wrócimy do naszej rozmowy. Musi minąć parę godzin, zanim jajeczka będą gotowe do pobrania. W tym czasie pokażę pani, co mamy zamiar z nimi zrobić.

Dał znak ręką, że może odejść, i Łomie nie pozostało nic innego, jak wstać, ale chwilę potrwało, nim krew w jej żyłach zdecydowała się znów krążyć. Pociemniało jej w oczach.

Connor ominął laboranta i niecierpliwie szarpnął ją za rękę.

Idąc przez gabinet, po raz ostatni rzuciła okiem na monitory na ścianie. Obraz mózgu na jednym z nich nie przestawał się obracać, wciąż ukazując szalejącą w czaszce burzę magnetyczną.

Mimo przerażenia czekającym ją zabiegiem, poczuła, że ogarnia ją zimna zawziętość na widok tego obrazu i wszystkiego, co z niego wynika. Bóg wygnał człowieka z Edenu, bo ten złamał zakaz zbliżania się do drzewa poznania.

A jeśli człowiek zasieje i wyhoduje własne drzewo?

Do czego to doprowadzi?

Nie знаła odpowiedzi, ale wiedziała jedno:

Ktoś musi tych ludzi powstrzymać.

45

— Bon Dieu. Nie najlepiej wyglądasz, braciszku.

Jack nawet nie próbował się spierać. Czuł się tak, jakby wlano mu do stawów płynny ołów, powodując, że skóra raz go paliła, raz pokrywała się zimnym potem. Zażył parę tabletek niepowodującego senności lekarstwa na gripę theraflu. Miał nadzieję, że przez następne dwadzieścia cztery godziny utrzyma go to na chodzie.

— Nic mi nie będzie — mruknął, bardziej na użytek własny niż Randy'ego.

Brat stał obok niedużego śmigłowca A-Star, który właśnie grzał silniki. Wirniki wyły na wysokich obrotach i hałas był tak nieznośny, że Jack czuł, jak wrzyna mu się w głowę niczym zardzewiała piła. Śmigłowiec miał przerzucić Randy'ego i Kyle'a na statek braci Thibodeaux, którzy wyruszyli

już w drogę w stronę wyspy Eden Utracony.

Kyle stał kawalek dalej z rękami skrzyżowanymi na piersi i gmerał palcem pod gipsem jak pies drażniący się kością. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyruszą. Wolałby dołączyć do ekipy Jacka i wziąć udział w bezpośredniej akcji ratowania siostry, ale złamany przegub nawet nie pozwalał o tym myśleć. Zresztą Jack i tak by go nie zabrał. Potrzebuje ludzi wyszkolonych, którym może ufać.

Mimo to Kyle sprawiał wrażenie, jakby szykował się do

315

zerwania gipsu i dołączenia do Jacka. Mack Higgins i Bruce Kim zeszli kilka poziomów niżej i dołączyli do ekipy wiertniczej. Pod nimi było już tylko morze i kołyszący się na falach przy podporze hydroplan. Mieli nim dolecieć w pobliże wyspy i zostać zrzućeni w odległości półtora kilometra od brzegu.

— Zapoznałeś się z planem akcji? — spytał Jack.

Brat postukał się palcem w głowę.

— Mais oui. Wszystko mam tu.

Jacka zbytnio to nie zachwyciło. Ostatnie pół godziny spędził w biurze głównego geologa platformy, ślęcząc nad opracowaniem szczegółowego planu akcji. Jej powodzenie w dużej mierze zależało od ścisłego zsynchronizowania działania obu ekip.

Kyle podszedł bliżej, obrzucając Randy'ego pogardliwym spojrzeniem.

— O nic się nie martw. Tu mam wszystko spisane. Podpływamy do wyspy dopiero na twój sygnał.

Jack kiwnął głową. To dobrze, że ktoś z głową do liczb znajdzie się na pokładzie statku braci Thibodeaux. Do Ran-dy'ego i jego kumpli miałyby zaufanie, gdyby chodziło o bójkę w barze, ale przestrzeganie minutowego planu działania wymaga czegoś innego. Cajunowie rzadko używają zegarków.

Randy wzruszył ramionami.

— Obojętne. Będziemy tam, gdzie mamy być.

— Ja już tego dopilnuję — dodał Kyle.

To Randy'ego ubodło.

— Je vais passer une calotte!\* — warknął groźnie.

Nie było wątpliwości, że nie przypadli sobie do gustu. Jack mógł mieć tylko nadzieję, że zapiekła złość, tłąca się od dawna w obu rodzinach, nie rozgorzeje nagle na nowo i nie zagrozi powodzeniu misji.

— Ruszajcie na pokład — powiedział tylko. — Połączę się z wami przez radio, gdy już będziemy w powietrzu.

\* Je vais... (fr.) — w wolnym tłumaczeniu: Bo ci przywalę!

316

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę śmigłowca, starając się zaledwie do siebie nie zbliżyć.

Jack przestał o nich myśleć i ruszył do schodków prowadzących na dolne poziomy. Wolał nie przebywać w zasięgu ryku silników startującego śmigłowca, ale nawet parę pięter niżej narastający łoskot wirników wwiercał się nieznośnie w jego nękaną bólem głowę. W końcu udało mu się uciec przed hukiem, po czym w jego miejsce zaatakował go duszący smród ropy naftowej i smaru bijący od wiertni. Im niżej schodził, tym smród stawał się coraz bardziej nieznośny i w pewnej chwili był nawet gotów przysiąc, że czuje na języku smak smam.

Próbując przewalczyć mdłości, zatrzymał się na podeście, skąd roztaczał się widok na zatokę. Na twarzy poczuł świeży powiew i parę razy głęboko odetchnął, wciągając do płuc zimne powietrze. Z heliportu na górze wystartował mały A-Star i poleciał w głąb zatoki.

Patrząc na kierujący się na południe śmigłowiec, Jack nagle poczuł, że komórka w kieszeni zaczyna wibrować. Co znowu? Wyjął telefon i rzucił okiem na wyświetlacz. Kod kierunkowy wskazywał na Nowy Orlean, ale numer dzwoniącego nic mu nie mówił.

— Halo — rzucił opryskliwie.

W słuchawce odezwał się spokojny, pogodny głos, jakby dzwoniący chciał go zaprosić na

popołudniową herbatkę. Brzmiał znajomo.

— Agent Menard? Cieszę się, że jeszcze pana złapałem.

— Doktor Metoyer?

— Zdaję sobie sprawę że jest pan w biegu, ale sądzę, że uzyskałem informację, która może mieć znaczenie dla pańskiej misji.

Jack wystawił twarz na odświeżającą bryzę znad zatoki.

— Mianowicie?

— Chodzi mi o to, co zrobiono tym zwierzętom. Niestety, późniejsze wydarzenia nie pozwoliły wtedy na dokładniejszą analizę DNA dodatkowego chromosomu.

317

Jack pamiętał, że Lorna wspominała coś o dodatkowym chromosomie. Jej zdaniem to on był przyczyną dziwnego zachowania zwierząt.

— Zainstalowaliśmy się w zoo i przystąpiliśmy z Zoe do analizowania tamtych wyników.

Okazuje się, że ten dodatkowy chromosom wykazuje pewne zdumiewające właściwości. Myślę, że powinien pan o tym wiedzieć.

— Słucham. Tylko proszę się streszczać, bo mam mało czasu.

— Oczywiście, agencie Menard. Od razu przejdę do rzeczy. Nie wiem, na ile jest pan biegły w kwestiach kodu genetycznego, zwłaszcza tak zwanego DNA niekodującego?

Jack westchnął, narażając swoją głowę na kolejną szpilę bólu.

— Biologia nigdy nie była moją mocną stroną.

— Nic nie szkodzi. Mówimy o biologii dla amatorów. Jak pan zapewne wie, DNA to ogromny magazyn informacji genetycznych. Genetyczny kod człowieka liczy trzy miliardy znaków, należy jednak pamiętać, że tylko bardzo niewielka część DNA — konkretnie trzy procent — odgrywa istotną rolę. Pozostałe dziewięćdziesiąt siedem procent to praktycznie genetyczne śmiecie. Coś w rodzaju bagażu, który zebraliśmy i nosimy w sobie od tysiącleci.

— To po co go nosimy?

— Dobrze pytanie. Najnowsze badania dowodzą, że niecałe niekodujące DNA należy uznawać za śmiecie. Badacze zauważyli, że pewne fragmenty śmieciowego DNA w postaci par bazowych odpowiadają dokładnie parom kodu wimsowego.

Jack rzucił okiem na zegarek. Nie bardzo wiedział, do czego naukowiec zmierza.

— Istnieją dwie teorie, dlaczego nosimy w sobie ten stary kod wirusowy. Jedni naukowcy utrzymują, że pełni on funkcję zabezpieczenia przed nowym atakiem wirusowym. Jest czymś w rodzaju pamięci genetycznej, która czeka na moment, kiedy znów będzie potrzebna. Inni twierdzą, że to stary kod wirusowy, który na przestrzeni tysiącleci został wchłonięty w procesie

318

ewolucji przez nasze DNA w postaci bagażu. Sądzę, że obie teorie mogą być prawdziwe. Zwłaszcza że fragmenty kodu wimsowego można też odnaleźć w kodzie DNA całego świata zwierzęcego, od prymitywnego kreta aż po ludzi. To tak jakbyśmy wszyscy nosili w sobie identyczne fragmenty kodu z praźródła i trzymali je dla jakichś przyszłych celów.

Jack usłyszał w tonie Metoyera narastającą nutę podniecenia.

— Do czego pan zmierza, doktorze?

— Tak, oczywiście, niepotrzebnie się rozwodzę. Przebadaliśmy kod genetyczny tego dodatkowego chromosomu i Zoe wpadła na świetny pomysł, żeby porównać jego sekwencję z różnymi zasobami banku danych, w tym z ludzkim genomem. W niecałą godzinę trafiliśmy w dziesiątkę.

— Co to znaczy?

— Mówię o kodzie genetycznym dodatkowego chromosomu. Znaleziliśmy identyczny kod w ludzkim DNA niekodującym, w naszych genetycznych śmieciach. I nie tylko u nas, ale także u większości zwierząt.

— Co?

— Dodatkowy chromosom w badanych okazach pasuje do starych kodów wirusowych zawartych w kodach DNA wszystkich przedstawicieli świata zwierzęcego, łącznie z nami.

— No dobrze, ale co to oznacza?  
— Oznacza to, że zwierzęta, a przynajmniej kręgowce, mogły się już kiedyś zetknąć z tym dodatkowym kodem i że stało się to w którymś momencie naszej ewolucyjnej przeszłości. Uporaliliśmy się z nim i kod stał się fragmentem nieaktywnej części naszego genomu. A teraz znów się z nim spotykamy, tyle że w formie aktywnej.

— Aktywnej?

— Oddam słuchawkę Zoe. Ona to lepiej wyjaśni.

Nim Jack zdążył zaprotestować, w słuchawce zachrobotało i odezwał się nowy głos:

— Cześć, Jack. Przepraszam, że zawracamy ci głowę.

— Jak sobie radzisz, Zoe?

319

— W porządku. Muszę się tylko czymś zajmować, czymś pożytecznym.

Jack usłyszał kryjące się pod słowami łyzy. Przywiodło mu to na myśl Lomę i poczuł w sercu bolesne ukłucie żalu.

— Powiedz, czego się dowiedziałas, Zoe.

Jej głos zabrzmiał pewniej, jakby na moment zapomniała o smutku.

— Przed atakiem na ACRES Paul zajmował się badaniem DNA. Szukał pewnych sekwencji kodu zwanych przez nas markerami genetycznymi. Niemal od początku było jasne, na co się zanoszą. Wygląd markerów był jednoznaczny.

— I czego dowodził?

— Że ten dodatkowy chromosom jest pochodzenia wimsowego.

— Wimsowego? Zaraz, twierdzisz, że ten chromosom jest wimsem?

— Na to wygląda. Większość wimsów atakuje jądro komórki, po czym w jakiś sposób łączy się z DNA żywiciela i je przejmują. To dlatego tak wiele fragmentów naszego kodu śmieciowego ma charakter wirusowy. Tyle że ten wirus nie tylko przejmuje DNA zaatakowanego organizmu, ale staje się swoim własnym chromosomem.

Jack znów poczuł zimny dreszcz. Zaczynał rozumieć, dlaczego Carlton postanowił zadzwonić.

— Podejrzewaliśmy, że ktoś dokonuje genetycznej manipulacji u tych zwierząt — ciągnęła Zoe. — Że pobiera obcy materiał genetyczny i go wszczepia. Na tej samej zasadzie, na jakiej można pobrać gen świecenia od meduzy, wprowadzić do jajeczka myszy i uzyskać świecące myszy. Ale nasze podejrzenie było chyba zbyt pochopne. Wyniki mogą wskazywać, że badane zwierzęta były po prostu poddane działaniu wirusa, zostały nim zarażone i potem przekazały swój kod genetyczny potomstwu, które urodziło się już z tymi dziwnymi zmianami.

Jack już nie miał wątpliwości, dlaczego do niego zadzwoni-

320

niono. Potoczył wzrokiem po pustych wodach zatoki. Nic dziwnego, że porywacze wybrali tak odludne miejsce na swoje eksperymenty.

— Sądycie, że ten wirus jest zakaźny? — zapytał.

— Może. Nie wiemy tego na pewno, ale zwierzęta już trafiły na ścisłą kwarantannę.

Pomyśleliśmy, że powinniście

0 tym wiedzieć, zanim postawisz nogę na tej wyspie. Żebyście mogli się zabezpieczyć.

— Dzięki. Na pewno to zrobimy. — Jack pomyślał o swoich grypowych objawach, ale nie miał teraz czasu się tym zajmować. Miał zadanie do wykonania.

Tupot wojskowych buciorów na stalowych schodkach odwrócił jego uwagę od wód zatoki. Na podest wspiął się Mack Higgins z nieodłącznym niedopałkiem cygara w ustach. Na widok Jacka wytrzeszczył oczy.

— Chwileczkę, Zoe. — Jack opuścił rękę z telefonem

1 spojrzął na Macka. — Co jest?

— Pilot zameldował, że już zatankował.

Jack przyłożył telefon do ucha.

— Masz coś jeszcze, Zoe?

— Tylko jedno. — W słuchawce zapadła długa cisza. Gdy Zoe znów się odezwała, w jej głosie

słysząc było pełną bólu zawziętość. — Znajdź Lome i przywieź ją do domu. I spraw, żeby łajdacy odpowiedzialni za śmierć Paula gorzko tego pożałowali.

— Przymierzam, Zoe. W obu sprawach. — Rozłączył się i opuściwszy rękę, spojrzął na Macka.

— Możemy lecieć?

— Pilot potrzebuje jeszcze dziesięciu minut na procedurę kontrolną i można startować. Ale myślę, że powinieneś wiedzieć. Właśnie przed chwilą skończyłem rozmowę z Jimmym. Paxton się wściekł. Wie, że jesteśmy na samowolce, i traktuje naszą nieobecność jako nieusprawiedliwioną. Jack się skrzywił. Nie była to dobra wiadomość, ale go nie zaskoczyła. Wybryk Jacka może się dla wszystkich skończyć dyscyplinarką, może nawet wyrokiem sądowym.

321

— Jeszcze nie jest za późno, żebyście się z Bruce'em wycofali — powiedział.

Mack uśmiechnął się krzywo, nie wyjmując z ust cygara.

— I co byśmy z tego mieli?

Jack z wdzięcznością klepnął go w ramię i machnął ręką w stronę schodków.

— Jakieś wiadomości od naszego spec'a z FBI? Odebrał jakiś sygnał od doktor Polk?

Twarz Macka spochmumiała.

— Ani jednego piśnięcia, szefie.

Jack zaklął pod nosem. Gdyby tylko miał jakiś dowód, że Loma tam jest i żyje... nie tylko, by udobruchać Paxtona, ale również dla siebie. Gdy schodził na dół, ogarnęły go wątpliwości. A jeśli jej tam nie ma? Albo już nie żyje? Otrząsnął się jednak szybko z myśli, z których nic dobrego nie mogło wynikać.

Na pewno żyje, był o tym przekonany. Choć to oczywiście nie znaczy, że nic jej nie grozi. Również co do tego nie miał wątpliwości i czuł, jak znów narasta w nim strach.

— To jak, startujemy za dziesięć minut? — upewnił się Mack.

Jack pokręcił głową.

— Nie, już teraz.

46

Lorna musiała na chwilę zemdleć, bo jeszcze przed chwilą krztusiła się nad stojącym obok stołu wiadrzem, próbując wypluć dławiącą ją kulę, a teraz ocknęła się, leżąc na plecach na tym samym stole. Ktoś podsunął jej pod nos sole trzeźwiące i ostrą woń amoniaku odczuła jak uderzenie w twarz. Odepchnęła rękę laboranta.

Co oni ze mną wyprawiają?

Środek pobudzający jajniki wstrzyknięto jej dożylnie i mdłości poczuła, jeszcze zanim wyciągnięto jej z żyły ostatnią igłę. Przez parę minut z nimi walczyła, w końcu jednak się poddała. Widać spodziewali się tego, bo przy stole stało naczynie na wymiociny. Trzykrotnie z niego skorzystała, nim szarpiające ją torsje przeszły w suchy charkot.

Gdy sole trzeźwiące przywróciły jej świadomość, podparła się na rękach i spróbowała usiąść. Świat zawirował jej w oczach.

— Na pani miejscu bym poleżał — usłyszała czyjś głos.

Odwróciła głowę i ujrzała zwalistego mężczyznę, którego widziała, przechodząc przez gabinet w willi. Siedział obok łóżka, ubrany wciąż w te same płócienne spodnie i kamizelkę khaki. Bryce Bennett, główny szef operacji. Z bliska wydał jej się jeszcze bardziej niedźwiedziowaty. Jego opalona twarz wyglądała jak obciągnięta gładka, dobrze wyprawiona skóra, niebieskie oczy były zimne jak dwa kawałki lodu.

323

Dał znak laborantowi, że ma wyjść.

— Dziesięć lat temu przeszedłem chemioterapię na raka węzłów chłonnych — powiedział, pochylając się do przodu. — Nabawiłem się go, gdy służyłem na okrętach podwodnych. W czasach, kiedy wojsku kazano jeszcze uczestniczyć w testach z bronią jądrową. Więc wiem, jak się pani teraz czuje. Ale za parę minut stanie pani na nogi. Przynajmniej tak było z innymi kobietami. Loma rozejrzała się, mając świadomość, że jest z nim przez chwilę sama. Ale nie miała szans, by cokolwiek zrobić. Była słaba jak niemowlę z zapaleniem płuc. Czuła jednak, że z każdym

oddechem rozjaśnia jej się w głowie.

— Co pan tu robi? — spytała. Miała na myśli to, dlaczego sam główny szef pofatygował się do sali zabiegowej, ale jej proste pytanie zawierało dużo więcej. Dlaczego jego ludzie jej to robią? Co chce przez to osiągnąć?

Jednak potraktował jej pytanie dosłownie.

— Jestem po rozmowie z doktorem Malikiem. Powiedziała mu pani coś, co mnie zaintrygowało. Pomyślałem, że powinniśmy chwilę porozmawiać, nim przystąpią do dalszego ciągu procedury.

— O czym?

— O Edenie.

Nie bardzo wiedziała, co ma na myśli, więc wołała milczeć.

Bennett westchnął i opadł na oparcie krzesła. Na kieszeni jego kamizelki dostrzegła srebrny krzyżyk, który zalśnił na moment w świetle lamp.

— Zaczniemy od początku. Przystąpiłem do tego projektu badawczego po przeczytaniu opracowania sporządzonego przez grupę doradców naukowych Pentagonu, którzy działają pod kryptonimem JASONS.

Przerwał i uniósł brew w oczekiwaniu na jej reakcję.

Loma zachowała kamienną twarz.

— Dziesięć lat temu JASONS wystąpili z gorącym apelem do władz wojskowych o przeznaczenie większych środków na

324

badania nad, jak to nazwali, modyfikacją ludzkiej wydolności. Byli zaniepokojeni, że nasi wrogowie zaczynają zyskiwać nad nami przewagę. Inne mocarstwa już prowadziły badania nad poprawieniem ludzkiej wydolności metodami farmakologicznymi. Szukano środków, które uczyniłyby żołnierzy sprytniejszymi, silniejszymi i lepiej przystosowanymi do trudów na polu bitwy. Może sobie pani wyobrazić popłoch, jaki wywołało to w kierownictwie Pentagonu.

Bennett zachichotał na samo wspomnienie.

— Doradcy oświadczyli generałom, że Stany Zjednoczone pozostają w tych sprawach daleko w tyle i dla dobra bezpieczeństwa narodowego dali dwie rekomendacje: by znacznie zwiększyć fundusze przeznaczone na tego rodzaju badania i by pilnie śledzić postępy zagranicznych programów badawczych. Może mi pani wierzyć, że w wyniku tego pieniądze popłynęły szerokim strumieniem, i to w różnych kierunkach. Jeden z moich konkurentów pracujących na potrzeby resortu obrony już przystąpił do intensywnych badań nad środkami polepszającymi pamięć i kognitywną wydolność wojska.

Loma zaczynała rozumieć, dokąd to wszystko zmierza. Przypomniała sobie przekroje mózgu w gabinecie Malika, pamiętała też termin, jakiego użył Duncan w nawiązaniu do projektu. Nazwał to systemem biobroni.

— Wyasygnowano też znaczne środki na monitorowanie programów badawczych za granicą. W ramach starań o pozyskiwanie zagranicznych uczonych natknęto się na doktora Malika.

W tym momencie drzwi za plecami Bennetta otworzyły się i do sali wkroczył Malik, a tuż za nim szef ochrony. Duncan był purpurowy na twarzy, co jeszcze bardziej uwydatniało jego blizny.

Widać było, że doszło między nimi do scysji.

— Co się stało? — spytał Bennett, odwracając głowę.

— Jedna z naszych kamer przestała działać — prychnął Duncan.

325

— To może być tylko zwykła usterka techniczna — pospiesznie wtrącił Malik.

— Prędzej któryś z jego stworów się do niej dobrał. Skoro potrafiły unieszkodliwić urządzenie monitoringu, przedostać się tu i zabić jednego z moich ludzi, to potrafią też znaleźć i unieszkodliwić ukrytą kamerę.

— A co z resztą kamer? Co pokazują?

— Nic niezwykłego — odrzekł z naciskiem Malik. — Wszystko wygląda normalnie. Ani śladu agresji. Nadal uważam, że tego rodzaju przypadki to tylko pojedyncze wyskoki, które można



pominać.

— A ja uważam, że powinniśmy się tam wybrać z bronią i zrobić z nimi porządek.

— To by nas cofnęło o wiele lat. — Bennett uniósł rękę. — Duncan, podwój strażę na przesmyku i wyślij na miejsce uzbrojony patrol. Niech sprawdzą, co z tą kamerą. Potem zdecydujemy, co dalej.

Loma przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu. Studia na weterynarii nauczyły ją, że lepiej milczeć i pozwolić drugiej stronie się wygadać, bo można w ten sposób uzyskać dużo więcej informacji.

Ale Duncan o niej nie zapomniał. Obrzucił ją zjadliwym spojrzeniem, jakby to ona była wszystkiemu winna.

— Szefie, mam też wiadomość od naszych komputerowców. Wygląda na to, że ten ośrodek w Nowym Orleanie naprawdę zatrudniał Compu-Safe do robienia zapasowych kopii swoich danych. Niewykluczone, że robili to na jakimś zewnętrznym komputerze. Nadal staramy się ustalić, gdzie ten komputer może się znajdować.

— Starajcie się dalej — burknął Bennett. — Nie możemy dopuścić do utraty naszej technologicznej przewagi.

— Tak jest, szefie. — Duncan odwrócił się, by wyjść.

Loma przyjęła to z ulgą.

Bennett przeniósł wzrok na Malika.

— Doktorze, zjawił się pan we właściwym momencie.

326

Właśnie opowiadałem, od czego zaczął się nasz projekt „Babilon”. Jak pan wyczuł, skąd wieją wiatry, i do nas dołączył.

— Tak. Program moich badań się nie zmienił, tylko teraz mam wystarczające fundusze.

— Nazywamy to sytuacją, w której wszyscy są wygrani — dodał Bennett.

— Istotnie.

— Wie pani, dlaczego nasz program badań nazwaliśmy projektem „Babilon”? — rzekł Bennett, zwracając się do Lomy.

Pokręciła głową.

— Bo został zapoczątkowany na biblijnych terenach Babilonii. Doktor Malik już dwadzieścia lat temu rozpoczął tajne badania w podziemiach bagdadzkiego zoo. Pracował nad stworzeniem biobroni z użyciem pewnego wirusa. Natknął się na niego w małej kurdyjskiej wiosce w górach na granicy z Turcją. Być może słyszała pani o tym, jak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku Saddam kazał zlikwidować kurdyjskie wioski. W ramach tej akcji zbombardowano tę i wiele innych pociskami z gazem musztardowym i sarinem. Zatruto też miejscowe studnie. Wszystko po to, by ukryć to, co tam znaleziono.

— A co znaleziono? — wychrypiała Loma. Słowa z trudem przechodziły jej przez obolałe gardło.

— Wszystkie dzieci urodzone w wiosce w poprzednim roku przyszły na świat dziwnie niedorozwinięte — odrzekł Malik.

Pomyślała o hominidach i domyśliła się, co Malik rozumie pod słowem „niedorozwinięte”.

— Przesądni mieszkańcy uznali, że ktoś rzucił na ich wioskę klątwę i trzymali te dzieci w ukryciu. W przeświadczeniu o klątwie utwierdziło ich też to, że podobne objawy wystąpiły u wioskowych kóz i wielbłądów. W końcu jednak wiadomość o dziwnej chorobie wydostała się na zewnątrz, zwłaszcza że zaczęli zapadać na nią także dorośli. Dostawali napadów dziwnej gorączki powodującej, że cierpieli na nadwrażliwość na światło i dźwięki.

327

Lorna pamiętała słowa Malika o toksycznym białku.

— Wysłano mnie na miejsce, bym przeprowadził badania. Zrobiłem testy DNA i stwierdziłem, że u wszystkich dzieci występuje anomalia w układzie chromosomów.

— Dodatkowy chromosom.

— Tak. Tylko że to nie był własny chromosom, lecz agresor. Wirus, który umieszczał swoje

DNA w jądrze komórki i zaczynał się w nim rozgaszczać.

Łomie w końcu udało się usiąść. Pokój tylko trochę zawirował, mdłości prawie ustąpiły, za to w dole pleców poczuła kłujący ból. Zapewne odzywały się zaatakowane przez leki jajniki.

— Wirus? — powtórzyła.

— Tak, wirus. I z tego, co udało nam się odczytać z jego ewolucyjnej historii, mieliśmy z nim do czynienia już wcześniej.

Na dowód Malik podał argument, że pozostałości po tym kodzie nadal występują w naszym DNA, choć w postaci ukrytego i nieaktywnego śladu w niekodującej części DNA.

— Niewykluczone, że zetknięcie się z tym wirusem w odległej przeszłości powoduje, że w mózgu wszystkich gatunków zwierząt występuje śladowa ilość kryształów magnetytu. Jak okruchy stłuczonego lustra, które pozostały w naszych głowach po spotkaniu z tym wirusem wiele tysięcy lat temu. Tyle że ci mieszkańcy wioski — ciągnął swą opowieść Malik — a także ich zwierzęta domowe, zetknęli się z nim znowu po tym, jak w wiosce wykopano nową studnię, o wiele głębszą niż dotychczasowe. Powodem była trwająca od dziesięciu lat susza. Woda z tej studni spowodowała szybkie zainfekowanie wirusem ludzi i zwierząt.

— I wirus wprowadził własne DNA, rozprzestrzeniając się w ich komórkach. — Loma ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Wydaje się, że wirus atakuje komórki wykazujące największą aktywność. Węzły chłonne, komórki żołądkowo-jeli-towe, szpik kostny. Ale także gamety w jajnikach i jądrach.

— I w ten sposób przekazuje dalej swoje DNA.

328

— Właśnie. Tyle że w komórkach osobników dorosłych pozostawał w stanie uśpienia i uaktywniał się tylko wewnątrz zapłodnionego jaja. W miarę rozwoju zarodka wirus zwiększał aktywność i zmieniał architekturę mózgu pod własne potrzeby. Na wczesnym etapie rozwoju embrionalnego stymulował mózg do tworzenia złożeń magnetytowych, potem rozwijał się w sposób fraktalny równoległe z rozwijającym się mózgiem.

Łomie znów przyszło na myśl rozrastające się na zewnątrz drzewo fraktalne.

— W miarę rozwoju dziecka wirusowe DNA produkuje też białko. Sądzymy, że białko to pełni funkcję neurostymulatora. Jego zadaniem jest pobudzanie aktywności neuronów, które dzięki temu produkują wystarczająco dużo energii, by zasilać i podtrzymywać antenę fraktalną. A jednocześnie to samo białko zabija osobniki, które nie mają odpowiednich warunków neurologicznych, a więc są pozbawione magnetytowej architektury mózgu. To bardzo sprytne, gdy się nad tym głębiej zastanowić.

— Co pan ma na myśli? — spytała Loma.

— Być może ta śmiertelnie groźna cecha daje jednocześnie swoistą ewolucyjną korzyść. Stanowi sposób na pozbywanie się starego pokolenia przez młode.

Na myśl o tym Loma poczuła ciarki.

— W każdym razie mamy pewność co do jeszcze innej funkcji tych białek — dodał Malik. — Pod mikroskopem elektronowym przebadaliśmy resztę łańcucha DNA żywiciela, szczególnie te niekodujące fragmenty, które odpowiadają kodowi genetycznemu wirusa. Fragment ten był napęczniały i podzielony, wskazując na aktywną transkrypcję.

— I co to oznacza? — wtrącił Bennett, ściągając brwi.

Loma знаła odpowiedź i znów poczuła gulę w żołądku, tym razem nie z powodu leków.

— To sugeruje, że fragment starego śmieciowego DNA znów stał się aktywny. Innymi słowy coś, co było śmieciem, przestało nim być — wyjaśnił Malik.

329

— Jak to możliwe? — chciała wiedzieć Lorna.

— Mógłbym się wdać w szczegółowe rozważania o informacyjnym RNA czy odwrotnej transkrypcji, ale powiedzmy tylko tyle, że te białka spowodowały stymulację i rozbudzenie starych fragmentów DNA. Uważam, że takie rozbudzenie starego kodu jest jedną z przyczyn, że u tych osobników następuje genetyczna wrzutka z przeszłości. Uaktywnienie cząstki DNA od

tysiącleci tkwiącej w genomie takiego osobnika uruchamia jednocześnie jakiś mechanizm powrotu do genetycznej przeszłości, budząc ewolucyjne cechy od tysiącleci uwięzione w śmieciowym DNA.

— Czyli coś w rodzaju genetycznego handlu wymiennego — zauważyła Loma.

Malik uniósł brwi, wyraźnie nie rozumiejąc.

— Wims powoduje neurologiczny skok do przodu — wyjaśniła — ale dla zachowania równowagi jednocześnie następuje analogiczny ewolucyjny skok do tyłu.

— Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem — mruknął zdziwiony Malik.

— Hassanie — rzekł Bennett, skłaniając głowę — może istotnie miałeś rację co do doktor Polk. Może dzięki niej uzyskalibyśmy świeże spojrzenie na nasze problemy.

— Też tak uważam.

Obaj odwrócili głowy w jej stronę.

— Jeśli czuje się pani na tyle dobrze, żeby wstać, to chyba czas, żeby poznała pani prawdziwy obraz Edenu. I węża, który nas w nim nęka — powiedział Bennett.

47

Lorna powlokła się za Malikiem do jego gabinetu, choć ugięły się pod nią nogi. Zsuwając się ze stołu, o mało nie upadła na twarz, ale Bennett ją podtrzymał i podał ramię. Skorzystała z niego niechętnie, ale alternatywą było pozwolić zanieść się na miejsce.

Ruch przynajmniej trochę rozjaśnił jej w głowie.

Dochodząc do krzesła stojącego przed biurkiem Malika, poczuła się na tyle pewnie, że puściła ramię Bennetta i usiadła o własnych siłach. Kłujący ból w dole pleców zamienił się w głuche pobołowanie. Opadła z ulgą na krzesło, a Malik wziął pilota i skierował na ścianę z monitorami.

— Mamy tu na żywo obraz wysokiej rozdzielczości z kamery umieszczonej na sąsiedniej wyspie. Rezerwat dla zwierząt łączy z naszą częścią wąski przesmyk, ale jest on przedzielony płotem pod napięciem i przez całą dobę strzeżony przez strażników. Tamta część wyspy stanowi idealne pole doświadczalne, na którym możemy sprawdzać, jak ta nowa inteligencja funkcjonuje w realiach rzeczywistego świata.

Centralny ekran plazmowy ożył, ukazując obraz tak doskonałej jakości, że można by go pomylić z oknem do innego świata, którym zresztą może być. Na ekranie widać było polaną otoczoną starodrzewem, z rozstawionymi na obwodzie prymitywnymi, krytymi liśćmi palmowymi szałasami. Na środku żarzyło się ognisko.

331

W pobliżu ogniska kucwały dwie nagie postacie. Przypominały wzrostem podrośnięte dzieci, ale były prawie całkowicie porośnięte futrem. Jakby czując na sobie oko kamery, osobnik płci męskiej wyprostował się i rozejrzał ostentacyjnie. Nos miał szeroki i rozplaszczony, zapadnięte oczodoły ocieniało wypukłe czoło. Wystająca górna szczęka była jakby tylko z grubsza wyrzeźbiona i plasowała go między małpą a człowiekiem.

Mimo wycieńczenia i odrazy do tutejszych eksperymentów na ten widok Loma zerwała się z krzesła. Bez trudu rozpoznała w osobniku żywego przedstawiciela gatunku, którego inny okaz leżał martwy na stole w sali zabiegowej. Miała przed sobą hominidálną wersję człowieka pierwotnego. Jakby czymś zaniepokojony hominid schylił się i pomógł swojej towarzyszce się podnieść. Piersi miała duże i nabrzmiałe, rękę opierała na wydatnym brzuchu.

— Jest w ciąży — stwierdziła zaskoczona Loma.

— Lada dzień urodzi — rzekł Malik. — Mamy szczęście, że ją widzimy. Zwykle siedzi w ukryciu i wychodzi tylko nocą.

— Nazwałem ją Ewą — dodał Bennett. W jego głosie pobrzmiwało coś w rodzaju ojcowskiej dumy.

Malik wznosił oczy do nieba na znak dezaprobaty dla takiej pychy.

— To pierwszy przypadek poczęcia w warunkach naturalnych. Do tej pory rozmnażanie odbywało się pod naszym nadzorem drogą sztucznego zapłodnienia. Jesteśmy bardzo ciekawi, co się urodzi.

— Ile ma lat? — spytała Loma.

— On osiem, ona siedem.

Na jej twarzy musiało się odmalować zdumienie, bo Malik dodał:

— Nasze okazy bardzo szybko dojrzewają.

Z lasu za parą przy ognisku wyłoniła się duża ciemna postać, czołgając się na szeroko rozstawionych łapach. Ze sterzącym ogonem i uszami położonymi płasko na głowie zwierzę ostrożnie skradało się do niczego niepodważającej pary. Loma

332

rozpoznała w nim szablastozębnego jaguara — takiego samego, jakiego zabili na rozlewisku, tyle że ten był porośnięty futrem czarnym jak heban. Zwierzę wyglądało na młode, ale i tak musiało się składać z co najmniej pięćdziesięciu kilogramów stalowych mięśni. Nie odrywając wzroku od pary przy ognisku, zwierzę nagle skoczyło.

Loma aż cofnęła się z przerażenia.

Osobnik płci męskiej odwrócił się gwałtownie, a wielki kot zarył łapami w ziemię, po czym przekręcił się na grzbiet, wystawił gardło i zaczął się radośnie prężyć. Jego towarzyszka schyliła się i opierając rękę na dole pleców, drugą pieśczośliwie potarła zwińzaka. Na twarzy stanowiącej delikatniejszą wersję oblicza jej towarzysza pojawił się łagodny uśmiech. Jaguar z ukontentowania zamachał ogonem.

Bennett zwrócił się do Lomy.

— Wilk i baranek paść się będą razem...\* — zacytował.

— Wszyscy są tu ze sobą w dobrej komitywie — dodał mniej filozoficznie Malik. —

Mieszkają tu już od roku. Początkowo mieliśmy kilka śmiertelnych wypadków, ale z czasem okazy poznały się i przywykły do siebie. Tworzą teraz coś na kształt komuny, której członków łączy zapewne wspólnota umysłowa. Porozumiewają się na poziomie, który jest dla nas niedostępny.

Loma usłyszała w jego głosie żal — nie dlatego, że sam tego nie doświadcza, ale dlatego, że nie potrafi tego tak do końca zrozumieć i ujarzmić.

Na polanę wkroczyły trzy kolejne hominidy. Jeden trzymał w ręku prymitywną dzidę, dwa niosły niewielkiego wieprzka.

— Na wyspie żyją jelenie i świny — wyjaśnił Bennett. — Specjalnie je tam dowozimy, żeby nasze okazy miały na co polować i co jeść.

— Mają też do dyspozycji dziko rosnące mangrowce i palmy kokosowe, a także naturalne źródło wody pitnej — dodał Malik. — Ale prócz tego i zbudowania im prymitywnych szałasów  
\* Iz 65,25.

333

zostawiliśmy ich własnemu losowi. Chcieliśmy sprawdzić, jak sobie poradzą, jak się dogadają z innymi mieszkańcami, jak wykorzystają swoją niezwykłą inteligencję do rozwiązywania codziennych problemów. Organizujemy cotygodniowe sprawdziany i testy i na ich podstawie oceniamy postępy.

Za trzema myśliwymi z gęstwiny wypadło kilkanaście psów. Wszystkie były chude, miały włochate ogony, szpiczaste uszy i przypominały wilki, tyle że wielkości cocker spanieli. Wpadły na polanę, ale zamiast się po niej beładnie rozbiec, pozostały w dziwnie uporządkowanym szyku. Okrążyły polanę, po czym wszystkie stanęły i przypadły do ziemi jak stado ptaków siadających na gałęzi. Z szałasów wyłoniły się kolejne hominidy, zapewne zwabione hałasami na polanie. Loma szybko je przeliczyła.

Co najmniej dziesięć.

— Pod wieloma względami to miejsce naprawdę przypomina biblijny raj. Wszystkie boże stworzenia, małe i duże, żyją tu w pełnej harmonii — powiedział Bennett.

Jak zwykle słowa Malika zabrzmiały mniej biblijnie.

— Mamy do czynienia z pokazem inteligencji fraktalnej. Sytuacją, kiedy całość to coś więcej niż tylko suma części składowych. Sądzymy, że wytworzyła się tu inteligencja roju pszczelego, kiedy to poszczególni członkowie społeczności tworzą jeden organizm. Może dlatego nie wykształcili umiejętności mowy. Po prostu znają swoje myśli.

— I być może tak kiedyś wyglądał świat — zauważył Bennett. — Zanim wyrzucono nas z raj. Tym razem Malik nie tylko nie odciął się od biblijnej poetyki, ale pokiwał głową.

— Pan Bennett zapewne ma rację. Być może to, co oglądamy, jest źródłem mitologii wcześniejszego ziemskiego raju, przysłowiowego rajskiego ogrodu. Różne wersje tej opowieści występują w kulturach całego świata. Pytanie: dlaczego? Może wynikają z czegoś w rodzaju pamięci rasowej. Tak jak wciąż mamy w mózgu kryształy magnetytu — okruchy pradawnej

334

sieci neuronowej — możemy też zachowywać szczątkową pamięć wcześniejszego raju.

— Może nawet coś więcej niż tylko pamięć — odezwała się Loma, czując, że wbrew sobie daje się porwać oglądanym cudom.

Malik spojrział na nią wyczekująco.

— Od dziesięciu lat — wskazując głową ekran — badacze świata zwierząt i psychologowie próbują rozpracować relacje na linii zwierzę—człowiek. Dziwne i głębokie powinowactwo ludzi i zwierząt. Nikt tak naprawdę nie zna jego przyczyny, ale wiadomo, że to coś więcej niż zwykła sympatia czy chęć przebywania razem. Najnowsze badania wykazały, że człowiek pozytywnie reaguje na obecność zwierząt.

— Co pani rozumie pod słowem „pozytywnie”? — zainteresował się Bennett.

Loma przytoczyła kilka przykładów.

— Właściciele zwierząt mają niższy poziom cholesterolu i są mniej zagrożeni chorobami serca. Zwykle głaskanie kota powoduje natychmiastowe obniżenie ciśnienia. Przyrowadzanie ulubionych zwierząt do szpitali i hospicjów przyspiesza powrót do zdrowia ich właścicieli i wpływa pozytywnie na reakcję immunologiczną. Ale wciąż pozostaje tajemnicą, dlaczego tak się dzieje. — Wyciągnęła rękę w stronę ekranu. — Być może tam tkwi przyczyna. Może to coś więcej niż pozostająca w nas rasowa pamięć raju. Może nasze ciała fizycznie go pamiętają. Może ta pamięć tkwi nie tylko w naszych umysłach, ale także w ciałach.

— To intrygujące stwierdzenie, doktor Polk. I niewykluczone, że ma pani rację. Być może istnieje w nas jakiś słaby związek, szczątkowa vibracja cząstek kryształów magnetytu, które w nas tkwią, i to nas ze sobą zespała. — Malik spojrział na postacie na ekranie i westchnął. — Tylko że to właśnie cielesny wymiar tego jest naszym problemem.

Szybko skojarzyła w głowie poszczególne fragmenty i domyśliła się, o czym doktor mówi.

— Chodzi o genetyczne wrzutki, tak? — spytała, po czym przeniosła wzrok na Bennetta. —

Wspominał pan, że Pentagon

335

zainteresował się polepszeniem ludzkiej wydolności. I że wciąż nie osiągnęliście zamierzonego celu, bo z powodu takich mutacyjnych wrzutek nie możecie posunąć się do przodu.

— Właśnie. — Bennett pokiwał głową.

— To Święty Graal naszych badań — dodał Malik. — Narodziny człowieka bez cofania ewolucyjnego zegara.

— Czy Pentagon wie, że prowadzicie eksperymenty na ludziach?

Bennett wzmszył ramionami.

— Wiedzą, że nie powinni zbyt się tym interesować. Dlatego na trawler trafiły tylko zwierzęta. Chcieliśmy na ich przykładzie zademonstrować postęp w naszych badaniach i skłonić rząd do wyasygnowania dodatkowych funduszy. Jesteśmy już blisko osiągnięcia celu. Wyobraża sobie pani końcowy efekt naszych badań? Żołnierzy, którzy są nie tylko sprytniejsi, ale wykazująmpowe zespolenie niespotykane w żadnej innej armii.

— Niestety, to niejedyne nasze zmartwienie — powiedział Malik, przyglądając się ponuro, jak myśliwi na ekranie wrzucają zabita świnie w żar ogniska. — Wygląda na to, że w naszym raju mamy też węża.

— Nie rozumiem.

— Pokażę pani.

Malik przejechał pilotem po monitorach wokół ekranu plazmowego. Jeden po drugim ożywały, ukazując kolejne obrazy. Na większości widać było okaleczone ciała kobiet i mężczyzn. Niektóre z ofiar były ubrane w białe fartuchy, inni mieli na sobie robocze kombinezony i drelichy khaki. Na jednym z ekranów zamiast statycznego obrazu pojawił się film wideo. Był nakręcony w nocy i

kolory ograniczały się do różnych odcieni szarości, ale widać było, jak krocząca ciemną plażą postać — jeden z hominidów — w pewnym momencie atakuje strażnika palącego papierosa, rzucając mu się do gardła. Atak szokował nieokielznaną brutalnością i nawet gdy strażnik już leżał na piasku, bestia nie przestawała się nad nim pastwić, wyrywając kawałki policzka.

336

— To się zdarzyło wczoraj w nocy — wyjaśnił Bennett.

— Miewają napady hiperagresji — dodał Malik. — Wybuchają bez uprzedzenia i niesprowokowane. Bez żadnego oczywistego powodu. Jednego dnia osobnik jest łagodny jak baranek, a następnego rzuca się na naszego pracownika. To jeden z powodów, dla których umieściliśmy ich kolonię na dmgiej wyspie. Trzymanie ich tutaj stało się zbyt niebezpieczne. Nasz szef ochrony wolałby się wszystkich pozbyć, ale jeszcze tak dużo możemy się dowiedzieć, obserwując je. Tyle że z bezpiecznej odległości.

Loma pomyślała o pokrytej bliznami twarzy Duncana.

— To stąd te blizny na jego twarzy? — spytała.

— Duncana? — Bennett pokręcił głową. — Napadnięto go dużo wcześniej, gdy zaczynaliśmy zbierać okazy. Został bardzo poturbowany. Przez tydzień leżał w śpiączce, potem spędził mnóstwo godzin na stole operacyjnym, bo chirurdzy próbowali przywrócić jego twarzy jaki taki wygląd. Nic dziwnego, że drań tak ich nienawidzi, pomyślała.

— Ale to leży w ich charakterze — ciągnął Bennett. — Uważam, że nasze problemy z agresją tu, w Edenie, biorą się stąd, że okazy są nienaturalnie blisko związane z dzikimi zwierzętami. To sprzeniewierzenie się boskim planom. Takie więzi niszczą w nich resztki człowieczeństwa. Gdyby udało nam się je od tego uwolnić, byłoby dużo lepiej.

— A ja nie mogę temu zaprzeczyć — dodał Malik. — Mają pewne cechy dzikości, których nie potrafimy ujarzmić. Być może wynikają one ze scalenia zwierzęcia i człowieka. Z tego względu następny etap ograniczyliśmy tylko do badań nad ludźmi. Dlatego potrzeba nam dużo świeżego materiału genetycznego.

Nie zabrzmiało to zbyt przyjemnie. Odczuwany przez Lomę ból jajników nie zostawiał wątpliwości, gdzie będą go poszukiwali.

— Ale chętnie poznałobyśmy pani opinię na temat węża w naszym raj — powiedział Malik.

— Dyskutowaliśmy z panem Bennettem o sposobie wykorzystania pani talentów.

Loma uzmysłowiła sobie nagle, że cała rozmowa jest czymś w rodzaju egzaminu, że jest oceniana.

Aby przeżyć, musi ich

337

przekonać o swej przydatności. Jeśli się nie uda, pożegna się z życiem.

— Najlepiej pokażę pani, nad czym obecnie pracujemy — zdecydował Bennett.

Zacząła się druga część jej egzaminu.

Loma spojrzała na główny ekran. Mieszkańcy wioski okrywali piekącą się świnię liśćmi i kamieniami. Siedzący na drzewie pobratymiec Igora dziobem zrywał liście palmowe. Rzut oka na pozbawioną upierzenia papugę boleśnie uświadomił jej straty i rozpaczliwą sytuację, w jakiej się znalazła.

Z lasu musiał dobiec jakiś hałas, bo nagle wszystkie oczy — psów, kotów, ptaków i ludzi — jak na komendę zwróciły się w stronę jego źródła, jakby wszystkie stanowiły jeden organizm. Cała polana zamarła w oczekiwaniu. Wydawało się, że wszyscy patrzą prosto w kamerę.

Loma zdrętwiała.

Malik uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Ten gest jakby wyrwał mieszkańców z odrętwienia, bo wszyscy równocześnie odwrócili głowy i wrócili do swoich zajęć, i tylko Loma jeszcze przez chwilę nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiło na niej identyczne zachowanie mieszkańców wioski.

— Proszę się nie obawiać — uspokoił ją Malik — nie będzie pani miała z nimi do czynienia.

Ich teren to strefa zakazana. Od samego początku żyły w izolacji i przywykły do przebywania tylko w swoim gronie. Są wrogo nastawione do obcych i wejście na ich terytorium byłoby samobójstwem.

Mimo poczucia zagrożenia Loma nie mogła oderwać wzroku od ekranu. Wymogi bezpieczeństwa nie były jej obce. Od lat była związana z nowoorleańskim zoo i dobrze знаła zagrożenia związane z przebywaniem w pobliżu dzikich zwierząt, zwłaszcza drapieżników. Mogła się tylko cieszyć, że ktoś pilnuje dostępu do tej części wyspy.

48

Duncan stał na piaszczystym przesmyku łączącym wysepki. Ssał wiśniowego dropsa, ale nawet słodczy cukierka nie mogła zniwelować goryczy w gardle. Nie lubił narażać swoich ludzi na niepotrzebne ryzyko tylko dlatego, że Malik nie potrafił się przyznać do widocznej gołym okiem porażki.

Kawałek dalej trzech jego komandosów zbliżało się do granicy lasu na dmgiej wyspie. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny szturmowe XM8 z wyrzutniami czterdziestomilimetro-wych granatów. Duncan nie miał zamiam ryzykować.

Nigdy tego nie robił.

Gdy zorganizował system zabezpieczeń oddzielających wyspy, Malik uznał jego pomysły za przejaw paranoi na punkcie bezpieczeństwa. Przesmyk był przegrodzony blisko czteromet-rowym płotem pod napięciem, ciągnące się górą zwoje drutu kolczastego schodziły do samej wody, dno morskie z obu stron było naszpikowane minami żyłkowymi, które poruszone, wybuchały ostrymi jak brzytwa szrapnelami. Kazał też dodatkowo wyposażyc wszystkie zwierzęta w markery i monitorować ich mchy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystko to miało ustrzec ich przed jakimiś niespodziankami, a już na pewno przed zagrożeniem życia.

Duncan widział ciało na plaży. Mięśnie twarzy zostały odarte

339

do kości. Patrząc na zmasakrowane zwłoki, przypomniał sobie atak na siebie, i to go dodatkowo nabuzowało. Musiało się to odmalować na jego twarzy, bo nawet jego ludzie woleli zejść mu z drogi.

To akurat w niczym mu nie przeszkadzało. Wolał, żeby czuli respekt.

Trzech mężczyzn skryło się w lesie. Duncan wsłuchiwał się w ich rozmowy przez radio. Nie musiał w tej akcji uczestniczyć osobiście, ale uznał to za swój obowiązek. Chciał być na miejscu na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Nigdy nie zdarzyło mu się wysłać ludzi w ogień walki, do którego nie odważyłby się wejść. Dlatego jego ludzie go szanowali i byli wobec niego lojalni.

Słuchał ich głosów w słuchawce tkwiącej w uchu. Odzywali się bardzo oszczędnie, ale nawet to go zirytowało. Dotknął mikrofonu na gardle.

— Cicho tam w lesie. Rozmawiajcie na migi. Podnieście alarm tylko, jeśli coś się wydarzy.

Wszyscy trzech potwierdzili, że zrozumieli.

Czekając, nerwowo kręcił się po przesmyku. Minuty się dłużyły i zaczęła go boleć szczęka.

Wreszcie w jego uchu odezwał się głos:

— Panie komendancie, właśnie wchodzą do strefy zakazanej. — Głos należał do dyspozytora, który siedząc w centrali w willi, monitorował obraz z wszystkich kamer na wyspie. — Za chwilę znikną mi z ekranu, ale będę miał odczyt ich markerów na komputerze.

— Zrozumiałem. Informuj na bieżąco.

Duncan nie odrywał wzroku od porośniętego lasem wzgórza na dmgiej wyspie. Podczas budowy systemu ochrony zainstalował na nim dodatkowe zabezpieczenia na wypadek sytuacji awaryjnej. Wysepka została naszpikowana bombami napalmowymi i jednym naciśnięciem przycisku można było utopić ją w morzu ognia i spalić na popiół. Był niedaleki od podjęcia takiej właśnie decyzji.

340

Spalić wszystko w cholerę i mieć to z głowy.

W jego uchu znów zabrzmiał głos dyspozytora.

— Dotarli do drzewa z nieczynną kamerą — zameldował.

Duncan niecierpliwie sięgnął do mikrofonu na gardle i włączył kanał łączności z dmżyną w lesie.

— Meldujcie. Co się tam dzieje? Co znaleźliście?

W odpowiedzi usłyszał ostrożny szept.

— Kamera rozwalona. Wygląda, jakby ktoś rzucił w nią kamieniem. Roztrzaskana na kawałki.

Oczywiście miał rację.

Zwykła usterka techniczna, akurat!

Już on da Malikowi popalić, gdy tylko wróci do willi. Ale na razie ma co innego na głowie. Nie chciał, żeby jego ludzie siedzieli w lesie dłużej niż to konieczne.

— Wymieńcie kamerę — rozkazał. — A potem bierzcie dupy w troki i wracajcie.

— Tak jest!

Nim zdążył się rozłączyć, w słuchawce zabrzmiał głos dyspozytora:

— Panie komendancie, przed chwilą odebrałem sygnał alarmowy z jakiegoś statku. Mówią, że mają pożar silnika.

Duncan przymknął oczy i westchnął ciężko.

Jeszcze tego brakowało, jęknął w duchu.

— Gdzie są? — rzucił do mikrofonu.

— Patrol z plaży melduje, że jakieś pół kilometra od zatoczki. Widać smugę czarnego dymu.

Co mam odpowiedzieć?

Nie podobało mu się to. Lampka alarmowa w głowie kazała to sprawdzić osobiście.

— Na razie nic. Zaraz tam będę.

— Tak jest, panie komendancie.

Duncan popatrzył na mroczny las. Jego ludzie powinni już wracać. Ich powrót na tę stronę ogrodzenia można monitorować z dyspozytorni.

Odwrócił się i mszył po kamiennych schodach w stronę willi. Chciał sam rzucić okiem na ten rzekomo uszkodzony

341

statek. Według prawa morskiego nie mogą mu odmówić schronienia w porcie. Odmowa tylko niepotrzebnie przyciągnie uwagę do ich wyspy.

Ale to jeszcze nie znaczy, że muszą od razu rozwijać dywan powitalny.

Dotknął mikrofonu na gardle.

— Powiedz patrolowi na plaży, żeby nie spuszczała z nich oka, póki tam nie dotrę. I wydaj polecenie baterii na wieżyczce. Niech ich wezmą na cel i trzymają.

W trakcie budowy willi Duncan zarządził, by w pomieszczeniu na najwyższym piętrze zainstalowano na stałe działko M242 Bushmaster, zdolne do prowadzenia ciągłego ognia z szybkością dwustu pocisków na minutę, mogących przebić stalowy pancerz. Może to przesada, ale nie tak znów wielka, zważywszy, że okoliczne wody były terenem działania współczesnych piratów, którzy napadają na wysepki i rabują dobytek ich mieszkańców, mordując lub porywając tych z nich, którzy mieli pecha wejść im w drogę.

Duncan nie miał zamiaru dać się zaskoczyć. Jeśli komuś wpadł do głowy głupi pomysł, już on dopilnuje, żeby gorzko tego pożałował.

49

Jack przemykał ponad rafami pięć metrów pod powierzchnią wody. Z dłońmi na uchwytach podwodnego skutera Mako, kierował się na otaczającą wyspę płyciznę. Ustawił napęd tak, by po dotarciu tam pozostać stopę nad piaszczystym dnem.

Po bokach miał Macka i Bruce'a, którzy podobnie jak on płynęli tuż nad dnem. Wszyscy trzej mieli na sobie maski i czarne neoprenowe kombinezony, każdy ciągnął za sobą hermetyczny ceratowy worek z ubraniem i bronią—karabinami M4 i automatycznymi pistoletami H&K. Jack dodatkowo zabrał remingtona 870.

Ani przez chwilę nie ludził się, że dysponują wystarczającą siłą ognia, by móc przeprowadzić frontalny atak na wyspę. Broni mieli użyć w ostateczności. Powodzenie misji w dużo większym stopniu zależało od przebiegłości i sprytu niż od siły ognia. Dlatego częścią planu była dywersja z użyciem statku braci Thibodeaux. Zgodnie z ustalonym harmonogramem powinni już wysłać sygnał alarmowy, który przyciągnie uwagę ochrony wyspy do zachodniego brzegu i pozwoli gmpie Jacka niepostrzeżenie wylądować. Jack przestudiował zdjęcia satelitarne terenu i na wszelki wypadek postanowił dopłynąć do mniejszej wysepki, uznając, że będzie ona słabiej pilnowana niż południowa wyspa z willą i przystanią.



Taką miał w każdym razie nadzieję.

343

Widząc zbliżające się piaszczyste dno, zmniejszył szybkość i dwadzieścia metrów od brzegu wyłączył napęd. Pozwolił skuterowi łagodnie osiąść, ostrożnie wypłynął na powierzchnię i uniósłszy głowę, przyjrzał się linii brzegowej. Wąski pas piasku oddzielał wodę od lasu złożonego głównie z palm i mangrowców przy brzegu i karaibskich sosen i orzechów dalej w górę zbocza. Zachodzące po dmgiej stronie wyspy słońce sprawiło, że las pełen był tajemniczycch cieni.

Przez dłuższą chwilę Jack badał wzrokiem gęstwinę, wypatrując jakiegoś mchu.

Wszędzie panował martwy spokój.

Mack i Bruce też wystawili głowy nad powierzchnię wody i podpłynęli bliżej. Jack zsunął z ramion butle z tlenem, rozpiął pas balastowy i zdjął płetwy. Wziął swój worek, dał znak pozostałym, by zrobili to samo, i wstrzymawszy oddech, zanurkował. Machając nogami, płynął pod wodą do wyspy tak długo, na jak długo starczyło mu powietrza. Czując, że szoruje brzuchem po piaszczystym dnie, zerwał się na nogi, wypadł na plażę, siedmioma susami pokonał wąski pas piachu i skrył się między drzewami. Chwilę po nim to samo zrobił Bruce, który wyskoczył z wody bez jednego pluśnięcia, przemknął po piachu, prawie nie zostawiając śladów, przypadł do ziemi na prawo od Jacka i bezszelestnie wtopił się w mrok. W przeciwieństwie do niego Mack wypadł na plażę z impetem wynurzającej się amfibii, przebiegł nisko skulony przez pasmo piachu i skrył się w zaroślach po lewej.

Wszyscy trzej zamarli w bezruchu, przyglądając się w milczeniu, jak fale zmywają z piachu ich ślady.

Brak mchu spowodował, że Jack poczuł dreszcze i głowa znów zaczęła mu pękać z bólu. Nozdrza wypełniła woń gnijących liści, mokrego piachu i korzenny zapach jakiegoś kwiatu, przekrwione oczy zaczęły piec. Raził je nawet leśny półmrok. Mimo to wszystkimi zmysłami starał się wyczuć, czy ich wyjście z wody zostało przez kogoś zauważone.

Nikt nie podniósł alarmu, nie słychać było żadnych krzyków.

Uspokojony dał znak pozostałym, by przygotowali się do

344

drogi. Wszyscy trzej ściągnęli kombinezony i ubrali się w zieleno-czarną kamuflażę, z worków wyjęli broń i sprzęt radiowy.

Jack uniósł rękę i machnął nią w stronę przesmyku łączącego wysepki, który kończył się blisko willi. Wykorzystując naturalne kryjówki, powinni dotrzeć niezauważeni niemal do samego wejścia. Potem będzie musiał zasięgnąć języka. Zamierzał złapać któregoś ze strażników i pod groźbą śmierci wydobyć z niego potrzebne informacje. I jeśli pojmany nie będzie chciał pójść na współpracę, bez skrupułów spełni swoją groźbę. Nie ma czasu na subtelnosci. Musi się dowiedzieć, czy Loma jest na wyspie, a jeśli tak, to gdzie ją trzymają.

Znów poczuł narastającą zawziętość. Wbił wzrok w ciągnący się przed nim gąszcz i wkroczył w leśny mrok. Jego dwaj towarzysze bez słowa rozeszli się i mszyli za nim.

Wszystko jedno, gdzie ją trzymają, musi ją odnaleźć.

Loma zatrzymała się przed drzwiami z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Malik przeciągnął kartę przez czytnik, Bennett ustawił się za Lomą. Towarzyszył im ten sam co zawsze mdowłosy Connor, z twarzą jak zwykle wykrzywioną w ponurym grymasie.

Ustawił się pod drzwiami, zamek odskoczył i wszyscy troje weszli do pustego pokoiku. Na przeciwległej ścianie znajdowały się następne drzwi, których nie dało się otworzyć bez zamknięcia pierwszych.

Typowa śluza ochronna.

— To, co pani za chwilę zobaczy — zwrócił się Malik do Lorny — pozornie może się pani wydać bezduszne, ale to konieczne.

— Dla zapewnienia ich czystości — dodał Bennett.

— Lub inaczej mówiąc, wyeliminowania wpływu zewnętrznych zmiennych. — Malik lekko wzruszył ramionami. — Musimy mieć pewność, że styczność z umysłami zwierząt nie powoduje stanów psychotycznych obserwowanych w pierw-

szym pokoleniu. Dlatego chcę pani zademonstrować przedstawicieli drugiego pokolenia. Obawiając się, że w środku czekają na nią kolejne okropień-stwa, Loma poczuła nagły strach przed przekroczeniem tego progu. Jednak po otwarciu drzwi ze zdumieniem usłyszała dochodzące z wewnątrz dziecięce śmiechy, którym towarzyszyło klaskanie małych rączek i dźwięki muzyki. Rozpoznała sygnaturkę z Ulicy Sezamkowej.

Niestosowność tych pogodnych dźwięków w tym przybytku bólu i cierpienia była tak rażąca, że Loma podświadomie zacisnęła zęby. Odczuwany dotąd strach zaczynał zamieniać się w przerażenie.

— Proszę za mną — rzucił Malik i wszedł pierwszy.

Loma nie miała innego wyjścia, jak podążyć za nim. Ostatni wszedł Bennett.

W tonie Malika pojawiło się lekkie napięcie, może nawet zmieszanie.

— Są wprawdzie zamknięte, ale traktujemy je bardzo dobrze — zapewnił szybko.

Loma weszła do pomieszczenia przypominającego zwyczajny pokój dziennych zabaw w przedszkolu. Całą jedną ścianę zajmowała szkolna tablica, na podłodze leżały plastikowe pufy w tęczy kolorach. Do korkowej tablicy na przeciwległej ścianie przypięte były rysunki, na ekranie stojącego w rogu telewizora kudłaty stworek rozmawiał z Wielkim Ptakiem.

Uwagę Lomy przyciągnęły jednak dzieci. Kilkadziesiąt siedzących na pufach i leżących na podłodze dzieci wpatrywało się w ekran telewizora. Wszystkie były w podobnym wieku i podobnego wzrostu. Żadne nie sięgało jej wyżej pasa, choć nie sprawiały wrażenia przedszkolnych maluchów. Rozwinięte rysy twarzy świadczyły, że są starsze, niż wskazuje na to wzrost, a meszek na ich twarzach i kończynach sugerował pokrewieństwo z mieszkańcami dmגיעj wyspy. W odróżnieniu od tamtych nie były jednak nagie i wszystkie miały na sobie jednakowe niebieskie kombinezony.

— Ile one mają lat? — szepnęła Loma zdławionym głosem.

— Od szesnastu do dwudziestu czterech miesięcy — odrzekł Malik.

Weszła głębiej i jedno z dzieci zwróciło ku niej twarz. Niemal natychmiast wszystkie pozostałe zrobiły to samo i Loma przypomniała sobie widzianą na ekranie synchronizację zachowań. Były jak stado ptaków zrywających się do lotu lub ławica ryb wykonujących nagle zwroty.

Pamiętała termin użyty przez Malika: „inteligencja roju pszczelego”.

Czy to właśnie ten rodzaj inteligencji powoduje takie zachowanie? Wiedziała, że stadność jest zjawiskiem nie do końca zbadanym i niektórzy naukowcy twierdzą, że w stadach ptaków czy ławicach ryb wysyłane są sygnały elektromagnetyczne zapewniające tak idealną jedność zachowań. Ostatnio popularność zyskiwała jednak najnowsza teoria, według której członkowie stad wysyłają mikro sygnały, na które sąsiedzi reagują w z góry zaprogramowany sposób.

Obserwując zachowanie dzieci, Loma pomyślała, że prawda może leżeć pośrodku i stanowić wypadkową obu tych teorii.

Po chwili głowy dzieci odwróciły się do telewizora, z którego popłynęła nowa piosenka.

— Są czyste i niewinne — powiedział Bennett. — Przebywają wyłącznie w swoim gronie. Są odizolowane od wszelkiego zewnętrznego wpływu.

Malik pokiwał głową.

— Monitorujemy ich IQ przy użyciu testów niewerbalnych i sprawdzamy, czy pojawiają się u nich ślady agresji. Jak dotąd ich poziom IQ rośnie z tygodnia na tydzień i nie notujemy żadnych skłonności do agresji. Choć może jest jeszcze za wcześnie. U tamtych przejawy agresji pojawiały się dopiero w wieku dorastania. Ale jesteśmy dobrej myśli.

— Jakie macie wobec nich plany? — spytała Loma, drętwiejąc na myśl o tym, co może usłyszeć w odpowiedzi.

— Gdy dojrzeją, za jakieś pół roku, zaczniemy pobierać

jajeczka od okazów płci żeńskiej. Będą się już wtedy zbliżały do dojrzałości płciowej.

Myśl o gwałtach, jakie czekają te maleństwa, poraziła ją.

— Spróbujemy usunąć aktywne fragmenty śmieciowego DNA. To chyba one odpowiadają za genetyczne wrzutki, więc mamy nadzieję, że w następnym pokoleniu nie wystąpią. — Malik zatarł rękę, jakby nie mógł się już doczekać. — Jesteśmy blisko przełomu, który może odmienić świat.

— I dlatego może się nam pani przydać — powiedział Bennett, kiwając poważnie głową.

— Pani doświadczenie w dziedzinie hodowli dzikich zwierząt i pracy z materiałem genetycznym idealnie pasuje do naszych potrzeb na finalnym etapie badań — potwierdził Malik. Podtekst ich słów był oczywisty: składają jej ofertę nie do odrzucenia, jeśli chce przeżyć. Ale jak może ją przyjąć? Przecież im nie chodzi o zwierzęta zagrożone wyginięciem. W ogóle nie chodzi im o zwierzęta.

Jedno z dzieci — drobniotka dziewczynka — wstała z pufa i uniosła rączki w uniwersalnym dziecięcym geście. Loma schyliła się i wzięła ją rękę. Dziecko było cięższe, niż się spodziewała, i miało masywniejszą budowę, ale jak typowy maluch włożyło kciuk do buzi i zaczęło ssać. Po czym oparło główkę na ramieniu Lomy, nie odrywając oczu od lekcji alfabetu na ekranie.

...i prowadzi je do was literka W...

Obejmując ją, Loma czuła, jak mała się rozluźnia i z każdym oddechem lekkie drżenie jej małego ciała ustępuje. Pomyślała, że dzieci cierpią na brak ciepła i dotyku innej osoby, i to podsunęło jej następne pytanie.

— A co się stało z matką tego dziecka? — spytała Malika. — Z wszystkimi ich rodzicami?

— Widziała ich pani. Mieszkają na tamtej wyspie. Kiedy ją zasiedlaliśmy, odłączyliśmy młode i przenieśliśmy tutaj. Budując ten żłobek, umieściliśmy w ścianach ekranującą siatkę z drutu miedzianego. Dzięki temu pole sieci neuronowej jest ograniczone tylko do tych paru pomieszczeń i dzieci są wolne

348

od zewnętrznej kontaminacji w okresie, gdy ich umysły są jeszcze na nią podatne.

Lorna przypomniała sobie nagrany na wideo atak jednego z hominidów na strażnika. Malik sam wtedy przyznał, że ich „okazy” nie są bezmyślnymi zwierzętami. Wprawdzie nie posiadały umiejętności mowy, ale są niewątpliwie inteligentne i komunikują się między sobą w sposób, którego nie potrafimy pojąć.

Zaczynała rozumieć powody ich ataków i napadów agresji.

Jeden z nich właśnie trzymała w ramionach.

Instynkt macierzyński u większości zwierząt jest bardzo silny, a życie w gromadzie jeszcze bardziej go rozbudza. Utratę każdego dziecka przeżywa cała społeczność tak silnie, że może to ją doprowadzić do napadów szaleństwa. W połączeniu z podwyższoną i rosnącą z tygodnia na tydzień inteligencją tych stworzeń zagrożenie ze strony mieszkańców kolonii może tylko narastać.

Nic dziwnego, że na wyspie zastosowano tak drakońskie środki bezpieczeństwa.

Niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto będzie chciał się przez nie przedrzeć.

Pięć minut po wyjściu na plażę Jack zagłębił się ze swoją ekipą w sosnowym lasku. Wspinali się po zboczach wzgórza, trzymając się linii brzegowej i okrążając wyspę ku lądowemu przesmykowi. Jack przez cały czas starał się kontrolować ich pozycję na podstawie położenia słońca oraz kierunku i długości rzucanych przez niego cieni.

Mimo to chętnie rozejrzały się po terenie.

Dostrzegł wyrastającą ze zbocza wapienną skałkę i uznał, że jest odpowiednia. Zatrzymał się i uniosł rękę z dłonią zaciśniętą w pięść.

Mack i Bruce bezszelestnie odeszli na bok i ustawili się w cieniu z karabinami gotowymi do strzału. Jack wspiął się na skałkę, której szczyt zalany był jeszcze słońcem. Z tej

349

wysokości mógł po raz pierwszy rozejrzeć się po całym terenie, aż po zatokę po zachodniej stronie dmgiej wyspy. Daleko na morzu widać było białą kropkę, za którą ciągnął się warkocz ciemnego dymu. Pozostawało mieć nadzieję, że Randy i bracia Thibodeaux zaopatrzyli się w wystarczająco dużo kanistrów z kopciem, by wystarczyło im do końca akcji.

Jack przeniósł wzrok na teren rozciągający się u jego stóp. Widział wyraźnie piaszczysty przesmyk

łączący tę wysepkę z sąsiednią i zaniepokoiły go tylko metaliczne refleksy słońca w jego połowie. Wyglądało to, jakby przesmyk przedzielała stalowa barykada. Tej przeszkody nie było na żadnej z jego map satelitarnych, ale był przygotowany na to, że zdjęcia nie są najnowsze, a ich dokładność pozostawia wiele do życzenia.

Zasepił się na myśl o dodatkowej przeszkodzie, ale wiedział, że nie ma wyjścia i będzie musiał się z nią zmierzyć. Sam fakt jej istnienia mocno go jednak zaniepokoił.

Bo po co komu barykada między dwiema wysepkami?

Lekko zde gustowany przesunął się na krawędź skałki, żeby zeskoczyć na dół, ale znieruchomiał na dźwięk głośnych wystrzałów z karabinu. Podniósł głowę i zobaczył, jak z drzew w połowie odległości od przesmyku zrywa się stadko gołębi.

Przykucnął w przekonaniu, że posypie się na niego lawina liści. Był pewny, że został zauważony i strzały są wymierzone w niego. Jednak kolejnemu wystrzałowi towarzyszył rozpaczliwy okrzyk bólu, który rozszedł się echem po wyspie.

Krzyk trwał krótko i gdy raptownie ucichł, Jack nie miał wątpliwości dlaczego. Zapadła cisza, jakby cały las wstrzymał oddech.

Zsunął się ze skałki i ukrył w cieniu, starając się zachować jak najciszej. Pomyślał o barykadzie przegradzającej przesmyk i jego serce ścisnęło uczucie bolesnej pewności. Poza nimi trzema na maleńkiej wysepce przebywa coś jeszcze.

Nie miał pojęcia co, ale wiedział jedno: znaleźli się po niewłaściwej stronie barykady.

50

Duncan oparł się pięściami o łukowaty pulpit w dyspozytorni.

Stację monitorowania, którą umieszczono w bunkrze na zboczu wzgórza, z willą i z podziemnym laboratorium łączyło przejście. Znajdujące się za jego plecami okna z kuloodpornymi szybami zapewniały panoramiczny widok na całą zatokę, i płynący w ich stronę statek z ciągnącą się za nim smugą czarnego dymu był doskonale widoczny. Ale to go specjalnie nie martwiło. Wycelowane w niego działa na szczycie willi stanowiły wystarczające zabezpieczenie.

Bardziej niepokoił go wygasły ekran monitora.

Wysłuchując się w szum w słuchawce, starał się wyłowić odgłosy świadczące o tym, że jego ludzie wciąż tam są. Usłyszany przez radio przeraźliwy krzyk bólu wciąż dźwięczał mu w uszach. Nie był nawet pewny, z ilu gardeł się wydobył.

Czy któryś z nich jeszcze żyje?

— Odtwórz to jeszcze raz — polecił.

Siedzący przy pulpicie technik wcisnął guzik i ekran ożył, ukazując najpierw bezładne rozbłyski i zaraz potem wyraźny obraz źródła na zalesionym zboczu. Kamera 4A w pobliżu jedyne źródła słodkiej wody była jedną z dwunastu, które rozmieszczono w newralgicznych punktach wyspy, by obserwować życie codzienne jej mieszkańców.

Ludziom Duncana udało się podłączyć nową kamerę i widać

351

było, jak obraz skacze w trakcie mocowania jej do drzewa. W pewnej chwili w polu widzenia ukazała się nawet dłoń jednego z komandosów, który machając, sprawdzał działanie kamery.

Potem dłoń nagle znikła i widać było, jak któryś z komandosów przebiega w polu widzenia kamery, trzymając karabin przyłożony do ramienia i przyciskając kolbę do policzka. Wprawdzie kamera nie miała mikrofonu, ale widać było, jak karabin podskakuje i dymi, jakby z niego strzelano. A potem mężczyzna wysunął się z kadru.

Chwilę potem obraz drgnął i znikł.

Duncan wyprostował się i zaczerpnął powietrza. Niepokoił go nie tylko los jego ludzi. Pozostałe jedenaście kamer rozmieszczonych w różnych punktach wyspy — przy prymitywnej latrynie, na skalnej półce, w płytkiej pieczarce, trzy na terenie obozowiska — pracowało normalnie, przekazując obrazy z wyspy. Wszędzie panował spokój i tylko jedno było zastanawiające: nigdzie nie było ani śladu mieszkańców. Nagłe zniknięcie wszystkich z pola widzenia kamer mogło znaczyć tylko jedno.

— Wiedzą o istnieniu kamer — mruknął do siebie.

Nie tej jednej, tylko wszystkich dwunastu.

To go jeszcze bardziej zaniepokoiło.

Bo skoro tak, dlaczego zniszczyli tylko jedną?

Odpowiedź wydawała się banalnie prosta: robiąc to, zastawili pułapkę, żeby zwabić w to miejsce jego ludzi. Tylko po co? Żeby się na nich wyżywać? Chyba nie. Ich działanie było zbyt przemyślane, za dobrze zaplanowane. Przywołał w myślach widok strzelającego karabinu. W jego głowie zaczynało rodzić się zupełnie nowe podejrzenie, stopniowo przeradzając się w pewność. W zniszczeniu kamery nie chodziło o ludzi, tylko o ich broń.

Duncan podszedł bliżej do monitora ukazującego zarys całej wyspy. Na ekranie widać było czerwone kropki, z których każda odpowiadała markerowi jednego z czternastu małpoludów

352 i dwudziestu trzech innych okazów, jednak w chwili ataku żadna nawet nie zbliżyła się do wodopoju. Kilkanaście kropek tkwiło nieruchomo w jednym miejscu, kilka innych przebywało w szalasach, dwie w pieczarze, reszta w dżungli.

Duncan wyciągnął palec i przeliczył nieruchome kropki.

...dwanaście, trzynaście, czternaście.

Tyle, ile małpoludów. To nie może być przypadek. To oznacza tylko jedno.

— Pozbyli się markerów — powiedział na głos.

— Panie komendancie! — wykrzyknął dyspozytor, wskazując jeden z monitorów. — Niech pan popatrzy tu!

Duncan spojrział na ekran.

Kamera ukazywała polanę w głębi dżungli i Duncan początkowo nie dostrzegł niczego niezwykłego. Dopiero po chwili jego wzrok zarejestrował ruch na skraju kadru. W leśnym gąszczu coś się pomszało.

Dwa, może trzy cienie.

Wyteżył wzrok.

Czy to małpoludy?

A potem jedna z postaci wyłoniła się spomiędzy drzew i stanęła w pełnym świetle. Miała na sobie kamuflażowe spodnie i kurtkę, a w rękach karabin szturmowy. W pierwszej chwili pomyślał, że to może jednemu z jego ludzi udało się ująć z życiem, zaraz się jednak zreflektował. Zna wszystkich trzech, i to nie żaden z nich. Na wyspie jest ktoś jeszcze.

Zastanowił się nad możliwym rozwiązaniem zagadki. Od czasu zamieszek na Haiti bandy grasujące w tym rejonie zachowują się coraz bardziej zuchwale. Czy to może członkowie jednej z nich?

Tajemnicza postać na ekranie znów zniknęła w gęstwinie.

— Co mam w tej sprawie zrobić? — spytał dyspozytor.

Duncan przeniósł wzrok na monitor komputera. Beładny ruch czerwonych kropek na moment zamarł, a potem jednocześnie wszystkie mszyły w stronę intruzów, jakby zaciskały wokół nich pętlę.

353

Usta Duncana rozciągnęły się w złośliwym grymasie. Durnie wybrali sobie nie tę wyspę, co trzeba.

— Panie komendancie?

— Monitoruj dalej. Problem za chwilę sam się rozwiąże. Tyle że to nie załatwi wszystkiego.

No bo jak, u diabła,

członkom tej bandy udało się w ogóle wyjść na brzeg? Duncan odwrócił się i przez panoramiczne okno spojrział na morze. Dymiący statek był coraz bliżej. Tam musi tkwić odpowiedź.

Znał opowieści o ptakach, które udając, że mają złamane skrzydło, odciągają drapieżnika od gniazda. Coś podobnego dzieje się tutaj. Statek symuluje awarię, by odwrócić ich uwagę i osłabić czujność.

Poczuł wzbierającą wściekłość. Pora rozdeptać to fałszywe ptaszysko.

— Połącz się z celowniczym na górze — rozkazał, nie odrywając wzroku od statku. — Niech otworzy ogień do tej łajby.

51

Jack wyczuł ich obecność, zanim je zobaczył.

Uniół rękę zaciśniętą w pięść, powstrzymując towarzyszy. Przedzierając się od paru minut przez las, zdążył wtopić się w otoczenie: w stłumiony szum nadmorskiej bryzy w sosnowym igliwiu, słonawy zapach morskiej wody, szachownice światłocieni wśród zarośli. A potem nagle usłyszał coś nowego: ciche trzaski w otaczających ich krzakach, jakby cały las się palił. Po chwili podmuch wiatm przyniósł wyraźnie piżmowy zapach, a z drzewa po lewej poderwało się spłoszone stadko jaskółek.

Coś się do nich zbliża.

Jack przykucnął i uniół remingtona. W takich warunkach wołał posługiwać się śrutówką. W leśnej gęstwinie duży rozrzut śmту był skuteczniejszy od precyzji pocisku karabinowego.

Mack i Bruce zajęli pozycje po bokach, ustawili się plecami do siebie i unieśli broń.

Jack wszedł w mroczny gąszcz i szmery raptownie ucichły, jakby ktoś nacisnął wyłącznik.

Znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Byłby gotów przypisać trzaski swojej rozgorączkowanej wyobraźni, gdyby nie to, że wiatr wciąż niósł wyraźny zapach piżma.

Jack poczuł dreszcz. Miał wrażenie, jakby patrzyło na niego wiele par oczu, obserwując go równie uważnie, jak on leśną gęstwinę. Stał, wytężając wszystkie zmysły, gdy nagle poczuł

355

w głowie ukłucie bólu i pole widzenia raptownie się zawężyło. W uszach zaczęło szumieć, jakby jego mózg próbował dostroić się do sygnału.

Z prawej rozległ się głośny trzask łamanych gałęzi i Jack instynktownie podniósł głowę. W powietrzu śmignęło coś masywnego i poszybowało prosto na nich. Wszyscy trzej odskoczyli na boki, i to coś upadło na ziemię między nimi.

Na wszystkie strony rozprysnęła się krew.

Jack wpatrywał się oniemiały ze zdumienia i z odrazy.

Na ziemi u ich stóp leżały pozbawione głowy zwłoki mężczyzny. Tmpowi brakowało też rąk wyrwanych z barków, pozostał tylko korpus i dolne kończyny. Z ran nadal sączyła się krew.

Co, u diabła...

Korpus był ubrany w czarno-beżowy mundur kamuflażo-wy — taki sam, jakich używali napastnicy w ACRES. Jack przeniósł wzrok na ciemny las. Panowała tak martwa cisza, że słyhać było fale omywające piaszczystą plażę w oddali. Szum w jego uszach przeszedł w ciche bzyczenie, ale gdy spróbował wytężyć zmysły, dźwięk od razu przybrał na sile.

— Idą tu — rzucił do kolegów.

Loma nie wypuszczała z ramion dziewczynki, a ta, wtulona, nie odrywała wzroku od Ulicy Sezamkowej.

— Więc myśli pani, że wczorajszy atak był próbą dotarcia do tych małych? — spytał Bennett.

Loma wzruszyła ramionami.

— A czegoż innego mieliby tu szukać? Mówił pan, że mają tam co jeść, pić i gdzie się skryć.

Więc po co mieliby wyruszać w nocy i napadać strażnika na plaży?

— Możliwe, że ma pani rację. — Malik kiwnął głową. — Ale to nie tłumaczy napadów agresji, jakie zdarzały się przed przeniesieniem tu młodych. To nie może być tylko kwestia potomstwa.

356

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią z takim napięciem, jakby od jej słów zależało rozwiązanie ich problemu. Czują, że jeśli jej odpowiedź ich nie zadowoli, jeśli ich zdaniem okaże się nieprzydatna, jej kariera na wyspie szybko dobiegnie końca.

— Co do tych napadów agresji... — zaczęła. — Mówił pan, że nie były niczym sprowokowane.

— Bo tak było — potwierdził Malik. — W zeszłym roku jeden z dorosłych okazów podczas rutynowego testu IQ zerwał się nagle i poturbował technika prowadzącego badanie. Okaz został oczywiście uśmiercony w ramach pozbywania się wicherzycieli.

— I nic tego ataku nie sprowokowało?

— Nic, o czym byśmy wiedzieli.

— A inne zabiegi dokonywane w innych pracowniach? Szczególnie te bolesne.

Malik w zadumie potarł podbródek.

— Cały czas prowadzimy badania. Ale nie bardzo rozumiem, do czego pani zmierza.

Loma miała na myśli dziwne stadne zachowanie, jakie zaobserwowała wcześniej.

— Powiedział pan, że okazy mają mentalność roju pszczół. I że ich myśli są przekazywane w obrębie magnetycznej sieci. A może to samo dotyczy bólu? Wszystkie okazy czują to samo, co pozostali członkowie społeczności. Wówczas zadanie bólu jednemu mogłoby wywołać reakcję u innego.

— Brałeś pod uwagę taką możliwość? — zwrócił się do Malika Bennett.

— Nie, ale to intrygująca myśl. — Naukowiec zmrużył oczy, analizując słowa Lomy. Nie wyglądał na w pełni przekonanego. — Będę musiał zajrzeć do ich kart.

— Musi pan przestać myśleć o nich jak o pojedynczych przypadkach — powiedziała z naciskiem. — Istnieje jedna inteligencja, która na sposób fraktalny dotyczy całej grupy. Mamy do czynienia z jedną psychę rozciągniętą na wiele umysłów. A wy od dawna tę psychę męczycie i torturujecie na wiele różnych sposobów.

357

Spojrzała na Malika, oczekując, że jej ostre słowa wywołają jego protest. On jednak milczał i Lorna pomyślała, że to milczenie jest bardzo wymowne.

— Dziwi się pan, że w warunkach długotrwałego i uporczywego nękania zaczął pan mieć do czynienia z reakcjami psychotycznymi? W dodatku próbował pan podchodzić do nich w niewłaściwy sposób, próbując pozbyć się problemu poprzez eliminację jedynie agresywnych osobników. Ale napady agresji nie rodzą się w poszczególnych głowach. Biorą się z całej grupowej mentalności roju pszczelego, którą doprowadził pan niemal do psychozy.

Bennett i Malik spojrzeli po sobie zatroskani.

— Sugeruje pani, że wspólny umysł całej grupy może być w stanie psychotycznym? — powiedział niepewnie Malik. — I że to myśmy doprowadzili go do szaleństwa?

— Prawda może być nawet gorsza.

— A co może być jeszcze gorszego? — prychnął Bennett.

— Jeśli prawdą jest to, co doktor Malik mówił o ich IQ, stworzona przez was społeczność jest nie tylko szalona, ale szalona na granicy genialności. W sposób wykraczający poza naszą zdolność pojmowania i umiejętność rehabilitacji. Mamy do czynienia z rozbuchanym szaleństwem i brutalnością, którym towarzyszą spryt i przebiegłość. — Loma ze smutkiem pokręciła głowę. — Stworzyli panowie monstra.

Jack patrzył na las nad muszką remingtona i miał uczucie, że jego głowa stanęła w ogniu. Zwłoki za jego plecami cuchnęły krwią i wnętrznościami. Dlaczego nimi w nich rzucono? Chciano ich nastraszyć, odwrócić uwagę? Dlaczego ich po prostu nie zaatakowano?

Wpatmjąc się w zarośla, czuł czyjąś obecność. Są otoczeni, znaleźli się w potrzasku. Raz jeszcze wrócił myślami do bezgłowych zwłok, próbując coś z tego zrozumieć.

Dlaczego je tu rzucono?

358

I nagle go olśniło. Patrząc na ciało, przypomniał sobie słyszaną wcześniej strzelaninę z broni automatycznej. Brzmiała tak, jakby strzelano z kilku sztuk broni jednocześnie. Otaczający ich osobnicy rozprawili się z wyszkolonymi żołnierzami z taką łatwością, jakby tłukli muchy. Gdyby chcieli to samo zrobić z nimi, załatwiliby ich równie szybko. A oni rzucili w nich zwłokami.

I już wiedział dlaczego.

Przekazali im wiadomość!

— Opuśćcie broń! — zawołał do towarzyszy.

Sam odjął strzelbę od ramienia, wyciągnął przed siebie na długość ręki i przykucnął, by położyć ją na ziemi.

— Szeffie, oszalał pan? — zachnął się Mack.

— Zróbcie to samo, jeśli wam życie miłe.

Mack rzucił pod nosem przekleństwo, ale posłuchał.

Jack był pewny, że zwłoki miały być ostrzeżeniem. Że im też grozi śmierć, jeśli się nie poddadzą. Czuł też, że kimkolwiek są ich przeciwnicy, wiedzą, że Jack i jego ludzie różnią się od tamtych.

Gdy tylko wszyscy trzej rzucili broń, w zaroślach coś się poruszyło i wyłoniła się z nich dziwaczna postać. Wyszła z miejsca dużo bliższego, niż Jack sądził. Tylko kilka metrów od nich. Gęstwina zarośla się od innych postaci — niektórych większych, innych mniejszych.

— Jack... — sapnął przerażony Mack

— Nie ruszaj się — syknął Jack.

Mack posłuchał, ale widać było, że robi to wbrew sobie.

Postać zbliżyła się i w pierwszej chwili Jack pomyślał, że ma przed sobą dużego szympansa lub małego goryla, ale stwór pomszał się wyprostowany jak człowiek. Nie powłóczył nogami i nie podpierał się rękami. Szedł z głową przechyloną na bok i Jack dostrzegł, że brak mu jednego ucha, zamiast którego ma na głowie długą, poszarpaną bliznę. Jej wygląd świadczył o tym, że ucho stracił w walce, a rany nie opatrzył mu żaden lekarz.

Stwór zbliżył się na wyciągnięcie ręki i wciągnął w płaskie

359

nozdrza woń Jacka. Był nagi, porośnięty zakrwawionym futrem i o kilkadziesiąt centymetrów niższy od Jacka, ale masywnie zbudowany i dobrze umięśniony. Jack nie miał wątpliwości, że stwór mógłby go bez tmdu rozedrzeć na strzępy.

Wyglądało jednak na to, że chwilowo nie ma takiego zamiam.

Stwór nie spuszczał z Jacka wielkich błyszczących oczu.

Widać w nich było inteligencję, ale brak było ciepła czy powitalnego błysku. Oczy pozostawały zimne jak gwiazdy na zimowym niebie.

W tym momencie Jackowi przyszło coś do głowy i na myśl o tym krew odpłynęła mu z twarzy.

Pamiętał słowa Lomy

0 genetycznych wrzutek i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą coś, co mogłoby być człowiekiem.

Z lasu wyszedł następny stwór i stanął obok pierwszego. Twarz miał wykrzywioną w groźnym grymasie, w rękę trzymał karabin szturmowy, zapewne zabrany leżącej za Jackiem ofierze.

Z zarośli po lewej wyłonił się porośnięty czarną sierścią tygrys. Spod uniesionej groźnie wargi błyskały kły o długości sporych sztyletów.

Żadne ze stworzeń nie odrywało wzroku od Jacka.

Jego głowę wypełnił szarpący ból, kości czaszki zaczęły wibrować. Z trudem się powstrzymał i nie zatkał sobie uszu.

Pierwszy stwór zrobił kolejny krok i stanąwszy tuż przed Jackiem, pochylił głowę i obwąchał jego ubranie, po czym złapał za koszulę. Jego palce wczepiły się w materiał i szarpnęły na boki, jednym ruchem rozdierając koszulę. Strzeliły guziki. Z gołym torsem Jack poczuł się nagi i dziwnie bezbronny. Założone przez Lomę opatrunki odcinały się od bladej skóry.

Stwór szarpnął opatrunki, zrywając je z kawałkami naskórka

1 stmpami gojących się ran. Jack aż syknął z bólu, ale nie wykonał żadnego gwałtownego mchu. Po brzuchu pociekły mu strużki krwi.

Stojący po lewej Mack zmełł pod nosem przekleństwo, ale nie opuścił rąk.

Po prawej Bruce trwał niemchomo w półprzysiadzie.

360

Obu obserwowała wataha niedużych wilków i Jack dostrzegł, że wzrok Bruce'a wędruje ku leżącej na ziemi broni.

— Nie — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Bruce usłuchał, ale jego wzrok wciąż spoczywał na karabinie. Widać było, że jest gotów skoczyć do przodu przy pierwszej okazji. Jack nie mógł do tego dopuścić.

Stojący przed nim małpolud pochylił się i wdychając głęboko powietrze, zaczął obwąchiwać ślady krwi na jego piersi. Potem odchylił małą głowę do tyłu i przymknął oczy, jakby z lubością smakował zapach. Patrząc nad jego głową, Jack dostrzegł, że wszyscy pozostali robią to samo i nawet tygrys odwrócił nieco wzrok.

Na moment Jack poczuł wyraźny zapach krwi, który oszołomił go intensywnością. Trwało to jednak tylko chwilę i zapach się rozpułnął.



Głowa małpoluda znalazła się tuż przy głowie Jacka, stwór chwycił go za ramiona i przyciągnął jego twarz do swojej. Jacka zaatakował smród jego ciała, tuż przed oczami miał jego rzęsy, w uszach słyszał chrapliwy oddech. Palce bestii pozostawały zaciśnięte na jego ramionach i Jack czuł kryjącą się w nich siłę.

Jednak uwagę Jacka najbardziej przykuły jego oczy.

Ich źrenice rozszerzyły się i Jack miał przez chwilę wrażenie, że zagląda do ciemnej studni, otchłani bez dna, choć na pewno nie pustej. Wyzierało z niej coś dziwnego.

Szum w czaszce przybrał na sile, Jack czuł, że jego głowa lada chwila eksploduje. Miał wrażenie, jakby jego mózg próbował wydostać się przez uszy na zewnątrz. Płynąc na fali bólu, czuł, jak jego pole widzenia się zawęża, a on zawisa nad tą otchłanią bez dna.

Zaczęło mu brakować tchu, gdy bestia gwałtownie go odepchnęła, i Jack zatoczył się na pień drzewa. Szum w czaszce ucichł i przeszedł w głuchy szmer.

Stwór odwrócił się i mszył w głąb lasu. Reszta bestii równocześnie zawróciła, jakby była jednym organizmem, i wtopiła się w gęstwinię.

361

Jack stał, dygocąc na całym ciele.

Co to, u diabła, było?

Małpolud, zanim skrył się w lesie, odwrócił głowę i obrzucił Jacka zimnym spojrzeniem, a potem jego wzrok przesunął się na leżącą na ziemi strzelbę. Przekaz był jasny.

— I co teraz, szefie? — szepnął Mack, podchodząc bliżej.

Jack pochylił się i podniósł strzelbę.

— Idziemy za nimi.

— Co? — Bmce aż się wzdrygnął. — Przecież rozerwą nas na strzępy

Jack zdawał sobie sprawę, że jego towarzysz może mieć rację. Miał wrażenie, że chwilę wcześniej przeszedł test ogniowy, nawet nie wiedząc, na czym on polega, a jego rezultat w równym stopniu go uspokoił, co przeraził.

Nie miał złudzeń. Nie są tu mile widziani. Są tolerowani, bo mają wspólnego wroga, ale nic ponadto. Pamiętał dobrze zimne spojrzenia, jakimi go obrzucano, i wiedział, że zawieszenie broni potrwa tylko tak długo, jak długo toczyć się będzie wojna.

A potem... potem rozejm się skończy.

— Ruszajmy — rzucił.

Zdołali zrobić zaledwie parę kroków, gdy z sąsiedniej wyspy dobiegły potężne detonacje. Jack wyskoczył na polankę i poprzez gałęzie drzew po raz pierwszy przyjrzał się z bliska willi.

Z wieżyczki na szczycie wystawała czarna lufa potężnego działa, plując ogniem i dymem. Ale nie oni byli celem. Lufa była zwrócona ku zatoce ukrytej za stromym zboczem wyspy.

Jack nie miał wątpliwości, co jest celem gwałtownego ostrzału.

Statek braci Thibodeaux.

52

Duncan stał przed panoramiczną szybą w dyspozytorni. Z bunkra nad jego głową co chwilę rozlegał się huk wystrzału z samoczynnego działa z łańcuchowym podajnikiem i kuloodporna szyba za każdym razem głośno brzęczała. W dole widać było gejzery wody wybuchające koło dymiącego statku.

Zaraz po pierwszym wystrzale dowodzący statkiem dał całą naprzód i na pełnej szybkości popędził w stronę brzegu. Dziób kutra napędzanego potężnymi silnikami — dużo mocniejszymi, niż można by oczekiwać po wycieczkowym statku tej wielkości — uniósł się lekko i zaczął pruć fale.

Nietypowe okazały się nie tylko silniki, ale i kadłub, od którego pierwsze pociski odbiły się jak piłki, nie wyrządzając żadnej szkody.

Widać kadłub statku został opancerzony, co było dość powszechne wśród lokalnych przemytników narkotyków i broni. Ich wzmocnione płytami pancernymi kanonierki tylko pozornie przypominały zwyczajne kutry rybackie. Działo na wieży było wprawdzie zdolne przebić średniej grubości pancierz, a nawet zestrzelić wolno lecący samolot, ale odległość do celu i kąt ostrzału utrudniały zadanie.

A potem stało się coś nieoczekiwanego.

Z mfy statku zsunął się duży dwukadłubowy ponton szturmowy i wystrzelił niczym czarna rakietą. Po kilku próbach ostrzelania celowniczy bushmastera po-

363

wrócił do głównego celu i zasypał dziób statku gradem pocisków. Statek przechylił się i ustawił bokiem do fal, odsłaniając burzę, ale jednocześnie zasłaniając sobą ponton. Pociski odbiły się od kadłuba, celowniczy skorygował ustawienie i kolejne poszybowały w stronę mostka. W oknach statku posypały się szyby, członkowie załogi rozpląszczyli się na pokładzie.

Pędzący po wodzie ponton zmierzał prosto ku północnej krawędzi zatoczki. Strażnicy na plaży zaczęli do niego strzelać, ale załoga pontonu odpowiedziała ogniem z broni ręcznej i dodatkowo wystrzeliła ciągnący za sobą warkocz dymu granat z napędem raketowym. Granat upadł na plażę i eksplodował, wyrzucając fontannę piachu i odłamków, które podziurawiły jak sito jedną z palm. Strażnicy rozbiegli się po plaży, gdy pędzący w stronę wyspy ponton nagle zmienił lekko kurs. Wyglądało na to, że ma zamiar zatoczyć łuk i skierować się ku piaszczystemu przesmykowi łączącemu wyspy.

Duncan jeszcze nie zdążył ocenić nowego zagrożenia, gdy pojawił się nowy, poważniejszy problem.

Na mostku statku ukazał się człowiek z mramorem na ramieniu, który przykląkł i skierował ją w stronę willi.

Ręczna wyrzutnia raketowa!

O kurwa!

Z końca rury wydobył się obłok dymu i Duncan odskoczył od okna. Wystrzelona z wyrzutni rakietą leciała wprost na niego, a ściślej na wieżę strzelniczą nad jego głową. Ale i tak wolał tu nie być, kiedy trafi w cel.

Bez namysłu rzucił się do wyjścia.

Struchlała ze strachu Loma stała w sali żłobka w towarzystwie Malika i Bennetta. Trzymana przez nią dziewczynka kurczowo wczepiła się w kołnierz jej bluzki i przy każdym wystrzale konwulsyjnie podrygiwała. Huk roznosił się po całym

364

pomieszczeniu i mimo iż otaczający ich górotwór nieco je tłumiał, drgania przenosiły się na ściany i wszystko brzęczało.

Wszyscy wstrzymali oddech, ale potem pierwsze dziecko zaczęło płakać i w ciągu paru sekund płacz udzielił się całej grupie, ogarniając salę jak pożar suchy las. Opiekunka dzieci — tęga Chinka w średnim wieku — bezskutecznie starała się je uspokajać. Dziewczynka na rękach Lomy wtuliła buzię w jej szyję i nie przestawała dygotać.

— Zostaliśmy zaatakowani — stwierdził Malik.

— Zostańcie tutaj — rzucił Bennett i mszył do wyjścia, ale zdołał zrobić zaledwie dwa kroki, gdy drzwi z hukiem się otworzyły.

Do sali wpadł Connor.

— Nic panu nie jest, szefie?!

— Co się dzieje?

— Komendant powiadomił mnie przez radio. Statek w zatoce zaczął do nas strzelać. To chyba atak piratów.

Piraci? Loma próbowała to sobie wyobrazić. Słyszała od Kyle'a opowieści o bandach wyrzutków, którzy pływali po wodach zatoki, napadali na statki i rabowali dobytek na wyspach. Kyle opowiadał, że kiedyś napadnięto nawet na platformę wiertniczą.

Bennett mszył do wyjścia.

— Zaprowadź mnie do Duncana — rozkazał.

— Komendant powiedział, że mam wszystkich zatrzymać tutaj.

— Bzdury. Nie jestem dzieckiem, żeby kryć się po dziurach.

Dodał do niego Malik.

— Jeśli coś się dzieje, muszę wracać do laboratorium. Trzeba zabezpieczyć próbki na wypadek,

gdyby to przybrało na sile. Utrata tych próbek to utrata wszystkiego.

Bennett skinął głową.

— Zrób to.

Malik machnął na opiekunkę.

— Chodź ze mną. Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Connor bez przekonania spróbował zastąpić im drogę.

365

— Szefie!

Bennett bezceremonialnie go odepchnął i podszedł do drzwi.

— Zatrzymaj tu doktor Polk — burknął i przenosząc wzrok na Lomę, dodał: — Wrócimy do naszej rozmowy, gdy tylko ugasimy ten pożar.

Malik podążył za nim i wszyscy troje wyszli.

Connor stał przez chwilę niezdecydowany, potem zaklął pod nosem i podążył za nimi. Nie spojrzawszy nawet na Lomę, zamknął za sobą drzwi i zostawił ją samą z dziećmi.

Zamknięcie drzwi spowodowało, że huk wystrzałów stał się cichszy i zamienił w głucho stuknięcia, lecz Loma i tak nie miała wątpliwości, że awantura przybiera na sile. Słychać było dalekie dzwonki alarmowe i stłumione krzyki.

Co się tam dzieje?

Nie знаła odpowiedzi, ale od razu zaczęła kombinować, jak to wykorzystać. Gdyby udało jej się stąd wydostać i dotrzeć do nadajnika, może nawet przedostać się na statek...

Tylko co potem? Nawet gdyby udało jej się uciec z wyspy, jaką miałyby szansę na wodach pełnych piratów?

Wtulona w nią dziewczynka widać przyciągnęła uwagę pozostałych dzieci, bo zaczęły się przy niej gromadzić jak ćmy zlatujące się do płomienia. Były wystraszone i szukały u niej opieki. Chciałyby ich nie zawieść, ale czy jest tu jakieś inne wyjście?

Z bijącym sercem podeszła do drzwi w głębi sali i wyjrzała, ale za drzwiami mieściła się tylko sypialnia z rzędami dzieciennych łóżeczek. Łóżeczka były wykonane ze stali i każde zaopatrzone w zamykaną przykrywą.

Nawet poczucie zagrożenia nie stłumiło jej oburzenia. Jak można być tak okrutnie bezdusznym wobec niewinnych dzieci? Wszędzie wokół siebie widziała wielkie, mokre od łez oczy, które z uwagą obserwowały każdy jej mch.

Była sama i nie musiała już ukrywać emocji. Czowała, jak strach zamienia się we wściekłość i nie próbowała jej tłumić. Pozwoliła, by ogarniała ją jak pożar. Już kiedyś spanikowała i nigdy więcej tego nie zrobi.

366

Ci dranie zabrali jej wszystko: wolność, brata, przyjaciół, nawet Jacka. Myśl o Jacku trochę ją zdeprymowała. Jeśli nawet jemu nie udało się ich powstrzymać, to jaką szansę ma ona?

Przeszukała całe pomieszczenie, ale poza drzwiami do niedużej ubikacji i łazienki i drzwiami do sypialni nie było innych wyjść. Znalazła się w potrzasku. Ona i wszystkie dzieci.

Nie bardzo wiedząc, co robić, zawróciła do głównej sali. Dzieci natychmiast się przy niej zgromadziły. Niektóre czepiały się jej nóg, inne ssały kciuki, jeszcze inne popłakiwały. Usiadła między nimi na podłodze.

Podczołgał się mały chłopczyk, moszcząc się koło dziewczynki na jej rękach. Patrząc na oboje, przypomniawszy sobie parę zrosniętych małych kapucynek, którymi zajmowała się w ośrodku.

Wiedziała, że tych dwoje — a właściwie wszyscy w grupie — zrosnięci są w zupełnie inny sposób. Gromadziło się coraz więcej dzieci, tworząc wokół niej morze główek, po którym każdy kolejny wystrzał i towarzyszące mu drżenie ścian rozchodziły się jak fala po wrzuceniu kamyczka do stawu. Robiła wszystko, by je uspokoić. Wyciągnęła rękę i zaczęła je kolejno głaskać. Wydawało się, że dotyk je uspokaja. Orzechowobrzazowe oczy wpatrywały się w nią z uwagą, małe paluszki szukały dotyku jej i innych dzieci. Roztaczały wokół siebie ciepły zapach dziecinnej zasypki i kwaśniatego mleka.

Mimo nekającego strachu i niepewności Loma poczuła spływające na nią ukojenie. Nie umiała

powiedzieć, skąd się ono bierze, z niej samej czy z dzieci. Nieważne. To wewnętrzne uspokojenie nie brało się z przeświadczenia, że zrobiła wszystko, co w jej mocy. Wynikało z tego, że otrząsnęła się z niemocy.

Rosnąca w niej pewność siebie wypierała panikę.

— Wyjdziemy stąd — powiedziała pewnym głosem, choć bardziej do siebie niż do dzieci. —

Wszyscy.

Tylko jak to zrobić?

367

Duncanowi dzwoniło w uszach od wybuchu rakiety, z jednego pociekła mu nawet krew i spłynęła strużką po szyi.

Na moment przed wybuchem wyskoczył z dyspozytorni, wbiegł do skalnego tunelu łączącego bunkier dowodzenia z willą i zatrzasnął za sobą drzwi tuż przed tym, jak rakietą trafiła w gómy bunkier z działami. Podmuch towarzyszący eksplozji był jednak tak silny, że wyrwał drzwi z zawiasów i szurnął nim w głąb tunelu.

Z oczami piekącymi od dymu, po omacku zawrócił do dyspozytorni. Podłoga była zasłana odłamkami szkła, połowa okien wychodzących na zatokę nie miała szyb. Zobaczył na podłodze zakrwawione ciało technika. Dotknął jego szyi, ale nie wyczuł tętna.

Podszedł do jednego z wybitych okien. Na dworze wciąż trwała strzelanina z broni automatycznej przerywana co chwilę wybuchami granatów. W zatoce dostrzegł kołyszący się na falach statek napastników, który co i raz znikał w kłębach dymu. Między załogą a strażą na plaży nadal trwała wymiana ognia. Z obu stron prowadzono zawzięty ostrzał, przez dym przewiercały się świetlne pociski, słychać było krzyki.

Mimo to coś mu mówiło, że statek służy tylko odwróceniu uwagi, a jego załoga wcale nie szykuje się do ataku na wyspę.

Tylko dlaczego?

Spojrzał na monitory. Większość była ciemna, ale na paru wciąż jeszcze migały gmboziamiste obrazy. Ruch na jednym z nich przyciągnął jego uwagę. Przysunął się bliżej i wpatrzył w ekran. Kamera pokazywała płot oddzielający wysepki.

Ale także coś jeszcze.

Na brzegu leżał czarny ponton, który wcześniej spuszczone ze statku napastników. Jeden z jego kadłubów musiał zostać trafiony, bo zeszło z niego powietrze i ponton był bezużyteczny. Piraci mieli dużo szczęścia, że udało im się dopłynąć do brzegu, i jeszcze więcej, że nie nadziali się na którąś z min zyletkowych na dnie.

Na pierwszym planie widać było pięciu kryjących się pod

368

płotem mężczyzn. Obok nich na piachu leżały dwa ciała w kałużach krwi. Sądząc po czarno-beżowych kurtkach kamuflażowych, obie ofiary rekrutowały się spośród jego komandosów.

Z wściekłością zacisnął pięści.

Kim, u diabła, są ci dranie?

Jeden z napastników znalazł się bliżej ukrytej kamery i na moment zwrócił ku niej ocienioną bejsbolówką twarz. Duncan aż podskoczył.

Ta czapka...

Znał i ją, i jej właściciela. Widział ich na drodze nad rozlewiskiem. To ten Cajun ze starego pick-upa, którego zepchnął z drogi. Duncan nie mógł pojąć, skąd on się tu wziął? Przecież to bez sensu.

Na własne oczy widział, jak ciężarówka z kierowcą w środku wpada do Missisipi. Ale jeśli nawet jakimś cudem z tego wyszedł, to skąd się tu wziął? Jak udało mu się trafić za Duncanem na wyspę?

Powoli zaczęła docierać do niego szokująca prawda.

Cajun wspominał coś o bracie, który czekał na niego w ACRES. Dlatego skurwiel znalazł się w tym miejscu o tak późnej porze i zatrzymał się, żeby spytać o drogę. Jeśli ten sam skurwiel znalazł się tutaj, to musi to znaczyć, że atak na ośrodek przeżył ktoś jeszcze.

Duncan uświadomił sobie nagle, że wciąż nie ma żadnych wiadomości od człowieka, którego zostawił na miejscu, by sprawdził i oczyścił teren akcji. Czyżby go dopadli i zmusili do mówienia?

To nie wchodziło w rachubę. Za dobrze znał swoich ludzi. Nie dało się ich do niczego zmusić.

A jednak skurwiele namierzyli ich wyspę.

Ale jeszcze tego pożałują.

Pierwszy szok minął i Duncan zaczął na zimno analizować sytuację. Przyglądał się, jak Cajun poprawia sobie bejsbolówkę i wpatuje się w przesmyk za płotem, jakby spodziewał się kogoś tam zobaczyć. Pamiętał uchwycony wcześniej przez kamerę obraz uzbrojonych mężczyzn. Widać obie ekipy wy-

369

znaczyły sobie rendez-vous na przesmyku, by korzystając z zamieszania wywołanego przez ostrzał z zatoki, przypuścić atak od tyłu.

A co może być celem ataku?

Odpowiedź na to pytanie nie była tmdna.

Cała akcja miała oczywiste cechy ekspedycji ratunkowej.

Duncan wziął do ręki radiotelefon i wywołał swojego zastępcę.

— Connor.

— Szefie? — W głosie zastępcy słychać było napięcie. — Bennett wyszedł. Nie mogłem go zatrzymać.

To akurat było bez znaczenia.

— A co z nią?

— Zamknięta w środku. Nigdzie się stamtąd nie mszy.

To nie wystarczy.

— Wróć tam i ją zastrzel — rozkazał.

53

Lorna siedziała z dziećmi, wsłuchując się w stłumione odgłosy wystrzałów. Znalazła się w potrzasku i nie zostało jej nic innego, jak czekać. Nawet nie wiedziała, po której stronie walczących stron powinna się opowiedzieć: już poznanego złoczyńcy czy niewiadomej, jaką są atakujący go piraci.

Nagle wszystkie dzieci drgnęły i zwróciły głowy ku drzwiom, jakby reagując na jakiś pozazmysłowy sygnał, po czym zerwały się na nogi niczym stadko wystraszonych ptaków.

Ich niepokój udzielił się Łomie, która również wstała.

Za zamkniętych drzwi dobiegło głośnie stuknięcie: trzaśnięcie zewnętrznych drzwi do służy.

Ktoś do nich idzie.

Dzieci cofnęły się w głąb sali, ciągnąc Lomę, wczepiając małe rączki w jej spodnie.

Całą gromadą przeszli do ciemnej sypialni z rzędami zamykanych łóżeczek. Przekraczając próg, Loma kątem oka zobaczyła, że drzwi wejściowe się otwierają, ale nie zdążyła dojrzeć, kto przez nie wchodzi.

Zaniepokojenie dzieci udzieliło jej się na tyle, że poczuła, jak jej wali serce, a słuch i wzrok ma maksymalnie wyostrzone.

— Gdzie ty się, do cholery, chowasz? — zabrzmiał męski głos.

Connor. Coś w jego głosie spowodowało, że serce podeszło

371

Lornie do gardła. Była w nim nie tylko złość, ale i groźba. Dzieci, jakby podłączone do empatycznego łącza, musiały czuć to samo, bo cały czas ciągnęły ją do sypialni.

Loma wstrzymała oddech i dała sobą kierować. Tyle że poza dziecinnymi łóżeczkami w sypialni nie było nic, co mogłoby posłużyć za kryjówkę.

Fala dzieci dotarła do środka sypialni i ciągnące ją rączki nagle puściły. Dzieci zaskakująco szybko rozbiegły się na boki, jakby wykonywały niesłyszalne dla niej polecenie. W mgnieniu oka pochowały się za łóżeczkami i pod ciężkimi stalowymi przykrywkami.

Loma poszła ich śladem i też spróbowała się ukryć. Wcisnęła się za jedno z łóżeczek i przyklęknąwszy na jedno kolano, nie spuszczała wzroku z wejścia. Pod łóżeczko obok niej wcisnęła się dwójka dzieci, które przyłgnęły do niej, drżąc.

Connor stanął w progu i najpierw cofnął się do łazienki. Loma patrzyła na niego, nie mogąc

oderwać wzroku od jego dłoni opartej na rękojeści pistoletu w kaburze. Usłyszała trzask przestawionego kciukiem bezpiecznika.

— Nie utmniaj tego bardziej, niż trzeba — burknął. — Wyjdź, a zrobię to szybko i bezboleśnie. Loma siedziała zmartwiała. Nie mogła nic zrobić. Nie miała dokąd uciekać.

Jack przedzierał się w dół zalesionego zbocza, kierując się ku przesmykowi łączącemu wysepki, Mack i Bmce zabezpieczali boki. W dole przed sobą widzieli całą masę ciemnych sylwetek — niektórych dużych, innych zupełnie małych — przemykających wśród gęstwiny coraz szybciej i szybciej. Wszystkie tak jak oni zmierzały ku przesmykowi.

W końcu las przeszedł w pojedyncze kępy palm porastających piaszczyste łąchy i dzięki odbitym od wody promieniom zachodzącego słońca zrobiło się jaśniej.

Z gromady cieni wysunęła się jedna sylwetka. Był to ten

372

sam wyróżniający się brakiem ucha i pokierszowaną twarzą stwór, który wcześniej podszedł do Jacka. Teraz też na niego spojrzał i wyciągnął rękę w stronę plaży na sąsiedniej wyspie.

Jack przyspieszył, zbliżył się i popatrzył we wskazywanym kierunku.

Przesmyk był przegrodzony wysokim płotem ze zwojami drutu kolczastego, za płotem widać było generator.

Zapewne źródło prądu dla płotu.

Jego uwagę zwrócił ruch na plaży za płotem. Przyjrzał się i dopiero teraz dostrzegł wyciągnięty na brzeg ponton i sylwetki kryjących się w pobliżu ludzi. Pytanie tylko: swoi czy wrogowie?

Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wyszedł na otwartą przestrzeń i dostrzegł ciemnoczerwone smugi na piachu, jakby ciągnięto po nim broczące krwią ciała. Plan akcji przewidywał spotkanie z Randym i jego ekipą na przesmyku między wyspami. Ponton wyglądał podobnie jak ten używany przez braci Thibodeaux, tylko że był podziurawiony pociskami.

Czy ktoś wyszedł z tego cało?

Jack wysunął się z cienia i stanął w promieniach zachodzącego słońca. Trzymał strzelbę przygotowaną do strzału i był gotów w każdej chwili uskoczyć do tyłu.

Za płotem ktoś zawołał „Jack!” i zza pontonu wysunął się Randy, machając karabinem. Jack opuścił strzelbę.

Dzięki Bogu, to oni!

Jednak radość nie trwała długo. Z prawej usłyszał narastający ryk i zza cypla wyspy wyskoczyła niewielka dwuosobowa łódź z napędem stmmieniowym i popędziła w stronę przesmyku. Za sternikiem stał żołnierz z karabinem szturmowym opartym na owiewce.

Koniec lufy zaświecił serią błysków i na piachu pojawiła się ścieżka śladów pocisków zmierzających ku nogom Jacka. Jack szarpnął się do tyłu i skrył w cieniu drzew. Randy po dmגיעj stronie płotu zrobił to samo i schował się za pontonem.

373

Po chwili z drugiej strony przesmyku z rykiem silnika wyskoczyła druga identyczna łódź i zrównała się z pierwszą. Obie zaczęły pływać wzdłuż przesmyku, biorąc go w krzyżowy ogień i uniemożliwiając próbę przejścia.

Patrzac na te dwa krwiożercze rekiny, Jack zdawał sobie sprawę, że obmyślony plan akcji wali się w gruzy. Ktoś na wyspie zorientował się, że atak ma nastąpić od strony przesmyku i skutecznie go udaremnił, nie dopuszczając do połączenia obu grup. Element zaskoczenia przepadł.

A to oznaczało problemy.

Powodzenie akcji odbicia Lomy zależy od szybkości działania i każde opóźnienie może prowadzić do jej śmierci. Jack zacisnął palce na kolbie strzelby.

A może już jest za późno?

Loma tkwiła w kryjówce za łódeczką, dysząc ze strachu. Usłyszała, jak Connor trzaska drzwiami do łazienki i zawraca do głównej sali.

Lada chwila wejdzie do sypialni.

Rozpaczliwie szukając w myślach drogi ucieczki, nagle usłyszała pisk. Dochodził z sali dziennej i

był pełen przerażenia.

— Pierdolone małpiszony... — zaklął Connor.

Serce jej zamarło. Łajdak musiał natknąć się na jakieś dziecko, które zostało w sali dziennej. Pisk przeszedł w krzyk bólu i w drzwiach sypialni pojawił się Connor, trzymając za kark małego chłopczyka. Dziecko wrywało się i próbowało kopać i gryźć swojego oprawcę. Jego twarz wykrzywił grymas bólu i przerażenia.

Loma poczuła, jak tuląca się do niej dwójka dzieci zaczyna gwałtownie dygotać, jakby łączyły się z chłopcem w bólu i strachu.

Connor wycelował pistolet w brzuch chłopczyka.

— Wyłaż albo ten małpiszon dostanie za ciebie!

Loma nie była w stanie wykonać mchu porażona takim okmcieństwem.

374

Connor cofnął się i zniknął z pola widzenia.

— Wyłaż, bo będzie za późno! — warknął.

Nie mogła pozwolić, by chłopczyk za nią zginął. Musi łajdaka powstrzymać, nawet za cenę własnego życia. Zaczęła się podnosić, ale małe rączki wczepiły się w nią i przytrzymały. Ich mchy były pełne determinacji i było w nich coś więcej niż tylko strach przed zostaniem samymi.

Chwyciły jej rękę i przesunęły w dół po nodze łóżeczka, aż Loma wymacała kółko pozwalające łatwo przesunąć łóżko w inne miejsce.

Chwilę trwało, nim to do niej dotarło.

Zwolniła blokady kółek na wszystkich czterech nogach i wcisnęła się między łóżeczko a ścianę.

Zaparła się nogami. Ruszenie łóżka z miejsca wymagało nie lada siły. Zbudowane było z gmbych stalowych prętów i bardziej przypominało masywną klatkę niż mebel do spania. Kółka zapiszczały i aby to zagłuszyć, Loma zawołała głośno:

— Już wychodzę! Nie strzelaj!

Z wysiłkiem wypchnęła łóżeczko na środek i zaczęła nim jechać w stronę drzwi. Starła się nadać mu jak największy impet i dzieci jakby to wyczuły, bo wypełzły z kryjówek i podbiegły do niej.

Małe rączki wparły się w nogi łóżka i z zadziwiającą siłą zaczęły pchać.

Loma starała się zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Sama nigdy by nie wpadła na pomysł wykorzystania łóżeczka jako tarana, ale strach mobilizuje do działania, a potrzeba jest matką wynalazków. Podbudowanie tego wspólną inteligencją wystraszonych dzieci pozwoliło obmyślić plan działania.

Dzięki ich połączonym wysiłkom łóżeczko toczyło się coraz szybciej.

W progu znów stanął Connor.

Modląc się w duchu, Loma z całej siły pchnęła na niego stalowy taran. Connor wytrzeszczył oczy.

Nie mając gdzie uskoczyć, odrzucił trzymane dziecko i zaczął na oślep strzelać.

Loma skuliła się, słysząc, jak kule z brzękiem odbijają się

375

od stalowych prętów łóżeczka. Chwilę później stalowa rama walnęła go prosto w klatkę piersiową i Connora odrzuciło do tyłu. Runął na podłogę z szeroko rozłożonymi rękami, a pistolet poszorował po wyłożonej linoleum podłodze.

Lorna nie zatrzymała się nawet na moment. Nie zwalniając, jechała wprost na leżącego Connora, a gdy przednie kółka oparły się o jego ciało, Loma dźwignęła łóżko i zwała na niego.

Skoczyła w bok i sięgnęła po pistolet. Był ciężki i gorący, ale jego solidność budziła zaufanie i pomagała się skupić. Wycelowała w Connora, ale ten, przywalony łóżkiem, nie mszał się i tylko jedno jego ramię dziwnie drgało.

Rozejrzała się.

Chwilę potrwało, nim dotarło do niej, że jest wolna i w dodatku uzbrojona.

Dzieci zbiły się w gromadkę, nie odrywając od niej wzroku. W ich oczach widać było mieszaninę nadziei i resztki strachu. Nie może ich zawieść.

— Chodźcie, idziemy — rzuciła, kiemjąc się do wyjścia.

Wszystkie bez słowa mszyły za nią. Widać było, że jej ufają.

Oby tylko ich nie zawiodła.

54

— Jaki masz plan? — zapytał Bennett.

Dobre pytanie, pomyślał Duncan, kręcąc głową. Starał się przeanalizować dziwne wydarzenia towarzyszące temu atakowi, ale czuł, że zaczyna tracić kontrolę.

Stali przed ścianą monitorów w dyspozytorni, obok leżały przykryte kocem zwłoki technika.

Siedzący na jego miejscu zmiennik próbował uzyskać obrazy z pozostałych kamer. Na monitorze na wprost Duncana widać było obraz z kamery na przesmyku między wyspami.

Brzegi przesmyku patrolowały dwie łodzie z napędem strumieniowym. Duncan wezwał je, kiedy w pasażerze pontonu rozpoznał Cajuna z rozlewiska. I dobrze zrobił, bowiem po chwili dostrzegł postać wyłaniającą się z lasu po dmgiej stronie płotu.

Patrzył na nią, nie wierząc własnym oczom.

Z ubiorem i uzbrojeniem wynikało, że to jeden z tych, których wcześniej widział w głębi lasu. Jakimś cudem udało mu się przejść przez las i dotrzeć do przesmyku. Jak to możliwe?

Odpowiedzi miały dostarczyć słowa technika, który wstał zza konsoli i zacierając ręce, oznajmił:

— Komputer powinien za chwilę zrestartować system monitoringu.

I rzeczywiście, ciemny dotąd ekran monitora rozjaśnił się

377

na niebiesko, by zaraz potem ukazać bezładną masę pikseli stopniowo układających się w zarys północnej wysepki.

— Zaraz zacznie namierzać markery — dodał operator.

Na konturze wyspy zaczęły zakwitać czerwone kropki, sygnalizując rozmieszczenie poszczególnych obiektów monitoringu. Kropek przybywało.

Duncan zaklął.

Bennett spojrzał na niego i przeniósł wzrok na ekran monitora.

— Chyba dzieje się coś niedobrego — ■ mruknął.

Zamiast jak zwykle być rozrzucone po całej wyspie wszystkie kropki tkwiły u nasady piaszczystego przesmyku. Cała menażeria zgromadziła się w jednym miejscu i Duncanowi przychodziło do głowy tylko jedno wytłumaczenie.

— Mają zamiar przedrzeć się przez ogrodzenie — stwierdził.

— I nie wiesz, kim jest ten człowiek? — spytał Bennett. — Ten, który tam z nimi stoi?

— Nie. — Duncan nie mógł pojąć, jak udało mu się ująć z życiem. — Jakiś wspólnik tych z pontonu. Jestem prawie pewny, że to prywatna próba odbicia doktor Polk.

Nic innego nie miało sensu. Duncan krótko opowiedział Bennettowi o Cajunie w bejsbolówce.

— Gdyby działali oficjalnie — ciągnął — siły byłyby dużo większe. Marynarka wojenna, helikoptery. Możliwe, że w pewnym sensie naprawdę wybrali się na połów, przekonać się, czy doktor Polk żyje. Ale kto wie, ile nam jeszcze zostało czasu. Wojsko może być już w trakcie przygotowywania oficjalnej ekspedycji.

— Co proponujesz?

— Taktykę spalonej ziemi.

Bennett wytrzeszczył oczy i zdumiony spojrzał na Duncana.

— Jeśli ci dranie już wiedzą o naszej wyspie, inni też się dowiedzą. Straciliśmy kontrolę. Mają nas na widelcu. Musimy się z tym pogodzić i odpowiedzieć agresywnie.

— W jakim sensie agresywnie?

378

— Ewakuować się i spalić obie wyspy na popiół. Zabić wszystkich i wszystko, co się jeszcze rusza. Nic po sobie nie zostawić. Jeśli żaden ślad ich do nas nie doprowadzi, będziemy mogli gdzie indziej zacząć od nowa. To nas bardzo opóźni, ale ujdziemy z życiem.

Bennett westchnął z rezygnacją, przeniósł wzrok na wychodzące na zatokę okna bez szyb i mmknął pod nosem: I dlatego Pan Bóg wydalil go z ogrodu Eden\*.

— Szefie? — odezwał się niecierpliwie Duncan.

Bennett raz jeszcze westchnął.



— Rozumiem, co do mnie mówisz. Nie mamy wyboru. Po tych wszystkich kłopotach tutaj rozpoczęcie od nowa może nam nawet wyjść na dobre. Malik już pakuje próbki wirusowe i całą dokumentację. Możemy być w heliporcie za piętnaście minut.

— Proszę to skrócić do dziesięciu.

— A co z doktor Polk?

— Niał już się zająłem.

Bennett wyglądał na przybitego, ale pewnego, że sobie poradzą. Płaci Duncanowi gmbę pieniądze za to, by podejmował tmdne decyzje i wprowadzał je w czyn.

— Jaki mamy plan na teraz? — spytał, zmieniając temat.

Duncan wskazał głową monitor.

— Uszczelnić to wejście od tyłu. Żeby mieć pewność, że podczas ewakuacji nie czekają nas żadne niespodzianki. Wysłałem już ekipę, która się zajmie tymi z pontonu. Dranie znajdują się w potrzasku między płotem a łodziami patrolowymi.

— A co z tymi za płotem?

Duncan spojrział na masę czerwonych kropek na monitorze. Czas skończyć z nieudanym eksperymentem Malika, wyrwać go z korzeniami. Właśnie po to naszpikował całą wyspę ładunkami napalmowymi. W sumie ponad setką. Wywołana przez nie nawałnica ogniowa w ciągu paru minut zniszczy całe

\* Rdz 3,23.

379

życie na wyspie. A każdy, kto spróbuje uciec, trafi pod lufy strzelców wyborowych na łodziach. Duncan sięgnął do kieszeni i wyciągnął nadajnik radiowy. Wyjął go wcześniej z sejfu w swoim biurze i od tej chwili nosił przy sobie. Nadajnik miał dwa podświetlone przyciski.

Jeden wysyłał sygnał do ładunków zakopanych na sąsiedniej wyspie.

Wciśnięcie dmgiego powodowało zdetonowanie dwóch potężnych bomb, które umieszczono w murach willi: jednej na piętrze budynku, dmgiej w podziemiach. Siła wybuchu każdej z nich odpowiadała czterdziestu czterem tonom TNT. Ich zdetonowanie powinno zdmuchnąć całą wierzchnią część wyspy, dosłownie wymazując ją z powierzchni morza.

Jednak z tym trzeba będzie jeszcze poczekać.

Uniósł przykrywkę osłaniającą pierwszy przycisk.

Bennett wlepił wzrok w nadajnik.

— Jak to? Chcesz już teraz podpalić wyspę?

— Jeśli masz coś zrobić, lepiej zrób to zaraz — powiedział Duncan i nacisnął przycisk.

Przynajmniej jeden problem mamy z głowy, pomyślał.

55

Jack poczuł pod stopami wibracje i zaraz potem usłyszał tak potężny huk, jakby ziemia się rozstąpiła. Odwrócił się i ujrzał, że cały wierzchołek wyspy znika w ogniu i dymie. Po pierwszym nastąpiła cała seria wybuchów.

Bum, bum, bum...

Cała wyspa pokryła się łańcuchem wybuchających gejzerów ognia, dodatkowo wzmagających piekielną zawiemchę. Płomienie zbliżały się coraz bardziej do brzegu, nad lasem strzelał w niebo słup czarnego dymu, w powietrzu czuć było smród napalmu.

Chcą spalić całą wyspę.

Mack przyskoczył bliżej, ale i tak musiał wrzeszczeć, by przekrzyczeć huk wybuchów.

— Co robimy?

Bruce bez oglądania się na Jacka sam podjął decyzję. Wiedział, że pozostanie w lesie oznacza pewną śmierć, a jedyna droga ucieczki wiedzie przez przesmyk na drugą wyspę. Skulił się i wyskoczył na otwartą przestrzeń. Wystrzelił raz w kierunku patrolującej łodzi, ale łodzie były w ciągłym mchu. Pływały tam i z powrotem, robiąc błyskawiczne zwroty i praktycznie uniemożliwiając trafienie. Zresztą dosięgające ich pociski i tak odbijały się tylko od opancerzonych burt.

Strzelec na łodzi odpowiedział ogniem i piach wokół stóp

Bruce'a zagotował się od pocisków. Jeden z nich trafił go w ramię i aż obrócił w miejscu, trysnęła krew.

Kurwa mać...

Nagła zmiana kierunku wiatru spowodowała, że owionął ich gorący dym i gryząca woń napalmu zaczęła palić płuca. Nie było co czekać. Jack wyskoczył z kryjówki i puścił się biegiem w stronę Bruce'a, który opadł wprawdzie na jedno kolano, ale przełożył karabin do zdrowej ręki i nie przestawał strzelać.

Mack do nich dołączył i zaczął ostrzeliwać drugą łódź.

Burza ogniowa za ich plecami była coraz bliżej.

Kolejne wybuchy również.

Zdając sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, grupa Randy'ego rozpoczęła ogień osłonowy, ale niewiele to dało. Przy ciągłym ostrzale z obu stron niczym nieosłonięty przesmyk był nie do przebycia. Nim udałoby im się dobiec do płotu, zostaliby skoszeni pociskami.

Jack złapał Bruce'a za rękę, chcąc go odciągnąć.

Tylko dokąd?

Nie zdążył się nawet odwrócić, gdy kilkanaście metrów za nimi las eksplodował kolejnym wybuchem. Wyrwane z korzeniami drzewa wystrzeliły w słupie ognia. Podmuch przewrócił Jacka na plecy, boleśnie parząc mu skórę. Jego pole widzenia ograniczyło się do wąskiego tunelu i zaczął się krztusić w gęstych kłębach dymu.

Mack rzucił się na niego i zaczął ciągnąć do wody, nie bacząc na siekące wokół pociski. Padały tak gęsto, że mogły przeciąć człowieka na pół.

Zanurzony do połowy w wodzie Jack uświadomił sobie brutalną prawdę.

Ucieczka stąd jest niemożliwa.

Stojąc w dyspozytorni, Duncan obserwował wybuchające kolejno ładunki napalmu. Gejzery ognia zaczęły się w pobliżu wierzchołka wyspy i stopniowo schodziły coraz niżej ku brze-

382

gowi, obracając wszystko po drodze w szalejącą pożogę ognia. Konstruuąc system zniszczenia wyspy, pamiętał, by eksplozje następowały w pewnych odstępach czasu, co gwarantowało największą skuteczność.

Uśmiechnął się z satysfakcją na widok trzech sylwetek miotających się między ścianą ognia a gradem pocisków z łodzi.

Nie mają żadnych szans.

Stojący obok Bennett zrobił krok do tyłu. Wolał na to nie patrzeć.

— Boże święty... — wyszeptał.

Ale Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

Wybuchały kolejne ładunki, wyrzucając w powietrze słupy ognia. Pożar ogarniał całą wysepkę i nieubłaganie zbliżał się do linii wody.

Przyglądając się z satysfakcją dziełu zniszczenia, którego był sprawcą, Duncan dojrzał w lesie mch. Z zarośli wynurzyły się jakieś postacie. Sądząc po tym, że były nagie, musieli to być mieszkańcy wyspy, którzy wcześniej gdzieś się zapodziali. Zjadliwy grymas jeszcze bardziej wykrzywił jego twarz. Widać w lesie zrobiło się za gorąco nawet dla nich.

Ale na otwartej przestrzeni też nie znajdą ratunku.

Niemniej coś w nich trochę go zaniepokoiło. Było ich tylko czterech. A gdzie reszta?

Przysunął twarz do ekranu.

Co oni znów kombinują?

Zanurzony do pasa w wodzie i na wpół ogłuszony Jack też dostrzegł mch na skraju lasu. Z gęstwiny wynurzyły się cztery sylwetki, rozdzieliły na dwie pary i poszły w przeciwne strony.

Pary ciągnęły między sobą warkocze ze splecionych liści palmowych, a na nich metalowe pojemniki w rodzaju beczulek, jakie wozi się na kucykach. Po chwili obie pary mszyły biegiem i gwałtownie naprężyły warkocze.

Pojemniki wystrzeliły jak z procy, koziołkując w locie.

Po jednym w stronę obu łodzi.

Gdy znalazły się w powietrzu, z zarośli wypadło stado leśnych stworów i ruszyło lawiną na przesmyk: mężczyźni i kobiety, wielkie koty, groźne watahy wilków. Niektórych stworzeń Jack nie potrafił zidentyfikować. Jedno z takich monstrów przebiegło tuż obok niego, ryjąc piach zakrzywionymi i ostrymi jak brzytwa pazurami. Wydawało się, że stmmień biegnących stworów nie ma końca.

Tuż za nimi wybuchały ostatnie ładunki napalmu i strzelające z nich płomienie zaczynały docierać do linii wody. Jack odsunął się dalej od brzegu i zanurzywszy się po szyję w wodzie, z zadartą głową obserwował lot wyrzuconego w stronę łodzi pojemnika. Był pewny, że zwrotna i szybka łódź bez tmdu uniknie trafienia.

Ale dokładne wycelowanie okazało się zbędne.

Pojemnik eksplodował w powietrzu.

Za plecami Jacka po dmגיעj stronie przesmyku rozległ się taki sam wybuch.

Płonący napalm opadł na wodę i ogarnął łódź morzem płomieni. Powietrze przeszył wrzask płonących ludzi. Jack odwrócił głowę i zobaczył, że dmga łódź również płonie.

Pelen podziwu usiadł w wodzie. Widać wyspiarze wykopali dwa ładunki z napalmem w pobliżu brzegu, odczekali, aż dojdzie do zaprogramowanego wybuchu i w odpowiednim momencie wystrzelili je w stronę łodzi.

Ale nie wszystkim mieszkańcom lasu udało się ująć z życiem.

Potężny tygrys musiał się zagapić, bo wyskoczył z lasu z płonącym futrem i pognął na osłep, ciągnąc za sobą wstęgę płomieni i dymu. Oszalały ze strachu i bólu mnął wprost na Jacka.

Jackowi cudem udało się umknąć przed jego pazurami i uniknąć wypatroszenia.

Płonące zwierzę minęło go i zanurzyło się w wodzie, ale nagle dno pod nim eksplodowało.

Rozszarpane cielsko wystrzeliło w górę w gejzerze morskiej wody i krwi.

384

Jack poczuł ból w ramieniu. Z jego bicepsa wystawał kawałek metalu — ostry jak brzytwa szrapnel. Dranie dno też zaminowali!

Jack wyrwał odłamek z ciała i wstał, z trudem utrzymując równowagę. Muszą ruszać dalej. Czując za plecami huczący ogniem piec, pokuśtykał w stronę towarzyszy. Plecy kurtki Macka były zwęglone, lewa ręka Bruce'a krwawiła.

Ale obaj żyli.

Jack wskazał sunącą kawalkadę mieszkańców wyspy Trzy niesione przez nich karabiny szturmowe wypaliły, napięcie na płocie zaiskrzyło i po chwili brama stała otworem.

Wreszcie otworzyła się przed nimi droga ucieczki.

Duncan osłupiał na widok leśnej armii wylewającej się na piaszczysty przesmyk. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Te małpoludy załatwiły jego ludzi jego własnym napalmem!

Zdumiony i przerażony patrzył, jak jeden z nich unosi karabin i strzela do kamery.

Obraz na monitorze zgasł.

Duncan odwrócił się do Bennetta.

Twarz szefa była upiornie blada.

— Nic ich już nie powstrzyma — wyszeptał.

— Nieważne. Tu i tak nie znajdą schronienia. Trzymamy się planu. Zanim przełamiamy linię naszej obrony, nas już tu dawno nie będzie.

— Jak to?

Duncan wziął do ręki nadajnik. Podświetlenie jednego przycisku zgasło, ale dmגיעj nadal świecił tępy blaskiem, gotowy do wysadzenia w powietrze willi i całej wyspy.

— Ustawię minutnik na pół godziny — powiedział. — To powinno dać panu czas na zabranie Malika i dotarcie do helikoptera. Pilot jest uprzedzony. Nim pan tam dotrze, silniki już się będą grzać.

Bennett wyglądał na oszołomionego, ale szybko się otrząsnął. Skinął głową, a jego wzrok znów nabrał ostrości.

— Zaczynaj — rzucił.

Duncan uniósł nadajnik, ustawił licznik na trzydzieści minut i otworzył osłonkę przycisku. Z palcem nad przyciskiem raz jeszcze spojrzął na Bennetta.

Twoja ostatnia szansa na zmianę decyzji...

Zamiast odpowiedzi Bennett obrócił się na pięcie i bez słowa mszył do wyjścia.

Duncan uśmiechnął się i wcisnął przycisk.

Od tej chwili nie było już odwrotu.

Bennett zatrzymał się w progu.

— A co z tobą? — zapytał. — Mamy na ciebie poczekać?

— Nie. Polecę hydroplanem.

Duncan miał jeszcze coś do załatwienia. Widział przez wybite okna, że potyczka między statkiem a strażnikami na plaży wciąż trwa, tyle że przeszła teraz w statyczną wymianę ognia. Nie może pozwolić, by łódź uszła cało z wybuchu. Czas zaatakować ją z powietrza.

— A co z resztą ludzi na wyspie? — chciał wiedzieć Bennett.

Duncan mógł się tylko cieszyć, że rozmowa odbywa się

w cztery oczy. Jego ludzie muszą do końca zostać na pozycjach, by powstrzymać atak dzikich bestii.

Bennett czekał na odpowiedź, nie spuszczać z niego wzroku.

— Możemy zawsze zatmdnić nowych — usłyszał.

56

Lorna przepchnęła ostatnie z dzieci przez śluzę oddzielającą żłobek od pomieszczeń laboratoryjnych. Jej przepustowość była ograniczona i Lorna musiała trzykrotnie wracać, by przeprowadzić wszystkie dzieci.

Rozdzielone natychmiast wpadały w panikę i trzeba je było uspokajać i pocieszać. Rozumiała ich histeryczne reakcje. Malik mówił, że pomieszczenia żłobka mają w ścianach miedzianą siatkę po to, by chronić rozwijającą się inteligencję dzieci przed szkodliwymi wpływami zewnętrznymi. Dlatego też za każdym razem, gdy zostawiała na korytarzu gmpkę wyprowadzonych dzieci i wracała po następną, rozdzielający je miedziany ekran powodował chwilowe zerwanie więzi. Mogła tylko próbować wyobrazić sobie własną reakcję, gdyby nagle wycięto jej połowę mózgu.

W końcu zebrała wszystkie razem.

Zbiły się w gromadkę, wyraźnie potrzebując bliskiego kontaktu fizycznego i psychicznego.

Ale nie mogła im pozwolić na długie rozczulanie się nad sobą. Wyciągnęła pistolet zza paska spodni. Musi odnaleźć drogę do głównego laboratorium, a stamtąd przez willę na zewnątrz.

— Już cicho — zarządziła. — Trzymajcie się mnie.

Ruszyła korytarzem i dzieci kamie podążyły za nią. W nie-

387

znany otoczeniu poruszały się ostrożnie jak po lodzie, jakby nie były pewne, czy podłoga utrzyma ich ciężar. Niektóre z nich prawdopodobnie nigdy nie wyściubiły nosa poza żłobek.

Mimo to zachowywały się cicho, jakby wyczuwały zagrożenie.

Lorna starała się odtworzyć z pamięci drogę przebytą z laboratorium do żłobka. Żłobek mieścił się w najgłębszej części podziemnego kompleksu — zapewne po to, by dodatkowo odseparować dzieci grubą warstwą skał, ale także po to, by mogły do nich docierać tylko wybrane osoby z dostępem do największych tajemnic ośrodka. To się akurat dobrze składało.

Tocząca się na zewnątrz bitwa spowodowała, że korytarze były puste.

Wreszcie dotarła do schodów. Uniosła ostrzegawczo rękę, dając dzieciom znak, że mają się zatrzymać i poczekać, aż sprawdzi dalszą drogę. Pomszając się z maksymalną ostrożnością, weszła na podest piętro wyżej.

Ciągnący się korytarz mijał kawałek dalej gabinet zabiegowy, gdzie po raz pierwszy zobaczyła humanoida. Dalej powinno się mieścić główne laboratorium.

Dotarł do niej stłumiony gwar głosów i palce same zacisnęły się na kolbie pistoletu. Ile tam może być osób? Jeśli niezbyt dużo, może uda jej się zaszachować ich bronią i przeprowadzić dzieci. Musi

spróbować. Jedyne drogi do willi i na zewnątrz prowadzi przez laboratorium Malika.

Wszystko jedno, ilu ich tam jest, nie może tracić czasu.

Ruchem ręki przywołała dzieci.

— Szybciutko.

Maluchy wdrapały się po schodach i zatrzymały obok niej na korytarzu, coś jednak było nie tak.

Chłopiec, który pierwszy dotarł na górę, nagle skrzywił się i zasłonił uszy. Cała reszta znieruchomiła i zrobiła to samo.

Loma przyklekła.

— Co się stało?

Dzieci trwały jak skamieniałe, a na ich twarzach pojawił się grymas bólu i strachu.

388

Czas naglił, musieli iść dalej. Schyliła się i wzięła jedną z dziewczynek na rękę. W odróżnieniu od innych dzieci dziewczynka nie tylko się w nią nie wtuliła, ale wręcz zeszywniała w jej ramionach.

Loma nie miała teraz czasu na analizowanie przyczyn ich niepokoju. Ruszyła korytarzem z dziewczynką na rękach, reszta podążyła za nią, ale z ich gardeł zaczęło się wydobywać ciche pojękiwanie, niczym świst pary z przegrzanego czajnika. Wszystkie zakrywały sobie uszy.

Co im się stało?

Randy przytrzymał brata na wyciągnięcie rąk.

— Chryste, Jack. Jesteś rozpalony jak tramwaj w lipcu. A wyglądasz jeszcze gorzej. Jak na wpół martwy. Nie, cofam. Wyglądasz, jakbyś już nie żył.

Jack nie próbował protestować. Ledwo widział na oczy, każde uderzenie serca odbijało się bolesnym echem w głowie. Najgorsze było to, że dziwnie zdrętwiały mu ręce.

Ale przynajmniej udało mu się przedostać na główną wyspę.

I to w gronie sprzymierzeńców, jakkolwiek dziwnie to brzmiało.

— Co z nimi? — zapytał Kyle.

Brat Lomy stał o krok dalej z jednym z braci Thibodeaux. T-Bob dołączył do Randy'ego, Peeyot został na statku. Kyle trzymał przy piersi rękę w gipsie, owiniętym taśmą izolacyjną do rur, żeby nie zamókł. W drugiej ręce dzierżył sig sauera i z jego pewnego chwytu można się było domyślić, że to dla niego nie pierwszozna.

Dwaj pozostali członkowie ekipy — ciemnoskórzy kuzyni braci Thibodeaux — kryli się kawałek dalej wśród drzew. Obaj mieli w rękach strzelby, z pasów zwisały im toporki.

Wszyscy wpatrywali się w gromadę leśnych stworów, które skryły się między drzewami.

— Dlaczego wszystkie nagle się zatrzymały? — dociekał Kyle.

389

Jack się rozejrzał. Słońce schowało się za horyzontem i w lesie panował półmrok, a płomienie, które na sąsiedniej wyspie dotarły już do brzegu, rzucały na las tańczące cienie.

Mimo to Jack bez trudu wyłowił wzrokiem przywódcę leśnej armii, którego w myślach zaczął nazywać Bliźniakiem. Zwykle ruchliwy, jak reszta humanoidów i zwierząt, on też zamarł w bezruchu.

Chwilę wcześniej ekipy Jacka i Randy'ego połączyły się i ukryły w lesie. Pierwszy szok w grupie Randy'ego minął i Jack chciał jak najszybciej ruszać dalej, żeby nie tracić impetu natarcia. Jednak cała leśna armia nagle znieruchomiła, zastygając w różnych pozach.

Bliźniak stał z przekrzywioną głową, jakby wsłuchiwał się w dźwięki, które tylko on słyszał.

Podobnie zachowywali się wszyscy pozostali.

Nim Jack zdołał się zorientować, o co chodzi, Bliźniak nagle odwrócił głowę i obrzucił go zimnym spojrzeniem, po czym bez żadnego widocznego powodu cała grupa ożyła i mszyła dalej.

Przedtem Bliźniak spojrział na kogoś jeszcze: takiego jak on humanoida, tylko jednorękiego i pokrytego jeszcze liczniejszymi bliznami. Samiec wyglądał starzej, a większość jego blizn miała postać prostych kresek, co mogło wskazywać na ich chirurgiczne pochodzenie. Jack zauważył też, że do piersi ma przytroczony metalowy krążek, jakby osłaniał się prymitywną tarczą.

Bliźniak dotknął jego ramienia i oba stwory przez moment na siebie patrzyły, po czym jednoręki zawrócił i zagłębił się w las, kiemając się w inną stronę niż cała reszta.

Bliźniak mszył w górę zalesionego zbocza.

Cała armia mniejszych i większych stworzeń rozeszła się wachlarzem po stoku. Cztery wielkie koty pilnowały bocznych flank, wataha wilczurów wysforowała się do przodu, ogromne, podobne do leniwca stworzenie sadziło wielkimi susami. Jack po raz pierwszy dostrzegł też trzy czarne lisy wielkości dober-

390

manów, które poruszały się tak szybko i bezszelestnie, że bardziej przypominały cienie niż stworzenia z krwi i kości.

Po chwili cała trójka zniknęła w zaroślach.

W tłumie zwierząt kroczyło też kilkunastu pobratymców Bliźniaka uzbrojonych w prymitywną broń: dzidy, maczugi, kamienne toporki. Trzech trzymało w rękach automatyczne karabiny.

Jack mszył ich śladem. Nie miał wątpliwości, że lepiej od niego poradzą sobie w lesie, jednak wybierana przez nie droga nie zapowiadała się na łatwą.

Nie uszli nawet trzydziestu metrów, gdy na zarośla przed nimi spadł grad kuł. W mroku rozbłysły wystrzały, gęstwinę przeszły świecące pociski.

Zastawiono na nich zasadzkę.

Na ziemię runęły niemal przecięte na pół ciała idących na czele.

Koło ucha Jacka z gwizdem przeleciała kula.

Skrył się za pniem drzewa i uklęknął.

Krok dalej Kyle rzucił się na Randy'ego i powalił go na ziemię. Zrobił to dosłownie w ostatniej chwili, bo pocisk otarł się o daszek jego czapki i zrzucił mu ją z głowy.

Randy zaklął szpetnie, ale nie pod adresem brata Lomy.

— Moja, kurwa, ulubiona czapka.

— Jak przymkniesz jadaczkę, to ci kupię nową — burknął Kyle.

Randy spojrział na chłopaka, jakby go widział po raz pierwszy. Nad ich głowami gwizdnęły kolejne pociski i obaj na czworakach ukryli się za skalnym załomem.

Jack stracił z oczu Macka i Bruce'a, ale odzywające się z pobliskich krzaków serie z broni automatycznej świadczyły o tym, że obaj żyją. Jack też uniósł strzelbę gotowy rozpocząć szarżę w górę zbocza.

I wtedy rozległy się krzyki.

Jakby nieświadoma niebezpieczeństwa leśna armia ani na chwilę nie przestawała przeć do przodu.

Używając ciał zabitych

391

towarzyszy jak krwawych tarcz, stratowała snajperów i bez zatrzymywania się pomaszerowała dalej. Jeszcze bardziej niesamowite od ich determinacji było milczenie, w jakim się to wszystko odbywało.

Gwałtowna strzelanina stawała się coraz bardziej paniczna.

Z góry stoczył się kamień, podskakując na nierównościach zbocza. Przetoczył się tuż obok Jacka, a ten z przerażeniem stwierdził, że to nie kamień, ale ludzka głowa w hełmie.

Po chwili zapadła cisza i było po wszystkim.

Armia pomaszerowała dalej, torując drogę Jackowi i jego grupie.

— Nie zostawać w tyle! — zawołał. — Trzymać się ich!

Minęli miejsce krwawej jatki. Krwi popłynęło tu tyle, że grunt pod ich nogami zamienił się w błoto. Niektórzy żołnierze jeszcze żyli, pam próbowało się odczołgać, ciągnąc za sobą kikuty kończyn i wnętrzności z rozplatanych brzuchów.

Przerażony żołnierz bez połowy twarzy siedział oparty plecami o drzewo i mierząc do nich z pistoletu, raz za razem naciskał spust, choć jego magazynek był już od dawna pusty.

Minęli go bez słowa.

Po chwili nogi Jacka zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Chwiał się i potykał, mając wrażenie, jakby były z ołowiu. Jego oddech zamienił się w ciężkie rżenie. I tylko umysł pozostawał trzeźwy, a wszystkie zmysły były wyostrzone bardziej niż zwykle.

Czuł słodki zapach mianego kwiatka, słyszał chrzęst łamiących się pod jego stopami sosnowych

igieł i nawet panujący w lesie półmrok był dla niego za jasny.

Kawałek dalej z gęstwiny wyłoniła się willa. Zajęli pozycje na skraju lasu i Jack omiółł wzrokiem cel ich wyprawy.

Wszystkie okna na dole były zasłonięte stalowymi żaluzjami i budynek sprawiał wrażenie oblężonej fortecy. Tylko szczytowa wieża była w minie. Meble tekowe na patio, posiekane z broni maszynowej ze statku braci Thibodeaux, stanowiły żalosne kupki szczap.

392

Nagle u boku Jacka wyrósł Bliźniak. Znów wymienili się spojrzeniami i znów Jack odniósł wrażenie, że głowa za chwilę mu pęknie. Bliźniak wyciągnął rękę i ścisnął przedramię Jacka. Ten gest mógł równie dobrze oznaczać podziękowanie, jak i ostrzeżenie.

I Jack tak to zrozumiał.

Obaj dotarli do celu.

Teraz ich drogi się rozejdą.

57

Lorna ustawiła dzieci pod ścianą i zakradła się do wahadłowych drzwi prowadzących do głównego laboratorium. Zza drzwi dochodziły głosy.

— Ile nam jeszcze zostało?

Poznała głos Malika i usłyszała brzmiającą w nim panikę. Końcem lufy odchyliła drzwi i zajrzała do środka.

W jej polu widzenia znalazły się przez chwilę plecy Bennetta.

— Niecałe dwadzieścia minut — odparł cicho. — Więc lepiej się pospiesz.

Stojąc nad otwartą metalową walizką, Malik pakował twarde dyski. Obok niego stał przenośny termos do transportu zamrożonych próbek.

— A co z resztą mojego zespołu? — spytał doktor.

— Na straty — odrzekł ze smutkiem Bennett. — Dlatego wszystkich stąd odesłałem.

Ewakuacja odbywa się w ścisłej tajemnicy. Wiedzą o niej tylko ci, którzy muszą.

Jego słowa zdumiały Lomę. Dlaczego się ewakuują? I dlaczego tak nagle? Starła się wpasować ten nowy element w plany ucieczki. Może uda się to jakoś wykorzystać?

Bennett spojrział na zegarek.

— Zabieraj wszystko i chodźmy stąd.

Malik zatrzasnął walizkę i podał ją Bennettowi, sam wziął termos.

394

— Te szczepy wirusów muszą trafić do właściwego laboratorium w ciągu dwunastu godzin, inaczej możemy wszystko stracić.

— Rozumiem. Zajmiemy się wszystkim po drodze. Ruszyli do wyjścia, ale nie tego do willi.

Nad drzwiami

w głębi pomieszczenia świecił napis: „Wyjście awaryjne”. Dokąd może prowadzić?

Jakby słysząc jej nieme pytanie, Malik upewnił się:

— Czy to przejście do heliportu jest bezpieczne?

— Znajduje się poza bezpośrednim ostrzałem. A poza tym pilot jest uzbrojony.

Lorna stała ukiyta za drzwiami. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę poczuła, że budzi się w niej nadzieja. A więc istnieje inne wyjście! Jeśli pójdzie za nimi i zachowa bezpieczny odstęp, może uda się wyprowadzić dzieci, ukryć się z nimi w lesie i doczekać końca bitwy. Jednak szczęście jej nie dopisało.

Za plecami usłyszała ostry głos. Odwróciła się i w drzwiach do sali zabiegowej ujrzała patykowatego mężczyznę. Rozpoznała w nim laboranta, który wcześniej pobierał jej krew i wstrzykiwał hormony. Wątpliwości nie budził też wymierzony w nią karabin.

— Co ty tu robisz?! — wrzasnął. Powiółł wzrokiem po gromadce dzieci i kopniakiem odsunął te stojące najbliżej. Rzuć broń i wejdź do środka.

Lorna nie miała wyboru. Rozwarła dłoń i pistolet z brzękiem upadł na podłogę. Dzieci otoczyły ją wianuszkami. Cofnęła się i weszła przez wahadłowe drzwi do laboratorium. Malik i Bennett znieruchomieli i wlepili w nią wzrok.

— Doktor Polk? — Zdumienie w głosie Bennetta było podejrzane. Loma dostrzegła też, że jest zmieszany.

Malik wytrzeszczył oczy na widok Ignących do niej dzieci.

Ale mamy szczęście! — wykrzyknął radośnie. Bennett spojrział na niego pytająco.

— Przyda nam się para okazów. Będą doskonałym zasiewem dla naszego nowego ośrodka.

395

Pod Lorną ugięły się nogi. Przyprowadziła dzieci prosto w ręce potwora.

Laborant wyminął ją i wszedł do środka. Trzymał podniesiony z podłogi pistolet i celując w Lornę, rozglądał się po pomieszczeniu. Walizka z dokumentami, termos, otwarte wyjście awaryjne...

— Dokąd się wybieracie? — syknął.

Malik zrobił krok do przodu, oparł rękę na biodrze i lekko przechylił się na bok. Nie przestawał przy tym przypatrywać się dzieciom, jakby wyszukiwał wzrokiem najdojrzalszy melon na straganie.

— Nie będę cię okłamywał, Edwardzie. Zasłużyłeś przynajmniej na szczerość. Za mniej więcej siedemnaście minut cała wyspa wyleci w powietrze.

Laborant zachwiał się, a lufa pistoletu w jego ręku się zakołysała.

— Co takiego?

Lornę też zatkało. Dopiero teraz pojęła powód nerwowego pośpiechu.

— Ale nie martw się — ciągnął Malik — twoje wysiłki nie pójda na mame.

Laborant skierował lufę pistoletu w stronę obu mężczyzn.

— Zabierzcie mnie ze sobą.

— To niestety niemożliwe. Nie mamy miejsca. Zwłaszcza teraz. Musimy zabrać parę okazów.

Malik wyprostował się i w jego ręku nieoczekiwanie pojawił się mały pistolet z rękojeścią z masy perłowej. Wycelował w twarz laboranta i wystrzelił.

Huk był tak głośny, że Łomie zadzwoniło w uszach.

Edward mnął na plecy jak ścięte drzewo.

Ta wykonana z zimną krwią egzekucja zaszokowała nawet Bennetta.

Malik przeniósł wzrok na Bennetta, ale pistolet wycelował w Lornę.

— Możemy wziąć po jednym okazie. Posiadanie rozrodczej

396

pary co najmniej o rok przyspieszy rozpoczęcie nowego programu.

Bennett spojrział na zegarek. Nie było czasu na dyskusje.

— Wybieraj, które chcesz, i wnośmy się stąd — burknął.

Jego spojrzenie przez moment spoczęło na Łomie. Wcześniejszy przebłysk zmieszania jakby na dobre zagościł na jego twarzy. Loma podejrzewała, że zwykle nie uczestniczy w tego rodzaju bmdach, świadomie nie dostrzegając krwawej rzeczywistości swojego projektu. A teraz już nie może dłużej udawać niewiniątka.

Inaczej sprawa wyglądała z Malikiem. Od początku działał na pierwszej linii frontu i był po łokcie unurzany we krwi.

— Obawiam się, pani doktor, że będziemy musieli tu panią zostawić. Ma pani jeszcze całe... — spojrział na zegarek — piętnaście minut wolności.

Schylił się, złapał za ramię jednego z chłopców i uniósł go jak siatkę z zakupami.

— Potrzebujemy też okazu płci żeńskiej. Niech pan weźmie tamtą.

Końcem pistoletu wskazał dziewczynkę.

Bennett schylił się i podniósł ją delikatnie. Jego wzrok znów spoczął na Łomie.

— Przykro mi — powiedział cicho.

Ruszyli do wyjścia i w tym momencie wszystko aż zakołysało się od potężnej eksplozji.

Podmuch był tak silny, że zwałił Lornę z nóg i rzucił do tyłu. Upadła na podłogę, a koło jej twarzy śmignęła płonąca książka, ciągnąc za sobą smugę popiołu. W powietrzu fruwały jakieś przedmioty. Z tmdem podparła się na łokciu.

Dzieci rzuciło o przeciwległą ścianę, Malik i Bennett leżeli rozciągnięci na podłodze, twarzami do dołu.



Loma poszukała wzrokiem broni.

Ciało laboranta potoczyło się pod stół. Nigdzie nie widziała pistoletu, ale jego ramię wciąż oplatało karabin.

Gdyby tylko dała radę go dosięgnąć...

397

Ale Malik już zaczynał wstawać.

Bennett przekreślił się na plecy. Padając, osłonił dziewczynkę własnym ciałem i wciąż tulił ją do siebie.

Loma zaczęła ostrożnie sunąć w stronę karabinu, gdy nagle coś wielkiego wypadło z tunelu, zatrzymało się na środku pomieszczenia i przypadło do podłogi. Ze zdumieniem ujrzała przed sobą potężnego tygrysa. Bestia ryknęła groźnie, w otwartym pysku widać było zwinięty czamy jęzor i szablaste kły.

Malik odczołgał się bokiem jak krab.

Bennett zamarł w bezmchu ledwie parę metrów od potwora.

Loma rozpoznała w nim widzianego na wideo tygrysa z dmgiej wyspy. Psychotyczna banda widocznie uwolniła się z więzienia i zjawiła tu, płonąć żądzą zemsty. Teraz już rozumiała, dlaczego ludzie Bennetta postanowili zniszczyć wszystko do korzeni.

Laboratorium zaczęło się wypełniać kolejnymi postaciami, które wciskały się do środka przez krótki tunel łączący je z willą. Wydobywające się z niego kłęby dymu i jęzory ognia ograniczały widoczność, ale Loma nie miała wątpliwości, że część z nich porusza się wyprostowana na dwóch nogach.

Malikowi jakimś cudem udało się doczołgać do wyjścia awaryjnego i nie wypuścić z rąk termosu kriogenicznego. Zerwał się na nogi i przyciskając go do piersi, mszył pędem w głąb tunelu.

Bennetta otaczał tłum leśnych monstrów, blokując drogę ucieczki.

Do przodu wysunął się jeden z humanoidów bez ucha i z twarzą całą w bliznach. Loma jego też widziała na wideo. Był mężem kobiety w ciąży, którą Bennett nazwał Ewą.

To czyni z niego Adama, pomyślała.

Trzymając długą włócznię, podszedł do Bennetta.

Ten nawet nie próbował uciekać czy walczyć. Jedno ani dmgie nie wchodziło w rachubę.

I wtedy nagle gromada dzieci rzuciła się ku niemu jak ptaki broniące gniazda. Jakby chcąc dołączyć do tulonej przez niego

398

dziewczynki, zaczęły się na niego gramolić i osłaniać własnymi ciałami.

Adam przyglądał się temu bez mchu. Zza jego pleców wyrzało więcej humanoidów.

W drzwiach stanęło umięśnione zwierzę i szurając po podłodze potężnymi pazurami, weszło do środka. Był to olbrzymi leniwiec z rodziny trójpalczastych, które w tych stronach wymarły wieki temu i który zapewne został odtworzony dzięki genetycznej wrzutce. Futro na jego boku spłonęło do gołej skóry i wciąż jeszcze się tliło.

Powiódł wielkimi ślepiami po wnętrzu i podszedł do grupki humanoidów wpatrzonych w dzieci.

Bennettowi udało się w końcu usiąść. Widać było, że zachowanie dzieci go zaskoczyło. Podnosząc się, odepchnął kilkoro z nich, ale one, niezniechęcone, ustawiły się między nim a dorosłymi.

Ich małe oczka ani na moment nie przestawały się w nich Wpatrywać.

Wyglądało to tak, jakby między grupami toczyła się bezgłówna wymiana myśli.

Ze zrujnowanego wejścia do tunelu dobiegły głosy. Loma Ma na wpół ogłuszona hukiem i nie bardzo rozumiała, ale °dniosła wrażenie, że ktoś rozmawia po angielsku.

Z dymu wynurzyła się kolejna wyprostowana postać na dwóch nogach. Tylko że tym razem nie był to humanoid. Zobaczyła coś tak niewiarygodnego, że aż ją zatkało. Z tmdem wstała. — Jack?

58

Na dźwięk swojego imienia Jack poczuł ogromną ulgę. Mrugając gwałtownie, pozbył się łez z piekących oczu i chwiejnym krokiem ruszył w głąb pomieszczenia, które przypominało pracownię oszalałego naukowca. Podłoga była zasłana tłącymi się i dymiącymi szczapami.

Wyteżył wzrok i dostrzegł podnoszącą się z podłogi postać.

Loma...

Ruszył w jej stronę.

A ona mszyła ku niemu.

Wyciągnął ramiona i zmiądzzył ją w uścisku, wciągając jej zapach. Czuł na piersi bicie jej serca. Jej miękki i gładki policzek wtulił się w jego szyję. Chcąc się upewnić, że to naprawdę ona, a nie majak rozgorączkowanego umysłu, przytulił ją jeszcze mocniej.

Jego zdaniem zbyt gwałtownie wyzwoliła się z uścisku. Wpatmjąc się w niego szeroko otwartymi, pełnymi troski oczami, położyła dłoń na jego piersi okrytej strzępami podartej koszuli. Rękę miała zimną jak lód.

— Jesteś strasznie rozpalony.

Zacisnął palce na jej dłoni.

— To nic, to tylko gorączka. Grypa. Nieważne.

Nie wyglądała na przekonaną, ale miała w tej chwili pilniejsze sprawy na głowie. Ujęła jego dłoń.

400

— Jack, wyspa jest zaminowana. Za jakieś dziesięć minut wyleci w powietrze.

Jack zeszytniał. Miał w pamięci strasliwą dewastację sąsiedniej wyspy. A więc nie tylko tam.

Dranie postanowili wszystko zniszczyć, spalić za sobą wszelkie ślady

— Musimy natychmiast stąd uciekać — powiedziała z naciskiem.

Wziął ją za rękę i mszył do wyjścia, ale do środka wchodzili kolejni wojownicy Bliźniaka i zablokowali przejście.

Jack podszedł do Bliźniaka i spojrzał mu w twarz. Musiał go ostrzec.

— Trzeba uciekać! — powiedział, wyciągając rękę w stronę wyjścia. — Teraz!

Bliźniak jednak zignorował jego słowa. Stał wpatrzony w gromadkę dzieci, a one wpatrywały się w niego. Toczyła się między nimi milcząca wojna na siłę woli.

Jack nie miał czasu czekać na wynik.

Wkroczył między Bliźniaka a dzieci.

Humanoid przeniósł na niego spojrzenie i efekt był piorunujący. Jackowi zawirowało w oczach, poczuł w głowie kłujący ból i ciężko dysząc, opadł na kolana. Przez głowę przemknął mu ciąg obrazów: rozbryzg krwi, błysk skalpela, skórzane pasy, rozkrojone ciało.

Każdemu kolejnemu obrazowi towarzyszył spazm bólu.

A potem poczuł, że coś go odciąga na bok, ciśnienie w czaszce opada, wraca zdolność widzenia.

— Jak się czujesz? — spytała Loma, która przyklękła obok.

Jack dotknął czoła, jakby oczekiwał, że zamiast niego znajdzie zgruchotaną kość.

— Chyba dobrze.

Uniósł głowę i spojrzał na Bliźniaka. Ten stał niepomszony, znów wlepiając groźne spojrzenie w dzieci. Jack nie miał już żadnych wątpliwości. Jeśli nawet było między nimi coś w rodzaju przymierza, teraz już nie obowiązuje.

401

Przeniósł wzrok na Lornę.

— Nie pozwolą nam stąd wyjść — szepnął.

Ciężko dysząc, Malik wbiegał na ostatnie stopnie schodów. Przed nim majaczyło jaśniejące w mroku wyjście z tunelu. Pędził ku ocaleniu, kurczowo przyciskając do piersi termos z próbkami. Po spaleniu i zalaniu wapnem przez siepaczy Saddama oryginalnego źródła w Bagdadzie w termosie znajdował się jedyny istniejący szczep wirusa.

Z nim będzie mógł zacząć od nowa. Z Bennettem lub bez niego.

Z zamrożonego ziarna wyrosną całe armie.

I nieważne, kto sfinansuje jego badania. Zawsze znajdzie się jakiś rząd, który będzie chciał wyasygnować środki na taki cel. Jeśli nie amerykański, to inny. Jako wolny strzelec Malik będzie mógł zażądać każdej ceny.

Dotarł do końca tunelu i wyskoczył na zewnątrz.

Słońce już zaszło, ale niebo na zachodzie wciąż płonęło na pomarańczowo.

Zbudowane na szczycie wzniesienia lądowisko ograniczało się do wyasfaltowanego placyka z koncentrycznymi kręgami. Asfalt chronił je przed inwazją leśnej roślinności. Malik mszył pod górę wysypaną zwirem ścieżką, słysząc już głęboki warkot. Dotarł na szczyt wzniesienia i stwierdził, że wirniki śmigłowca się obracają.

Wszedł na asfalt i krzyknął na pilota.

Ubrany w lotniczą kurtkę stał na skraju lądowiska, wpatmjąc się w ciągnącą się na dole plażę.

Usłyszawszy wołanie, pstryknął niedopałkiem, który poleciał w dół w obłoczku popiołu, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę śmigłowca.

Malik czekał na niego przy otwartych drzwiach.

— A gdzie pan Bennett?

Na twarzy Malika pojawił się wyraz bóleści i żalu.

— Niestety, nie żyje. Wpadł w zasadzkę.

402

Pilot popatrzył na tunel, jakby się upewniał, czy Malik nie kręci, a ten ostentacyjnie spojrział na zegarek.

— Zostało nam niecałe dziesięć minut. Albo wystartujemy natychmiast, albo wcale.

Pilot nie omieszkał sprawdzić tego na własnym zegarku, po czym skinął głową.

— Niech pan wsiada. Trzeba kawałek odlecieć, zanim to wybuchnie.

Malik usiadł z tyłu, a pilot usadowił się za sterami. Po chwili silniki ryknęły i wirniki nabrały szybkości. Płozy oderwały się od asfaltu i Malik poczuł gniecenie w dołku.

Już samo oderwanie się od wyspy wystarczyło, by walące serce Malika uspokoiło się i zaczęło bić normalnie. Rozsiadł się na fotelu, umieścił swój zamrożony skarb na kolanach i wyrżał przez okno. Czubki drzew szybko się oddalały, a rozciągający się wokół bezmiar morza był jak obietnica nowego życia. Pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

Pilot odwrócił głowę i przekrzykując łoskot wirników, zawołał:

— Co tu tak śmierdzi?

Malik nie bardzo wiedział, o co mu chodzi, ale na wszelki wypadek pociągnął nosem. Może wyciek gazu z termosu. W pośpiechu nie miał czasu sprawdzić jego szczelności.

— Co pan tam wiezie?! — wrzasnął pilot. — Śmierdzi, jakby się jakiś zwierzak sfajdał!

Dopiero teraz Malik poczuł gnilną woń. Tak przywykł do różnych smrodów, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi. W laboratorium wciąż coś śmierdziało, a smród wsiąkał w ubranie, we włosy, nawet w pory skóry. Powąchał swoją koszulę. Pachniała proszkiem do prania.

Podniósł głowę i poczuł, że smród staje się coraz intensywniejszy. I że to nie on jest jego źródłem. Poczul ciarki na plecach.

Spojrział na niewielką skrzynię na podręczny bagaż za fotelem. Z bijącym sercem wychylił się i zajrzał do środka.

403

Ze skrzyni patrzyła na niego twarz humanoida, wykrzywiona w zjadliwym uśmieszku. Stwór musiał się tam dostać, kiedy pilot poszedł zapalić. Malik zauważył na jego ciele stare blizny pooperacyjne... a także przytroczony do piersi krążek.

Mina żyletkowa.

Rok wcześniej Duncan przetestował wybuch takiej miny na stworze, który ośmielił się uderzyć jednego z jego ludzi. Malik widział potem jego ciało. Mięśnie zostały oddarte od kości i według słów Duncana okazał żył jeszcze przez pełną minutę po wybuchu.

Malik poczuł paraliżujący strach.

— Nie — jęknął. — Proszę...

Stwór uśmiechnął się zimno, uniosł rękę i nacisnął wyzwalacz pośrodku miny.

Loma usłyszała daleką eksplozję i w pierwszej chwili wystraszyła się, że to początek wysadzania wyspy, minęła jednak chwila i nic więcej się nie wydarzyło.

Powinniśmy mieć jeszcze około ośmiu minut, policzyła w myślach.

Tylko co mają zrobić z tymi ostatnimi minutami życia?

Stojąc obok Jacka, przyglądała się milczącej próbie sił między dziećmi a dorosłymi. Nie rozumiała,

o co w niej chodzi, ale domyślała się, że dwie inteligencje — jedna rodząca się i czysta, dmga znękana i pogruchotana — walczą o dominację. A może nie? Może nie walczą, tylko sprawdzają wzajemne dopasowanie? Rozwijały się oddzielnie i ich porozumienie może nie być możliwe. Jak dramatyczne musi być spotkanie z własnymi dziećmi, z którymi nie sposób porozumieć się na głębszym poziomie?

W końcu chyba doszło jednak do przełamania impasu, bo jedno z dzieci wyciągnęło rękę i chwyciło dłoń Bennetta. Mężczyzna spojrział na malucha. Twarz miał zakrwawioną, a nos złamany od zderzenia z podłogą.

404

Poruszając się z dziwną stadną synchronizacją, gromada dzieci podjęła otwartą konfrontację z liczniejszą grupą dorosłych humanoidów i zwierząt. Sprawiając wrażenie nienaturalnie spokojnych, dzieci wzięły się za ręce i połączyły w sieć; Lorna nie miała wątpliwości, że jest to coś więcej niż tylko czysto fizyczne dodawanie sobie animuszu.

Schyliła się i pomogła Jackowi wstać, a dzieci otoczyły ich ciasnym pierścieniem. Jakaś dziewczynka wyciągnęła rączkę i Loma ją ujęła, nie wypuszczając dłoni Jacka.

Dzieci pociągnęły ją i poprowadziły w stronę tłumu osobników blokujących wyjście, jednak humanoid nazywany przez nią Adamem nie odsunął się.

Dziecko idące jako pierwsze — najmniejszy chłopczyk ze wszystkich — wyciągnęło do niego rękę. Adam spojrział na nią i na jego twarzy pojawiła się mieszanina żalu i bólu. Nie ujął ręki dziecka, ale usunął się na bok, jakby bał się jej dotknąć.

Czy przeważała myśl o dzieciach, czy o sobie samym?

Idąc za jego przykładem, tłum zwierząt i humanoidów rozstał się i zrobił przejście. Pozwalają im odejść... może wręcz odpychają od siebie. W każdym razie droga do wyjścia była wolna. Chłopczyk mszył przodem, a reszta dzieci podążyła za nim, cały czas otaczając Bennetta, Lome i Jacka.

Chwilę później Loma znalazła się w pełnym książek gabinecie. Czuła się tak, jakby od jej pierwszej bytności w tym pomieszczeniu minęły wieki.

W gabinecie też było pełno leśnych stworów, ale pozwolono wszystkim przejść bez przeszkód. W korytarzu za gabinetem czekała gmpa mężczyzn, z których jeden poderwał się i podbiegł do niej.

— Loma!

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Kyle!

Na widok Jacka zapaliła się w niej iskierka nadziei, że brat też wyszedł z tego cało, ale bała się spytać.

405

Kyle odepchnął Jacka i wziął ją w objęcia.

— Nigdy więcej tego nie rób! — wykrzyknął.

Lorna nie była pewna, czego ma nie robić, ale skwapliwie pokiwała głową.

— Obiecuję.

Patrząc nad ramieniem Kyle'a, widziała, jak Jack podchodzi do brata i coś do niego mówi, gwałtownie gestykulując. Randy aż się wzdrygnął, obrócił na pięcie i popędził do wyjścia. Pozostali mszyli za nim, któryś już miał przy ustach radiotelefon i coś do niego mówił.

Jack zawrócił i dołączył do rodzeństwa.

— T-Bob wzywa więcej pontonów. Spotkamy się na plaży. Jeśli mamy zdążyć przed wybuchem, trzeba się pospieszyć.

— Wybuchem? Jakim wybuchem? — zdziwił się Kyle.

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Jack wykonał zwrot do tyłu

i zachwiał się. Loma wyciągnęła rękę, żeby go podtrzymać, ale wymusnęła się jej i mnął twarzą na podłogę.

— Jack!

Doskoczyła do niego i ukłękła. Czuła, że coś z nim jest nie w porządku. Złapała go za rękę. Zaczął dygotać i rzucać się jak w napadzie epilepsji. Obawiała się najgorszego.

Kyle pomógł obrócić go na plecy.

Dotykając jego rozpalonej skóry, czuła wzbierające w nim drgawki. Mięśnie przeżyły się i skręcały w gwałtownych skurczach. Źrenice uciekły do tyłu, zostawiając tylko przekrwione białka. Resztkę sił w końcu go opuściła.

Przyłożyła dłoń do jego policzka. Pod jej dotykiem źrenice wróciły na swoje miejsce i Jack z wysiłkiem skupił na niej wzrok. Jego wargi się pomszyły. Przybliżyła do nich twarz.

Poczuła na uchu jego gorący oddech.

— Tom nie żyje — wyszeptał.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co ma z tym wspólnego jego młodszy brat, potem jednak dojrzała w jego wzroku coś, co być może zawsze tam było i tylko ona starała się tego nie dostrzegać. Tak jak odrzucała własne odczucia, traktując je jako echo innej miłości, do innego chłopaka. Tom nie żyje.

Z kącika oka Jacka spłynęła łza. Chciał jej to powiedzieć, zanim będzie za późno. Może nawet powiedzieć coś więcej.

— Jack...

Ale on już stracił przytomność. Oczy mu się zaszkliły, ciało wygięło w ostry łuk, a kończyny spazmatycznie skręciły. Loma położyła się na nim i docisnęła do podłogi.

— Pomóżcie mi go przytrzymać! — zawołała.

Kyle podtrzymał mu głowę, podbiegło dwóch mężczyzn ubranych jak Jack.

— Co możemy zrobić?! — wykrzyknął wyższy z nich.

— Nic — rzekł stojący dwa kroki dalej Bennett i popatrzył na Lornę. Ich spojrzenia spotkały się nad konwulsyjnie drgającym ciałem Jacka. — Już to widziałem. Zbyt często. Został zainfekowany.

Łomie przyszło to do głowy już wtedy, gdy pierwszy raz objęła Jacka. Pamiętała słowa Malika o białku we krwi i ślinie genetycznie zmodyfikowanych zwierząt. O tym, jak się samo powieliła i po pokonaniu bariery krew—mózg rozprzestrzenia w korze mózgowej jak pożar w buszu.

— Nie ma nadziei — dodał Bennett.

Jednak Loma nie miała zamiaru się poddawać. Wyprostowała się i wskazała drzwi.

— Zanieście go do łodzi — poleciała.

— Co chcesz zrobić? — zaniepokoił się Kyle.

Loma odwróciła się i bez słowa zawróciła do laboratorium.

— Jeszcze nigdy nikomu się nie udało z tego wyjść! — zawołał za nią Bennett.

Loma zaczęła przepychać się przez tłum stworów. Bennett się mylił. Komuś się udało.

59

Sapiąc ze złości, Duncan parł ku zatoczce z prywatną przystanią. Od zbudowanej na palach szopy na łodzi biegła kamienista keja, na której końcu stał zacumowany hydroplan, nieduża cessna. Słońce już zaszło, ale wody zatoczki wciąż lśniły jak odlane z brązu.

Sielski widok cichej zatoczki z dala od bitewnego zgielku nieco ukoił jego nerwy i pozwolił uporządkować w myślach plany.

Na ramieniu dźwigał plecak pełen gotówki i złotych monet, które wyjął z sejfu Bennetta. Miał zamiar przekazać go Ben-nettowi po bezpiecznym powrocie do Stanów.

Jednak przed chwilą sytuacja gwałtownie się zmieniła.

Pokonując wzniesienie oddzielające zatoczkę z przystanią od głównej zatoki, z satysfakcją obserwował start śmigłowca Bennetta. Cieszyło go, że wszystko odbyło się gładko i zgodnie z planem. Ruszył w dół do przystani i chwilę później usłyszał potężną eksplozję, która przetoczyła się echem po całej wyspie.

Odwrócił się w porę, by zobaczyć, że śmigłowiec przechyla się do przodu i zaczyna pikować w chmurze dymu i płonących szczątków. Po chwili maszyna wpadła w śmiertelny korkociąg i mnęła na zalesione zbocze.

Miejsce katastrofy rozświetliła krwista plama ognia, która w przedwiecznym mroku rozbłysła jak ostrzegawcza czerwona latarnia.

408

Duncan rozumiał to płomieniste przesłanie.

Wszystko stracone.

W katastrofie zginęli Bennett i Malik, a wraz z nimi szansa na ponowne uruchomienie projektu „Babilon”. Nie wiedział, co spowodowało wybuch śmigłowca: podłożona bomba, kolejna celna rakietka czy przypadkowa seria z ręcznej broni maszynowej.

Ale to już nie miało znaczenia.

Musi się teraz zmierzyć z nową rzeczywistością. Jest szczęściarzem, któremu zawsze się udaje — świadczyły o tym jego blizny. W plecaku ma ponad sto tysięcy w gotówce i złocie, a to pozwoli mu zacząć od nowa. Pierwotnie miał zamiar wykorzystać hydroplan do zbombardowania wrogiego statku i w tym celu dźwigał na dźwig ramieniu torbę z bombą.

Po zejściu na kamienisty brzeg zsunął ją jednak z ramienia i zostawił. Teraz nie ma już znaczenia, czy statek przetrwa zbliżającą się zagładę wyspy. Zanim cokolwiek z tego, co się tu wydarzyło, dotrze do zewnętrznego świata, on zdąży zniknąć bez śladu.

Teraz musi jak najszybciej się stąd wydostać.

Przyspieszył kroku i mszył ku kamienistej kei.

Do wybuchu zostało jeszcze pięć minut. Aż za dużo, żeby zdążyć wystartować i odlecieć na bezpieczną odległość. Ale nie chciał niepotrzebnie zwlekać.

Dotarł do kamiennego pomostu i szybkim krokiem skierował się do szopy

Gdy się do niej zbliżał, złe przecucie zjeżyło mu włoski na karku. Przystanął. Jakby czując, że zasadzka została odkryta, zza szopy wyłoniło się coś ciemnego. Sięgało Duncanowi do pasa, grzbiet miało pokryty czarną sierścią, która kończyła się kudłatym ogonem. Stało, wlepiając w niego pomarańczowoczer-wone ślepie.

Duncan rozpoznał w zwierzęciu ogromnego lisa z sąsiedniej wyspy.

Czarnego upiora, jak je nazywał jeden z jego ludzi.

Nie panikując, sięgnął do pasa, wyciągnął pistolet, wycelował

409

i wystrzelił. Ale potwór zasłużył na swoje przezwisko, bo jak duch czmychnął na bok.

Pociski odbiły się rykoszetem od kamieni.

Duncan cofnął się, ale nie było dokąd uciekać. Wyspa za chwilę rozleci się na kawałki. Zmusił się do zatrzymania. Rozum nakazywał rzucić się na bestię i władować w nią cały magazynek. Wiedział że za wszelką cenę musi dotrzeć do hydroplanu, jednak serce zadrżało mu na myśl o bezpośredniej konfrontacji z drapieżnikiem.

Na czoło wystąpiły mu krople potu, dłonie zwilgotniały.

Jednak nie miał wyboru.

Wziął pistolet w obie ręce, wyciągnął je przed siebie i ruszył wprost na potwora. Biegając, raz za razem naciskał spust.

Kilka pocisków chybiło, kilka dosięgło celu.

Jedna z kul roztrzaskała przednią łapę i potwór zachwiał się i przechylił na bok. Inna rozharatała mu lewe ucho, jeszcze inna trafiła prosto w klatkę piersiową. Bestia przewróciła się na bok, ale Duncan nie przestawał strzelać, póki nie opróżnił całego magazynka.

Ani na moment nie zwolnił, szykując się do przeskoczenia nad leżącym cielskiem. Od zacumowanego hydroplanu dzieliło go tylko parę kroków.

I wtedy w plecy walnęło go coś ciężkiego, rzucając twarzą na kamienny pomost. W ostatniej chwili udało mu się przekreślić i przyjąć impet uderzenia na ramię. Zobaczył, jak obok przemyka duży cień.

Następny lis.

Od razu pojął ich taktykę polowania. Pierwszy lis był przynętą pozwalającą drugiemu zaatakować go od tyłu. Patrzył, jak dźwiga lis zatrzymuje się i odwraca pyskiem do niego.

Duncan wytrząsnął pusty magazynek i wsunął pełny.

A także wyciągnął wnioski z otrzymanej lekcji.

Pamiętał, że na wyspie żyły trzy takie lisy.

Szarpnął się do tyłu i zobaczył trzeciego. Stał z rozjarzonymi ślepiami tuż za nim i mnał na niego, zanim Duncan zdążył

410

wystrzelić. Szczęki zwierzęcia zamknęły się na jego przegubie, kości chrupnęły, pistolet wypadł z bezwładnej dłoni.

Duncan walnął zwierzę wolną ręką.

Ale bestia mocno trzymała.

Do ataku dołączył drugi lis. Podbiegł i z siłą wnyków na grubą zwierzynę zacisnął szczęki na nodze Duncana. A potem oba potwory szarpnęły w przeciwne strony, jak psy walczące

o kość. Stawy barkowy i biodrowy aż zajęczały, ścięgna puściły, główki kości wyskoczyły z panewek. Te potwory próbują mnie rozerwać na pół, przemknęło mu przez głowę.

Ale znów się pomylił.

W jego polu widzenia pojawił się kolejny cień. Trzeci lis, wciąż żywy. Kulał na trzech łapach, z ran sączyła się krew.

Zrozumiał, że tamte ciągną go nie po to, by go rozerwać, lecz by go uniemchomić.

Ranny lis zawarczał i obnażył ostre zęby długości ludzkich palców.

Nie...

Zwierzę zatopilo zęby w jego naprężonym brzuchu, jednym mchem rozszarpując ubranie, skórę i mięśnie. A potem zanurzyło w nim pysk i Duncan poczuł w sobie jego zęby.

Lisy chcą pożreć go żywcem.

Tyle że raz jeszcze się pomylił.

Lis się cofnął, wyciągając z brzucha ociekający krwią pysk

1 zaczął się cofać z końcem jelita w pysku, jakby chciał go żywcem wypatroszyć. Duncana zalała fala bólu i przerażenia.

W końcu zrozumiał ich zamiary.

Czekają go męczarnie potworniejsze od najgorszych nocnych koszmarów.

Lisy nie mają zamiaru pożreć go żywcem.

Mają zamiar się nim pobawić.

57

Lorna wypadła z willi i pobiegła przez patio na plażę. Znalazła w laboratorium to, czego szukała.

Za nią sunęła cała leśna armia, jakby poruszona jej pośpiechem.

Dostrzegła swoich na samym brzegu plaży.

Na płyciźnie kołysały się dwa wielkie zodiaki. Ładowano do nich dzieci, a także bezwładne ciało Jacka.

Czy on jeszcze żyje?

Przyspieszyła, wiedząc, że czas nieubłaganie ucieka.

Dotarła do linii wody i w tym momencie coś chwyciło ją za rękę i szarpnęło tak, że musiała się zatrzymać. Nie upadła tylko dlatego, że to coś trzymało jej rękę w żelaznym uścisku.

Obok niej stał pokryty bliznami humanoid. Spróbowała oswobodzić rękę, ale trzymał ją jak w imadle. Odwrócił ją do siebie i już miała zacząć wzywać pomocy, gdy z pokrytych kwiatami zarośli wyłoniła się kolejna sylwetka. Humanoid kobieta. Piersi miała nabrzmiałe, brzuch wydęty, ale w ramionach trzymała dziecko, a właściwie — sądząc po wyglądzie — ośeska. Niemowlę owinięte w liść bananowca.

Dziecko Ewy.

Kobieta szczęśliwie urodziła.

Podeszła do Łomy i wyciągnęła niemowlę w jej stronę. Loma pokręciła głową, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Ewa podeszła bliżej i zaczęła wciskać jej dziecko.

412

— Nie...

Mężczyzna bezceremonialnie szturchnął ją od tyłu.

Oczy Ewy lśniły niemą prośbą.

W końcu Lorna uniosła ręce i wzięła dziecko. Ewa odwróciła głowę i wtuliła twarz w pierś partnera. Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę pontonów.

Chcą, żeby wzięła ze sobą ich dziecko.

Zrobiła krok do tyłu, jedną ręką uniosła maleństwo, drugą skinęła na nich.

— Płyńcie z nami — powiedziała.

Jej propozycja została jednak zignorowana. Para humanoidów bez słowa zawróciła w stronę zarośli, a leśna armia mszyła ich śladem.

Loma podbiegła za nimi.

— To niebezpieczne! — zawołała. — Chodźcie ze mną!

Adam odwrócił się i zawarczał. Dla niego dyskusja najwyraźniej się skończyła. Ewa, zanim skryła się w zaroślach, odwróciła głowę. Po jej policzkach płynęły łzy, ale w spojrzeniu była też ulga. Podjęli decyzję i nic nie mogło jej zmienić.

— Loma! — usłyszała wołanie Kyle'a. — Szybciej!

Loma przytuliła niemowlę do piersi i puściła się biegiem w stronę pontonów.

Kyle czekał, by jej pomóc. Spojrzał na jej ręce i zmarszczył czoło.

— Co ty tam masz? To dziecko?

Loma zignorowała pytanie i mszyła do zodiaka, w którym umieszczono Jacka. Poza nim i jego ludźmi była w nim też połowa dzieci i Bennett. Podała mu niemowlę i wgramoliła się do środka. Bennett spojrział na nią i uniósł pytająco brwi.

— To dziecko Ewy — wyjaśniła.

Bennett wpatrywał się w niemowlę oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia, zaciekawione dzieci przysunęły się bliżej.

Pilot zodiaka umchomił silnik i łódź zaczęła się oddalać od brzegu, w ślad za nią popłynął drugi ponton. Woda w zatoce

413

była gładka niczym tafla szkła, łodzie szybko nabrały prędkości i popędziły ku otwartemu morzu. Statek już wcześniej umchomił silniki i zdążył prawie wypłynąć z zatoki.

Loma pochyliła się nad Jackiem. Roślejszy z jego dwóch kompanów kuczał obok niego na dnie łodzi.

— Wciąż oddycha — rzucił w stronę Lomy. — Na razie.

Położyła dłoń na ramieniu Jacka. Nawet przez warstwę materiału czuła trawiającą go gorączkę. Jego mięśnie drgały konwulsyjnie w spalającym go, niekończącym się ataku.

Nie zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, gdy spokojna woda zatoki gwałtownie się zmarszczyła i przetoczył się po niej potężny grzmot.

— Trzymajcie się! — wrzasnął pilot.

Na oczach Lomy willa dosłownie rozpadła się na kawałki w jednym potężnym wybuchu, któremu towarzyszył ogromny słup gęstego czarnego dymu. Słup wzniósł się wysoko w niebo i widać w nim było buzujący rdzeń piekielnego ognia. Mimo że byli już daleko od brzegu i pędzili z pełną szybkością, poczuli gwałtowny podmuch gorącego powietrza.

Ale na tym się nie skończyło.

Po chwili nastąpił drugi wybuch, potężniejszy niż pierwszy. Tym razem rozerwany został cały wierzchołek wyspy, a strzelający w niebo słup dymu przybrał kształt grzyba. Na wody zatoki zaczął spadać deszcz kawałków gruzu, niektóre wielkości samochodu. Na szczęście obie łodzie zdążyły odpłynąć wystarczająco daleko.

Dotarła do nich tylko ogromna fala, która ich uniosła i jeszcze szybciej oddaliła od brzegu.

Loma nie odrywała wzroku od płonącej wyspy.

Wreszcie przeniosła wzrok na pilota.

— Musimy go jak najszybciej dowieźć na statek — powiedziała.

Zaczynała się obawiać o życie Jacka, a zrobienie tego, co miała zamiar zrobić, tu nie wchodziło w rachubę.

414

Modliła się w duchu, żeby nie było za późno.

Bennett przypatrywał się jej podejrzliwie.



— Co pani chce z nim zrobić? Już pani mówiłem, że nikomu nie udało się przeżyć.

— Duncanowi się udało.

Bennetta zdumiały jej słowa.

Loma czuła potrzebę wygadania się.

— Powiedział pan, że w Iraku padł ofiarą wczesnej odmiany zmodyfikowanego osobnika, a mimo to przeżył. Więc czym się różnił od innych?

Bennett pokręcił bezradnie głową.

— Mówił pan, że obrażenia Duncana były tak poważne, że cały tydzień leżał w śpiączce. I na tym polega różnica. To śmiertcionośne białko w szczególny sposób atakuje mózg. Dlatego jedynym sposobem dla mózgu, by obronić się przed takim atakiem, jest się wyłączyć i przeczekać, aż infekcja się wypali. Myślę, że dlatego Duncan nie zachorował.

Bennett zmarszczył czoło.

— Więc co ma pani zamiar z nim zrobić?

Loma westchnęła i popatrzyła na statek w oddali. Wiedziała, że to zabrzmi, jakby postradała zmysły, ale musiała się na to zdobyć.

Przeniosła wzrok na Jacka i odpowiedziała na pytanie Bennetta:

— Wprowadzić go w stan śpiączki farmakologicznej.

61

— Co ty chcesz zrobić mojemu bratu?

W głosie Randy'ego słycać było niedowierzanie.

Loma towarzyszyła nieprzytomnemu Jackowi pod pokład statku. Zniósł go tam Mack, a dmgi z przyjaciół Jacka poszedł po środki opatmknkowe, by opatrzyć jego rany postrzałowe. Kapitan oddał im do dyspozycji swoją kajutę.

Randy nie odstępował jej na krok. Był jedynym krewnym Jacka na pokładzie i Loma postanowiła wtajemniczyć go w swoje plany. Ma prawo wiedzieć, co się będzie działo z jego bratem, ale z jego przerażonej miny wywnioskowała, że jej szczerłość nie została doceniona.

— Podam mu lekarstwa — tłumaczyła. — Wprowadzę go w stan śpiączki i utrzymam do przylotu śmigłowca pogotowia medycznego.

Ze statku wysłano już prośbę o pomoc, ale trzeba się było liczyć z tym, że miną długie godziny, zanim ktoś się zjawi. Bez pomocy Jack by tego nie doczekał. Skonsultowała swoje przewidywania z Bennettem. Zainfekowani umierali w ciągu godziny od wystąpienia konwulsji.

Nie ma wyboru.

Musiała spróbować.

Randy sięgnął do czoła, jakby chciał poprawić bejsbolówkę, której już nie miał. W jego oczach czał się strach i przygnębienie.

416

Kyle wślizgnął się za nim.

— Moja siostra wie, co robi.

Randy spojrzał na niego.

— Jest weterynarzem — burknął ze złością.

— Ale cholernie dobrym!

Dotarli do kajuty kapitana i Mack wniósł Jacka do środka.

Loma zatrzymała się przed drzwiami i spojrzała na obu.

— Randy, nie powinienes przy tym być. Przrzekam, że zrobię wszystko, żeby go uratować.

Widać było, że Randy waha się między wybuchem wściekłości i paniki. Nagle rzucił się na nią.

Cofnęła się zaskoczona, ale on tylko ją zamknął w niedźwiedzim uścisku.

— Opiekuj się moim braciszkiem — szepnął jej do ucha, przetykając łyzy. Puściwszy ją, dodał:

— Wiem, że między naszymi rodzinami jest dużo złej krwi. Ale Jack ci ufa. I ja też.

Loma skinęła głową.

Kyle położył mu rękę na ramieniu.

— Walniesz sobie przez ten czas piwko?

Randy bezradnie opuścił ramiona, kiwnął głową i mszył za Kyle'em w stronę schodów.

Loma weszła do kajuty i dołączyła do Macka, który zdążył już ułożyć Jacka na łóżku.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał.

— Może pan dotrzymać mi towarzystwa — odparła z bladym uśmiechem. Nie chciała zostać sama.

Mack ukucnął obok głowy Jacka, Loma postawiła butelkę z lekarstwem na nocnym stoliku. Napis na etykiecie informował, że w środku jest tiopental sodu. Zabrała go z apteczki Malika. Był to środek znieczulający, stosowany często w leczeniu zwierząt. Znając przedmiot badań Malika, Loma była pewna, że znajdzie go w jego zapasach.

Ale miała zamiar zrobić coś więcej, niż tylko znieczulić Jacka.

Tiopental był od dawna stosowany przez lekarzy do wprowadzania pacjentów w stan śpiączki farmakologicznej i choć

417

ostatnio częściej używano do tego celu propofolu, tiopentalu nadal używano w przypadkach urazów i obrzęku mózgu. Lek powodował znaczne obniżenie aktywności neurologicznej, a na tym Lornie zależało najbardziej.

Mózg Jacka pracuje na zwiększonych obrotach, a ona musi ten silnik wyłączyć.

Sprawnymi ruchami zabrała się do pracy. Przygotowała rękę i opaskę uciskową i napełniła strzykawkę tiopentalem.

Spojrzenia jej i Macka spotkały się nad leżącym Jackiem.

— Da pani radę — powiedział Mack.

Wstrzymując oddech, wbiła mu w rękę igłę strzykawki, ściągnęła odrobinę krwi, upewniając się, że dobrze wkłuła się w żyłę, i rozluźniła opaskę.

A potem wolno nacisnęła tłoczek, wprowadzając mężczyznę, którego zaczynała kochać, w stan śpiączki.

Pół godziny później Lorna wyszła na pokład rufowy, a Mack został w kajucie, aby mieć oko na Jacka. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem. Choć przez chwilę. Dygotała ze zmęczenia i zdenerwowania.

Oparła się o reling i głęboko oddychając, wpatrzyła się tępo w ciemne fale. Na niebie rozbłysły już gwiazdy, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Trzask zapalanej zapalniczki tak ją zaskoczył, że aż drgnęła.

Odwróciła głowę i zobaczyła Bennetta siedzącego na leżaku. Zatopiona w myślach wcześniej go nie zauważyła. Uniósł zapalniczkę do fajki i po paru pociągnięciach tytoń w główce się rozjarzył. Wstał z leżaka i dołączył do niej.

— Jak sobie radzi?

— Nie wiem — westchnęła Lorna. — Gorączka spadła. Anestetyk uspokoił drgawki, ale nie wiem, czy on tam jeszcze w środku jest. Bardzo długo miał konwulsje.

Bennett wypuścił kłęb dymu.

— Robi pani, co w pani mocy.

418

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu.

Lorna czuła potrzebę zmiany tematu.

— A jak niemowlę? — spytała.

— Śpi. Udało się ją nawet nakarmić. Żona kapitana ma czteromiesięczną córeczkę. Mieliśmy szczęście. — Bennett odwrócił się do niej. — Nawiasem mówiąc, dziecko Ewy to też dziewczynka.

— A co z resztą dzieci?

— Wszystkie śpią razem z nią. Myślę, że uznały ją za kogoś swojego i chcą ją powitać w gromadzie. Ale może to tylko zwykła dziecięca ciekawość. Trudno powiedzieć.

Znow zapadło milczenie, ale widać było, że Bennett chce zadać wiele pytań.

— Jak pani myśli? — odezwał się w końcu. — Dlaczego Ewa je oddała?

Lorna też się nad tym zastanawiała. Nie była pewna, ale miała pewne podejrzenia.

— Myślę że z tego samego powodu, dla którego pozwolili nam odejść... a właściwie odejść dzieciom.

— Do czego pani zmierza?

— Niemowlę jest nieskażone. Jego system nerwowy nadal jest w stanie niemowlęcym. Myślę, że po spotkaniu w willi dorośli zdali sobie sprawę, że ich dzieci są równie nieskażone i niewinne. Podczas konfrontacji spotkały się dwie inteligencje gromadne. Jedna czysta i niewinna, druga w stanie psychotycznym z racji ciągłego nękania. Myślę, że starsza uznała, iż młodsza jest dla nich stracona. Że mogłoby jej zaoferować tylko tmciznę i ból.

Pamiętała ból i smutek Adama, gdy jedno z dzieci wyciągnęło do niego rękę.

— Zrobili więc to, co w tej sytuacji mogli zrobić. W akcie poświęcenia darowali im wolność i pozwolili odejść.

— A co z nimi? Myśli pani, że zdawali sobie sprawę, że zginą?

Pamiętała zachowanie Ewy i jej minę. Były w niej spokój i rezygnacja.

419

— Myślę, że tak — odrzekła.

Bennett zamilkł i przez dłuższą chwilę pykał w zadumie fajkę. Wreszcie zdobył się na zadanie najtrudniejszego pytania, które od początku go gnębiło:

— Dlaczego dzieci mnie obroniły? Przecież to nie ma sensu. Starzy chcieli mnie zabić.

— Odpowiedź na to zna pan lepiej niż ja.

Spojrzał na nią oczami błyszczącymi od łez. Liczył, że Loma mu to wyjaśni. Nie wiedziała, czy Bennett na to zasługuje, ale posłużyła się swoim przykładem.

— Mnie też obroniły — powiedziała. — Choć nie czują tak silnej więzi z nami jak między sobą, ale sądzę, że jest w nich dużo empatii. Wyczuły w panu coś, czego warto było bronić.

— Ale co? Przecież ja tylko... ja tylko przymykałem oko na to, co się działo... a czasem nawet i tego nie robiłem.

Pokręcił bezradnie głową.

— Nie wiem, nie umiem czytać w pańskim sercu. Ale może dostrzegły w panu szansę na odkupienie. I w obliczu tego strasznego rozlewu krwi nie chciały tej szansy stracić.

Bennett ukrył twarz w dłoniach. Jego ramionami wstrząsnął szloch.

— Co ja narobiłem? — jęknął cicho.

— Właśnie w tym rzecz. Nie w tym, co pan zrobił, ale co może pan jeszcze zrobić.

Mówiąc te słowa, Loma pomyślała, że jej to też dotyczy. Przez te wszystkie lata pozwalała, by to przeszłość decydowała o jej życiu. By ją izolowała i nie wypuszczała z otchłani poczucia winy. Ale dość tego. Powróciły do niej ostatnie słowa wypowiedziane przez Jacka: „Tom nie żyje”.

Pora przyjąć to do wiadomości i zacząć żyć.

Może mieć tylko nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

57

Kampus uniwersytetu Tulane w Nowym Orleanie leży pośród rezydencji z przełomu wieków, cienistych parków porośniętych magnoliami i uniwersyteckich akademików. Od domu Lomy w Garden District dzieli go tylko parę przystanków tramwajem linii St. Charles.

Mimo to przez ostatnie trzy dni Loma prawie nie zaglądała do domu, nie opuszczając oddziału neurologicznego na trzecim piętrze Centmm Medycznego Tulane, kręcąc się po korytarzu i czekając na koniec serii badań neurologicznych.

Jacka przywieziono helikopterem ze statku braci Thibodeaux i Loma mu towarzyszyła, dzięki czemu mogła powiedzieć lekarzowi o stanie pacjenta. Przekazała mu wszystko, co wiedziała na ten temat, nie ukrywając powagi sytuacji.

Przez salę Jacka przewinęli się specjaliści z połowy szpitalnych oddziałów. Po przywiezieniu podano mu propofol, by podtrzymać śpiączkę, podłączono do aparatury monitorującej EEG i obstawiono łóżko baterią innych urządzeń.

Dziś nadszedł moment prawdy. Lekarze przez cały ranek kolejno odłączali płyny, po czym przystąpili do stopniowego wybudzania Jacka, uważnie monitorując odczyt EEG, by sprawdzić, czy nie pojawią się symptomy nowych ataków. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Pozostawało jednak zasadnicze pytanie:

Co tak naprawdę zostało z Jacka?

Wydawało się, że neurolog jest pewny, iż nie doszło do trwałego uszkodzenia mózgu, ale z uwagi na rodzaj urazu nikt nie potrafił tego zagwarantować. Jack może pozostawać w stanie wegetatywnym lub całkowicie powrócić do zdrowia. Lekarz uprzedził ją, że najbardziej prawdopodobny jest stan pośredni.

Więc czekali.

Randy i rodzice Jacka siedzieli w głębi korytarza, Kyle poszedł do bufetu po kolejne kawy dla wszystkich. Nikt nie zmmzył oka i wspólne przebywanie w okopach wszystkich do siebie zbliżyło. Podczas długich godzin czuwania Loma wreszcie wyrzuciła z siebie całą opowieść o tamtej nocy, utracie dziecka, próbie gwałtu, pomocy Jacka w ucieczce i jej tragicznym zakończeniu. Gdy raz zaczęła mówić, nie mogła przestać. Oczy jej i słuchaczy błyszczały od łez, ale na koniec wszystkim bardzo ulżyło.

— Byłaś jeszcze dzieckiem — powiedziała matka Jacka, biorąc ją za rękę. — Biedactwo. Przez tyle lat nosiłaś w sobie taki ciężar.

Drzwi do sali wreszcie się otworzyły i wyszła z nich gromada lekarzy i pielęgniarek w białych fartuchach. Neurolog zatrzymał się przy Łomie, a ona wbiła wzrok w jego twarz, próbując wyczytać wyrok. Podeszli też krewni Jacka.

— Odłączyliśmy wszystkie płyny — powiedział lekarz z westchnieniem — ale zostanie jeszcze pod kroplówką z ben-zodiazepiny aż do momentu przebudzenia. Będziemy też monitorowali jego EEG i wszystkie funkcje życiowe.

— Możemy do niego wejść? — spytała Loma.

Lekarz popatrzył na liczną grupę gości.

— Ale tylko pojedynczo — powiedział niechętnie. — I na krótko — dodał, unosząc groźnie palec.

Loma spojrzała na rodziców Jacka.

— Idź ty, moja droga — powiedziała matka. — Jesteś jak

rodzina. A poza tym, gdy mój syn się obudzi, niech najpierw zobaczy ładną buzię.

Loma czuła, że powinna oponować, ale pozwoliła, by jej egoizm przeważył.

Uściskała matkę Jacka i szybkim krokiem weszła do środka. Wpatrzona w odczyty urządzeń monitujących pielęgniarka przy łóżku Jacka nawet nie zwróciła na nią uwagi. Loma ominęła ją i usiadła na krześle przy łóżku. Na tym samym, na którym spędziła noc, trzymając Jacka za rękę, przemawiając do niego i modląc się.

Spojrzała na jego pobladłą twarz i unoszącą się i opadającą pierś. Spod kołdry wychodziła cała wiązka przewodów i rurek, rozchodząc się do licznych mmgających i popiskujących urządzeń.

Nachyliła się i wzięła go za rękę.

— Jack...

Jego dłoń drgnęła, a jej serce skoczyło do gardła. Czy to znak, że ją rozpoznał, czy sygnał nawrotu konwulsji? Zawieszona między strachem a nadzieją wstała z krzesła, nie wypuszczając jego dłoni.

Pochyliła się nad nim i wpatrzyła w jego twarz.

Klatka piersiowa uniosła się i z ust wydobyło się ciężkie westchnienie.

Powieki drgnęły, ukazując wywrócone gałki oczne.

— Jack... — szepnęła i drugą ręką dotknęła jego policzka. — Proszę...

Mmgnął raz i dmgi, a potem nagle spojrzał na nią przytomnie.

— Hej... — wymamrotał.

Ścisnęła jego dłoń.

— Hej — szepnęła.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Przez chwilę patrzyli na siebie i można było odnieść wrażenie, że Jack syci oczy jej widokiem. A potem jego palce zaskakująco silnie zacisnęły się na jej dłoni i twarz wykrzywił grymas żalu.

— To, co ci przedtem powiedziałem... — zaczął chrapliwie. Głos drżał mu z wycieńczenia, ale

może też z innego powodu.

423

Położyła rękę na jego ustach. Rozumiała poczucie winy ukryte w tych trzech słowach. „Tom nie żyje”.

Ta myśl prześladowała ich oboje. Najwyższy czas się od niej uwolnić.

Pochyliła się i musnęła wargami jego wargi. — Ale my żyjemy — szepnęła.

63

Minęły trzy miesiące i Jack pędził łodzią śmigłową kuzyna przesmykiem wodnym wśród rozlewisk. Wiatr rozwiewał mu włosy, Burt będący jedynym towarzyszem podróży siedział na dziobie z wywieszonym językiem i powiewającymi uszami. Jack kierował łodzią ze swobodną pewnością i niezbyt ciężką ręką na drążku. Siedząc wysoko na fotelu pilota, doskonale widział otaczające ich trzciny, sitowie i zarośla.

Fajnie było tak wyrwać się z miasta i ciąglego rejwachu na posterunku. Miał też serdecznie dosyć zastrzyków, rehabilitacji i testów psychologicznych. Poza lekkim niedowładem lewej ręki i obowiązkiem zażywania codziennie jednej tabletki z niewielką dawką środka przeciw konwulsjom, choroba minęła bez śladu.

Ale najlepszą terapią było przebywanie tutaj.

Patrzył na iskrzące się na wodzie promienie południowego słońca, wdychał głęboko powietrze znad rozlewisk, ciężkie i wilgotne, przesycone słonymi oparami i jednocześnie słodkawe od turzycy i zapachu letnich kwiatów.

Zagłębiał się coraz bardziej w rozlewisko, jak zawsze zachwycając się surowym pierwotnym pięknem nieujarzmionej przyrody. Patrzył, jak dorodny jeleń wirginijski sady susami, spłoszony warkotem silnika. Aligatory wciskały się głębiej do jam, szopy i wiewiórki umykały na drzewa.

425

Skreślił, zwolnił i zgasił silnik.

Potrzebował chwili ciszy, by zebrać myśli.

Pozwolił łodzi swobodnie kołysać się na wodzie i wsłuchał się w otaczające go odgłosy. Niektórzy uważali moczary za pozbawioną życia pustkę, ale nic nie było dalsze od prawdy. Przymknął oczy i zaczął wsłuchiwać się w bzyczenie komarów, chóry żab, dalekie porykiwanie aligatorów i trele setek ptaków.

Po wydarzeniach ostatniej wiosny Jack korzystał z takich momentów, by na chwilę się wyciszyć i docenić otaczające go cuda przyrody. Było trochę tak, jakby dano mu nowe oczy. Właściwie wszystkie jego zmysły sprawiały wrażenie wrażliwszych i ostrzejszych, i to wcale nie z racji pozostałości po chorobie, tylko dzięki odzyskanej radości życia.

Ta chwila miała dla niego dodatkowe znaczenie.

Jego dotychczasowe życie miało ulec zmianie, jakiej wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę, i musiał się z nią oswoić. Ale czuł też presję czasu.

Czekała na niego Loma sprowadzona na miejsce pod dość tajemniczym pretekstem i nie miał odwagi kazać jej czekać dłużej niż to konieczne. Trwała budowa nowej siedziby ACRES i Loma miała przy tym mnóstwo pracy.

— Lepiej mszajmy — powiedział do Burta.

Pies machnął ogonem na znak zgody.

Jack raz jeszcze głęboko odetchnął, umchomil silnik i wpłynął w labirynt kanałów i przesmyków wodnych. Rozchodziły się w różnych kierunkach, ale on znał te tereny jak własną kieszeń. Opłynął wysepkę i wpłynął na kanał prowadzący do wielkiego domu z bali, który niedawno odbudowano po pożarze.

Wziął kurs wprost na pomost i dopiero w ostatniej chwili wykonał ostry skręt, obracając łódź bokiem i dobijając do pomostu z idealną precyzją. Z krzesła podniosła się znajoma brzuchata postać w czapeczce z emblematem LSU i pomogła mu przywiązać łódź do pomostu.

426

Burt wyskoczył na pomost i radośnie powitał gospodarza.

— Najwyższy czas, żebyś się zjawił, Jack. Twoja klaczka już zaczyna wierzczać ze

zniecierpliwienia. Myślałem, że będę musiał ją spętać. — Zrobił ostatni węzeł na słupku i puścił linkę cumowniczą.

— Dzięki, Joe. Gdzie ona jest?

— A jak myślisz? — Wskazał ręką za dom, gdzie niegdyś mieściła się ferma aligatorów wujka Joego. — Ze Stellą i dziećmiakami.

Loma, oparta o barierkę podestu widokowego nad stawami, patrzyła w niemym zachwycie i nie mogła się napatrzeć. Ten widok nigdy jej się nie znudził. Na poręczy stała oszroniona szklanka lemoniady, niżej dokazywały dzieci, ganiając się i skacząc. Kilkoro zwisało z gałęzi drzew. W stawach nie było już aligatorów. Wszystkie wywieziono, łącznie z Elvisem, który stał się teraz główną atrakcją zoo Audubona w Nowym Orleanie. By zebrać fundusze na jego przejęcie, zorganizowano wielką kampanię marketingową, której hasło reklamowe było wszędzie: na billboardach, autobusach i tramwajach w całym Nowym Orleanie. Składało się tylko z dwóch słów: El vis żyje!

Stella weszła po schodkach z jednym z młodszych dzieci na rękach. Dziewczynka miała zaledwie trzy miesiące i już chodziła, co nie zmieniało faktu, że zdecydowanie wołała być noszona.

— Ewa robi się coraz cięższa — rzekła Stella, unosząc dziecko na wyprostowanych rękach.

— Właśnie widzę.

— Tak jak chciałaś, już odzwyczajamy ją od butelki, ale ona się domaga.

— Zawsze tak robią. — Loma uśmiechnęła się i wskazała głową plac zabaw. — Muszę przyznać, że doskonale sobie radzisz. Wszystkie wyglądają na absolutnie szczęśliwe.

427

Stella też się uśmiechnęła.

— Cóż, zdarzają im się różne zadrapania i siniaki, jak to u dzieciaków, ale nigdy nie widziałam bardziej kochającej się gromadki. Powinnaś zobaczyć, jak rozpieszczają Igora, Bagirę i te dwie małpki. Wciąż im znoszą jakieś łakocie.

Loma się roześmiała. Wiedziała, że i dzieci, i zwierzaki znajdą tu dom, ale była zaskoczona, że tak szybko przystosowały się do nowego środowiska i warunków życia.

Przed zejściem ze statku braci Thibodeaux wszyscy zobowiązali się, że istnienie dzieci zachowają w tajemnicy — przynajmniej do chwili, gdy dorosną i świat będzie gotów się

o nich dowiedzieć. Bracia okazali się nieocenieni w potajemnym przeszmuglowaniu dzieci na teren rozlewiska. Nikt niczego nie zauważył i tmdno było wymarzyć sobie lepsze miejsce na trzymanie ich w ukryciu.

Loma wyznała prawdę tylko dwóm osobom — Carltonowi

1 Zoe — wiedząc, że będzie potrzebowała ich pomocy w zorganizowaniu bezpiecznego azylu dla dzieci. Nie musiała się zbytnio wysilać. ACRES powstało właśnie po to, by chronić i hołubić gatunki zagrożone.

Patrzyła na bawiące się dzieci.

Czy można sobie wyobrazić okazy bardziej zagrożone od nich? Narażone na większe ryzyko?

Do powodzenia całej operacji w dużym stopniu przyczyniła się hojnie otwarta książeczka czekowa anonimowego darczyńcy.

Znalazłszy się na terytorium USA, Bennett oddał się w ręce władz amerykańskich. Niczego nie ukrywając, przyznał się do wszystkich działań przestępczych prowadzonych w jego imieniu i udostępnił całą dokumentację firmy Ironcreek. Zgodnie z umową nie powiedział o dzieciach.

Oświadczył przesłuchującym, że w laboratorium na wyspie Eden Utracony prowadzono eksperymenty na ludziach, że zainfekowane wimsem agresji osobniki wyostały się na wolność i konieczne stało się zniszczenie całego ośrodka.

428

Bennetta przeniesiono do bezpiecznego lokalu, gdzie przy jego pomocy przedstawiciele Departamentu Sprawiedliwości rozpoczęli akcję oczyszczania instytucji państwowych i prywatnych z zaangażowanych w ten proceder pracowników. Jego rewelacje przez długi czas wstrząsały waszyngtońską administracją.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że z pozytywnym skutkiem.

Jednak przemiana Bennetta na tym się nie skończyła. Za pośrednictwem firm wydmuszek i kanałów finansowych, od których opisów Loma czuła zawrót głowy, Bennett po cichu sfinansował odbudowę ACRES i stworzenie azylu dla dzieci.

Loma rozumiała powody jego wielkoduszności.

Bennett wkroczył na własną ścieżkę odkupienia win.

Gdyby miała co do tego wątpliwości, wystarczyło odwrócić głowę. Na prośbę Bennetta, na belce nad drzwiami do nowego domu wujka Joego wyryto napis:

MATEUSZ 19,14

Zajrzała do Biblii, przeczytała odpowiedni fragment i rozpromieniła się. Pasował jak ulał.

Dopusćcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie; do takich bowiem należy Królestwo Niebieskie.

Przyglądając się beztroskim zabawom dzieci, uśmiechnęła się do swoich myśli. Może to nie jest niebo, ale z całą pewnością kawałek prawdziwego Edenu.

Usłyszała za sobą kroki.

Odwróciła głowę i zobaczyła Jacka i biegnącego za nim Burta. Nie wiedziała o ich wizycie i nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

Stella z Ewą na rękach mszyła w stronę domu.

Jack zajął jej miejsce obok Lomy. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, włosy wilgotne i gładko zaczesane do tyłu, jakby właśnie wyszedł spod prysznicy. Tylko na brodzie i policzkach widać było cień jednodniowego zarostu.

429

— Co ty tu robisz? — spytała zdumiona.

Uniósł rękę i zatoczył krąg, pokazując ich nowy Eden.

— A wyobrażasz sobie lepsze miejsce? Wciąż nie bardzo rozumiała.

Bez słowa przyklęknął przed nią na jedno kolano.

Epilog

Wiosna Bagdad, Irak

Dwóch młodych ludzi idących szybko przez park Al-Zawraa skręciło w stronę głównego wejścia do bagdadzkiego zoo. Mniejszy z nich wysforował się nieco do przodu i odwróciwszy głowę w stronę brata, zawołał niecierpliwie:

— Yalla! Szybciej, Makeen!

Makeen przyspieszył, ale niezbyt chętnie. Właściwie nie miał ochoty iść do zoo, ani teraz, ani nigdy. Miejsce to nadal przywoływało koszmarne wspomnienia. Od tamtego dnia minęło już jednak wiele lat, miał teraz dziewczynę, pracę w sklepie ze sprzętem wideo i nadzieję, że któregoś dnia zaoszczędzi tyle, że wystarczy mu na kupno własnego samochodu.

W dodatku dziś był szczególny dzień: szesnaste urodziny jego młodszego brata, ważna rocznica dla Bariego. W parku miał się później odbyć piknik dla przyjaciół. Ich matka już od tygodnia przygotowywała smakołyki na urodzinowy stół. Całe mieszkanie pachniało ciastem i cynamonem. Perspektywa opchania się domowym ciastem pomagała Makeenowi uporać się nawet z takim koszmarem.

Bari bez wahania wszedł przez bramę ogrodu. Młodszy brat Makeena najwyraźniej nie miał żadnych zahamowań. W minionych latach Bari często odwiedzał nowe zoo, ale ile razy Makeen próbował z nim porozmawiać o tamtych wydarzeniach, brat odpowiadał, że nic nie pamięta. I może rzeczywiście tak

431

było. Bari nie widział wtedy z bliska tego potwora — czarnej bestii nazywanej szatanem.

Makeen do dziś budził się złany potem w skotłowanej pościeli i z krzykiem uwięzłym w gardle wpatrywał się w ślepią płonące żywym ogniem.

Idąc przez park, unosił twarz do słońca, chcąc wypalić z głowy czarne myśli. Przecież w pogodny poranek, taki jak dzisiaj, i w tłumie porannych zwiedzających nie ma się czego bać, prawda?

Bari czekał na niego za bramą, przebierając niecierpliwie nogami.

— Makeen, leziesz jak wielbłąd z zatwardzeniem. Chodź, chcę zobaczyć tego małego szympansa.

Przecież wiesz, jakie potem są tłumy

Makeen bez słowa mszył za bratem. Nie rozumiał fascynacji Bariego wszystkim, co pokryte sierścią, ale w tym szczególnym dniu nie miał zamiaru się kłócić.

Przeszli obok różnych okazów — ptaków, wielbłądów, niedźwiedzi — i skierowali się do zagrody szympansów. Szedł obok brata, starając się dorównać jego szybkim krokom. Na szczęście droga nie prowadziła koło klatki z lwami.

Subhan 'Allah, pomyślał w duchu. Chwała Allahowi.

Wreszcie dotarli do celu. Małpianię odbudowano po bombardowaniu i miejsce to cieszyło się dużą popularnością wśród zwiedzających. Po wojnie złapano kilka małp, które uciekły z ogrodu, i umieszczono w nowej małpiarni. Taka kontynuacja była ważna, bo dla mieszkańców oblężonego miasta symbolizowała powrót do normalności.

Dlatego narodziny małego szympansa w zeszłym roku stały się podwójnie ważnym wydarzeniem. Starsza wiekiem szympansica — jedna ze schwytych na ulicach miasta — urodziła zupełnie łyse dziecko. Sprawa wzbudziła sensację w mediach, które uznały to za dobry znak na przyszłość.

Makeen zupełnie tego nie rozumiał.

Choć minął już prawie rok, pozbawiony sierści szympans wciąż przyciągał tłumy.

432

Bari podszedł do oddzielnego wejścia prowadzącego do małpiego żłobka.

— Tutaj, Makeen! Nie mogę uwierzyć, że jeszcze go nie widziałeś.

Poddając się woli brata, Makeen wszedł do wydzielonego pomieszczenia. W środku znajdował się krótki korytarzyk, który prowadził wzdłuż oszklonej klatki. O tak wczesnej porze byli jedynymi zwiedzającymi.

Makeen skrzyżował ręce na piersiach i przyjrzał się wnętrzu klatki. Na posypanej piaskiem podłodze ustawiono sztuczne drzewo, z jego konarów zwisały liny do wspinania, huśtawki i plecione siedziska.

W pierwszej chwili nie dostrzegł głównej atrakcji żłobka.

Ale potem coś czarnego spadło z góry i wylądowało na piasku. Zwierzę stało odwrócone plecami do szyby i przypominało staruszkę z gołym tyłkiem. Jego skóra była tak pomarszczona, jakby miało na sobie ubranie o kilka numerów za duże.

Makeena nie tylko to nie zachwyciło, ale wręcz poczuł obrzydzenie.

Zwierzę trzymało długi kij i grzebało nim w piasku.

Bari promieniał zachwytem.

— Patrz, jak jest blisko! — wykrzyknął radośnie. — Nigdy nie widziałem go tak blisko szyby. Chłopiec podszedł bliżej i przyłożył dłoń do szkła, jakby chciał nawiązać fizyczny kontakt z młodym szympansem.

— Chodźmy stąd — burknął Makeen, głośniejszym głosem niż zamierzał. W jego głosie pojawił się strach. Bari spojrział na niego i przewrócił oczami.

— Makeen nie bądź taki shakheef.

Zwierzę nie zwracało na nich uwagi, nie przestając grzebać kijem w piasku.

— Wracajmy do parku — powiedział spokojniej Makeen — zanim mama się wkurzy i nakarmi ptaki twoim urodzinowym ciastem.

Bari westchnął ostentacyjnie.

433

— Jest jeszcze tak dużo do zobaczenia.

— Kiedy indziej.

— Zawsze tak mówisz — rzucił nadąsany i ruszył do wyjścia.

Makeen jeszcze przez chwilę wpatrywał się w małego szympansa, chcąc uspokoić walące serce. Bo czego się tu bać? Podszedł do szyby i spojrział na bazgroły rysowane przez zwierzę na piasku.

Szympanś wydrapał patykiem rządki cyfr.

Makeen zmarszczył czoło. Zwierzę pewnie małpuje coś, co wcześniej zobaczyło. Ale i tak poczuł ciarki na plecach. Pamiętał artykuł w lokalnej gazecie o tym, jak szympans szybko dojrzewa i że podjął już pierwszą próbę ucieczki, układając skrzynki jedna na dmgiej do wysokości ogrodzenia.



Zrobił sobie nawet coś w rodzaju dzidy, obgryzając koniec gałęzi w ostry czubek. Jakby czując zainteresowanie chłopca, szympanś nagle się odwrócił i popatrzył mu prosto w oczy. Makeen aż się cofnął. Pozbawiona zarostu twarz zwierzęcia wyglądała strasznie. Jak pomarszczona czarna figa z grubymi wargami i wielkimi żółtymi ślepiami, która nagle ożyła. Spojrzenie zwierzęcia przewierciło go na wylot. Makeen wciągnął gwałtownie powietrze i zakrył usta. W żółtych, płonących żywym ogniem ślepiach dostrzegł znany, przerażający błysk inteligencji. Ze strachu zachwiał się i popędził do wyjścia. Patrząc za uciekającym, szympanś rozchylił wargi w zjadliwym uśmiechu. I obnażył wszystkie zęby.

Uwagi autora dla Czytelników: prawda czy fikcja

Pisząc o interesujących mnie tematach, staram się zawsze osadzić moje książki w rzeczywistym świecie. Dlatego pozwólcie, że zajmę wam chwilę i wytyczę granicę między prawdą a fikcją literacką w sprawach, o których opowiada ta książka. I tak:

Bagdad. Jednym z nasion, z których wyrosła ta opowieść, była relacja o wysiłkach podjętych, by ratować bagdadzkie zoo po wybuchu wojny. Zoo uległo poważnej dewastacji podczas walk między wojskami amerykańskimi i Gwardią Republikańską, a po ustaniu działań zbrojnych doszło do bmtalnej grabieży i wiele zwierząt uciekło do miasta. Jeśli chcielibyście się dowiedzieć więcej o heroicznym wysiłkach na rzecz uratowania i odbudowy zoo, zajrzyjcie do książki Babylon ś Ark autorstwa Lawrence'a Anthony'ego i Grahama Spence'a.

ACRES. Miejsce pracy Lomy, Audubon Center for Research of Endangered Species, istnieje naprawdę i mieści się w odludnym zakątku nad rzeką Missisipi. Jego zbiory nie są udostępniane publiczności, ale w Internecie można znaleźć wiele informacji o budzących podziw wysiłkach jego personelu dla ratowania zagrożonych gatunków. Naprawdę mają tam „za-

435  
mrożone zoo”, w którym przechowuje się materiał genetyczny w nadziei na podtrzymanie i ochronę kruchego dziedzictwa, tamtejsi naukowcy zaś należą do pionierów badań nad wykorzystaniem klonowania do zachowania gatunków. Oczywiście wszystkie osoby występujące w tej książce są fikcyjne, a ja dodatkowo puściłem wodze fantazji, opisując pomieszczenia tej instytucji.

Wszystkie stworzenia, duże i małe. Opisy zwierzęcej inteligencji, szczególnie w odniesieniu do papug, mogą się wydawać mocno przesadzone, są jednak oparte na faktach. Polecam doskonałą książkę na ten temat The Parrot Who Owns Me autorstwa Joanny Burger. Będziecie zdumieni, czytając ją. Także myśliwskie obyczaje jaguarów oparte są na badaniach naukowych, podobnie jak prawdziwe są wszystkie opisywane w tej powieści więzi człowiek—zwierzę. Co roku dowiadujemy się czegoś nowego o tych zdumiewających relacjach.

Genetyka. Wszystkie szczegóły dotyczące chromosomów są prawdziwe, łącznie z tym, że genetycy odkryli w naszym „śmieciowym” DNA pozostałości kodów wirusowych. A co z „genetycznymi wrzutkami”? Czy to w ogóle możliwe? Jeśli macie wątpliwości, odsyłam do artykułu o urodzonym w Chinach wężu z wyrastającymi z ciała, w pełni wykształconymi gadzimi łapami:

<http://www.telegraph.co.uk/earth/wildlife/6187320/Snake--with-foot-found-in-China.html>.

Fraktale. Ten temat mnie fascynuje, a w tej książce ledwie go dotknąłem. Fraktale są wszędzie, a chcąc lepiej je sobie wyobrazić i zrozumieć, odszukajcie program telewizji publicznej PBS Nova, zatytułowany: Fractals: Hunting the Hidden Dimension. Także szczegóły dotyczące mocy i rozrostu „anten fraktalnych” są prawdziwe.

436

Ci wszyscy mózgowcy. To prawda, że wszyscy przedstawiciele świata zwierzęcego — łącznie z człowiekiem — mają rozsiane w mózgu dziwne magnetytowe kryształki. Naukowcy uważają, że kryształki te znajdują zastosowanie w migracjach ptaków, ale co po nich nam? Nie mogłem sobie odmówić głębszego pogrzebienia w tej kwestii. Co do przenoszonej z krwią choroby Jacka, koncepcję tej infekcji oparłem na gąbczastej encefalopatii bydła zwanej chorobą szalonych krów. Chorobę wywołuje samopowielające się białko zwane prionem, które pokonuje barierę krew—mózg i powoduje szaleństwo. Oczywiście na potrzeby tej opowieści trochę to białko podrasowałem.

Przy okazji: to drobiazg, ale mózg ludzki naprawdę stale wytwarza około dwunastu watów elektryczności, co wystarcza do zasilania kieszonkowej latarki.

To, co wybucha. Cała broń opisana w tej książce istnieje naprawdę, łącznie z minami żyłkowymi i modelem AA-12 — piekielną strzelbą szturmową Gara. Jeśli chcecie ją zobaczyć w akcji, zajrzyjcie na YouTube, gdzie jest wiele filmików z AA-12 w roli głównej.

Rada wojenna. JASONS to nazwa prawdziwego think tanka doradzającego wojskowym. Rada naprawdę wydała zalecenie rekomendujące amerykańskim wojskowym zainwestowanie większych środków w program „modyfikacji ludzkiej wydolności”. Sugemje w nim podjęcie dalszych badań nad środkami farmakologicznymi, genetyką i neurologiczną fuzją komputerów cybernetycznych — wszystko, by manipulować ludzkim mózgiem i „produkować” sprawniejszych żołnierzy. Również opisane w książce nadużycia w kontraktach z prywatnymi producentami uzbrojenia są autentyczne i stanowią przedmiot toczącego się dochodzenia. Firmy zbrojeniowe podejmują własną działalność naukową i zakładają centra badawcze poza terenem Stanów Zjednoczonych, by ominąć przepisy i uniknąć kontroli władz.

437

Plenery, plenery, plenery. Jeśli jeszcze nie wiecie, kocham Nowy Orlean. Odwiedziłem to miasto co najmniej tuzin razy — zarówno przed, jak i po „Katrinnie”. Opisując je, starałem się jak najwierniej trzymać faktów. Odwiedziłem fermę krokodyli, pływałem po rozlewisku łodzią śmigłową i kanoe, brodziłem po pływających wyspach i rozmawiałem z miejscowymi o ich życiu. Cajunowie mają bogatą i barwną tradycję i kulturę i starałem się opisać je możliwie jak najwierniej.

Tak więc, odwiedźcie Nowy Orlean. Idźcie na niedzielny brunch do Commander's Pałace, wpadnijcie na pączka i kawę z cykorią do Cafe du Monde. Wybierzcie się na jedną ze wspaniałych wycieczek po mieście i okolicy (do Garden District, na plantację przy Oak Alley lub na moją ulubioną nocną wycieczkę z duchami). Zajrzyjcie do księgarni w Garden District — jednym z moich ulubionych miejsc szperania w książkach. Przejedźcie się tramwajem linii St. Charles. Dajcie sobie powróżyć z ręki przy świecach na Jackson Square. I nie zapomnijcie odwiedzić zoo Audubona... A gdy już tam będziecie, nie omieszkajcie rzucić Elvisowi łakocia ode mnie. I na koniec — nie przegapcie okazji zobaczenia jednego z najwspanialszych krajobrazów Ameryki: mokradeł i rozlewisk w delcie rzeki Missisipi. Bo kto wie, co możecie tam znaleźć za kurtyną z hiszpańskiego mchu i w cieniu majestatycznych cyprysów?

Spis treści

Podziękowania ..... 9

Prolog..... 13

CZEŚĆ PIERWSZA PIERWSZA KREW..... 21

CZEŚĆ DRUGA BABILON POWSTAJE.....175

CZEŚĆ TRZECIA BESTIE EDENU.....265

Epilog.....431

Uwagi autora dla Czytelników: prawda czy fikcja.....435

Polecamy thrillery Jamesa Rollinsa

**WIRUS JUDASZA**

Bohaterami książki są agenci SIGMY - tajnej jednostki odpowiedzialnej za zdobywanie i neutralizowanie technologii istotnych dla bezpieczeństwa USA.

XIII wiek. Co stało się ze statkami, które legendarny kupiec i podróżnik Marco Polo otrzymał w 1271 roku od chana Kubilaja? Z czternastu ogromnych okrętów wiozących 600 ludzi, w 1295 roku do Wenecji dotarły tylko dwie krypy i garstka marynarzy. Los pozostałych do dziś spowija mrok tajemnicy. Czasy współczesne. Wokół Wyspy Bożego Narodzenia na Oceanie Indyjskim dochodzi go gigantycznej katastrofy ekologicznej. Tajemniczy wirus nazwany Szczepem Judasza dziesiątkuje faunę i florę morską, atakuje mieszkańców. Świata grozi zagłada. Czy Marco Polo posiadał klucz do zwalczania wirusa? Do akcji wkraczają agenci SIGMY - komandor Grayson Pierce, lekarka Lisa Cummings i doktor Monk Kokkalis. Jediną szansą na wyjaśnienie tej niezwykle zagadki są tropy i wskazówki pozostawione kilkaset lat temu przez słynnego odkrywcę. Wenecja, Watykan, Istanbul, Bangkok, prastare ruiny Angkor Wat w Kambodży... trwa dramatyczny wyścig z czasem, a jego

stawką jest los świata...

## KLUCZ ZAGŁADY

XI wiek. Angielski król Wilhelm I nakazuje przeprowadzenie kompleksowego spisu ziem w całym państwie. Dane są zapisywane sekretnym kodem w księdze, nazwanej „Księgą zliczania”, a przez niektórych - „Księgą Dnia Sądu Ostatecznego”. Nazwa okaże się bliższa prawdy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać... Czasy współczesne. W laboratorium na Uniwersytecie Princeton ginie znany profesor genetyki. W sercu Watykanu zostaje zabity ojciec Marco Giovanni. Obóz naukowy Czerwonego Krzyża w afrykańskiej Republice Mali, prowadzący uprawy genetycznie zmodyfikowanej kukurydzy, zostaje zniszczony, zaś jego mieszkańcy, a wśród nich syn amerykańskiego senatora - wymordowani. Trzy różne kontynenty, trzy zbrodnie, jeden wspólny element: na ciałach zabitych wypalono pogański znak - okrąg z krzyżem. Rozpoczyna się szalony wyścig z czasem - śladami tajemnicy sięgającej mroków średniowiecza i spisu ziem, przeprowadzonego na polecenie angielskiego króla. Czym jest „klucz Dnia Sądu Ostatecznego”? Dlaczego w prastarej księdze wiele miejscowości opatrzone słowem vastare - spustoszone? Dla kogo pracują współcześni skrytobójcy? Grayson i jego współpracownicy z SIGMY mają wyjątkowo trudną i niebezpieczną zagadkę do rozwiązania. Zagadkę, której trop prowadzi przez rzymskie Koloseum, starożytne celtyckie ruiny, grobowiec legendarnego czarodzieja Merlina, do ukrytego pod lodami Spitsbergenu Światowego Skarbca Nasion. Gra toczy się o najwyższą stawkę - losy ludzkości...

James Rollins - pisarz amerykański, z zawodu lekarz weterynarii, z zamiłowania nurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999, publikując powieść o wyprawie do wnętrza Ziemi zatytułowaną Subterrean. Kolejne tytuły o tematyce awanturkowej, m.in. Mapa Trzech Mędrców, Czarny zakon, Wirus Judasza, Ostatnia wyrocznia, Klucz zagłady, Ołtarz Edenu i Kolonia diabła, których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata - dżunglach, lodowcach, głębinach oceanów, pustyniach i podziemnych grotach - odniosły międzynarodowe sukcesy, a Rollins osiągnął popularność nie mniejszą niż Clive Cussler - autor, z którym najczęściej bywa porównywany.